



Wycieczki po Gorganach



Paweł Wiejacz

WARSZAWA 2017



Paweł Wiejacz

Wycieczki po Gorganach

Warszawa 2017

Tekst, zdjęcia, mapki, projekt okładki: Paweł Wiejacz

Redakcja i skład: Witold Grzesik

Okładka, przód: Widok z Wysokiej na Ithrowiec

Okładka, tył: Widok z Małej Sywuli na pasmo Doboszanki

Copyright (C) Paweł Wiejacz, Warszawa 2017

Copyright (C) Stowarzyszenie „Res Carpathica”, Warszawa 2017

Zabronione jest wszelkie wykorzystywanie treści bez wskazania źródła lub uzyskania zgody wydawcy i autora.

Publikacja wyraża wyłącznie poglądy autora i nie może być utożsamiana z przesłaniem Stowarzyszenia „Res Carpathica”.

Mapki wykonane zostały na podkładzie map 1:50000 wydawnictwa PP „ASSA”:

Zahidni Gorgany — The Western Gorgany (Zachodnie Gorgany), wydanie I, aktualizacja 2010, 2013, wyd. kwiecień 2013

Centralni Gorgany — The Central Gorgany (Centralne Gorgany), wydanie I, aktualizacja 2011, 2013, wyd. kwiecień 2013

Skhidni Gorgany — The Eastern Gorgany (Wschodnie Gorgany), wydanie II, aktualizacja 2010–2012, 2014, wyd. czerwiec 2014

Redakcja map: Vasyl Hutyriak

Stowarzyszenie „Res Carpathica”

ul. Niemcewicza 7/9 m. 173, 02-022 Warszawa

www.rescarpathica.pl

poczta@rescarpathica.pl

ISBN: 978-83-948100-0-9

Skład w środowisku TeXworks (MikTeX 2.9.6210)

Wersja publikacji z 18 czerwca 2017

Od redakcji

Popadia, Sywula, Bratkowska, Chomiak, Syniak, Przełęcz Legionów, Rafajłowa, Osmołoda... dla starszego pokolenia turystów nazwy kiedyś magiczne, mityczne i niedosiężne. Tylko nielicznym udało się tam dostać przed 1989 rokiem. Reszcie pozostały lektury przedwojennych przewodników.

Kiedy sowieckie imperium się rozpadło, zaczęliśmy znów wyprawiać się we Wschodnie Karpaty. Po przedwojennej polskiej infrastrukturze turystycznej nie został praktycznie żaden ślad. Każdy, kto jechał w te góry po roku 1989, doświadczał w jakimś stopniu uczucia uczestniczenia w wyprawie pionierskiej. Odkrywaliśmy zatarte ścieżki, pozostałości po dawnych schroniskach, miejsca pamiątek dawnych wydarzeń.

Prawie każdy górski turysta był w ukraińskich Karpatach chociaż raz. Przywołaliśmy do Polski opowieści, zdjęcia lub slajdy, ale tylko niektórzy te wspomnienia spisywali. A pamięć ludzka jest zawodna. Z czasem pozostają nam tylko migawki: zapis szczególnego wydarzenia, czasami zupełnie abstrakcyjnej i bardzo osobiście przeżywanej sytuacji, pojedyncze słowa, gesty, twarze. Mało kto zdobył się na przelanie swoich doznań na pisane słowo, a tak naprawdę tylko taki sposób dokumentowania przeżyć jest skuteczny. Przekonujemy się niestety jednak o tym przewaźnie po czasie zbyt długim, aby wiernie odtworzyć przebieg dawnych przygód...

Wspomnienia Pawła Wiejacza z jego dziesięciu wypraw w Gorgany są w tym kontekście cennym świadectwem miejsca i czasu. Lata 2005–2013 to zapewne ostatnie chwile, kiedy górskie wyprawy miały jeszcze ów wtórny pionierski charakter. Bo choć Ukraina z wielkim mozołem odchodzi od radzieckiego świata, to jednak przemiany są nieuniknione. Cywilizacja i zmiana postaw docierają do gór. Znikają wieloletnie obyczaje i relacje, zanika dawny model gospodarowania. Wytyczane są na nowo szlaki turystyczne. Relacja turysty przemierzającego Gorgany w roku 2017 będzie już pewnie odmienna od zamieszczonych tu opisów wycieczek. Choć zawsze będzie ten sam klimat mozolnej wspinaczki, zdobywania szczytów, ucieczki przed złą pogodą, przemoczonego ubrania, zabłoconych butów i przede wszystkim wieczornej satysfakcji z przebytej drogi.

Wielką wartością książki są obserwacje obyczajów, zapisy rozmów z ludźmi i szereg spostrzeżeń, które zawsze dodają uroku wyjazdom górskim i są przedmiotem wielu gawęd i opowiadań. A także osobiste doświadczenia kontuzji, chorób i zwykłego zmagania się z rzeczywistością. Dzięki temu wspomnienia są kompletne i na pewno za jakiś czas staną się cennym i dość unikatowym dokumentem. Bo przecież wracamy z gór z wielkim bagażem najróżniejszych emocji, ale któż zadaje sobie trud, aby je szczegółowo opisać? Niech lektura tych wspomnień będzie dla Was, karpaccy włóczędzy, inspiracją i motywacją. „Szczanjmy wspomnienia, bo warto coś mieć, gdy zbliży się nasz *fin de siècle*”...

Książka ta, dostępna jedynie w wersji elektronicznej, ukazuje się w ramach pomysłu stworzenia cyfrowej biblioteki karpackiej. Inicjatorem jest powstałe w 2016 roku Stowarzyszenie „Res Carpathica”, zrzeszające miłośników Karpat — naukowców, krajoznawców, historyków i przede wszystkim turystów. Zachęcamy P.T. Czytelnika do dzielenia się z nami swoimi opracowaniami, wspomnieniami, fotografiami i wszelkimi innymi materiałami audiowizualnymi. Naszą intencją jest, aby wiedza o Karpatach docierała do jak największej liczby zainteresowanych. Karpaty warte są tego, aby je popularyzować!

Zapraszamy na naszą stronę (www.rescarpathica.pl). Jesteśmy także obecni na facebooku (www.facebook.com/rescarpathica). Zachęcamy do kontaktu (poczta@rescarpathica.pl) i do współpracy.

A tymczasem... udajmy się w wirtualną podróż na Ukrainę w dzikie gorgańskie góry. Miłej lektury!

Witold Grzesik

Wstęp

Gorgany to góry w Karpatach Wschodnich, leżące w środkowej części tego fragmentu łuku Karpat, który znajduje się na terytorium Ukrainy. Najwyższym ich szczytem jest Sywula — 1836 m. Góry te są jednymi z najdzikszych w Karpatach, mogą się z nimi równać lub może nawet nieznacznie przewyższać jedynie niektóre rejon górskie w Rumunii. Ich dzikość nie jest związana z trudnościami terenowymi, jak to jest w Tatrach, choć należy przyznać, że i pod tym względem Gorgany nie są łatwe. Ta dzikość wynika z minimalnego zagospodarowania tak turystycznego, jak i w ogóle kulturowego — wewnątrz Gorganów znajduje się tylko jedna wieś (Rafajłowa) i jedna osada leśna (Osmołoda). Dalszych kilka miejscowości znajduje się na obrzeżach gór — poza dość gęsto zasiedloną doliną Prutu jest ich zaledwie sześć — mowa o dawnej stronie galicyjskiej. Nawet leśniczówek jest niewiele — poza miejscowościami jest ich tylko 10 — na obszarze na tyle dużym, że aby go przejść pieszo z zachodu na wschód najkrótszą drogą, potrzeba byłoby czterech dni. Za niewielką ilością osiedli idzie mizerna sieć drogową, z uwagi na swój stan dostępna raczej dla ciężkiego sprzętu i ewentualnie samochodów terenowych, a nie dla normalnych aut. Z mizerną siecią drogową związana jest mizerna komunikacja. Do Osmołody na przykład są dwa autobusy dziennie tylko w dni robocze, w dolinach powyżej Osmołody nie ma żadnej komunikacji, pomimo że odległości są takie, iż do np. źródeł Łomnicy trzeba by iść pieszo większą część dnia. Poza Rafajłową trudno jest mówić o możliwości zaopatrzenia.

Zupełnie odrębną kwestią jest pod tym względem największy narciarski kurort górski Ukrainy, jakim jest ośrodek Bukowel, królestwo kiczu, zdzierstwa i barbarzyństwa wobec przyrody. Istnieje tam szereg hoteli o cenach zbliżonych do hoteli w Nowym Jorku. Działa firma wynajmująca limuzyny dowożące gości do i z lotniska w Iwano-Frankiwsku po dziurawych drogach. Dla mniej wymagających utrzymywana jest komunikacja autobusowa — bezpośrednia luksusowymi autokarami do iwanofrankińskiego lotniska oraz zwykła, ze wszystkimi przystankami po drodze, dowożąca do iwanofrankińskiego *awtowokzału*, przeznaczona dla obsługi ośrodka. Bukowel rządzi się jednak swoimi prawami, a jego goście nie zwykli się oddalać dalej niż kilkaset metrów od stacji wyciągu narciarskiego.

Gorgany w porównaniu z innymi grupami górkimi Karpat mają budowę dość nietypową. Na pasma składa się co najwyżej kilka wybitniejszych szczytów, pasma te, jeśli są połączone ze sobą, to znacznie niższymi od nich grzbieciami. Pod tym względem jedyna inna grupa górską, która je przypomina, to Beskid Wyspowy. Tyle że Beskid Wyspowy jest znacznie od Gorganów niższy i odległości pomiędzy górami są w nim znacznie mniejsze, o rzeźbie terenu nie wspominając. Jeżeli porównywać wygląd Gorganów do czegokolwiek w Polsce,

to tym czymś mogłaby być tylko Babia Góra i jej okolice, w szczególności Mała Babia Góra oraz Polica w roli podrzędniejszych szczytów. Tylko że Babia Góra jest jedna — a w Gorganach takich gór jest kilkanaście, część z nich jest nawet wyższa, a wszystkie są bardziej rozległe. No i Babia Góra wraz z okolicami jest nieporównywalnie lepiej zagospodarowana. Wygląd ogólny Gorganów przypomina pofalowane leśne morze, z którego wystają szczyty niczym wyspy, tworzące pasma na podobieństwo archipelagów. Same najwyższe szczyty pokrywają kamienne usypiska zwane gorganem — stąd nazwa tych gór. Jeśli kamienie są ruchome albo śliskie po deszczu, wędrówka po nich stwarza pewne trudności. Te trudności są jednak niczym w porównaniu z koniecznością przedzierania się przez zwarte łąny kosodrzewiny porastające stoki powyżej granicy lasu, a poniżej gorganu. Wprawdzie tam, gdzie poprowadzono szlaki turystyczne, kosówka została przycięta, a tam, gdzie na wybitniejsze szczyty nie ma szlaków, istnieją jakieś przejścia w kosówce, kosodrzewina i tak stanowi największą trudność w wędro-
waniu.

Gorgany są górami owianymi mitem. Mit ten jest może mniejszy niż mit dotyczący Czarnohory, możliwe że dlatego, że Gorgany nie miały szczęścia posiadać swojego Vincenza. Również i tradycyjny folklor jest o wiele mniej barwny — zresztą o jakim folklorze może być mowa w górach zupełnie bezludnych? Wszak najstarsza wieś w Gorganach — Rafajłowa — powstała około 1850 roku, Osmo-
łoda zaś jeszcze później. Mit Gorganów wywodzi się z turystyki przedwojennej i środowiska lwowskiego zgrupowanego wokół Akademickiego Klubu Turystycznego. W okresie międzywojennym wiele zainwestowano w turystykę w Gorganach. Ale nie powinno się przesadzać z tym mitem. Aż do końca lat 1920-tych niewiele się działo w Gorganach, jeśli chodzi o turystykę, Polska się jeszcze nie odnalazła po odzyskaniu niepodległości i wojnach. Cała turystyka w Gorganach w przedwojennej Polsce trwała raptem 10 lat — niewiele dłużej niż opisane przeze mnie wędrówki, które odbyły się na przestrzeni lat 8.

Gorgany przez wiele lat — cały okres Związku Radzieckiego — były niedostępne dla polskiego turysty z przyczyn formalnych. Poza nielicznymi zdjęciami pierwszy raz zobaczyłem je z Rozsypańca w Bieszczadach. Było to po popołudniowej burzy, gdy powietrze stało się wyjątkowo czyste, a słońce jeszcze nie wywołało odparowania mgiełki. Z dużej odległości trudno było mi rozróżnić szczyty, udało się to dopiero w domu, po wywołaniu zdjęcia i porównaniu go z mapą. Widziałem Gorgan Ilemski, Jajko Ilemskie oraz Mołodę. Wtedy nawet nie myślałem, że kiedyś na nich będę. Owszem, marzyłem o Gorganach, ale ponieważ to marzenie wydawało się tak trudne do spełnienia, ograniczało się ono do minimum: być na najwyższym szczycie, Sywuli oraz na owianej legendą Popadii. Mołodę traktowałem jako szczyt drugorzędnej wagi, o tamtych pozostałych nawet nie myślałem.

Marzenia czasami potrafią się spełniać, ba, potrafią się spełniać z naddatkiem. Tak się właśnie okazało co do moich wycieczek po Gorganach. Z marzenia o jednym wyjeździe wyrosło wycieczek dziesięć, z marzenia o dwóch szczytach wyrosło zdobytych szczytów dwadzieścia osiem — mam na myśli jedynie wybitne wierzchołki, a nie posiadające własne nazwy co wyższe garby w opadających grzbietach ani wielokrotne wierzchołki tych samych szczytów.

Po ośmiu latach włości po Gorganach postanowiłem spisać swoje wspomnienia. Nie ukrywam, że skłoniła mnie do tego sytuacja polityczna, ekonomiczna i społeczna na Ukrainie. W 2013 roku kraj ten ogarnął kryzys, chyba przede wszystkim społeczny, a dopiero potem polityczny i ekonomiczny, do-

prowadzając jesienią 2013 i na początku 2014 roku do brzemiennej w skutki wydarzeń wewnętrznych. Cokolwiek by nie nastąpiło, jakie by nie było rozwiązanie tego kryzysu, Ukraina nie pozostanie po nim taka sama. Zapewne nie natychmiastowo, ale dosyć szybko w ciągu kilku lat dojdzie do zmian, które będą miały również wpływ na realia uprawiania turystyki w Gorganach. Wraz z moimi poważnymi zmianami w życiu osobistym, które nastąpiły w tym samym momencie, zamyka się pewna epoka. Nie zamierzam porzucić wędrówek po Gorganach — a jeśli by nawet życie mnie do tego zmusiło, i tak nadal będę o nich marzył. Gdyby jednak miało dojść do kolejnej wędrówki, będzie ona wyglądać inaczej choćby z mojego własnego osobistego względu.

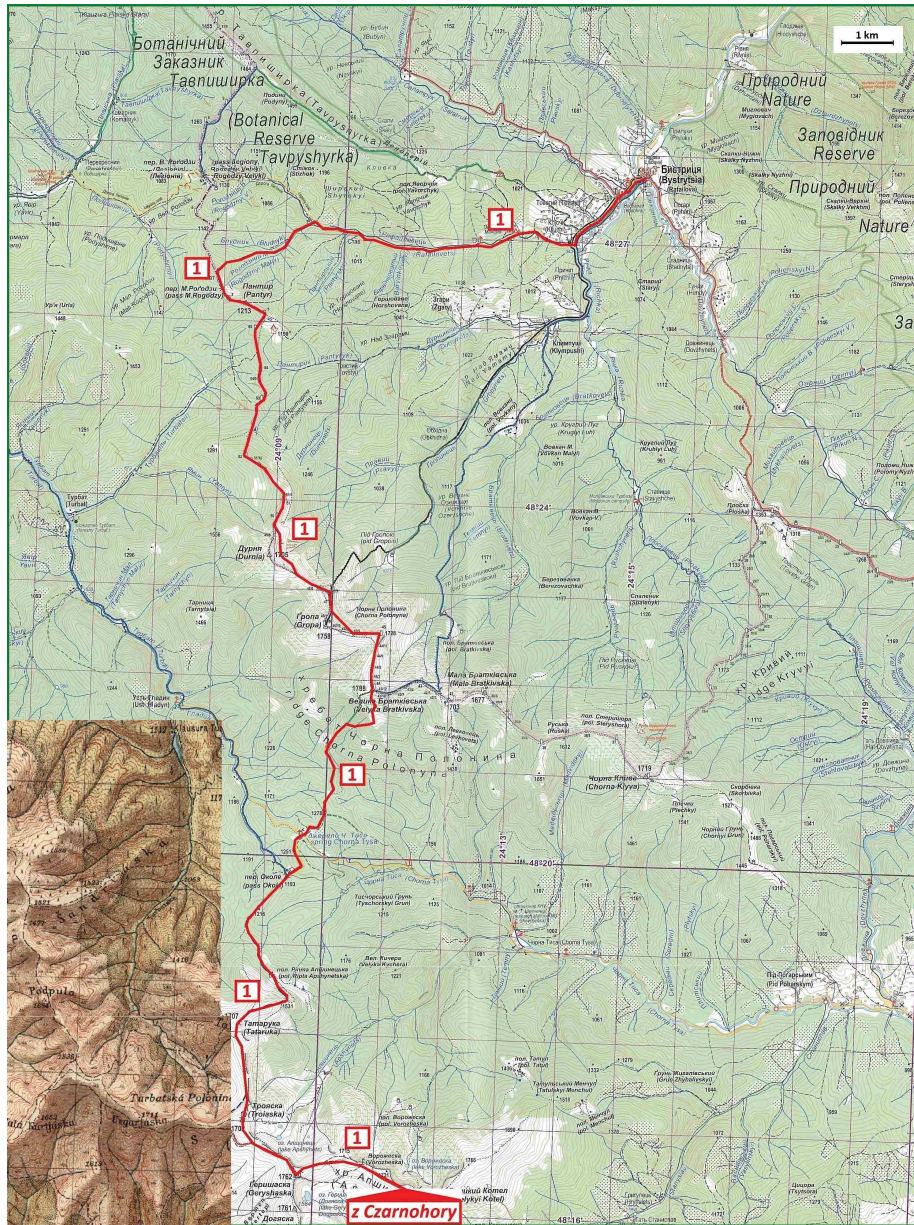
Oddaję więc niniejszy opis 10 wycieczek po Gorganach lub częściowo po Gorganach, w nadziei zachowania pamięci o dziwnym świecie ukraińskich Karpat z lat 2005–2013.



Fot. 1: Pasma Sywuli widziane z płaskowyżu Ithrowca



Fot. 2: Rzeka Mołoda; widoczne przyczółki mostu dawnej wąskotorówki



Trasa wycieczki 1 z Czarnohory i Świdowca przez Bratkovską do Rafałowej

1

Moja pierwsza wycieczka w Gorgany nie była zbyt szczęśliwa. Ale po kolei. Przez wiele lat po drugiej wojnie światowej Gorgany były praktycznie zamknięte dla turystyki. Aż do końca lat 1980-tych nie wiadomo o nikim z Polski, kto miałby uprawiać turystykę w Gorganach. Przedwojenne schroniska zostały spalone podczas drugiej wojny światowej, a szlaki turystyczne zatarł czas. No, może niezupełnie do końca — w szeregu miejsc starannie wytyczone ścieżki turystyczne zachowały się do dziś i po oczyszczeniu z roślinności ponownie służą turystom. Są też doniesienia, jakoby pierwsi polscy turyści w latach 1990-tych napotykali tu i ówdzie ślady przedwojennych oznakowań szlaków. Ja jednak nigdzie nie napotkałem takich śladów. Skłonny jestem podejrzewać, że to wymysł fantazji albo przypadkowa zbieżność jakichś oznakowań miejscowego leśnictwa.

Gorgany przez lata były nieosiągalne. Do jakiego stopnia — przypomnę pewną osobliwą historię. W kwietniu 1985 roku byłem na szkoleniowym wyjeździe — tzw. przejściu przewodnickim w Beskidzie Niskim, organizowanym przez Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w Warszawie. W założeniu miał to być wyjazd biwakowy — tyle że spletała figła pogoda. Padał deszcz ze śniegiem — wprawdzie z przerwami — ale nie było dnia, żeby nie padało. Nocowaliśmy więc gdzie się dało pod dachem — najczęściej w stodołach — namioty służyły nam za balast. Chodzić staraliśmy się normalnie — tylko że zależnie od dnia albo rankiem wychodziliśmy na trasę, by na koniec dnia być w stanie zupełnego przemoknięcia, albo ociągając się z wyjściem czekaliśmy do południa, by potem do kolejnego miejsca noclegowego docierać zupełnie po ciemku w kompletnie ubłoconych ubraniach. Po tygodniu zbierało się już na dowcipy w rodzaju: dlaczego na buty mówi się buty? Bo butwieją. Siedzieliśmy więc w stodole we wsi Izby, niezbyt chętni do wyjścia w psią pogodę. Kierownictwo jednak kazało i wyznaczyło kolegę, niejakiego Waldka, na prowadzącego grupę przez pierwszą część dnia. Zgodnie z zasadami przed wyruszeniem Waldek omówił trasę. Mieliśmy więc pójść do Bielicznej, skąd na przełęcz między nią a Ropkami, dalej grzbietem na kolejną przełęcz i dalej na kolejną, skąd mieliśmy wchodzić na... Sywulę, a potem dalej w dół do szosy, nią do Uścia Gorlickiego a potem na nocleg do Regetowa. Waldek oczywiście się pomylił z tą Sywulą, bo szczyt miał bardziej swojską nazwę Siwejka. O Sywuli oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, większość nawet chyba marzyła, ale wiedziała, że to marzenie było niespełnialne. Przez grupę przebiegł więc szmer śmiechu. Kierownik kursu przerwał to jednak. Opowiedział, że kiedy on robił kurs przewodnicki w latach 1960-tych, ktoś się pomylił w podobny sposób. Ktoś inny — z grupy — zapewne doniósł, bo za tydzień tego, który się pomylił, nie było nie tylko na kursie przewodnickim, ale w ogóle na studiach. Został niespodziewanie wezwany do odbycia zasadniczej służby wojskowej bez względu na to, że studiował.

Pomijając kilka ekspedycji zorganizowanych przez organizacje turystyczne, Gorgany zostały otwarte na turystykę praktycznie wraz z uzyskaniem niepodległości przez Ukrainę w 1991 r. Sam będąc zafascynowany nową możliwością czym prędzej pojechałem. Co prawda nie byłem na tyle odważny, aby pojechać indywidualnie — ale wtedy mało kto był. A poza tym, pojechałem wtedy nie w Gorgany, ale w Czarnohorę, bardziej znaną, wyższą, atrakcyjniejszą. Wyjazd był niesamowity — niesamowite zderzenie z inną kulturą. Wszędzie witały nas napisy „*слава КПСС*”, pomniki Lenina jeszcze w świetnym stanie, w sklepach zaś zielone pomidory w zalewie octowej oraz łby od śledzi (same tylko łby!). Chleb do sklepów nie dojeżdżał — należało wypatrzeć ciężarówkę wiozącą go z piekarni, zamachać i kupić chleb od kierowcy, dając mu sowitą łapówkę. W ten sposób ciężarówka po drodze opróżniała się z chleba i zwracała pusta na długo przed osiągnięciem sklepu. Komunikacja publiczna praktycznie nie istniała. Nominally były przystanki autobusowe, a na nich jakieś rozkłady jazdy, ale nigdy nie było wiadomo, czy dany kurs danego dnia się odbędzie. Wszyscy podróżowali okazjami — na pakach ciężarówek, które zatrzymywały się prawie zawsze — kierowcy w ten sposób dorabiali sobie. Potem podskakiwało się na wybojach razem z czymkolwiek, co było na pace: drewnem, meblami, bywało że z butlami z gazem. Do tego cała nasza grupa *innostranciw* od samej granicy dostała opiekuna pod nazwą przewodnika. Jak się okazało, człowiek ten z górami miał tyle wspólnego, że wojował w górskim kraju — był bowiem weteranem wojny afgańskiej. Pilnował nas w sumie nie wiadomo od czego, nie mając żadnych uwag co do sposobu kupowania chleba ani sposobu podróżowania, które dla niego były najzupełniej normalne. Za to miejscowi ludzie spoglądali na naszą grupę jak na coś zupełnie nienormalnego, nie z tego świata. Co nie przeszkadzało im ukraść brudne skarpetki, kiedy tylko nadarzyła się po temu okazja. Największym koszmarem okazał się jednak powrót. Odprawa graniczna trwała 18 godzin — tylko dzięki temu, że wracaliśmy autobusem rejsowym, traktowanym priorytetowo. Równoległe do nas odprawiał się autokar turystyczny — jego pasażerowie twierdzili, że w kolejce do odprawy stali 4 dni. Autokar należał nomen-omen do firmy Frajda-tour. Ale frajda!

Nic dziwnego, że po takich doświadczeniach — choć wyjazdy na Ukrainę były już możliwe — ja w dalszym ciągu o Gorganach jedynie marzyłem. Dopiero jakoś w 2004 roku — od kogoś usłyszałem, że był w ukraińskich Karpatach i że nie było tak źle. Zapisalem się więc na wyjazd w lipcu 2005 r. z klubem turystyki górskiej z Krakowa. Planowana trasa prowadziła przez Czarnohorę, Świdowiec i Gorgany, w tym najwybitniejsze szczyty łącznie z Popem Iwanem, Howerlą, Bliźnicą, Bratkowską, Sywulą, Ihrowcem i Grofą. Wyjazd naturalnie był biwakowy. Było nas 15 osób.

Już od samej granicy Ukraina okazała się innym krajem niż w 1991 roku. Zamiast ponurego komunizmu zapanowała atmosfera bazaru. Za samym przejściem granicznym stali już naganiacze chętni od zaraz podwieźć grupę do Lwowa. Zmartwili się, kiedy okazało się, że naszym celem jest jakaś Dzembronia w Werchowyńskim Rajonie, o którym tylko słyszeli, że istnieje — ale zaraz któryś chwycił za telefon, chwilę porozmawiał, kazał poczekać i za jakieś pół godziny mikrobus już był. Cały dzień tłukliśmy się po dziurawych ukraińskich drogach, by wieczorem dotrzeć do Chatki u Kuby ponad Dzembronią, skąd rozpoczęliśmy naszą wędrówkę.

Pierwsza część wycieczki wiodła przez Czarnohorę. Gorgany nadal czekały na mnie. Zaraz na początku trafiła się nam ulewa, zmuszając do nieplanowanego

biwaku na Połoninie Czuhrowej. Wypogodziło się następnego dnia po południu — przenieśliśmy biwak pod ruiny schroniska AZS w dolinie Pohorylca. Potem były cudowne dwa dni wędrówki głównym grzbietem Czarnohory, z biwakiem nad Jeziorem Niesamowitym. Na przełęczy Harmanieskiej burza zmusiła nas do szukania noclegu w tamtejszym leśnictwie, wraz z dwoma grupami ukraińskimi, z których jedna wielbiła nowe władze Ukrainy w osobach Wiktora Juszczenki i Julii Tymoszenko, a druga wołała starsze i sprawdzone wzorce UPA i Stepana Bandery. Obie grupy prowadziły swoisty pojedynek na patriotyczne pieśni. Następnego dnia zdobyliśmy Pietrosa Czarnohorskiego — niestety we mgle — i zeszlśmy do Jasini mokrzy, ponieważ po drodze przyłało.

Tam na chodniku w Jasini spotkało mnie nieszczęście — pozornie banalna rzecz, która potem zemściła się okrutnie. Koleżanka z grupy tak nieszczęśliwie manewrowała kijkiem trekkingowym, że dziabnęła mnie pomiędzy lewą nogę a but. Na tyle mocno, że polała się krew, nie to jednak było najgorsze. Rana miała z pół centymetra głębokości i do rana spuchła, utrudniając chodzenie. Chodzić mogłem, ale trudno było zawiązać but na tyle mocno, aby trzymał się na nodze. Nie był to pierwszy uraz, jakiego doznałem w górach, uznałem więc, że jakoś to samo przejdzie, zwłaszcza że najbliższa trasa wyglądała na łatwą: podejście na Drahobrat na kolejny nocleg, a potem wydostanie się do plażu — gruntowej drogi, prowadzącej popod szczytami pasma Świdowca — i dalej marsz tym plażem.

Na Drahobrat dotarliśmy w myśl przysłowia „kto ścieżki prostuje”. Chcąc skrócić sobie dojscie skrótem zapchaliśmy się w wiatrołom. Wprawdzie zamiast 6 kilometrów pokonaliśmy tylko 2, ale za to zamiast 2 godzin — zajęło to 4. Zabiwakowaliśmy na polanie powyżej Drahobratu, obok nieczynnej latem stacji jakiegoś wyciągu orczykowego. Rankiem była Bliźnica i przemarsz pasmem Świdowca, w pełni słońca, na Tatarukę. Nie wiem co takiego jest w tym szczycie porośniętym kępami jałowca, że tak bardzo mi się spodobał. Ze szczytu Tataruki doskonale widać było Bratkowską, może mało typową jak na Gorgany, ale przecież już w Gorganach. Nocleg planowany był na Przełęczy Okole, obok źródeł Cisy, a więc już w Gorganach. Zejście z Tataruki na Okole okazało się jednak bardzo trudne. Dziś — w 2014 roku — podobno prowadzi szlak z Tataruki przez Okole na Bratkowską, ale wtedy w 2005 roku jeszcze go nie było. Wąska ścieżka grzbietowa rychło rozbiegła się na mnóstwo wariantów, trudnych do odróżnienia od ścieżek zwierzęcych. Trzymając się linii grzbietu przyszło schodzić prosto w dół na pysk, po stromym zboczach wśród młodnika i po obsuwającym się, namokłym od deszczów gruncie. I do tego z plecakiem z namiotem i z zapasami na resztę wycieczki — bowiem od Jasini nie było planowane zejście do żadnej miejscowości aż do Osmoły, przez 5 kolejnych dni wędrówki. A ja w tym wszystkim — z jednym niedosznurowanym z konieczności butem. Schodząc w dół z Tataruki siłą rzeczy cały ciężar swój własny oraz plecaka — jakieś 120 kg — hamowałem wyłącznie prawą nogą.

Doszliśmy na Okole około 19-tej. Rozbiliśmy biwak na rozległej łące porośniętej trawami aż po pas. Do źródła Cisy mieliśmy około 100 metrów ścieżką, częściowo po resztkach dawnych stopni prowadzących od dawnego węgierskiego schroniska, po którym zresztą nie udało się znaleźć żadnego śladu. Do picia i gotowania wodę braliśmy właśnie z tego źródła. Było ono obmurowane, ale chyba od czasu drugiej wojny światowej jedynie przyczepiono rosyjskojęzyczną tabliczkę „*zdiess' poczatok riczki Tisa*” — aby zasłonić napis „*Ido Tisza Forras*”. Kamienna obmurówka była obficie porośnięta mchem oraz roślinnością. Poszcze-

gólnie kamienne bloki były odpęknięte, po kamiennych słupkach ogrodzenia zachowały się jedynie resztki. W powietrzu unosił się zapach butwiejącego drewna, woda była jednak smaczna. Zmęczeni całodzienną wędrówką ugotowaliśmy na kolację makaron z konserwą, nie żałując ilości. Rozrzutność uzasadnialiśmy sobie tym, że teraz na Gorgany musimy mieć dużo sił — choć w głębi duszy po tym zejściu z Tataruki każdy chyba myślał o tym, aby z plecaka jak najwięcej ubyło. Jakie więc będą te Gorgany?

Ranek wstał przepiękny. Tak piękny, że wiadomo było, że w drugiej części dnia coś będzie z pogodą nie tak. Wszak nie jest normalne, aby już około 8 rano namioty były suche, było rozkosznie ciepło, a jednocześnie wszystkie góry widoczne jak na dłoni, bez śladu spowijającej je wyżowej mgiełki. Chyba dla wszystkich było to oczywiste, bo szybko uporaliśmy się ze śniadaniem, zwinęliśmy biwak i ruszyliśmy w trasę. Wygodna ścieżka grzbietowa po godzinie doprowadziła nas do koszmaru. Dalsza trasa zavalona wiatrołomem — pół biedy, gdyby to był zwykły wiatrołom, w którym trzeba by znajdować drogę wśród powalonych pni tak, aby przedostać się jak najmniejszym kosztem. To był jednak wiatrołom sprzed jakichś 7, może 10 lat — porośnięty dwumetrowymi choinkami, przez które nie można było wypatrzyć, w jakim kierunku należy się przedzierać. Pozostawało obejść przeszkodę. Obchodzenie w lewo nie miało sensu, bo w tę stronę wiatrołom schodził niżej w dolinę. Poszliśmy więc w prawo. Przez blisko godzinę przedzieraliśmy się leśnym bezdrożem mniej więcej po poziomiccy, zanim wiatrołom się skończył i można było iść w górę. Oczywiście w dalszym ciągu leśnym bezdrożem, czasami tylko napotykając na odcinki ścieżek zwierzęcych. Słońce prażyło, my wprawdzie korzystaliśmy z cienia roślinności, ale na skutek wysokiej temperatury cały las wypełnił się mgiełką pary wodnej. Było jak w saunie. Mnie dodatkowo zaczęło doskwierać prawe kolano — nie był to ból, tylko jakieś nieprzyjemne uczucie sztywności. Po noclegu ból w lewej kostce nieco zelżał — w sumie więc co straciłem w prawej nodze, to zyskałem w lewej. Nie pierwsza to moja kontuzja — trochę poboli, będę szedł nieco wolniej i jakoś to będzie — myślałem.

Wtem za drzewami zauważyliśmy jakiś duży poruszający się kształt. Okazał się zwiastunem końca naszej leśnej udręki. Był to koń, wałęsający się luzem. Nie był sam — towarzyszyło mu małe stadko — z dziesięć sztuk, z tym, że pozostałe pasły się nieco wyżej wśród jałowców powyżej górnej granicy lasu. Dlaczego ten jeden koń zszedł niżej w las — pozostanie tajemnicą, ale wydeptaną przez siebie ścieżką wyprowadził nas z leśnej gęstwiny. Odpoczęliśmy chwilę. Stok od tego miejsca stawał się mniej stromy. Ścieżki nie było widać, ale można było powoli podchodzić klucząc między jałowcami, a wyżej — między pojedynczymi kępami kosówki. Wreszcie w oddali pojawiła się jakaś metalowa konstrukcja — resztki dwumetrowego trianguła na Bratkowskiej. Pod stopami pojawiła się ścieżka — powstała znikąd. Po prostu nagle pojawiła się wśród traw. Idąc w przeciwnym kierunku doszłoby się do tego miejsca i nie wiadomo byłoby, co dalej robić. Oczywiście — to tak było. W 2008 roku poprowadzono szlak turystyczny i przecięto go przez wiatrołom za pomocą piły motorowej. Wejście z Okola na Bratkowską zajmuje podobno 3 godziny. Nam zajęło bite 5. Zmęczeni, dochodziliśmy na szczyt stopniowo przez kwadrans, rzucając plecaki obok wieńczącego górę dawnego słupka granicznego nr 44.

Szczyt Bratkowskiej (1792 m) — najwyższego wierzchołka pasma Czarnej Połoniny — jest mało wybitny. Tak od wschodu, jak od zachodu podchodzi się na niego połogimi zboczami długimi na jakieś 500 metrów, wznoszącymi się

o jakieś marne 70-80 metrów na całym tym odcinku. Jedynie od północy pod szczyt podchodzi coś w rodzaju kotła — urwisko ma jakieś 300 metrów, nie jest jakieś wybitnie strome i może z pewną dozą szczęścia udałoby się przejść przez nie bez złamania karku. Tylko po co? Bratkowska stanowi świetny punkt panoramiczny. Pasma Czarnej Połoniny na tym odcinku jest porośnięte trawą — jedynie z rzadkimi kępami kosówki, względnie jałowca halnego. Nic nie zapowiada kosówkowej dżungli porastającej Durnię — z Bratkowskiej zasłoniętej przez Gropę i niewidocznej, ani też drugiej dżungli porastającej odległą Steryszorę, widoczną, ale z za znacznie bliższych Bratkowskiej Małej i Ruskiej. Grzbiet Czarnej Połoniny oglądany z Bratkowskiej jest jak malowany i zapraszający do wędrówki dobrze widoczną ścieżką grzbietową, prowadzącą wzdłuż ciągle stojących słupków przedwojennej granicy polsko-czechosłowackiej. Do tego widoki — na południe na rozległe połoniny Świdowca, na północ — na pasmo Doboszanki oraz położone nieco dalej na wschód pasmo Syniaka. Kotlina Rafałowej — t.j. Bystrzycy Nadwórniańskiej — dodaje widokowi głębi. W oddali za nią widoczne jest pasmo wznoszące się znad Maksymca: Gawor, Bojaryn, Negrowa, ciągnące się dalej ku najwyższemu szczytom Gorganów: Sywuli i Małej Sywuli.

Tymczasem coś się zaczęło dziać z pogodą. Nadciągnęły chmury wysokiego pułapu, ochłodziło się i powiało. Zrezygnowaliśmy więc z postoju na posiłek — postanowiliśmy zrobić go dalej pod Durnią, skąd w razie czego byłoby łatwiej czmychnąć do lasu. Odpoczęliśmy, porobiliśmy zdjęcia i dalej w drogę. Na przełęczy między Bratkowską a Gropą natknęliśmy się na łąn kosówki. Wyraźna ścieżka przechodziła przez kosówkę, widać było jej ślad dołem, jednakże wyżej gałęzie z obu stron zrastały się i splatały. To tak wygląda słynna gorgańska kosówka, postrach turystów? Poczulem się nieco rozzarowany opisami, które czytałem: owszem, ta kosówka tutaj stanowiła jakiś problem: czepiała się wszystkiego co się dało, oblepiała plecak i smagała po rękach — niekiedy po twarzą. Ale w sumie można było przez nią przebić się po ścieżce niczym czołg. No, ale wtedy, w tamtym momencie nie miałem jeszcze do czynienia z prawdziwą gorgańską kosówką.

Przez ten łąn kosówki przebijaliśmy się stopniowo. Gdy czekaliśmy na nadejście ostatnich, gdzieś z zachodu dobiegł nas głuchy pomruk burzy. Nasz przewodnik Paweł natychmiast zdecydował o pominięciu Gropy trawersem — bezpośrednio na przełęcz pomiędzy nią a następnym szczytem, Durnią. W sumie — chyba bardziej z przyzwyczajenia, bo od szczytu Gropy dzieliło nas najwyżej 10 minut, a burza była tak daleko, że na pewno nie przyszłaby tak szybko. Niemniej Paweł nie dość, że postanowił strawersować Gropę, to jeszcze wrzucił jakiś piąty bieg. Szkoda mi było tej Gropy, bo to miał być pierwszy mój szczyt pokryty gorganem, czyli charakterystycznym usypiskiem kamiennym, od którego nazwę wzięły całe te góry. Bratkowska, choć formalnie należy do Gorganów, jest bowiem szczytem trawiastym.

Minęliśmy więc Gropę. Piąty bieg Pawła sprawił, że grupa bardzo się rozciągnęła, na przełęczy między Gropą a Durnią trzeba było czekać na najwolniejszych, spoglądając na szczyt Durni cały zarośnięty kosówką. Podczas oczekiwania spadły na nas pierwsze krople deszczu, choć same odgłosy burzy były jeszcze daleko. Paweł, gdy tylko zauważył ostatnie osoby, natychmiast ruszył z kopyta. Nie zamierzaliśmy wchodzić na Durnię — nie tylko z powodu porastającej ją kosówki, ale także z uwagi na chęć odpoczynku i spożycia posiłku. Zapasy wody niesione z Okola były już na wyczerpaniu, potrzebny więc był dostęp do wody, a na północnych stokach Durni bije źródło. Paweł wypuścił się ku temu źródłu

niczym wielbłąd na pustyni widzący oazę. Ruszyłem za nim po śladzie ścieżki porośniętym trawami.

Nagle poczułem, że straciłem grunt pod lewą nogą. Zacząłem się obsuwać po stromym stoku na prawo — aż po jakichś dwóch metrach jazdy po mokrych trawach wyrzuciłem prawą nogą o wystającą kępę. Coś przeskoczyło w kolanie i zabolalo. Przez chwilę zastanawiałem się, czy coś mi się nie stało, ale pozbierałem się. Bolało, ale można było ustać, można też było iść, chociaż wolniej. Ech, to się rozejdzie. Ileż to razy w coś walnałem, pobolało trochę i przeszło. A teraz miałem może z 500 metrów do tego źródła, pośrodku porzuconego miejsca dawnego wypasu na poloninie pod Durnią. Odpocznę jak dojdę, a potem jakoś to będzie — pomyślałem.

Doszedłem — z początku kuśtykając, a potem nawet w miarę normalnie, pomimo bólu. Zdjąłem plecak, rozłożyłem karimatę, usiadłem na niej. Koledzy tymczasem wyciągnęli kocher i gar, nabrali wody i postawili gar na ogniu, aby ugotować herbatę. Inni zajęli się robieniem kanapek. Ja nie uczestniczyłem ani w jednym, ani w drugim, tłumacząc się kontuzją; zresztą mój upadek widziało kilka osób. Postój trwał około półtorej godziny, w tym czasie przewalały się chmury, z których od czasu do czasu siąpiło. Grzmoty i pioruny słychać było, ale z oddali, najwidoczniej przechodziły bokiem.

Gdy mieliśmy ruszać dalej — a naszym celem była Przełęcz Legionów, gdzie mieliśmy biwakować — okazało się że wstać i założyć plecak owszem — mogę, ale zrobić krok z tym plecakiem dając radę tylko jeden, i to jeśli go zrobię prawą nogą. Oparcie bowiem ciężaru ciała w całości na prawej nodze okazało się niemożliwe. Wprawilo to moich kolegów w konsternację. Doceniając powagę sytuacji przejęli ode mnie z plecaka wszystko, co ciężkie — namiot i wszelkie zapasy żywności. Zmieniło to sytuację o tyle, że mogłem kuśtykać podpierając się kijkami trekkingowymi. Dwie tabletki przeciwbólowe doprowadziły mnie do stanu, kiedy o tych kijkach mogłem się poruszać na podobieństwo kogoś ze złamaną nogą chodzącego o kulach. W ten sposób ruszyliśmy dalej. Cóż innego bowiem było robić. Od źródła pod Durnią do najbliższej osady — którą była Rafajłowa — było kilometrów osiemnaście. W dodatku — w Rafajłowej nie ma *Hirskiego Poszukawczo-Ratwalnego Zahinu* — czyli ukraińskiego odpowiednika GOPR. Najbliższe jego punkty to w jedną stronę Jaremcze, w drugą Osmołoda; w obydwu wypadkach żeby tam dotrzeć, trzeba wyjechać z Rafajłowej i z gór — do Nadwórnej albo wręcz do Iwano-Frankiwska — skąd ponownie wjechać w góry w sąsiednią dolinę. Łatwo liczyć: dotarcie do Rafajłowej — pół dnia, przyjscie jakiegokolwiek pomocy stamtąd — kolejne pół, sprowadzenie tej pomocy do Rafajłowej — kolejne pół dnia, o ile nie cały dzień. Bo w ukraińskich realiach może się okazać, że ratownicy są na jakimś szkoleniu albo załatwiają formalności w centrali, względnie ich stan po spożyciu *samohonki* wyklucza akcję ratowniczą do momentu ich wytrzeźwienia. Zwykle pogotowie ratunkowe dalej niż do Rafajłowej nie dojedzie. Zresztą — na co mi zwykle pogotowie ratunkowe, skoro przecież nie umieram, a jedynie chodzić nie mogę. Tak czy owak trzeba było więc posuwać się w kierunku Rafajłowej — o własnych siłach tak długo jak dam radę, aby zaoszczędzić siły kolegów — być może potrzebne, jeśli od któregoś momentu przyszłoby im mnie nieść.

Początkowo jeszcze jakoś to szło. Kuśtykałem o tych kijkach dopóty, dopóki trasa biegła po równym — najpierw trawersem Durni, a potem jej północnym grzbiecie. Grzbiet ten jednak w pewnym momencie się kończy — opada stromym stokiem jakieś 300 metrów w kierunku Pantyru. Podczas pierwszej wojny

światowej toczyły tu ciężkie boje polskie legiony. Dziś ja toczę swój własny bój — o zdrowie, a może nawet o życie. Bo gdybym tak nagle miał pozostać tu sam — kto wie, co by się mogło wydarzyć. Zejście ze stoku Durni było okropne — przypominało to z Tataruki, z tą różnicą, że tam schodziło się w leśnym gąszczu, tu zaś śladem przedwojennej przecinki granicznej, jedynie wśród krzaków. Stromizna była podobna i śliskość podłoża również. Z powodu stromizny nie dały próby asekurowania mnie przez kolegów. Kijki trekkingowe pogiąłem i nie nadawały się już do tego, abym mógł opierać na nich cały swój ciężar. W dodatku nadciągnęły chmury i zaczęło regularnie padać. Umęczeni — ja wiadomo czym, koledzy — przez powolny, opóźniany przeze mnie marsz — schroniliśmy się pod jakimś drzewem. Chwilę przerwy wykorzystano, by w pobliskich zaroślach wyciąć dwie dwumetrowe choinki, ociosać z gałęzi, przyciąć na odpowiednią długość i ostrugać z kory. Na miejsce pogiętych kijków dostałem więc dwa oryginalne kostury, których zapewne ukraiński *did lirnyk* też by się nie powstydział.

Ruszyliśmy dalej. Ja w zasadzie szedłem tylko na lewej nodze niczym o kulach, prawą nogę tylko dostawiając. Bardzo wolno to szło i droga na Pantyr dłużyła się niemiłosiernie. Słupek odcinka granicznego na Pantyrze — z polskim orłem i czechosłowackim lwem — jeden z zaledwie dwóch takich słupków zachowanych w ukraińskich Karpatach — widziałem, a nawet pomimo swojego stanu — obfotografowałem. Na Pantyrze Paweł wydał dyspozycję, aby większość grupy poszła przodem szybciej — i założyła biwak na Przełęczy Legionów. Trasa była prosta — głównym grzbietem karpackim, wzdłuż dawnej przecinki granicznej i betonowych słupków co jakieś 150–200 metrów. Paweł wraz z dwoma kolegami pozostali ze mną, wlokąc się powoli. Pomimo prostoty trasy i niezbyt dużej odległości — z Pantyru na Przełęcz Legionów idzie się jakieś półtorej godziny — grupa prowadząca popełniła błąd i na przełęczy Rogodze Małe dała się zwieść leśnej drodze, wychodzącej na grzbiet z doliny potoku Kłębak. Opuściła ścieżkę prowadzącą grzbietem na korzyść tej właśnie drogi, która była szersza. Paweł na próżno wołał na nich z daleka — kapiące krople mżawki tłumiły jego głos, podczas gdy tamci szli przed siebie jak nawiedzeni. Zatrzymali się aż w dolinie — przy zbiegu dwóch potoków. Zdziwieni tym obrotem spraw postanowili zaczekać na przewodnika.

Znaleźliśmy się więc w dolinie potoku Kłębak — jakieś 8, może 9 kilometrów od Rafajłowej i jakieś 2, może 3 kilometry od Przełęczy Legionów. Tyle że na tę przełęcz teraz należałoby iść w przeciwnym kierunku niż do Rafajłowej i do tego pod górę. W dodatku zaczynało się ściemniać. Wypatrzwszy niewielką polankę wśród lasu Paweł zarządził biwak. Tu i teraz.

Absolutnie nie byłem w stanie nic pomóc przy rozstawianiu tego biwaku, ani też przy ognisku. Trudność wręcz sprawiało mi poruszanie się między ogniskiem a namiotami, wśród korzeni i kęp mchu. Mając ręce zajęte kosturami nie mogłem sobie nawet przyświecić latarką. Stało więc na tym, że mój namiot nazwano lazaretem, a koledzy przynosili mi jedzenie i picie. Ogarnął nas przy tym smutek: kolegów dlatego, że z przyczyny wyższej musieli zmodyfikować swoje plany — odstawienie mnie do Rafajłowej spowodowałoby brak czasu na planowane wejście na Grofę. Mnie — dlatego, że głupio tak psuć wyjazd kolegom przez swoją niedyspozycję. Nastrój potęgował deszcz — zupełnie jak gdyby świat płakał nad całą tą sytuacją.

Po nocy wstał kolejny dzień — albo może tylko tak się nam wydawało. Trudno powiedzieć że wstał — lała się ściana wody. Wodę na herbatę przy-

szło gotować w namiocie, bo na zewnątrz nie dawało rady wytrzymać. Deszcz uspokoił się koło południa, przechodząc w mżawkę, która trwała do wieczora. Leżeliśmy więc w namiotach, od czasu do czasu ktoś przychodził do mnie pytać się, czy jest mi lepiej. Niestety — nie było. Ból pozostawał bez zmian, tyle że kolano nieco spuchło, przez co jeszcze trudniej było mi nim ruszać — i bardziej bolało przy poruszaniu. Kolejna noc nie przyniosła zmiany.

Kolejny ranek wstał mglisty. Podczas śniadania podszedł do mnie Paweł i błagalnym tonem zapytał, czy dam radę samotnie dojść do Rafajłowej. O tych kosturach byłem w stanie poruszać się w tempie półtora kilometra na godzinę. Dziewięć kilometrów — więc sześć godzin. Z odpoczynkami jakieś osiem. Raczej więc dojdę, a może będę miał szczęście napotkać jakiś transport zwózki drewna z tego lasu? Zwinęliśmy więc biwak, spakowaliśmy, Paweł wydzielił mi 120 hrywien na koszty powrotu, ogólnie poinstruował co i jak — że po dotarciu do Rafajłowej mam szukać transportu do Lwowa, a tam przesiadać się na cokolwiek do Polski. Zeszliśmy w dół jakieś 500 metrów do doliny Rafajłowca, gdzie nastąpiło pożegnanie: oni w lewo, a ja? W prawo, do domu. Chociaż biorąc pod uwagę kierunki geograficzne to właśnie oni szli w stronę domu, ja zaś w kierunku zupełnie przeciwnym.

Widok grupy oddalającej się beze mnie w górę doliny Rafajłowca prześladował mnie następnie przez kolejne lata...

Uprzedzając dalszy bieg wydarzeń, grupa nie miała szczęścia w swoich dalszych poczynaniach. Dotarli na Przełęcz Legionów, a potem na Taupiszyrkę, ale to były ich ostatnie przyjemne chwile. Potem zaczęło znowu padać i na kolejny biwak na Ruszczyźnie dotarli nie tylko w deszczu, ale i we mgle. Następnego dnia nie zmienił — dalej lało, a oni dalej biwakowali na Ruszczyźnie. Kolejnego dnia nie padało, ale góry nadal były we mgle. Część grupy dokonała z Ruszczyzny wypadu na Sywulę na lekko — dla samej satysfakcji, ponieważ mleko na szczycie niczym nie różniło się od mleka na Ruszczyźnie. Kolejny dzień niczego nie zmienił — dalej była mgła, w dodatku siąpiło. I ostatecznie grupa zeszła z Ruszczyzny do doliny Łomnicy, którą dotarli do Osmoły — jedynie po to, aby stamtąd odjechać autobusem.

Ja zaś powoli kuśtykałem w dół Rafajłowca o moich kosturach. Poszło to nawet szybciej niż myślałem — powrót do ruchu po pierwszym odpoczynku kosztował mnie tyle bólu, że uznałem że lepiej będzie dalszych odpoczynków nie robić — ponieważ mi szkodzą. A ponadto w tym stanie zawsze lepiej być czym prędzej bliżej ludzi. Niestety aż do samej Rafajłowej nie spotkałem nikogo. Cała dolina była pusta. W samej Rafajłowej też nikt się mną nie zainteresował. Ludzie zajęci byli swoimi sprawami, jedynie dwóch przechodzących młodych ludzi zagadnęło mnie, co ja tu robię sam. Zaskakujące było, że całkiem dobrze się z nimi porozumiałem, pomimo że przecież nie znam ukraińskiego. Parę wyrazów, inne wyrazy podobne do polskich, świadomość innych końcówek. Gdybym chciał gadać po ukraińsku, to bym nie potrafił, a wtedy — gdy musiałem, potrafiłem. Dowiedziałem się, że skoro tu sam doszedłem, to dam radę i dalej te 2 kilometry do przystanku marszrutek — jak na Ukrainie nazywają busy.

Wstąpiłem jeszcze do sklepu — bardzo chciało mi się pić. Spocilem się po drodze, a w moim stanie nijak mi było dostać się do wody, pomimo że cały czas płynęła ona opodal w potoku. Sklepowa wyraziła zainteresowanie moim stanem. Powiedziała mi, że wprawdzie tu w Rafajłowej jest szpital, a raczej sanatorium dla podeszłych wiekiem, ale nie wie, czy tam w tej chwili jest lekarz, więc lepiej żebym jechał, i to do Iwano-Frankiwska, bo szpital w Nadwórnej

jest niedobry. Ponadto wbrew temu, co mówił Paweł, nie ma połączeń z Rafajłowej do Lwowa, są do Iwano-Frankiwska, ale tylko rano, a teraz trzeba się dodatkowo przesiadać w Nadwórnej. Wytłumaczyła też, że w Nadwórnej muszę przejść z jednego przystanku autobusowego na drugi jakiś kilometr — bo kierunki na Rafajłową i Iwano-Frankiwska są obsługiwane z różnych przystanków. Pokuśtykałem więc dalej — między innymi przez kratownicowy most na Bysztrzyca Nadwórniańskiej. Zatrzymałem się na nim na chwilę i obejrzałem w tył na góry, zastanawiając się, czy jeszcze tu kiedyś powrócę. Miałem na myśli swój stan zdrowia, czy będzie mi jeszcze umożliwiało chodzenie po górach. W końcu to jakaś cholerna złośliwość losu — tyle myśleć i marzyć o Gorganach i nie móc w nie pojechać. A kiedy w końcu dochodzi do spełnienia tych marzeń, własny organizm odmawia chodzenia.

Ale na razie miałem zupełnie inne zadanie — z gatunku zadań bojowych: przeprowadzić własną ewakuację z obcego i dziwacznie funkcjonującego kraju do siebie, do domu. I to mając poważnie ograniczone możliwości ruchowe, niewielkie środki finansowe i marne szanse na ewentualne ich uzupełnienie. Wprawdzie miałem bowiem kartę kredytową, ale w tamtych czasach na Ukrainie bankomaty były tylko w dużych miastach, a i to nieliczne — z moimi trudnościami w poruszaniu się jak miałbym się do nich dostać? Na moją korzyść działała chyba jedynie samomobilizacja i szok adrenaliny spowodowany niezwykle sytuacją.

Należy przyznać, że ewakuacja przebiegła bardzo sprawnie — choć to bardziej kwestia szczęścia niż jakiegokolwiek planowego działania. Była godzina 13, gdy dotarłem na przystanek marszrutek, kwadrans później jechałem już do Nadwórnej. Tam wspomniany kilometr po głównej ulicy w mieście — przemienionej w deptak. Nadwórna sprawiała na mnie bardzo dobre wrażenie, chętnie bym sobie pospacerował po tym miasteczku i pooglądał to i owo, gdybym tylko był w lepszym stanie. No ale wówczas byłbym w górach, a nie tu. Z Nadwórnej kolejną marszrutką do Iwano-Frankiwska. Przyjechałem 15:40, na stanowisku obok stał autobus 15:45 do Lwowa. Dokuśtykałem do niego — kierowca poprosił o bilet z kasy. Wdałem się w tłumaczenie i — kierowca uległ. Sprzedał mi bilet, pomimo że wyjeżdżając z dworca autobusowego musiał się z tego tłumaczyć. Wyraźnie słyszałem że tłumaczył kontrolerom, że taka sytuacja, że polski turysta kontuzjowany nie może chodzić i musi wracać do domu — i kontrolerzy uznali to wyjaśnienie. Obawiam się, że w Polsce taka sytuacja nie mogłaby mieć miejsca: i jeden, i drudzy zasłoniliby się bezlitosnymi przepisami Unii Europejskiej...

Autobus nabrał po drodze tylu pasażerów, że na kolejnych przystankach następni chętni nie byli w stanie się wpełznąć do środka. Ja póki co martwiłem się, co zrobię w tym Lwowie, bo przecież dotrę tam na wieczór. Żaden hotel nie wchodził w grę z powodu zbyt małej ilości pieniędzy. Obawy moje były jednak niepotrzebne. Do Lwowa — na stryjski dworzec autobusowy — dojechałem kilka minut po 19-tej, a tam okazało się, że był późnowieczorny kurs autobusu do Przemyśla o godzinie 22:00. Kupiłem więc bilet — i pozostało czekać. Cześć oznaczała siedzieć na ławce na peronie. Istniała wprawdzie poczekalnia, ale pełniła ona rolę noclegowni — Bóg jeden wie, dla kogo. Kłębiły się tam nieprzebrane tłumy ludzi, bynajmniej nie wyglądających na podróżnych, ani nawet w ogóle na Ukraińców. Trudno powiedzieć: Czeczeni czy Kazachowie, Uzbęcy czy Kirgizi: przeważała śniada cera, skośne oczy, włosy ciemne albo w ogóle brak, kobiety wszystkie w chustkach. Może po prostu — Tatarzy.

Siedząc na ławce obserwowałem kilka scenek rodzajowych. Oto idzie sobie pan. Schludnie ubrany, w garniturze. Podchodzi do niego dwóch łebków. Chwilę gadają, po czym dają temu panu prosto w twarz i odchodzą. Tamtemu krew się z nosa leje, obciera się chustką i idzie w swoją stronę. Albo idzie sobie para — chłopak z dziewczyną. Podchodzą do ochroniarza — gadają z nim, śmieją się. Najwyraźniej ochroniarz jest kolegą chłopaka. Ochroniarz wyjmuje kajdanki, zakłada na jedną rękę dziewczyny i przykuwa do barierki wokół placu manewrowego. Następnie ochroniarz wraz z chłopakiem dokądś idą. Dziewczyna stoi przy barierce — niczym zaparkowana. Stoi i uśmiecha się. Trwa to z dziesięć minut, po których tamci wracają. Dziewczyna zostaje odkuta od barierki i odchodzi ze swoim chłopakiem jak gdyby nigdy nic. Normalna rzecz. Musieli przykuć dziewczynę, bo gdyby jej nie przykuli, to ktoś by ją ukradł tak samo jak rower.

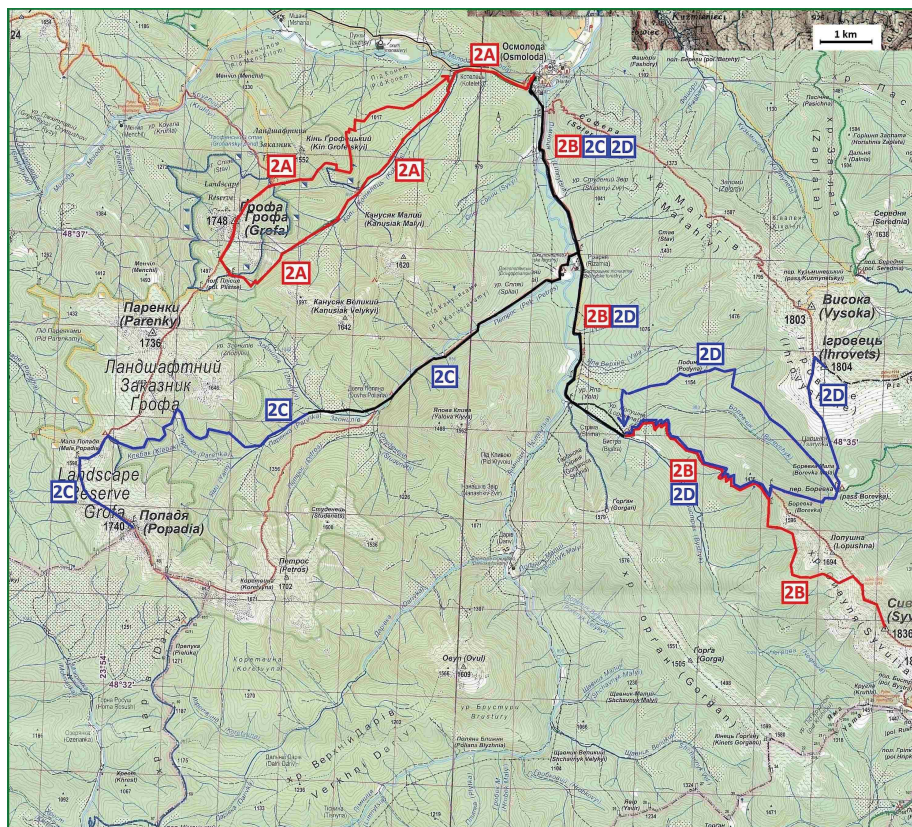
W końcu nadeszła godzina 22. Autobus był polski z PKS Przemyśl. Pasażerów może z 15. Nie spieszył się z odjazdem. Kiedy w końcu wyruszył w drogę, kilka kilometrów za Lwowem, w miejscowości Konopnica skręcił nagle w polną drogę, w ciemność. Zatrzymał się po 200 metrach przy jakimś gospodarstwie. Nagle z budynku wysypało się mnóstwo ludzi z tobołami. Załadowali nimi wszystkie bagażniki autobusu, część tobołów z braku innego miejsca położyli w przejściu między siedzeniami. Ludzie wsiedli i odtąd autobus jechał pełen. Nie zatrzymywał się więcej, aż dopiero na przejściu granicznym, gdzie dotarł około północy. Byliśmy trzeci w kolejce autobusów do odprawy.

Po stronie ukraińskiej odprawa poszła gładko, choć — jak to bywa na Ukrainie — dość leniwie. Każdy paszport uważnie szczytywano i coś z niego spisywano, tak że schodziło mniej więcej półtorej minuty na osobę. Potem przyszła kolej na odprawę po stronie polskiej. Polscy celnicy chyba nie mieli złudzeń, czego się mogą spodziewać — bo wcale nawet nie próbowali odprawiać w autobusie. Kazali wszystkim wysiąść, zabrać bagaże i po kolei kłaść je na podajnik celem prześwietlenia. Szybko stałem się przedmiotem uwagi — nie dość, że miałem duże problemy w poruszaniu się, a zwłaszcza w przenoszeniu plecaka, do tego te drewniane kostury — to jeszcze okazało się, że jestem Polakiem. Oprócz mnie w autobusie było jedynie kilku obywateli polskich. Uwaga szybko zamieniła się w żywe zainteresowanie. Otoczył mnie wianuszek celników i strażników granicznych, którym w kółko musiałem opowiadać swoją kilkudniową historię. Najwyraźniej stanowiło to dla nich wielkie urozmaicenie ich rutynowej służby. Bagaże prześwietlono na chybcika — widziałem gesty machania ręką ze strony tego kto prześwietlał, a nawet rozmowę: „ma aż dziesięć butelek” — „będzie twierdził że sok, chce ci się sprawdzać każdą?”. Przed drugą w nocy autobus pełny zadowolonych pasażerów ruszył w dalszą drogę do bliskiego już Przemyśla.

Rano znalazłem się w przemyskim szpitalu. Zrobiono mi prześwietlenie kolana, które nie wykazało złamania ani innych uszkodzeń kostnych. Wobec czego podano mi zastrzyk — blokadę i polecono wracać do domu, a tam zgłosić się do lekarza pierwszego kontaktu i dalej leczyć się w ośrodku zdrowia. Późniejsza diagnostyka wykazała, że doszło do ubytku chrząstki stawowej, w związku z czym kość tarła o kość. W tej sytuacji osiemnastokilometrowy marsz spod Durni do Rafałowej spowodował dodatkowo znaczące starcie kości rzepki. Marna prognoza dla dalszego uprawiania turystyki górskiej. Kostury ukraińskiego *dida lirnyka* zamieniłem na zwykłe kule tzw. szwedki, o których przyszło mi się poruszać przez kolejne sześć tygodni.



Fot. 3: Słupek nr 44 na szczycie Bratkowskiej, na horyzoncie Sywula



Trasy wycieczki 2: 2A na Grofo; 2B na Sywulę; 2C na Popadię; 2D na Ihrowiec. Odcinki pokonane za pomocą lokalnego transportu terenowego oznaczone są na czarno.

2

Kontuzja, jakiej nabawiłem się pod Durnią, wykluczyła mnie z uprawiania turystyki górskiej praktycznie do końca sezonu. Pod koniec sierpnia byliśmy wprawdzie po słowackiej stronie Tatr, w tym nawet na Łomnicy — ale oczywiście dostaliśmy się tam kolejką linową. Jako wyczyn można uznać, że doszedłem do Popradzkiego Stawu — od Szczyrbskiego Jeziora — szerokim chodnikiem, tzw. magistralą turystyczną. Przez zimę stopniowo dochodziłem do siebie, a wraz z poprawą przychodziła też chęć na góry, których w poprzednim roku miałem wyjątkowo mało. A szczególnie na Gorgany, na których pragnąłem się odegrać. Może to niezbyt mądre — góry takie już są, że jeśli ktoś pragnie się na nich odegrać, one potrafią się za to zemścić. Wtedy jednak nie myślałem o tym, zaś rzeczywistość pokazała, że jeśli się Gorgany na mnie zemściły, to w dość szczególny sposób. Oraz że ta zemsta okazała się mało okrutna.

Bałem się jednak jechać w Gorgany w przypadkowej grupie, szczególnie zaś bałem się biwaków — może nie tyle samych noclegów w namiotach, co konieczności chodzenia z dużym obciążeniem. Kolano wprawdzie już mnie nie bolało, ale czułem, że coś z nim jednak jest nie tak, jak być powinno. Nieco przypadkowo, przeglądając internet, natrafiłem na ogłoszenie o wycieczce PTTK Rzeszów w Gorgany, do Osmołody — „transport autokarem, noclegi w warunkach turystycznych”. W planie — Sywula, Grofa, Ihrowiec, Wysoka i Popadia. Połowa spośród najmagiczniejszych szczytów Gorganów. Wystarczyło. Nie wiedziałem wtedy, że ta decyzja zwiąże mnie z PTTK Rzeszów na następne kilka lat.

Wycieczka była w drugiej połowie maja i zorganizowana w taki sposób, że wyruszała z Rzeszowa wieczorem, do Osmołody jechało się nocą przez przejście graniczne w Medyce, po czym po przyjeździe na miejsce od razu miało się wyruszać na pierwszą wycieczkę w góry. Według planu miała to być wycieczka na Wysoką i Ihrowiec, realizacja okazała się inna — i dobrze, ponieważ pierwotny plan był bez sensu.

Nie podróżowałem dotąd po Ukrainie nocą — z wyjątkiem ostatniego odcinka mojej ewakuacji, ale wówczas była to sytuacja wyjątkowa i o czym innym myślałem. Co zaskoczyło — i to nie od razu, bowiem po stronie ukraińskiej jest najpierw miasteczko Szechynie i nieco dalej Mościska — to ciemność. W Polsce — o ile nie jedzie się przez las — prawie zawsze gdzieś palą się jakieś światła, choćby w oddali: a to jakaś latarnia, a to czyjeś światło przed domem, a to jakaś reklama. Na Ukrainie — nic. Ciemność. Reklamy nieoświetlone, latarni nie ma, a nawet jeśli gdzieś w jakimś domu pali się światło, dom taki otoczony jest krzakami i światło jest ledwo widoczne. Do tego dochodzi lokalny obyczaj drogowy: nie przelacza się świateł drogowych na światła mijania, kiedy inne auto nadjeżdża z przeciwka. Po oślepieniu po każdej mijance cały świat wydaje się

czarny, do czasu aż ponownie oczy się przyzwyczają — albo do czasu kolejnej mijanki.

Trasa nasza wiodła przez Lwów — a raczej jego obwodnicę, ponieważ nie wjeżdżaliśmy do miasta. W umówionym miejscu na obwodnicy czekał nasz ukraiński przewodnik Sasza wraz ze swoją żoną Maszą — również przewodniczką. Obserwowałem to będąc w czymś w rodzaju pólśnu. Przebudziłem się dopiero w Stryju — autobus przejeżdżał tam ślimakiem, ponadto trząsał na dziurach oraz właśnie dniało. Później na przemian budziłem się i przysypiałem. Na dobre obudziłem się we wsi o nazwie Jasień — jak się okazało, niedaleko już Osmołody. Spać dalej się już nie dało — tak trzęsło na dziurach i szarpało. Autokar na przemian hamował i przetaczał się z minimalną prędkością przez nagromadzenia dziur, to znowu przyspieszał do 30 km/h, aby wykorzystać cudem ocalały kilkudziesięciometrowy odcinek asfaltu. Wokół wznosiły się coraz wyższe wzgórza, asfaltu na drodze było coraz mniej, dziur coraz więcej. W końcu pojawiła się tabliczka „Osmołoda”. Po obu stronach drogi pojawiły się parterowe domy w biednych obejściach. Następnie przejechaliśmy obok jakiegoś pomnika — trudno powiedzieć czyjego ponieważ stał tyłem do drogi (!) — i dwóch zrównowanych jednopiętrowych budynków, by zatrzymać się przed okazałym piętrowym domem, przedostatnim we wsi. Obok tego domu stał jakiś barak — wyglądało, że przerobiony z kontenera — z szyldem „*Mahazyn Oksanka*”. Czyli sklep. Byliśmy na miejscu. Gdy wysiedliśmy z autokaru, ogarnął nas specyficzny zapach butwiejącego drewna zmieszanego z błotem. Zapach ten był wszechobecny w Osmołodzie, przeszły nim wszystkie rzeczy i zachował się w nich aż do prania po powrocie do domu.

Pewnym rozczarowaniem było, że nie możemy się rozkwaterować — miejsca noclegowe były jeszcze niegotowe. Trzeba było zostawić bagaże w autokarze a samemu — w góry. Tyle, że na Grofę zamiast na Wysoką i Ihrowiec. Powód prozaiczny — na Wysoką i Ihrowiec potrzebny był transport — ciężarówką, ponieważ autokar nie dałby rady pokonać leśnych dróg powyżej Osmołody. Ten transport był wprawdzie zamówiony, ale cóż: był przygotowany w takim samym stopniu jak nasz nocleg. Pogoda taka sobie — mokro po deszczu, nie padało, niebo zasłonięte chmurami skrywającymi szczyty gór.

Ruszyliśmy więc w górę, w pierw przez solidny most na Mołodzie, potem wyjeżdżoną przez *lisowozy* drogą w górę tej rzeki około 2 kilometry do ujścia potoku Kotelca. Nasz ukraiński przewodnik, Sasza, okazał się przesympatyczny, a przy tym bardzo dobrze mówiący po polsku, ze lwowskim akcentem. Czasami jedynie brakowało mu pojedynczych polskich słów, kiedy temat rozmowy wykraczał poza sferę górsko-turystyczną. Spytałiśmy go, skąd tak dobrze umie po polsku. Odpowiedział, że to kwestia praktyki, bo język polski rozumie prawie każdy mieszkaniec Lwowa, a to dzięki polskiej telewizji, której sygnał — wprawdzie nienajlepiej — ale może być odbierany we Lwowie. Chcąc zaś rozmawiać — jest z kim, bo około 10% ludności ma jakieś polskie korzenie i chociaż są Ukraińcami, interesują się językiem swoich dziadków czy babć.

Dalsza trasa wiodła drogą w górę doliny Kotelca. Dziś prowadzi tamtędy zielony szlak turystyczny, wtedy go jeszcze nie było — choć na grzbiecie Grofy był już świeżo wyznakowany i przecięty w kosodrzewinie czerwony główny wschodniokarpacki szlak. Droga w górę Kotelca była błotnista, częściowo zarośnięta. W zasadzie były to dwie równoległe koleiny, przy czym w trudniejszych miejscach jedna z kolein zanikała — była to w zasadzie ścieżka. Doprowadziła w końcu do wiatrolomu. Tutaj droga zanikała i trzeba było przeciskać się po

kamieniach na brzegu potoku do kolejnej trudności terenowej. Była nią kilkumetrowej wysokości zaspą śnieżną. Było to dla nas zaskoczeniem — wszak był 20 maja, my w dolinie, na wysokości 1000, może 1100 m, skąd taka zaspą? Sasza wyjaśnił, że to jest pozostałość po ogromnej lawinie śnieżnej, która zesłała po stoku ogołoconym przez wyręby leśne. Resztki lawiny trzeba było obejść stromym stokiem po wertepach. Powyżej zaspą odnalazła się ścieżka. Wkrótce przecięła potok, przechodząc na jego drugą stronę, wspięła się na przeciwną, po której prowadziła dalej malowniczym trawersem. Potem przewinęła się znowu na drugą stronę potoku i po kilku zakosach poprowadziła prosto jak strzeł pod górę. Stromizna nieźle dała się we znaki, zwłaszcza że byliśmy niewyspani po nocnej podróży. Na szczęście nie było zbyt długo, zanim wyszliśmy z lasu na otwartą przestrzeń porośniętą tu i ówdzie choinkami i kępami jałowców. Stał tam też domek — nieukończony, bo brakowało okien i drzwi — ale pod dachem.

Znaleźliśmy się na połoninie Płyśce, a domek był budowanym schronem turystycznym organizacji „Karpatske Steżky” z Kałusza, która prowadziła też akcję wytyczania szlaków w ukraińskich Karpatach. Było to nawiązanie do tradycji, ponieważ na Płyścach przed drugą wojną światową funkcjonowało schronisko turystyczne ukraińskiego towarzystwa turystycznego „Płaj” ze Lwowa; bodajże jedno z dwóch ukraińskich schronisk pomiędzy kilkunastoma schroniskami Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Same Płyśce — nazywane połoniną — są raczej polaną, czy może raczej były. Zajmują rozległe siodło przełęczy między szczytami Grofy i Parenek. Dawno temu prowadzony był tutaj wypas — w przeciwieństwie do trawiastej Czarnohory w Gorganach jest stosunkowo niewiele miejsc do tego się nadających; szczyty często są pokryte kamiennymi usypiskami, a chudoba kamieni nie je. Trudno określić, kiedy zarzucono wypas na Płyścach — sądzę jednak, że wraz z nastaniem Związku Radzieckiego i radosnej ery komunizmu. Po prostu, nie ma w okolicy żadnych miejscowości rolniczych, skąd mogłyby pochodzić bydło czy owce. Osmołada była zawsze tylko leśną osadą drwali, gdzie nie parano się rolnictwem czy hodowlą. Dalsze wsie mogły pasać na odległych Płyścach jedynie na skutek skomplikowanych stosunków własnościowych — w epoce kolektywizacji z pewnością można było korzystać z bliższych i dogodniejszych miejsc uprzednio należących do pana, Żyda czy plebana. Obecnie Płyśce stopniowo zarastają — choć nadal jest tu sporo przestrzeni umożliwiającej biwak, jest też obfite źródło wody. Schron został ukończony w 2006 r.

Odpocząwszy przy budowanym schronie ruszyliśmy na Grofę. Wkrótce natrafiliśmy na świeżo wymalowane znaki głównego wschodniokarpackiego szlaku turystycznego. Wejście na Grofę od strony Płyśce jest monotonne — metrowej szerokości ścieżka prowadzi najpierw pod górę lasem, następnie przecina w kosówce nieco wykręcając w lewo w trawers; potem kilka lekkich zakrętów i wychodzi się na gorgan — kamienne usypisko pokrywające szczytowe partie Grofy. Tu i ówdzie występują kępy gleby — skrupulatnie wykorzystane przez kępy kosówki. Im wyżej, tym tych kęp jest coraz mniej. Podchodząc pod Grofę ma się jednak przed oczyma albo las, albo kosówkę, albo kamienne usypiska — i tak jest aż do samego wierzchołka. Co innego gdy spojrzeć za siebie: roztaczają się przepiękne widoki — w prawo na Mołodę, prosto na Parenki, pod którymi w dole leżą Płyśce. W górnych partiach zza Parenek widoczna jest Popadia.

Teraz jednak nie było niczego widać i nie było po co się odwracać. Mniej więcej wraz z osiągnięciem granicy lasu ponad Płyścami osiągnęliśmy również pułap chmur i otoczyło nad zewsząd mleko. Dziwnym może było to, że mleko to

stało, powiew wiatru był bardzo słaby. Otaczał nas lepki i zimny opar, wrażenie było, jak gdybyśmy bynajmniej nie wchodzili w maju na jeden z najwyższych szczytów w Gorganach, tylko w listopadzie błędzili gdzieś po bagnach Suwalszczyzny. Szczyt (1748 m) można było poznać po dwumetrowej wysokości kopcu ułożonym z kamieni oraz po tym, że nie było już dokąd iść wyżej. Widzialność wynosiła najwyżej 20 metrów.

Posiedzieliśmy na szczycie może przez kwadrans — doprawdy nie było po co tkwić tam dłużej. Rozpoczęliśmy schodzenie na północ, w pierw po gorganie, następnie przecinką w kosówce, prowadzącą tutaj w dół „na pysk”. Wszystko we mgle. Zeszliśmy do granicy lasu, ścieżka zaczęła prowadzić zakosami i po jakiejś pół godzinie doprowadziła nas do zarośniętej szczawiem polany na przełęczy między Grofą a jej północnym trabantem o dziwnej nazwie: Koń Grofecki. Na przełęczy stał domek myśliwski z dziurawym dachem i bez drzwi, za to ze składem pustych puszek i innych śmieci wewnątrz, a kilkadziesiąt metrów nad przełęczą niczym nożem ucięty znajdował się pułap chmur. „Przełęcz pod Koniem” z „Domkiem pod Koniem” — wyjaśnił Sasza. W 2012 r. Towarzystwo „Karpatske Steżky” wyremontowało domek. Obecnie służy on jako niezagospodarowany schron turystyczny.

Odpocząwszy, opuściliśmy w tym miejscu znakowany szlak na rzecz ścieżki myśliwskiej biegnącej opadającym trawersem po wschodnich stokach Konia. Sasza nazywał ową ścieżkę rajstokiem; nazwa ta jak się zdaje, używana jest lokalnie do określenia wszelkich ścieżek myśliwskich biegnących z grubsza poziomo po stoku. Rajstok prowadził nas stopniowo coraz niżej — cały czas poprzez gęsty liściasty las. Nie było nic widać, ani nie było wiadomo, kiedy zejście się skończy, aż niespodziewanie — po jakichś 2 godzinach — znaleźliśmy się w miejscu, w którym już dzisiaj byliśmy: przy ujściu Kotelca do Mołody. Dziś już nie ma tego zejścia ani dolnej części rajstoku: wszystko w 2008 r. zostało pochłonięte przez ogromny wyrąb. Las wycięto, teren przeorano ciężkim sprzętem leśnym, po czym na barbarzyńsko zmaltretowanej ziemi wyrósł młodnik samosiewem. . .

Do Osmołody powróciliśmy znaną już nam drogą.

Mogliśmy się teraz rozkwatrować. Zapowiadane „warunki turystyczne” warte są opisanie, bowiem w całym swoim turystycznym doświadczeniu nie spotkałem się z czymś podobnym. Dom, w którym kwatrowaliśmy, był własnością prywatną, ale przedtem mieściły się w nim jakieś rzeczy miejscowego *lisokombinatu*. Na piętrze — zdaje się — były biura, na parterze — stołówka albo pomieszczenia socjalne. Grunt, że parter stanowiły dwa duże pomieszczenia wielkości szkolnych klas oraz dwa małe pokoiki. Ubikacji chyba dawniej nie było — obecnie była jedna, przy czym wyglądało na to, że została wydzielona z jednego z pozostałych pomieszczeń. Przypominała się scena z „Ogniem i Mieczem”, gdy Kozacy dzielili łupy po zwycięskiej bitwie pod Korsuniem: „nawet pies załatwia swe potrzeby na dworze!”. W każdym razie w tych dwóch klasach zamiast ławek rozstawiono pluszowe sofy, położono na nich prześcieradła oraz powleczone koce. Pod głowy dano coś, co z trudem mogło uchodzić za poduszkę: poszewka, a w niej nie wiadomo co — grubości może pięciu centymetrów. Do każdej sofy kwatrowano po dwie osoby. Goście z Polski nie mieli jednak specjalnych problemów z przystosowaniem się: uprzedzeni o turystycznych warunkach przezornie pozabierali śpiwory. Los na loterii wygrało kilku szczęśliwców. Mianowicie — nasza grupa liczyła 35 osób, do tego byli jeszcze Sasza z Maszą — a miejsc na sofach było tylko 30. W Osmołodzie istniała jeszcze inna kwatera prywatna — tzw. sadyba — „Arnika”, gdzie okazało się że warunki były normalne. No

i łazienka jedna na siedem osób, a nie na trzydzieści. Nie tylko że kolejka do łazienki stała na okrągło, to jeszcze trudno było umyć się w zimnej wodzie. Ciepła była bowiem z boileru, wystarczyło jej na kąpiel czterech, może pięciu osób. Potem musiała się woda grzać przez godzinę. Aha, pod warunkiem że był prąd, bo z tym też było różnie: przez pół godziny był, przez kwadrans go nie było. Tak w kółko.

Gospodarz poradził, aby chodzić się myć do... miejscowej piekarni. Istotnie, w Osmołodzie liczącej zaledwie 80 dusz była piekarnia. Dawniej pracowała na użytek *lisokombinatu* i dostarczała chleba drwalom pracującym i kwaterującym w terenie. Teraz pracowała niejako rozpadem. Choć nie za bardzo było dla kogo piec — pieczono ze 40 bochenków dziennie — utrzymywano w ruchu całą maszynię. Przy piekarni była łaźnia. Ponieważ była tylko jedna, ustalono podział według płci: panie miały korzystać z łazienki na miejscu, a panowie chodzić do tej łaźni. Mankamentem wszakże była droga. Z domu do łaźni było jakieś 200 metrów — przez błoto po kolana! Dookoła — ze 600 metrów, przez środek wsi...

Przyszedł czas obiadokolacji. Sofy trzeba było poskładać i zepchnąć pod jedną ścianę. Gospodarze wnet wnieśli stoły ogrodowe, przystawili je jeden do drugiego, tworząc jeden długi stół, który nakryto obrusami. Następnie pojawiły się pieńki do rąbania, na których położono długie deski mające służyć za siedziska. Za pewien czas podano do stołu. Najpierw była zupa — rosół z niewielką ilością makaronu, zupełnie niesłony i smakujący tak, jak gdyby został zmieszany pół na pół ze zwykłym wrzątkiem. Na drugie było nie wiadomo co. Jakieś gniotki z kartofli polane słoniną i okraszone skwarkami, do tego każdemu po kawałku klopsa wielkości pileczki pingpongowej, zrobionego nie wiadomo z czego i smakującego równie podejrzanie. Znowu „Ogniem i Mieczem” — tym razem uczta u Chmielnickiego w Kijowie: „Co, nasza prosta strawa kozacka przez wasze pańskie gardła przejść nie chce?”. Kierownictwo wycieczki wszakże zainteresowało i od następnego dnia wyżywienie poprawiło się znacząco, choć nadal pozostawiało wiele do życzenia.

Noc minęła spokojnie. Śniadanie o 7 rano przeszło bez takich wrażeń jak obiadokolacja, tyle że porcje były chyba dla kotów. Dzisiejszym naszym celem była Sywula, a więc najwyższy szczyt Gorganów. Pogoda póki co — była. Świeciło słońce, chociaż było zimno, a na powierzchni kałuż utworzyła się cienka warstwa lodu. Czekaliśmy nieco na nasz umówiony pojazd. Gruzawik, czyli terenowa ciężarówka marki Ził miała nas zabrać o 8 rano. Przyjechała o 8:30. Jak na ukraińskie poczucie obowiązku wcale nieźle — tyle że właśnie te pół godziny zwłoki potem się zemściło. Tyle czasu zabrakło, aby móc podziwiać widoki z Sywuli.

Załadowaliśmy się do skrzyni ciężarówki — wszystkie miejsca stojące. Przewóz ludzi w ten sposób jest niezgodny z przepisami nawet na Ukrainie — ale kto by tam pilnował tego po lasach? Wszak leśnicy wszyscy są swoi — doskonale znają kierowcę. Gruzawik nie jechał zbyt szybko, a jego wielkie koła dość dobrze amortyzowały wszelkie dziury. Problemem były za to zwisające gałęzie — o ile szoferka się pod nimi mieściła, to stojący w skrzyni ludzie — nie zawsze. Jazda wymagała uprawiania ćwiczeń gimnastycznych — głównie skłonów i przysiadów. Jechaliśmy najpierw wzdłuż rzeki Łomnicy, równoległe do trasy dawnej kolejki wąskotorowej, jaka istniała tu od czasów austriackich aż do katastrofalnej powodzi w 1997 roku. Powódź ta zerwała szereg mostów kolejki. Ich naprawę uznano wtedy za nieopłacalną — przestawiono się na transport drewna

ogromnymi *lisowozami* — głównie marki Kraz. Skutkiem tego stało się zniszczenie drogi do Osmołody, którą tak mozolnie pokonywał nasz autokar. Wątpliwe, by ktoś wliczał zniszczenie tej drogi do kalkulacji kosztów odbudowywania kolejki. Tak czy owak — kolejki już nie ma. Pozostały po niej jedynie nasypy, tu i ówdzie przyczółki mostowe, w Osmołodzie budynek dworca służący jako barak dla leśnictwa, u jednego z gospodarzy zauważyłem wagonik kolejki w roli szopy. Szyny zniknęły, być może podległy alchemicznej przemianie żelaza w etanol.

Minęliśmy Ryzarnię — przed drugą wojną światową była tu gajówka. Obecnie też jest i nawet za bardzo: sporej wielkości budynek leśnictwa, otoczony magazynami i placem, na którym stało dużo różnorodnego sprzętu leśnego. Dalej minęliśmy Jale — przed drugą wojną światową było tu schronisko. A obecnie jest tylko podmokła polana. Wzdłuż leśnej drogi pojawiły się teraz ogromne obrzydliwe rury — średnicy półtora metra, niekiedy na kilkumetrowej wysokości betonowych filarach. To gazociąg „Mir”, zmierzający doliną Łomnicy ku karpackiej przełęczy na Niemieckiej Polanie, zaopatrujący tą drogą w gaz Węgry, Słowację, Czechy, a nawet Austrię i Niemcy. Pewnie dlatego idzie właśnie przez Niemiecką Polanę. . .

Wjechaliśmy w boczną dolinę — dolinę Bystryka. Tu dla odmiany były ogromne ilości czarnego błota. Koła gruzawika meły je nieustannie, aż po godzinie jazdy dojechaliśmy do miejsca zwanego Niżny Bystryk, pokonując kilometry. . .jedenaście. Niżny Bystryk wyglądał niczym ocean błota rozjeżdżonego ciężarówkami i ciężkim sprzętem leśnym; po tym oceanie barak robotników leśnych wydawał się pływać niczym okręt. Po kilku latach nie wygląda już tak źle — zaprzestano wyrębów w okolicach Niżnego Bystryka. Zaskakująca jest zdolność przyrody do zablizniania ran. Dawny ocean błota jest dzisiaj trudny do przebycia: krzaki i inne chaszczce wyrosły wysoko na kilka metrów.

Wysiadka i w góry. Dzisiaj z Niżnego Bystryka prowadzi czarny szlak na siodło pod Borewką na grzbiecie Sywulskim. Wtedy jednak szlaku tego jeszcze nie było — co więcej — główny wschodniokarpacki szlak turystyczny nie był jeszcze wyznakowany na grzbiecie Sywulskim i nie został przecięty w kosodrzewinie porastającej Borewkę i stoki Łopusznej. Istniał jedynie trawers — północnymi stokami grzbietu na Ruszczyń, zbudowany jako droga wojenna podczas pierwszej wojny światowej, a potem wykorzystywany jako droga dojazdowa do schroniska PTT na Ruszczyń. Trawersiem tym można było dojść na Ruszczyń i wchodzić na Sywulę stamtąd, tyle że byłoby to trochę naokoło. Nasza trasa początkowo prowadziła dość nudno lasem i poza dwiema polanami, skąd odsłoniły się widoki na przeciwległe pasmo Końca Gorganu — nie było niczego widać. W lesie nie było też widać, że pogoda się pogarszała. Trawers doprowadził do górnej granicy lasu i dalej prowadził wzdłuż niej po poziomiccy, klucząc między pięknymi okazami limb. Zanim nacieszyliśmy oczy tym widokiem, dotarliśmy do swoistej zapory: kilka limb powalonych i rzuconych w poprzek na ścieżkę. Obejść nie sposób — poniżej było urwisko, a powyżej zwarte zarośla kosodrzewiny. Przeszkoda wyglądała na podobieństwo stacjonaty dla koni na parkurze, z tą różnicą, że dodatkowo we wszystkie strony sterczały gałęzie. Zeszło nam z kwadrans na pokonanie tego głupstwa, po czym ktoś wyraził osobliwe pytanie: Ciekawe jak by sobie Chuck Norris poradził z czymś takim?

Niedaleko za przeszkodą trawers skręcał na prawo obchodząc stok Łopusznej — my w tym miejscu skręciliśmy w lewo i ruszyliśmy pod górę po jęczorze głązów, który z grzbietu dochodził aż do ścieżki. Właściwie to dopiero tu miałem okazję poznać czym jest gorgan. Poprzedniego dnia na Grofie było znacznie łatwiej

— wyznakowana ścieżka prowadziła optymalną drogą. Tutaj drogę trzeba było wśród głazów wyszukiwać samemu, do tego idąc stromo pod górę. Kamienie na Grofie nie sprawiały problemów — te tutaj były większe, niektóre tak duże, że nie było prosto na nie wejść, co nie zmieniało faktu, że nawet tak wielkie głazy potrafiły się ruszać. Jakies 150 metrów różnicy poziomów po tym głazowisku pokonaliśmy w różnym tempie. Ja byłem w połowie stawki, a na górze wraz z innymi czekałem jeszcze ponad kwadrans na nadejście ostatnich. Na grzbiecie były w tym miejscu ruiny jakiejś budowli — dwumetrowej wysokości mury z kamieni okalające przestrzeń na jakies 4 na 4 metry. Rozpościerał się stąd piękny widok — w jedną stronę na Koniec Gorganu oraz leżące dalej Popadię, Parenki i Grofę, w drugą na rozległy Ihrowiec. Na wprost widać było szczyt Sywuli — niby już na wyciągnięcie ręki, ale jednak odległy jeszcze o dobre pół godziny.

Niestety zaczęło bardziej wiać. Co gorsza, nadciągały chmury. Już snuły się po zboczu odległej Popadii. Zanim nadeszli wszyscy, chmury otuliły Popadię swym mlecznym kożuchem. Nastąpił teraz spór, ponieważ ci którzy nadeszli ostatni, pragnęli odpoczynku — włącznie z posiłkiem. Natomiast ci, którzy pierwsi dotarli do grzbietu, zdążyli odpocząć, wystudzili się, a widząc co się dzieje z pogodą, pragnęli czym prędzej dotrzeć do szczytu, zanim spowiją go chmury. Z rezultacie zastosowano rozwiązanie salomonowe — dziesięciominutowy postój bez jedzenia. I jak to bywa z salomonowymi rozwiązaniami — nie zadowolilo to nikogo. Kwadrans po ruszeniu w stronę wierzchołka nadeszła chmura. Z początku była na wyższym pułapie i szczyt ciągle był widoczny, o ile ktoś był w stanie na niego patrzeć — bowiem z chmury zaczęło siec lodowymi kryształkami. Silny wiatr zaczął nimi prosto w twarz. Szliśmy więc z głowami spuszczoneymi w dół, patrząc się na ścieżkę i własne buty — i tylko na chwilę rozglądając się wtedy, gdy przystawaliśmy dla złapania oddechu. Niestety. Sąsiedni grzbiet Końca Gorganu — niższy od Sywuli — znikł już we mgle. Wierzchołek Sywuli ciągle było widać — widoczność malała systematycznie wraz z naszym zbliżaniem się do celu i gdy wreszcie stanęliśmy na szczycie — nie przekraczała stu metrów. Nie przestawało też siec lodowymi kryształkami, tyle że zamiast wielu małych spadało mniej, ale dużych. Uderzeń było mniej, ale bardziej bolało.

Wierzchołek Sywuli (1836 m) jest szczególnie mały. Jest na nim wyjątkowo mało miejsca, wśród szczytowych skał może się zmieścić kilkanaście osób, ale na pewno nie trzydzieści. Zupełnie inaczej niż na sąsiedniej Małej Sywuli — a jeszcze bardziej na Ihrowcu — na którego płaskiej wierzchołku mógłby się zmieścić pewnie cały pułk wojska. Pobyt na szczycie trwał więc bardzo krótko — może 5 minut — trzeba było zwolnić miejsce dla następnych. Zejście z wierzchołka tą samą drogą. Poniżej szczytu chwila odpoczynku w oczekiwaniu na tych, którzy przyszedli później. Wystarczyło czasu, by zjeść batonik niesiony w plecaku.

No i odwrót. Mgła, zerowa widoczność i wiatr niosący gradziny. Nieco osłony dały ponownie ruiny tej budowli na Łopusznej. Zejście w dół po gorganie okazało się jeszcze gorsze od wchodzenia po nim tym bardziej, że kamienie były teraz mokre od roztopiających się na nich gradzin. Na szczęście im niżej, tym wiatr nie był tak silny. W końcu — ścieżka trawersu, zaraz potem Chuck Norris. Nieco już łatwiejszy, bo przejście całej grupy spowodowało odłamanie niektórych gałęzi. W końcu — las. Tu wreszcie można było odpocząć i porządnie się posilić.

Potem schodziliśmy w dość minorowych nastrojach. Wprawdzie mieliśmy zdobyć najwyższy szczyt Gorganów i go zdobyliśmy — ale co z tego? Miała to być przyjemność, tymczasem to była walka. Poranek zapowiadał coś zupełnie

innego. A w dodatku — teraz, gdy już zesliśmy ze szczytu, chmury pojaśniały, wiatr ustał, ponownie ukazał się grzbiet Końca Gorganu. Do Niżnego Bystryka doszliśmy w pełni słońca. Jak na urągowisko.

Gruzawik na nas czekał. Zresztą nie odjeżdżał z tego miejsca w ogóle — co jest zupełnie zrozumiałe. Pojazd ten pali bowiem 120 litrów na 100 kilometrów. Łatwo obliczyć, że jego jazda do Osmołodzy i powrót po nas oznaczałaby spalanie jakichś 30 litrów paliwa, co stanowiło równowartość trzydniowych zarobków kierowcy. Załadowaliśmy się i w niespełną godzinę byliśmy w Osmołodzie — w dół jedzie się nieco szybciej. Po drodze mijaliśmy słynny kamień Potockiego, nie szło jednak zrobić zdjęcia, bo za bardzo trzęsło.

W Osmołodzie — zwyczajnie. Spacer przez błoto do łaźni, kąpiel, powrót, obiadokolacja. Następnie śpiewanki. W głównej roli — Masza i jej gitara. Repertuar: piosenki turystyczne oraz ukraińskie dumy. Wiele z tych dum znałem już uprzednio, ale ta sama piosenka śpiewana przez warszawskich turystów przy ognisku gdzieś w Bieszczadach to jednak nie jest to samo, co wykonanie ukraińskie w wykonaniu Maszy i Saszy. Nie tylko chodziło o wymowę słów, samo brzmienie gitary było także odmienne, bardziej pasujące do nastroju. Może również miał z tym związek jakiś *genius loci*. Maszę spotkałem później kilkakrotnie podczas innych wycieczek w innych miejscach, ale śpiewanki w jej wykonaniu nigdy więcej nie brzmiały tak wspaniale, jak wtedy w Osmołodzie. Kładliśmy się spać pełni nadziei — rozgwieżdżona zimna noc zwiastowała dobrą pogodę, a następnego dnia mieliśmy w planach daleką wycieczkę na magiczny szczyt Popadii.

Świt przyniósł rozczarowanie. Zamiast niebieskiego nieba — gęste chmury i siapawica. Nie żeby lało jakoś strasznie — takie kap kap, dobrze znane z Zakopanego, co to może trwać równie dobrze trzy dni, jak i dziewięć. A do tego zimno. Większa część grupy dostała w kość od wiatru i gradu na Sywuli i powiedziała, że w tych warunkach nie idzie. Kierownictwo zastanowiło się więc nad programem alternatywnym. Zaproponowano przejażdżkę autokarem do Iwano-Frankiwska i zwiedzanie miasta. Podniosły się jednak głosy przeciw. Ostatecznie postanowiono, że 8 osób chętnych pójdzie z Saszą na Popadię pomimo psiej pogody, a reszta — z Maszą i naszym pilotem, Witkiem — pojedzie do Iwano-Frankiwska. Ja wahałem się, co zrobić. Kolega Andrzej namówił mnie na Popadię: „może jesteś tu jedyny raz, a chcesz odpuścić?”. Kiedy jednak przyszło wsiadać do podstawionego gruzawika, nadeszła fala silniejszego deszczu. Część chętnych do wyjścia na Popadię zrezygnowała i zdecydowała się na Iwano-Frankiwska. Ostatecznie pozostało nas trzech: Andrzej, Krzysztof i ja oraz Sasza jako przewodnik. Reszta grupy spoglądała na nas z pewnym niedowierzaniem, gdy gramoliliśmy się na gruzawika poubierani w folie.

Z jazdy niewiele pamiętam. Ponieważ było nas tylko trzech (Sasza jako przewodnik zajął miejsce w szoferce obok kierowcy), usiedliśmy na podłodze skrzyni, aby nie wykonywać uników przed gałęziami. Ponadto szoferka chroniła nas w pewnym stopniu od kropel wody niesionych pędem powietrza. Do Ryżarni jechaliśmy tą samą drogą co wczoraj, potem skręciliśmy w boczną dolinę Pietrosa, a z niej w dolinę Zhoniłowa. Gruzawik dwukrotnie zatrzymywał się przed drzewami powalonymi w poprzek drogi. Kierowca wtedy wysiadał, spod siedzenia wyciągał piłę łańcuchową i przecinał drogę. Za pierwszym razem pracował się, ponieważ pień był na tyle gruby, że musiał go pociąć na trzy części, aby móc odrzucić na bok drogi. Dojechaliśmy do małej polanki, na której skła-

dowane były sęgi drewna. Pogoda jak gdyby poprawiła się nieco — przestało lać, a kapanie składało się teraz z mniejszych kropel aniżeli w Osmołodzie.

Ruszyliśmy w trasę. Na początku doliną — przez błoto wzdłuż potoku. Droga kończyła się na polance, dalej dolina była zrujnowana na skutek transportu drewna. Zapewne służył do tego jakiś pojazd na gąsienicach, bo w błocie widać było ich ślady. Po jakichś 500 metrach przy zakręcie potoku Sasza postanowił opuścić dolinę i wyszarżować stromo w górę na stok po prawej. Była to o tyle dobra decyzja, że las w tym miejscu był stary i w podchodzeniu nie przeszkadzały chaszczce. Po jakichś trzech kwadransach mordergi dotarliśmy do wyraźnej ścieżki biegnącej w poprzek stoku. Ścieżką tą był znany nam już rajsztok, który powyżej Przełęczy pod Koniem trawersuje Grofę wychodząc na Płyśce, następnie trawersuje Parenki i biegnie dalej trawersem stokami Małej Popadii i Popadii gdzieś w rejon przełęczy pod Koretwiną. Sasza za pomocą noża wyškrobał strzałkę w korze jednego z drzew, abyśmy wiedzieli, w którym miejscu opuścić rajsztok kiedy będziemy wracać.

Rajsztokiem zrobiliśmy odległość — dość wygodnie pokonaliśmy jakieś 2 kilometry w około pół godziny, dochodząc do niewielkiego śródleśnego pola gorganu. Obok płynął niewielki potoczek — Sasza poinformował, że jest to ostatnia woda na trasie. Ta „ostatnia woda” rozbawiła nas, jako że czego jak czego, ale wody nie brakowało. Cały czas kapała z nieba. Podejście po głazowisku było krótkie i nie za bardzo dało nam poznać, jaki naprawdę jest mokry gorgan, ale za gorganem rozciągał się łań kosówki. Jest wiele prawdy w gorgańskim porzekadle narzekającym na uciążliwość wędrowania przez kosówkę: cóż może być gorszego od kosówki? Mokra kosówka. Ta tutaj była mokra. Działanie tego cholerstwa jest dwojakie: nie dość, że przeszkadza przejść, to jeszcze moczy — przy czym żadna folia nie stanowi ochrony przed wodą, bo giętkie, lepkie i miejscami ostre gałęzie szarpną każdą folię na strzępy. Pas kosówki był na szczęście wąski, ale i tak po przejściu przez nią na przełęczy pod Małą Popadią od mojej folii oderwałem kaptur, który ledwo już się trzymał, do niczego już nie mógł służyć i tylko przeszkadzał.

Na przełęczy odpoczęliśmy chwilę. Były tu ślady biwakowania — miejsce po ognisku otoczone położonymi pniami, na których można było usiąść. Korzystając z chwili, Sasza zażartował, jakie to życie jest dziwne. Wszak 90 lat temu na Popadii bronili się polscy legionści przed atakami Moskali, a teraz właśnie Moskal prowadzi trzech Polaków na rzeczoną Popadię. Jak to Moskal? — zdziwiliśmy się. Sasza wyjawiał wtedy, że Ukraińcem jest jedynie z miejsca urodzenia. Urodził się w Bolechowie, ale jego rodzice zostali przysłani tam pod koniec lat 1950-tych w ramach nakazu pracy aż z Karelii. Sasza zastanawiał się, czy przypadkiem nasi dziadowie nie stali wtedy po przeciwnych stronach frontu na tejże Popadii. Okazało się jednak, że nie — rodowód wszystkich nas trzech wywodził się z Kongresówki, czyli spod władzy cara, tak samo jak Karelczyków.

Z przełęczy ruszyliśmy w górę stromym stokiem na Małą Popadię. Wkrótce ponownie zaczęła się kosówka, ale tutaj już przecięta — od przełęczy weszliśmy na świeżo wytrasowany odcinek głównego wschodniokarpackiego szlaku turystycznego. Przecięta kosówka nie oznacza, że jest lekko — wprawdzie przez nic nie trzeba się przeciskać, nic nie szarpie za rękaw i nie moczy — ale płatanina korzeni pod nogami pozostaje i trzeba na nią uważać tym bardziej, że niektóre korzenie są ostre w miejscu ucięcia. Pogoda poprawiła się nieco — chmury uniosły się, a w miejsce kropelek deszczu pojawiły się rzadkie płatki śniegu. Z Małej Popadii utworzył się nam nieco zamglony — na skutek tego śniegu — widok na

Popadię i morze kosówki pomiędzy obydwoma górami. W tym morzu widoczna była wyraźna kreska — przecinka naszego szlaku.

Widząc przed nami cel naszej wędrówki, ruszyliśmy szybko przed siebie — i okazało się że „szybko” dla każdego z nas znaczy co innego. Tymczasem na podejściu pod Popadię kosówki było mniej, rozpadała się na płaty. Ścieżka natomiast dochodziła do ogromnej zasy śnieżnej utworzonej na krawędzi kotła źródłiskowego potoku Pietros — i znikła pod śniegiem. Na prawo od zasy — kosówka. Na lewo — urwisko. Przez zaspę — kiepski interes. Śnieg rozmokły, ciężki. Stawiając nogę nigdy nie było wiadomo, czy zagłębi się na kilka centymetrów, pół metra, czy pozostanie na powierzchni — a może wpadnie się w jakąś dziurę głęboką do połowy uda. Ja z Krzysztofem kopaliśmy się przez tę zaspę, Sasza i Andrzej wybrali walkę z gałęziami. Po pokonaniu przeszkody stworzyliśmy dwie pary: Sasza ze mną, a Krzysztof z Andrzejem.

Podchodziliśmy na wierzchołek pokonując trzy kolejne linie okopów okalających szczyt. Ktoś kiedyś odniósł się do tekstu Wincentego Pola z XIX wieku, traktującego o tym, że z Popadii nie można zobaczyć żadnych ludzkich siedzib ani żadnej działalności człowieka. Mianowicie — że sto lat po Wincentym Polu siedzib ludzkich nadal nie widać z Popadii, natomiast ślady działalności człowieka rozumnego XX wieku widoczne są na samym szczycie — miał na myśli wspomniane okopy. Zaiste, zastanawiające jest, po co żołnierze bili się na takim szczycie, wokół którego nic nie ma, tylko kamienie i kosówka, a niżej las. Takie coś było możliwe chyba tylko w realiach pierwszej wojny światowej. W realiach drugiej nie za bardzo byłoby się jak tam bić: pozycja całkowicie odsłonięta. Wróg przysłałby samolot, który rzuciłby bomby i byłoby pozamiatane, nieważne kto by się tam bronił.

Podobnie trudno było zrozumieć legendę o nazwie tej góry. Rzekomo ma pochodzić od tego że zbójnik Dobosz porwał żonę jakiegoś popa i zamordował ją na tym właśnie szczycie. Oddalona od siedzib ludzkich góra może istotnie była świetną siedzibą dla zbójnika, ale po co miałby on przyprawiać tam ofiarę, aby ją mordować? Żeby zwrócić na siebie uwagę i przywołać wojsko, aby likwidowało tę jego kryjówkę?

Trudno było nam stwierdzić, czy z Popadii (1740 m) rzeczywiście nie widać żadnych ludzkich siedzib — co prawda chmury się uniosły, ale padający drobny śnieg powodował, że widoczność była jak przez mgiełkę — od biedy mogliśmy dojrzeć kształt Parenek, ale leżącej dalej Grofy już nie widać. Podobnie w inną stronę — Pietrosa Koretwińskiego było widać, ale o Sywuli — zapomnij. Na Popadii stoi słupek odcinka granicznego przedwojennej granicy polsko-czechosłowackiej, jeden z dwóch zachowanych. Słupek na Pantyrze jest w lepszym stanie. Ten na Popadii jest nieco otłuczony, ale za to stoi dumnie na wyniosłym szczycie, a nie wśród lasu. Z powodu marnych widoków porobiliśmy sobie zdjęcia przy tym słupku, co skomentował Krzysztof: „Właśnie odbyliśmy pielgrzymkę do słupka.” Odpoczęliśmy chwilę osłonięci od wiatru przez niewielki murek ułożony z kamieni.

Powrót nastąpił tą samą drogą, tyle że teraz wszyscy szliśmy przez zaspę, stawiając nogi w wydeptane ślady. Za to pogoda postanowiła dać w kość — wzmógł się wiatr, który zaczął nieść płatki mokrego śniegu, takiego oblepiającego — nas, kosodrzewinę i cały świat dookoła. Szczególnie korzenie wyciętej kosówki okraszone śniegiem zrobiły się potwornie śliskie i zdradliwe. Chwila odpoczynku na przełęczy pod Małą Popadią, potem przeprawa przez kosówkę, po której moją folię przeciwdeszczową mogłem wyrzucić. Jak się zaraz okazało, moja kurtka,

którą miałem pod spodem, była dobra tylko od wiatru. Nasiąkła tak, że potem w Osmołodzie mogłem ją wyzymać. Gorgan, rajsztok, zejście zboczem i błotko w dolinie Zhoniłowa — jak w filmie puszczone w odwrotną stronę. Gruzawika nie było. Zmartwiliśmy się, ale Sasza uspokoił, że na pewno nie trzeba będzie maszerować 16 kilometrów do Osmołody. Pojechał gdzieś i przyjedzie, ale lepiej iść naprzeciw, żeby nie zmarznąć. Gruzawika spotkaliśmy niespełna kilometr dalej. Kierowca kończył właśnie załadunek drewna na pakę. Wyjaśnił, że jest nas tylko czterech, szkoda więc byłoby robić taki na pół pusty kurs z lasu, zwłaszcza że w oczekiwaniu na nas miał czas, a pod ręką piłę. Na pace pozostawił fragment miejsca niezaladowany, aby mogło się tam zmieścić dwóch, pozostałych dwóch zabrał do szoferki. Przed odjazdem wyciągnął zza pazuchy pół litra i przechodni *stakanczik*, poczęstował nas po kolei chwając nas, że jesteśmy młodocy, na koniec łyknął sobie sam — i w drogę. Przemoczeni i zmarznięci dojechaliliśmy do Osmołody. Grupa z Iwano-Frankiwska jeszcze nie powróciła, więc odpadło nam wędrowanie do łaźni, mogliśmy umyć się na miejscu. Popadę więc zdobyłem. Broniła się dzielnie nie tylko pogoda. Okazało się że poniosłem poważne straty w sprzęcie. W spodniach dziura tak wielka, że trzeba je było wyrzucić, kurtka nie tylko cała mokra, ale i rozdarta, jakim cudem zrobiła się dziura w swetrze — trudno pojąć. Rozdarty plecak zszywałem przez pół godziny, a przeciwdeszczowa folia pozostała gdzieś w lesie na zboczach doliny Zhoniłowa.

Grupa z Iwano-Frankiwska wróciła bardzo późno — obiadokolacja planowana na 19 była dopiero o 20:30 — i w mieszanych nastrojach. Kilku uczestników nie przyszło do autokaru na umówioną godzinę. Wszyscy inni musieli na nich czekać ponad trzy godziny. Pilot zastanawiał się już nad powrotem bez nich, kiedy powrócili jak gdyby nigdy nic, wesolutcy, w stanie po spożyciu. Planowane na wieczór śpiewanki skończyły się szybko, bo mało kto miał humor.

Ostatniego dnia mieliśmy odbyć tę wycieczkę, która zaplanowana była na pierwszy dzień, czyli na Ihrowiec i Wysoką. Dzień wstał pochmurny, chociaż szczyty gór było widać. Nie padało chyba dlatego, że wiało, i to mocno. Co się z tego urodzi? — zastanawialiśmy się. Doświadczenie podpowiadało, że nie powinno być źle. Koło południa, kiedy słońce od góry podgrzeje chmury powinno być lepiej. Poza tym wiatr oznacza front atmosferyczny i zmianę pogody, a że wczoraj padało, to zmiana może być tylko na lepsze. Wyjazd gruzawikiem był w to samo miejsce, co podczas wycieczki na Sywulę, z tą różnicą, że zamiast wracać ciężarówką mieliśmy przejść górami — grzbietem Matachowa — i zejść do doliny Łomnicy półtora kilometra przed Osmołodą.

Przejazd znaną już trasą minął bez wrażeń. Początkowy odcinek pieszy prowadził podobnie jak na Sywulę — dopiero po około godzinie skręciliśmy ostro w lewo, na ścieżkę dochodzącą jak gdyby od tyłu. Poprowadziła ona stromo do góry, przewinęła się przez grzbiet sywulski na jego drugą stronę i trawersem obok dwóch źródeł doprowadziła do dużej trawiastej przestrzeni. Była to Połolina Borewka, zajmująca przełęcz pomiędzy grzbietem Sywulskim (w szczególności szczytem Borewki) a Ihrowcem. Przed drugą wojną światową stały tu dwa schrony turystyczne PTT. Teraz stał jeden szałas — dość potężnych rozmiarów; przychodziło na myśl, czy przypadkiem nie jest to jeden z tych schronów. Ale chyba nie — przecież to niemożliwe, aby taka drewniana budowla przetrwała prawie 70 lat wszystkie zawieruchy dziejowe. Był to więc raczej zwykły szałas pasterski, a że postawiony w tym samym miejscu? Przecież woda potrzebna tak samo pasterzom, jak turystom znajdowała się na Borewce w tym samym miej-

scu. Cóż więc dziwnego, że postawiono szałas na miejscu schroniska? Dzisiaj tego szałaszu też już nie ma; znikł pomiędzy 2006 a 2011 rokiem.

Pogoda niestety leciała na łeb. Nie padało, ale coraz bardziej wiało, a chmury schodziły coraz niżej, spowijając cały masyw Ihrowca. Pech — znowu nic nie będzie widać. Ruszyliśmy i wraz z podchodzeniem stopniowo malała nam perspektywa. Niewidocznie, niezauważalnie wchodziliśmy w opar chmur. Nie były one tak gęste, jak pierwszego dnia na Grofie — nawet na szczycie widać było na około 100 metrów. Za to coraz mocniej wiało, co prawda na ogół w plecy. Ale ścieżka kluczyła wśród jagodzisk między kępami kosówki i chwilami otrzymywało się niespodziewane podmuchy boczne wytrącające z równowagi. Im wyżej, tym wiało mocniej, ale jednocześnie ścieżka była mniej stroma. W końcu przeszła w trawers, a wierzchowina Ihrowca zaczęła nas osłaniać nieco od wiatru. W pewnym momencie Sasza zatrzymał grupę, poczekał na nadejście ostatnich i skrzył z trawersującej ścieżki ku nieodległemu wierzchołkowi. Teren stał się teraz prawie płaski, tylko nieznacznie wznosił się, zresztą niełatwo było to ocenić, ponieważ na szczytowej wierzchowinie hulał wiatr prawie huraganowy. Nie można było iść prosto pod niego, a jedynie zygzakiem przypominającym halsowanie w żeglarstwie — raz prawy, raz lewy hals. W oddali przez mgłę było widać cel wędrówki — dwumetrowy kopiec kamieni pośrodku płaskiej powierzchni rozciągającej się tak daleko, jak tylko było widać we mgle. Zapewne punkt szczytowy Ihrowca.

Do szczytu Ihrowca (1808 m) docieraliśmy stopniowo, ponieważ różne osoby różnie radziły sobie z tym wiatrem. Przy kamiennym kopcu porobiliśmy sobie zdjęcia szczytowe. Co prawda dziś wiem, że to nie był właściwy punkt szczytowy. Szczytowa, usłana kamieniami płaszczyna Ihrowca ma rozmiary dwóch boisk piłkarskich, ale nie jest idealnie płaska. Kamiennych kopców szczytowych jest na tej płaszczynie kilka, a ten akurat nie stał w najwyższym miejscu. Wtedy jednak we mgle nie sposób było tego ocenić.

Dłuższy postój na szczycie w tych warunkach był pozbawiony sensu, nie było nic widać, ba — trudno było utrzymać się na nogach. Spociliśmy się na podejściu pod szczyt i dłuższe trwanie w bezruchu mogłoby skutkować wręcz wychłodzeniem. Zejście ze szczytu do trawersującej ścieżki było jeszcze trudniejsze niż wejście. Wprawdzie nie trzeba było halsować, ale huraganowy wiatr wręcz popychał i przewracał. Po dotarciu do ścieżki Sasza podjął decyzję o powrocie tą samą drogą i rezygnacji z wejścia na Wysoką. Z jej szczytu i tak nie byłoby nic widać, wejście na nią prowadzi pod koniec po kamiennych blokach. Wcześniej zaś pomiędzy Ihrowcem a Wysoką znajduje się przełęcz — niezbyt głęboka, ale wobec wichury wystarczająca do tego, aby mieć wątpliwości, czy udałoby się tam utrzymać na nogach. Zawróciliśmy więc po własnych śladach na Połoninę Borewkę. Ktoś wymyślił, że najwidoczniej pomyłono nazwę góry którą zdobyliśmy — zgubił początkowe „W” i napisał z błędem ortograficznym przez samo „H”: wszak powinno być „Wichrowiec”.

Sasza musiał się od początku liczyć z takim obrotem spraw, ponieważ polecił kierowcy gruzawika pozostanie w Niżnym Bystryku do godziny 13, na wypadek gdybyśmy zawrócili z trasy. Na Połoninie Borewka po zejściu z Ihrowca znaleźliśmy się około 12. Bez odpoczynku Sasza pognał dalej w dół na złamanie karku aby zdążyć, prowadzenie grupy powierzył Maszy i Witkowi. Witek także pognał, chociaż nieco wolniej — ostatecznie grupa rozciągnęła się tak bardzo, że chwilami nie widziałem nikogo na ścieżce ani przed sobą, ani za sobą. Na szczęście nie było rozstajnych ścieżek i nie było wątpliwości, czy idę dobrze. W jednym kluczowym miejscu Witek polecił jednemu z uczestników pozostać

w roli milicjanta kierującego ruchem. Do Bystryka dotarłem około 13:45. Sasza musiał zdążyć przed 13, bo gruzawik czekał. Na nadejście ostatnich uczestników oczekiwaliśmy jeszcze pół godziny, wałęsając się po błotnistym majdanie.

To był już koniec naszej wycieczki. Powróciliśmy do Osmołody. Był szybki obiad, a następnie pakowanie się do autokaru i wyjazd. A wszystko w takich sobie nastrojach. Za wyjątkiem Wysokiej plan został wykonany: Grofa we mgle, Sywula w gradzie, Popadia w śniegu i Ihrowiec w wichurze. Niezupełnie to, o co chodziło.

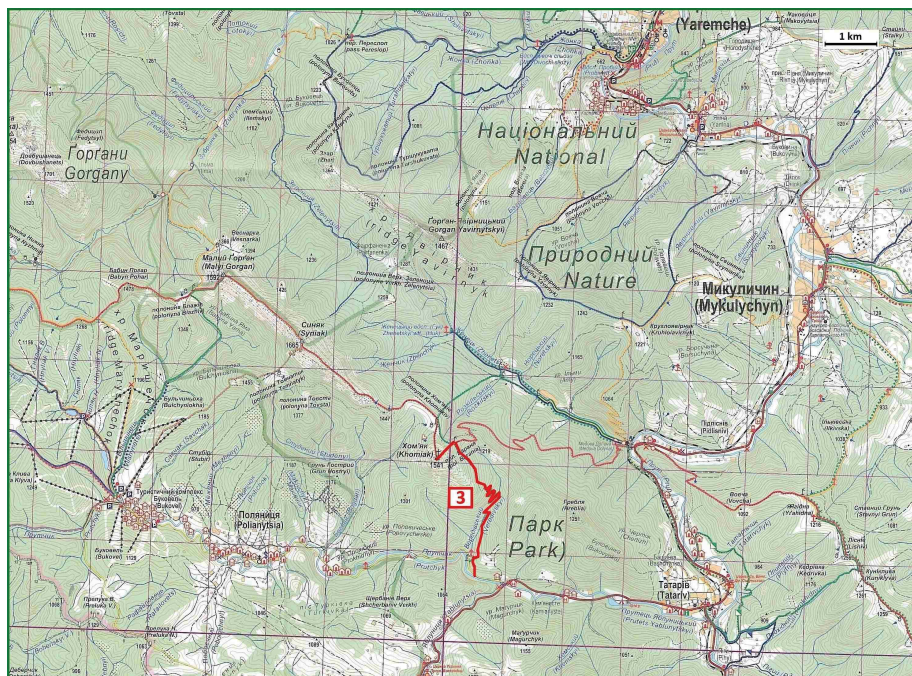
Autokar wyruszył po dziurawej drodze. W pierwszej większej miejscowości, Perehińsku, odbywał się jakiś lokalny festyn. Na placu przy szkole była jakaś karuzela i stoiska z nie wiadomo czym, wokół sporo ludzi. Odświętnie odszykowane dziewczyny w minispódniczkach i dziesięciocentymetrowych szpilkach spacerowały grupkami po bloku zalegającym pobocze drogi. Obok w rowie siedział — niektórzy już leżeli — kwiat męskiej młodzieży, równie odświętnie ubrany i raczący się alkoholem. Takie życie. Zupełnie jak naklejka na zderzaku pewnego samochodu dogonionego przez autokar. Auto wlokło się, a autokar nie mógł go wyprzedzić z powodu mnogości dziur w drodze. Napis ten brzmiał „*kakaja żyżń takaja i maszina*”. Auto było marki Skoda Favorit.



Fot. 4: Osmoloda, widok na Grofę



Fot. 5: Schron na Płyścach



Trasa wycieczki 3 na Chomiak

3

Po wycieczce do Osmołydy w moich wycieczkach w Gorgany nastąpiła przerwa. Nie była ona zamierzona — po prostu obrałem inne kierunki. Jeszcze tego samego roku byłem drugi raz na Ukrainie — tym razem we wschodniej Czarnohorze, z bazą w Werchowynie. W kolejnym roku pierwszy wyjazd był w Bieszczady Wschodnie, na Starostynę, Pikuja i Ostrą Horę. A potem coś zaciążyło. Najpierw nie doszedł do skutku wyjazd z PTTK Rzeszów do Rafajłowej — z powodu niewystarczającej ilości uczestników. Zaproponowano mi zamiennie wyjazd do Polanicy, gdzie planowana była baza dla wycieczek w Gorgany Wschodnie — na Syniak, Chomiak, Doboszanek i Jawornik Gorgan — ale tuż przed wyjazdem stanęły na przeszkodzie względy zawodowe. Z punktu widzenia chodzenia po górach — całe szczęście.

Ten wyjazd PTTK Rzeszów do Polanicy natrafił na wyjątkowo złą pogodę. Lało jak z cebra, o żadnym chodzeniu po górach nie było mowy. Powódź w Karpatach poprzerywała drogi, pozbawiła prądu cały rejon. Grupa została odcięta od świata w Polanicy, ponieważ rzeka zabrała drogę. Zabrakło zaopatrzenia, bo nie było jak go dowieźć do sklepów, a w obliczu sytuacji tubylcy natychmiast wykupili ze sklepów wszystko. Szosę udroźniono po dwóch dniach zasypując wyrwę tłuczniem — kierowca przejeżdżał przez nią pustym autokarem, za to z duszą na ramieniu, a grupa przechodziła pieszo brodząc po kostki w mętnej wodzie. Do Polski wracano okrężną drogą — przez Chust i Czop na granicy węgierskiej, a następnie Użhorod, ponieważ główna droga doliną Prutu była nieprzejezdna w Mikuliczynie. Alternatywna trasa przez Werchowinę została zalana w Krzyworówni przez Czeremosz. Powódź ta wyrządziła nieobliczalne szkody w ukraińskich Karpatach — jak poważne, najlepiej może świadczyć to, że ukraińska straż graniczna porzuciła na pastwę losu strażnicę w Czerniem — nie była w stanie do niej dotrzeć. Na odcinku 25 km doliny Czarnego Czeremoszu nie zachował się żaden odcinek drogi dłuższy niż kilkaset metrów. W wielu miejscach rzeka nie dość, że zabrała całą drogę, to jeszcze wciąła się w zbocze za drogą powodując osuwiska. Ale to Czarnohora i Połoniny Hryniawskie. W Gorganach nie było aż tak wielkich strat. Rzeki głównie pozabierały resztki nasypów po kolejkach wąskotorowych, i tak zlikwidowanych już 10 lat wcześniej przy poprzedniej podobnej powodzi.

Cały rok upłynął mi więc bez Gorganów. W kolejnym roku o Gorgany tylko zahaczyłem.

Była to wiosenna wycieczka PTTK Rzeszów do wspomianej już Polanicy, reklamowana pod hasłem „Czarnohora i Gorgany”. Planowano wejścia na Syniak z Chomiakiem, Howerlę, Gutin Tomnatyk w Czarnohorze oraz na koniec na Jawornik Gorgan, z zejściem do Jaremca, skąd miał nastąpić bezpośredni powrót do Polski.

Pilotem grupy był Zbyszek, przemiły przewodnik beskidzki rodem z Lubaczowa. Sasy tym razem nie było, zajęty był prowadzeniem jakiejś innej grupy, a nas prowadzić miał inny przewodnik mieszkający w Worochcie, mający dołączyć do nas dopiero na miejscu. Przejazd z Polski był tak jak poprzednio — nocą, z tym że większa odległość od granicy sprawiła, że na miejsce dotarliśmy dopiero około 10-tej. Niestety — świat płakał — to znaczy padało. Wprawdzie nie był to silny deszcz i nieraz wędrowało się w takich warunkach, ale sytuację skomplikował brak naszego ukraińskiego przewodnika. W hotelu „Huculska Świtłyca”, gdzie kwaterowaliśmy i mieliśmy się z nim spotkać — nie słyszano o nim, jego telefon nie odpowiadał — zarówno stacjonarny w Worochcie, jak i komórkowy. Zapanowała pełna dezorientacja. Ostatecznie, kiedy około 12-tej przewodnik odebrał telefon twierdził, że ponieważ padało, a rano nie podjechaliśmy po niego do Worochty, uznał że nie przyjedziemy i... poszedł na ryby, nie zabierając telefonu. W każdym razie coś kręcił. Wprawdzie mógłby jeszcze przyjechać do Polanicy, ale pora byłaby zbyt późna, aby odbyć planowaną wycieczkę i wrócić przed nastaniem zmroku. Mówił coś, że dałoby się wejść, ale tylko na Chomiak. Wymagało to jednak dojazdu autokarem, tymczasem nasz kierowca zdążył zamknąć dzień pracy i odnotować w tachografie początek gwarantowanego 9-godzinnego odpoczynku.

W rezultacie — odpuszczono. Grupa się rozlazła. Kilka osób samodzielnie poszło zdobywać pagór po przeciwnej stronie doliny nazywany Siemczukiem, skąd miał się rozciągać dobry widok. Kilka innych osób postanowiło pójść szosą 3 kilometry do narciarskiego kurortu „Bukowel”, najsłynniejszego na Ukrainie. Pod wieczór deszcz stopniowo ustawał. Wracający z Siemczuka nie narzekali, chociaż umoczyli się w trawach.

Kolejne dni odbyły się zgodnie z planem — i nie były poświęcone Gorganom. Howerla była dla nas wyjątkowo niemiła. Po cudnym poranku, gdy dojechaliśmy do Zaroślaka, napłynęły chmury i zakryły cały szczyt. Weszliśmy na nią — w górnych partiach zalegał jeszcze śnieg — ale nie było nic widać. Po zejściu — ujrzelśmy szczyt w pełnej krasie. Taki pech.

Inny rodzaj pecha spotkał nas drugiego dnia. Wyruszyliśmy rankiem z Zaroślaka wzdłuż potoku Arendarz — nieznakowaną ścieżką przez piękny stary las, a potem przez równie piękną górską łąkę pełną kwiecica, wyszarżowaliśmy na stromy, ale krótki stok do szlaku Zaroślak – Jezioro Niesamowite i dalej szlakiem przez próg kotła wśród kęp kosówki do jeziora. Pogoda była ładna, ale mocno wiało. Przewodnik obawiał się, że na głównym grzbiecie Czarnohory trudno będzie znaleźć dogodne miejsce do odpoczynku. W kotle Jeziora Niesamowitego było cudownie, zacisznie i ciepło. Postanowiono o całonocnym postoju, aby dobrze odpocząć i najeść się przed dalszą trasą. Minęła zapowiadana godzina i dano sygnał do wymarszu. Przy wychodzeniu przewodnik przeliczył grupę: 27. A przecież było nas 28. Kogoś brakowało. Ponowne liczenie nie skłamało — 27. Zbyszek wyciągnął z plecaka listę uczestników, sprawdził obecność i wiadomo było, kogo brakowało. Ale na skutek sprawdzenia listy osoba ta się nie pojawiła. Owszem, większość z nas odnotowała, że człowiek ten szedł wraz z nami od Zaroślaka, ale jakoś nikt nie pamiętał, czy był z nami nad jeziorem, czy nie. Nikt nie widział go jak odchodził, ale z drugiej strony przez całą godzinę nad jeziorem rozchodziliśmy się po okolicy pomiędzy kępami kosówki. Leżał jednak jego plecak, a więc najwyraźniej dotarł on tutaj razem z nami.

Postanowiono zaczekać kwadrans. Nic to nie dało, wobec czego postanowiono zaczekać jeszcze kwadrans. Ale również nic. Zbyszek i ukraiński prze-

wodnik wyznaczili wtedy jednego z nas do pilnowania porządku nad grupą, żeby nikt nie odchodził poza zasięg wzroku, a sami dobrali po dwie osoby, tworząc dwie trzyosobowe grupy poszukiwawcze. Grupy te rozeszły się — Zbyszek pod zbocza Turkuła, przewodnik pod zbocza Małych Kozłów. Mieli przeczesać teren i spotkać się na szlaku dojściowym do jeziora, na progu kotła. Nie było ich przez godzinę. Turysty nie znaleziono. Wymieniono towarzyszących turystów-poszukiwaczy na nowych i ponownie wyruszono na poszukiwania, tyle że odwrotnie — Zbyszek poszedł pod Kozły, a przewodnik pod zbocza Turkuła. Tym razem nie było ich półtorej godziny. Rezultat identyczny — to znaczy żaden. Ukraiński przewodnik połączył się przez radiotelefon ze stacją ratownictwa w Worochcie. Ktoś odebrał, ale nie było tam kierownika. Obiecano stamtąd się połączyć z nami, kiedy ten kierownik przyjdzie. Do tego czasu mieliśmy siedzieć i czekać. Minęła godzina — i nic. Tyle że napłynęły chmury, a z nich spadły pierwsze krople deszczu. Chwilę później nasza zguba się odnalazła — sama wyszła z największego gąszczy kosówki, krokiem niepewnym i chwiejnym. Okazało się że delikwent kupił sobie w Polanicy 0,75 litra koniaku „Żan-żak”, przyniósł go sobie w plecaku, a podczas przerwy ukrył się przed nami w kosówce, aby nie musieć się tym koniakiem z nikim dzielić. Wypił całą butelkę i zasnął w tej kosówce snem sprawiedliwego, aż dopiero obudził go deszcz.

Ruszyliśmy dalej w trasę chociaż nie byliśmy pewni, czy z uwagi na jego stan lepiej nie wracać — ale on gorąco zarzekał się, że przeprasza i że da radę. Weszliśmy na główny grzbiet Czarnohory, no ale nie było już czasu, aby wędrować do Gutin Tomnatyka — nie wrócilibyśmy stamtąd przed zmierzchem. Ponadto deszcz wprawdzie chwilowo nie padał, ale wisiał w powietrzu — istniała realna groźba, że się wszystko zaciągnie — gdybyśmy wtedy byli na Gutin Tomnatyku, byłibyśmy odcięci od autokaru zaparkowanego na Zaroślaku po drugiej stronie czarnohorskiego grzbietu. Pozostała więc tylko rejterada grzbietem Szpicy przed nadciągającą lawicą chmur na przełęcz pod Maryszewską, a następnie stokami Maryszewskiej z powrotem na Zaroślak. Tam wsiedliśmy do autokaru, w którym zapanowało grobowe milczenie jak nigdy — tak wszyscy byli wściekli na całą tę sytuację. Ukraiński przewodnik zapowiedział, że nam już dziękuje, bo na skutek zgłoszenia zaginięcia do stacji ratownictwa on następnego dnia musi złożyć raport, więc nie może nas w dniu jutrzejszym prowadzić.

Aby zatrzeć niemiłą sytuację, podczas postoju w Worochcie Zbyszek kupił cały zapas kielbasy, jaki był w lokalnym sklepie i postanowił zorganizować wieczorne ognisko. Drewna przy naszym hotelu było w bród — było przygotowane jako opałowe; nie wiem w jaki sposób Zbyszek się za nie rozliczył. Grunt, że ognisko było. Ukraińska kielbasa zwyczajna była, jaka była. Składała się w połowie ze smalcu, trzeba więc było ją głęboko ponacinać i bardzo długo piec, przy czym porcja kurczyła się o połowę. Za to jakie wysokie buchały płomienie z ogniska i jak wspaniały zapach się roztaczał! Kielbasa rozeszła się szybko, nam wróciły jako takie humory. Zbyszek zapowiedział też zmianę planu na jutro — zamiast na Jawornik Gorgan pójdziemy na bardziej widokowy Chomiak. Na Syniak niestety zabraknie czasu: w takim wariacie zeszlibyśmy z gór po 16-tej i nie zdążylibyśmy na granicę przed północą. Zbyszek twierdził, że brak ukraińskiego przewodnika nie stanowi przeszkody, ponieważ on sam trasę zna i poprowadzi. Znać — znał, tyle że z opisu, ale o tym dowiedziałem się wiele miesięcy później przy zupełnie innej okazji.

A więc — Chomiak. Przynajmniej tyle z Gorganów. Rankiem zapakowaliśmy się do autokaru, którym przejechaliśmy raptem 7 kilometrów do ujścia

potoku Weretyńskiego do Prutca Jabłonickiego. Była tu niewielka zatoczka dla parkowania, a na szosie pełno było bydła — właściwie bydelka, bo były to same jałówki i podrośnięte byczki. Bez żadnej opieki — tak stały sobie na asfalcie gapiąc się na pojazdy niczym przysłowiowe cielęta na malowane wrota. Niektóre byczki — żywo zainteresowane ludźmi i czupurne.

Wyszliśmy na szlak. Dzisiaj prowadzi tędy czerwono znakowany główny szlak wschodniokarpacki, wtedy jednak jeszcze go nie było. Na drzewach widniały błękitne oznakowania szlaku z czasów radzieckich, kiedy to łaskawa władza radziecka pozwoliła na korzystanie z tzw. *wsiechsojuznych marszrut*. Była to namiastka turystyki indywidualnej, jaka istniała w Związku Radzieckim. Jak wiadomo, w tym rajku powszechnej szczęśliwości trzeba było mieć przepustki na poruszanie się między obwodami — jednostkami administracyjnymi wielkości województw. Przepustki nie można było dostać ot tak sobie. Jeżeli nie jechało się służbowo, należało udokumentować, że jedzie się odwiedzić rodzinę, względnie na wczasy — na podstawie odpowiedniego skierowania. Turystykę można było uprawiać w formie zorganizowanej — wtedy odpowiedni klub występował o przepustkę dla całej grupy. Indywidualnym turystom pozostawiono tylko namiastkę. Po odbyciu określonej ilości wycieczek w zorganizowanych grupach odpowiednia organizacja — najczęściej Komsomol — na wniosek zainteresowanego mógł skierować go na egzamin na turystę indywidualnego, po którym otrzymywał on odpowiednią książeczkę i w oparciu o nią mógł wnioskować o przepustki celem odbycia wędrówki po jednej z dwustu *wsiechsojuznych marszrut* — rozrzuconych po całym Imperium. W ukraińskich Karpatach znam pięć takich marszrut: dwie z dwóch stron na Howerłę, jedną do Jeziora Niesamowitego, jedną na Bliźnicę w paśmie Świdowca, oraz tę tutaj — na Chomiak. Jeżeli komuś te pięć tras nie wystarczało — miał do wyboru 195 innych: kilka na Krymie, po dwadzieścia na Kaukazie i na Uralu, dalsze na Syberii. *Szirokaja strana maja radnaja*. Za każdą przebytą trasę turysta zbierał punkty. Po uzbieraniu odpowiedniej ich liczby otrzymywał odznakę *Wielikowo Turista Sowietskowo Sojuza*, czy jakoś podobnie.

Aby nie było tak prosto, owe błękitne znaki, ogromnych rozmiarów 30 na 50 cm, widniały rzadko, mnie więcej co kilometr. Częściej natomiast napotykało się znaki żółte z numerem 201. Znaki te były miejscową inicjatywą ukraińską — ktoś wpadł na pomysł, żeby szlaki na Ukrainie oznaczać inaczej, a nie powielać wzorów z innych krajów. Zamiast więc różnych kolorów — wszystkie szlaki żółte, a dla odróżnienia ich — numer. Zaplanowano taką sieć szlaków w Karpatach, ale nigdy nie wyasygnowano środków na ich wytyczenie. Lokalna grupa inicjatywna turystyki rowerowej z Jaremcza na własny koszt przeprowadziła znakowanie niektórych szlaków w swoim rejonie. W ten sposób temu szlakowi dostał się numer 201. Kończąc temat szlaków — akurat ta droga została zbudowana w okresie międzywojennym, za czasów Polski. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie wniosło wtedy schronisko im. Mieczysława Orłowicza pod Chomiakiem i poprawiło szlaki dojściowe — miejscami mozołnie układając je z kamieni. Chodziło również o dostarczanie zaopatrzenia do schroniska — co w tamtych czasach odbywało się transportem jucznym za pomocą koni huculskich.

Szlak z doliny potoku Weretyńskiego na Chomiak został przez PTT zbudowany bardzo oryginalnie. Po wejściu około 500 metrów w głąb doliny potoku wygodny chodnik zaczyna się pięć długimi na kilkaset metrów zakosami po stoku Chomiaka, tak że ma się wrażenie, jak gdyby wchodziło się na kolejne piętra góry. Tych pięter było 13. Obecnie funkcjonuje tylko 7 dolnych. Powy-

żej, gdzie stok staje się odrobinę łagodniejszy, obecny szlak schodzi z dawnego chodnika i idzie prosto do góry ścinając zakosy, wychodząc dopiero na ostatni. Na tym odcinku dawny chodnik zawalony jest przewróconymi pniami i zarośnięty chaszczami. Ostatni zakos wyprowadza na niewielką śródleśną polankę ze śladami biwakowania. Jakies dwieście metrów dalej znajduje się źródło.

Ta polanka to dawna Połonina Barania. Obecnie nie ma już charakteru poloniny. Istnieją fotografie widoku z Połoniny Baraniej na Syniak i leżącą pod nim Połonię Chomiaków — mają one wartość historyczną. Tego widoku już nie ma. Wszystko zarośnięte jest lasem — po wielkości drzew sądząc — pięćdziesięcioletnim. Oto co się może dziać w Karpatach po zaprzestaniu wypasu. Zresztą — dzieje się tak w wielu miejscach na Ukrainie, z tym że proces ten nie jest tak zaawansowany. Zmiany pod Chomiakiem można przyrównać jedynie do miejsc w Polsce, w Beskidzie Żywieckim i Beskidzie Wyspowym, gdzie o dawnych halach często mówi już tylko nazewnictwo na mapach.

Na polance poczekaliśmy na zebranie się całej grupy — są tu bowiem rozstajne drogi. Prosto, najbardziej instynktownie można iść na Połonię Chomiaków (która nadal istnieje). Wyraźna droga w prawo w dół prowadzi w dolinę do wodospadu Huk i dalej w dolinę Prutu pomiędzy Tatarowem a Podleśniowem. Natomiast na Chomiak prowadzi jedynie ścieżka. Na domiar złego oznakowanie turystyczne pozostawia tu wiele do życzenia — szlak pojawia się dopiero w lesie, po wyjściu z polanki. Lasu jest zresztą niewiele — po pięciu minutach osiąga się jego granicę. Pojawiają się skarłale świerki, a wyżej — kosówka. Początkowo ścieżka prowadzi między jej kępami, jednak kiedy nachylenie stoku rośnie, droga staje się bardzo zniszczona przez deszcz i erozję turystyczną. Wejście na Chomiak pomimo że niezbyt długie — daje w kość. Wspinanie się na kolejne głązy po obsuwającej się ziemi i korzeniach kosówki z jednoczesnym rozcieraniem sprężynujących gałęzi nie należy do przyjemności. Ponadto ścieżka w wielu miejscach rozwidła się na kilka wariantów. Boczne warianty mogą początkowo wyglądać zachęcająco, ale po kilku metrach zwykle prowadzą w nieprzebyte kosówkowy gąszcz. Konieczność cofania się do właściwej ścieżki jest bardzo deprymująca. Znacznie łatwiejsze — choć również niełatwe wejście na Chomiak prowadzi od strony Połoniny Chomiaków. Tamta ścieżka jest znacznie wyraźniejsza. Należy przy tym wspomnieć, że obydwie ścieżki zatracają się wśród głązowisk pokrywających kopułę szczytową Chomiaka. O ile dotarcie do doskonale widocznego wierzchołka zwieńczonego dwumetrową figurą *Matieri Bożoj* na cokole nie stwarza trudności, to odnalezienie właściwej ścieżki w drodze powrotnej — już tak.

Wierzchołek Chomiaka jest wybitnie widokowy. Pasma Syniaka, którego wschodnią kulminacją jest właśnie Chomiak, wcina się tutaj w dolinę Prutu, który niejako opływa górę od północy i wschodu. Od południa zaś biegnie dolina Prutca Jabłonickiego, dopływu Prutu. Chomiak jest więc niczym ogromny kopiec z widokiem na trzy strony świata, w czwartej — zachodniej — widnieje w odległości kilku kilometrów wyższy od niego Syniak. Obie góry rozdziela wspomniana już Połonina Chomiaków. Wzrok przykuwa przede wszystkim widok na południe, gdzie za płataniną pasm górskich Beskidu Huculskiego i nieco ukrytą po prawej kotliną Worochty widoczny jest wał Czarnohory z majestatyczną Howerlą.

Doskonała widoczność szczytu ze wszystkich zamieszkałych kierunków musiała skłonić ludność, aby właśnie na Chomiaku umieścić figurę Matki Boskiej Patronki Ukrainy. Umieszczona na półtorametrowym cokole miała być

w nocy podświetlana reflektorami rozmieszczonymi dookoła w odległości dziesięciu metrów. Cała instalacja zasilana miała być bateriami słonecznymi ładującymi w dzień akumulatory, z których w nocy miał być pobierany prąd. Pomysł interesujący, ale w ukraińskich warunkach kompletnie nierealny. Przydało się wszystko. Akumulatory i baterie słoneczne skradziono kilka tygodni po zamontowaniu. Reflektory — nieczynne — stały nieco dłużej, ale i one przydały się do czegoś. Pozostały po nich jedynie słupki i resztki obudów.

Sama figura Matki Boskiej stoi dumnie na Chomiaku i trzyma się świetnie, chroniona przed piorunami za pomocą czterech prętów które łączą się nad figurą tworząc coś na podobieństwo klatki dla kanarka. Matka Boska w klatce? Cóż ona zawiniła? Mimo woli przychodzą nieprzyjemne skojarzenia. Matka Boska, koronowana na Królową Polski — tutaj jest patronką Ukrainy i błogosławi synom i córkom tych, którzy będąc w szeregach UPA mordowali Polaków. Na przykład w nieodległej Worochcie. Warto wspomnieć o tym mordzie — UPA dała Polakom ultimatum do wyprowadzenia się do końca roku. Po odjeździe ostatniego pociągu w dniu 31 grudnia przystąpiła do ostatecznego rozwiązania, zupełnie jak w dowcipie o zomowcach z okresu stanu wojennego. Mieli oni zastrzelić opozycjonistę przed godziną milicyjną ponieważ wiedzieli, że ten człowiek mieszkał dwa kilometry stąd, do godziny milicyjnej pozostało dziesięć minut, więc uznali że i tak nie zdąży. Tylko że w Worochcie naprawdę zamordowano około setki osób. Może więc ta tutejsza Matka Boska to nie ta sama Matka Boska co w Polsce — jakaś inna? I może jak najbardziej słusznie stoi za kratami, choćby były to jedynie symboliczne kraty?

Pogoda była póki co ładna i pozwalała podziwiać cały ten widok, jednakże gdzieś daleko na zachodzie, na horyzoncie za pasmem Świdowca widać było napływające chmury zapowiadające zmianę pogody. Posiedzieliśmy na szczycie około pół godziny, kontemplując niesamowite widoki, ale kiedy niespodziewanie niebo nad nieodległym Syniakiem zmieniło barwę z błękitnej na siną, Zbyszek dał sygnał do odwrotu.

Schodziliśmy tą samą trasą na polankę — resztkę po Połoninie Baraniej. Tam — jako że dalsza trasa była prosta i doskonale wszystkim znana — Zbyszek pozwolił iść tak jak kto potrafi, ponownie zebrać mieliśmy się u ujścia doliny Potoku Weretyńskiego, gdzie miał na nas czekać autokar. Z daleka dobiegały już pomruki nadchodzącej burzy. Schodziliśmy dość szybko. Przeszedłem pionowy odcinek szlaku — przy jego dojściu do zakosów przez prześwit wśród drzew dojrzałem jeszcze Howerlę, gdy nagle pociemniało i powiało. Zaraz potem rozległ się szum, a chwilę potem poprzez liście zaczęły spadać na ziemię białe kuleczki. Niedługo padały zanim nastąpił błysk, a za nim grzmot — i lunęło. Schodziłem w dół w strugach deszczu licząc zakosy: jeszcze 6, jeszcze 5, jeszcze 4. Nie doliczyłem do końca — podczas przechodzenia zakosu numer 2 przestało padać, niebo pojaśniało i ponownie wyszło słońce. Do autokaru doszedłem przy pięknej pogodzie i tylko zmoczone ubranie świadczyło o niedawnej burzy.

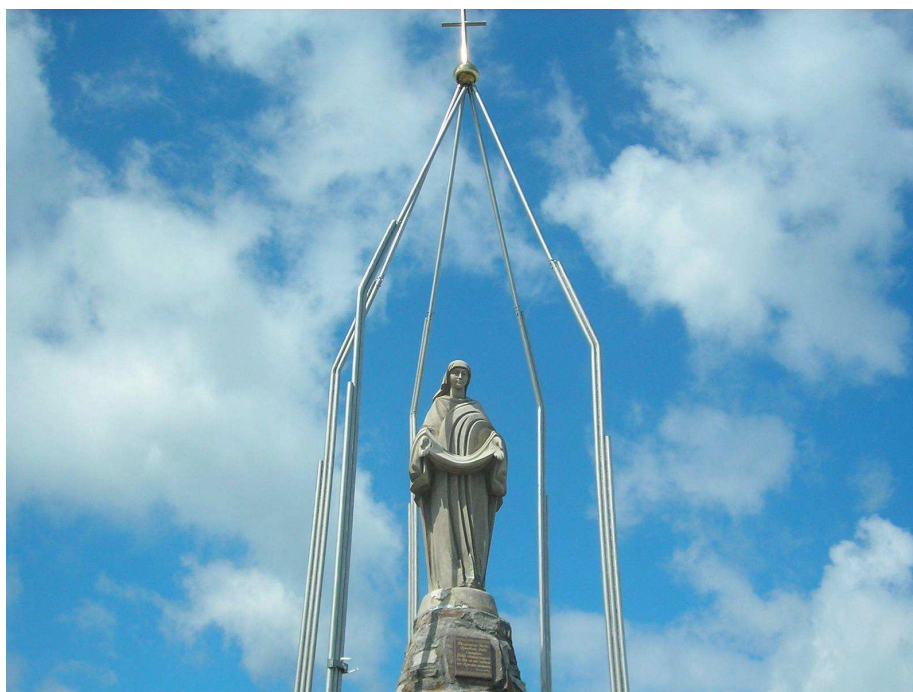
Oczekując na nadejście reszty grupy delektowaliśmy się wiosną przy śpiewie ptaków takim, jak gdyby to był poranek. Szkoda było odjeżdżać stąd, gdy podczas tego dość pechowego wyjazdu wreszcie udało się odbyć wspaniałą wycieczkę i miało się ochotę na więcej.



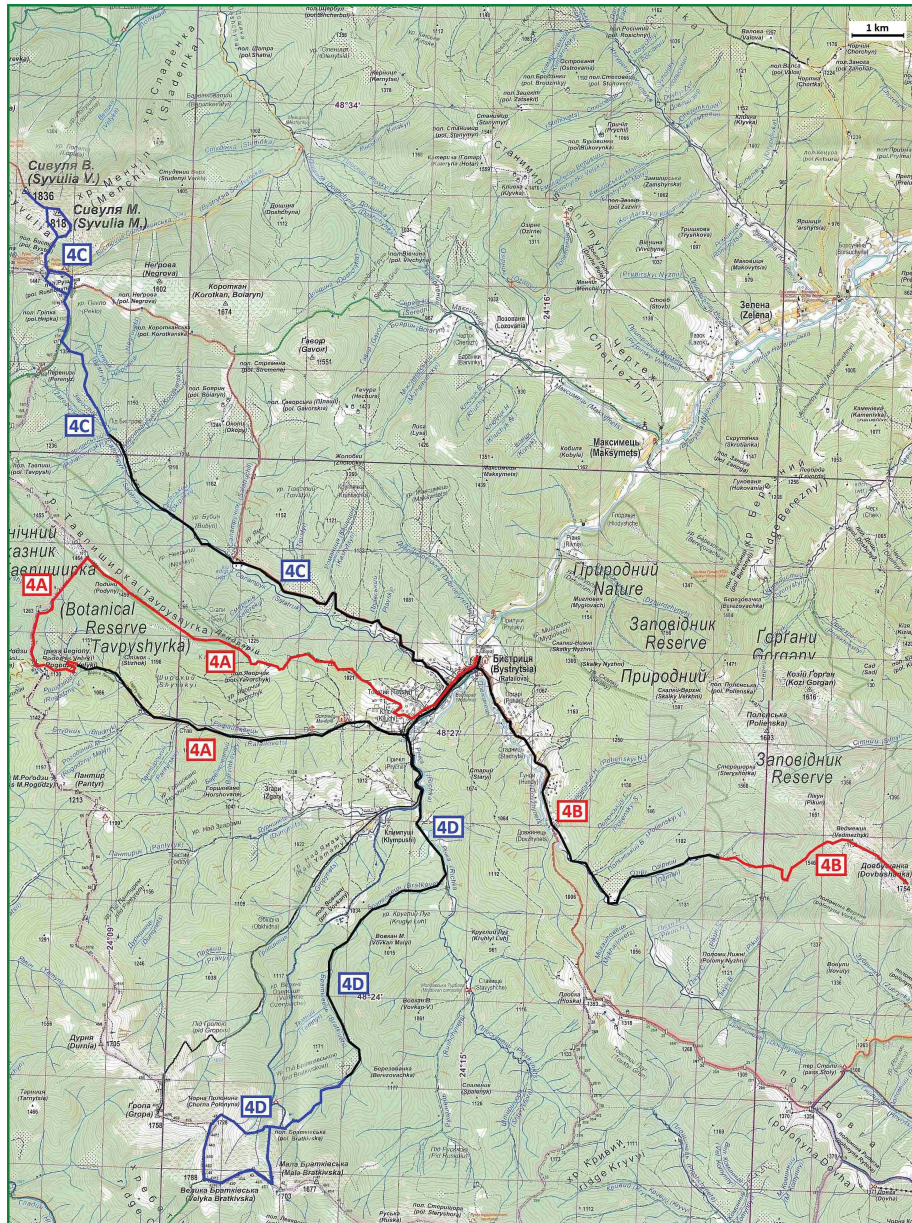
Fot. 6: Widok z Chomiaka na Jawornik Gorgan



Fot. 7: Widok z Chomiaka na Czarnohorę



Fot. 8: Figura Matki Bożej Patronki Ukrainy na Chomiaku



Trasy wycieczki 4: 4A na Przełęcz Legionów i Taupiszyrkę; 4B na Doboszankę; 4C na Sywulę; 4D na Bratkowską.

Odcinki pokonane za pomocą lokalnego transportu terenowego oznaczone są na czarno.

4

Na kolejny wyjazd w Gorgany musiałem poczekać do następnego sezonu. Za to wyjazd ten zapowiadał się bardzo ciekawie — Rafajłowa. Miejsce mojej porażki, możliwość zatarcia złych wspomnień, a przy tym zdobycie, ho-ho: Doboszanki, Taupiszyrki, Sywuli od południa, łącznie z wejściem na Małą Sywulę, oraz przejście pasmem Czarnej Połoniny, choć w planie wycieczki nie sprecyzowano, której jej części. Z pewnością nie całej, bo zajęłoby to cały dzień, a gdzie dojdzie i powrót? Trudno było sobie wyobrazić, aby nie wchodzić na najwyższą w tym paśmie Bratkowską — stamtąd był wybór, albo iść na Grope, którą przedtem trawersowałem, albo w przeciwnym kierunku Steryszory, zupełnie mi nieznanym. W obydwu wypadkach byłoby ciekawie.

Sama wycieczka rozpoczęła się odmiennie od poprzednich wycieczek PTTK Rzeszów, bo przejazd do Rafajłowej był dzienny, ze zwiedzaniem po drodze Skitu Maniawskiego, Wodospadu Maniawskiego i Wodospadu Buchtowiec. Pilotem grupy była przewodniczka Ula. Autokar marki Autosan, wynajęty od firmy Veolia, lśnił nowością. Przejechane miał dopiero 3000 km, zapytaliśmy się kierowcy, czy mu nie szkoda tak nowego pojazdu na ukraińskie dziurawe drogi. Odparł, że on tu nie miał nic do gadania — szefostwo kazało mu brać ten autokar i jechać z nami na Ukrainę. Autokaru mu wprawdzie szkoda, ale z drugiej strony, skoro jest taki nowy, to nie powinno być żadnej awarii, a naprawa na Ukrainie stanowi ogromny kłopot.

Granicę w Medyce przekroczyliśmy około 10-tej, podjechaliśmy na obwodnicę Lwowa, gdzie dosiadł się Sasza, a potem pojechaliśmy znaną już drogą przez Stryj i Dolinę do Maniawy. Pogoda była świetna. Atrakcją Maniawy jest skit — czyli prawosławny klasztor. Skit Maniawski posiada tradycję ginącą w pomroce dziejów. Jego początki związane są jeszcze z Cesarstwem Bizantyjskim, a założyciele pochodzili podobno ze świętej góry Athos w Grecji. Według legendy musiało się to zdarzyć nie później jak w XIV wieku, jakkolwiek wszelkie badania archeologiczne nie wykazały obiektów starszych niż wiek XVI. Monaster maniawski nie przyjął unii brzeskiej i pozostał prawosławny. Uległ kasacji przez władze austriackie po przyłączeniu tych terenów do Austrii po pierwszym rozbiórce Rzeczypospolitej. Pozostała wszakże cerkiew, do której uczęszczała okoliczna ludność, praktykując przy tym archaiczne kulty wywodzące się z pogaństwa — takie jak poszukiwanie kwiatu paproci. Sam monaster jednak popadał coraz bardziej w ruinę zarówno w okresie zaborów, jak międzywojennym. W czasach radzieckich pozostały z niego jedynie zewnętrzne mury. Po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę został bardzo szybko odbudowany — zrekonstruowany według zachowanych opisów, choć trudno jest stwierdzić, czy opisy te opisywały prawdę, a nie pobożne życzenia. Jakkolwiek by było, Skit Maniawski został odbudowany, zbudowano w nim kopię dawnej drewnianej cerkwi, na po-

wrót mieszkają w nim prawosławni zakonnicy i stanowi dzisiaj lokalne centrum pielgrzymkowe.

Dojechaliśmy autokarem do parkingu w Maniawie, skąd dalej pieszo około 300 metrów gruntową drogą dotarliśmy do skitu. Brama wjazdowa jest jednym z zachowanych elementów oryginalnych. Rozczarowaniem okazał się jednak całkowity zakaz fotografowania. Taki zakaz jest czymś zwyczajnym w klasztorach prawosławnych, a szkoda, bo miejsce jest interesujące, posiada wiele fajnych zakątków i wiele interesujących dzieł sztuki, jakkolwiek są to rekonstrukcje. Zakonników wszakże nie było nigdzie widać poza jednym, który siedział w niewielkim pomieszczeniu i sprzedawał dewocjonała oraz zbierał na ofiarę. Zagadaliśmy go o to fotografowanie, odparł coś zupełnie niezrozumiale. Sasza wytłumaczył, że w sprawie pozwolenia na fotografowanie zakonnik skierował nas do biskupa. Nikt wszakże tego zakazu fotografowania nie pilnował — w rezultacie niektórzy spośród nas fotografowali z ukradka.

Co do samego klasztoru, trudno nam było się połapać, nie znając zasad i zwyczajów prawosławnego życia monastycznego, co na ile jest istotne. Przy wielu obiektach stały tabliczki z opisami działań prawosławnych świętych albo z opisami historii skitu. Sama cerkiew była drewniana i okazała, zbudowana w tradycyjnym stylu, ale nowa. Ikonostas wewnątrz był zrobiony tak, aby wyglądał na stary, ale ikony lśniły nowością. Zapewne tak mogły wyglądać liczne cerkwie Bieszczadów czy Beskidu Niskiego odbudowane w latach międzywojennych ze zniszczeń pierwszej wojny światowej.

Po obejrzeniu Skitu wróciliśmy do autokaru, by się dowiedzieć, że Wodospadu Maniawskiego jednak nie zobaczymy. Powodem tego była powódź sprzed 2 lat, która zniszczyła drogę. Wprowadzono przez 2 lata w miejsce zniszczonej drogi została wydeptana ścieżka, ale właśnie teraz lokalne władze postanowiły o odbudowie drogi po zniszczeniach. Do doliny Maniawki wprowadzono koparki, spychacze i inny ciężki sprzęt. Maszyny przemieniły dolinę w zwałowisko błota. Wobec niemożliwości (sensownego) dotarcia do Wodospadu Maniawskiego, odpadł również pomysł przejścia stamtąd górami do Wodospadu Buchtowca — autokar miał dojechać tam drogą okrężną przez Nadwórną. Postanowiono więc po prostu pojechać do Buchtowca, po drodze zatrzymując się przy cmentarzyku legionowym z pierwszej wojny światowej w Mołotkowie.

Do Mołotkowa jechaliśmy jakieś pół godziny. Zatrzymaliśmy się w centrum wsi — po jednej stronie drogi szkoła, po drugiej okazały kurhan z tryzubem na szczycie, flagami — niebiesko-żółtą (ukraińską) po lewej i czerwono-czarną (banderowską) po prawej oraz tablicą „*herojom UPA*”. Brrr. Zapytana kobieta albo nie wiedziała o cmentarzyku i pomniku legionowym, albo nie chciała powiedzieć, również przejeżdżający rowerzysta tylko pomachał ręką, aby mu głowy nie zawracać. Ale zainteresował się nami starszy dziadek i poinstruował, jak tam dotrzeć. Żeby nie podeptać pola za kurhanem upowców, należało wejść między dwa równoległe płoty, dojść jakieś 100 metrów do poprzecznej polnej drogi, nią w lewo jakieś 20 metrów, a następnie wracać wzdłuż między. Cmentarzyk znajdował się jak gdyby za tym polem za kurhanem. Wielce powiedziane: ogrodzenie 10 na 10 metrów, wysokie na metr. Pośrodku stał półtorametrowy obelisk zwieńczony krzyżem. Tablica na obelisku — zamontowana cztery lata temu, o czym świadczyła data, informowała że „*tut pogibły polskie legionowe wojaki*”. Naokoło obelisku były kamienne płyty na mogiłach, z trudem widoczne wśród porastającej wszystko trawy wysokiej na metr. Z pobliskiego domu jakaś nastoletnia *mołodycia* obserwowała nas z zainteresowaniem.

Wróciliśmy do autokaru. Dziadek — informator wciąż tam stał, Sasza dał mu więc 2 hrywny na piwo w zamian za udzieloną informację. Pojechaliliśmy dalej przez Nadworną, skąd dalej w górę doliny Bystrzycy Nadworniańskiej do Pasiecznej, gdzie skręciliśmy w boczną drogę do miejscowości Bukowe. Droga ta była w zasadzie drogą gruntową, tyle że szeroko wyjeżdżoną przez pojazdy leśne oraz samochody mieszkańców. Przystanek autobusowy świadczył, że utrzymywana jest nawet publiczna komunikacja — choć rzut oka na rozkład jazdy wystarczył, by się przekonać, że jedynie dwa razy dziennie i to tylko w dni nauki szkolnej. Nasz autokar pokonywał drogę powoli, w tempie niewiele szybszym od pieszego, z uwagi na dziury oraz leżące na drodze luźne kamienie wielkości cegieł. Dojechaliliśmy w końcu do placyku, gdzie Sasza stwierdził, że stąd pójdziemy już na piechotę. Kierowca postanowił jeszcze zawrócić autokar zanim wysiądziemy i wtem dał się słyszeć głośny wystrzał. Zatrzymał się natychmiast. Wysiedliśmy. Pobieżny ogląd autokaru nie wykazał, jakoby siadło którekolwiek z kół. Skąd więc pochodził ten wystrzał? Ula i Sasza pozostawili kierowcy rozwiązanie tej zagadki i poprowadzili nas do wodospadu.

Droga do Wodospadu Buchtowiec nie była daleka, więc nie braliśmy ze sobą żadnych rzeczy. Ot — trzeba było przejść kilkadziesiąt metrów po łące, zejść z dziesięciometrowej skarpy do doliny potoku, który — szeroko tu rozlany — tworzył liczne łachy kamieni. Po tych kamieniach trzeba było przejść jakieś 300 metrów w górę potoku. Sam wodospad — jak wodospad. Z pewnością ani się umywa do Wodogrzmotów Mickiewicza czy nawet Siklawicy w Dolinie Strążyńskiej, ale jak na fliszowe partie Beskidów całkiem imponujący. Woda spada z wysokości kilkunastu metrów dwoma strumieniami, które w górnej części rozgranicza wystająca skała. W części dolnej obydwie strumienie starają się łączyć, ale do całkowitego ich połączenia nie dochodzi. Powietrze wypełnione jest pyłem wodnym i zapachem leśnej zgnilizny. Odwiedziny wodospadu dały nam ulgę, ponieważ było już popołudnie, a dzień stał się wręcz gorący.

Wróciliśmy — a tu okazało się, że naszego autokaru nie ma. Na placyku stała jedynie Ula, która od wodospadu wróciła wcześniej, niepokojąc się o stan autokaru. Okazało się, że pękła poduszka powietrzna stanowiąca element zawieszenia prawego przedniego koła. Autokar w tym stanie nie powinien być jechać, bo groziło to uszkodzeniem zawieszenia i utknięciem na dobre. Co tu jednak robić, jeżeli to się stało na końcu drogi w zabitej dechami ukraińskiej wsi? Ula poleciła więc kierowcy, aby tymczasem zjechał — bez pasażerów, więc bez obciążenia — do głównej drogi w Pasiecznej. Czekał nas więc pięciokilometrowy marsz wiejską drogą, w upale — a bez picia, bowiem wszystkie nasze napoje odjechały autokarem wraz z bagażami. Jedyna pociecha w tym, że ten marsz był w dół.

Dotarcie do Pasiecznej na piechotę było tylko półśrodkiem. Do Rafajłowej, gdzie mieliśmy mieć naszą bazę pozostawało 20 kilometrów, drogą wprawdzie asfaltową — ale tylko nominalnie. Gdyby ktoś policzył powierzchnię drogi zajmowaną przez dziury, byłoby to pewnie ze 25% — oczywiście były odcinki po 100 czy 200 metrów jako tako przejezdne, ale były też miejsca, gdzie najwyraźniej podczas deszczów spływała woda i tam na 30 czy 50 metrach nie było ani kawałka asfaltu, a jedynie same dziury. Kierowca miał poważne wątpliwości, czy może jechać 20 km autokarem w takim stanie, ostatecznie dał się przekonać, ale pod warunkiem, że wszyscy będziemy siedzieć po lewej stronie. Na szczęście było sporo miejsca — autokar miał 41 siedzeń, a nas było tylko 25 — więc usadowiając po trzy osoby na każdym podwójnym siedzeniu z lewej strony było to

możliwe. W ten sposób, jadąc powoli, w blisko godzinę pokonaliśmy odległość dzielącą nas od Rafajłowej.

W Rafajłowej zostaliśmy zakwaterowani w pensjonacie — tzw. sadybie — o nazwie „Lubawa”, położonym na niewielkim wzgórku. Pensjonat był nowy, wokół trwały jeszcze różne prace wykańczające przy kamiennym ogrodzeniu, rozgrzebana była budowa garażu. Sam pensjonat miał na parterze obszerną salę jadalną oraz salon — sporej wielkości przestrzeń z dużymi oknami, o ścianach wyłożonych kilimami. Umebłowanie stanowiły wyłącznie trzy pluszowe sofy. Na piętrze było osiem pokoi noclegowych różnej wielkości oraz dwie łazienki. Z okien roztaczał się widok głównie na centrum wsi, na pierwszym planie po lewej była remiza straży pożarnej, w centrum budynek zwany szpitalem, a po prawej — szkoła. Przed szkołą — a raczej za nią, ponieważ oglądaliśmy ją od tyłu — stał kibelek typu sławojka, potrójny. Na trzech jego drzwiach wymalowane były litery „Cz”, „Ż” i „U”. Oczywiście wiedzieliśmy już, że na Ukrainie człowiekiem — „czołowikiem” może być tylko mężczyzna, kobieta to jest jedynie „żeńszczyzna”, ale skąd to „U”? Dopiero po jakimś czasie doszliśmy do tego, że nauczyciele — „uczYTELE” stanowią zagadkową trzecią płęć.

Szpital był nie tyle szpitalem, co oficjalnie — sanatorium. Przesyłano do niego osoby starsze, wymagające stałej opieki. Bardziej prozaicznie — był to rodzaj hospicjum-umieralni. Nasi gospodarze — mieszkający w osobnym, nieco mniejszym budynku na terenie tej samej posesji — byli związani z tym szpitalem — on jako jedyny lekarz, ona jako pielęgniarka. Oprócz nich zatrudnione były tam jeszcze dwie pielęgniarki oraz — oczywiście — dyrektorka tej szacownej placówki. Miejsce dla pensjonariuszy było około 20. Tuż obok szpitala była straż pożarna — czysto ochotnicza. Nigdy nie widzieliśmy, aby ktokolwiek się tam kręcił, natomiast przed budynkiem stał przepiękny pożarniczy żył błyszczący świeżo położoną czerwoną farbą.

Na warunki w „Lubawie” nie narzekaliśmy, jedynie dwie łazienki na 25 osób to było za mało, nawet zważając na dodatkową toaletę na parterze. Tworzyły się kolejki. Jedzenie było smaczne i pozostawało na tyle, że z części śniadania robiliśmy sobie kanapki na wycieczki. W razie czego nie było problemu z zaopatrzeniem. Tuż za szpitalem był niewielki pawilon, a w nim sklep spożywczy „Liuks”, w którym połowę asortymentu stanowiły wyroby monopolowe. Było wprawdzie dość drogo — zastanawialiśmy się jak to się stało, że od poprzedniego pobytu na Ukrainie rok temu ceny potrafiły wzrosnąć dwukrotnie. Jednak Sasza również się dziwił tutejszym cenom, aż z naszego gospodarza — Wiaczesława — wydobył, że w całej Rafajłowej podniesiono ceny dwukrotnie z okazji naszego przyjazdu. Po prostu sklepikarze — a we wsi było pięć sklepów — umówili się i uprzedzili miejscowych, aby na czas naszego pobytu poczynili zapasy.

Wieczór minął spokojnie. Tylko nasz kierowca usiłował się skontaktować ze swoją firmą Veolia w sprawie awarii autokaru. W porze wieczornej nie było w firmie nikogo kompetentnego, tymczasem potrzeba było ustalić coś w sprawie naprawy, ponieważ powrót autokarem w tym stanie był wykluczony.

Ranek wstał pogodny. Po smacznym śniadaniu wyszliśmy z pensjonatu. Gruzawik, który miał nas przewieźć pod Przełęcz Legionów, spóźnił się pół godziny. Gdy przyjechał, powstał problem: samochód miał urwaną klapę z tyłu. Na wybojach moglibyśmy z niego pospadać. Ostatecznie burty związane taśmą holowniczą — w razie czego można było się jej łapać, by spadać w sposób nieco kontrolowany. Ledwo ruszyliśmy, a zatrzymaliśmy się pod sklepem. Kierowca

zrobił zakupy, ujechaliśmy zaledwie kilkaset metrów dalej w górę wsi, zatrzymaliśmy się z kolei pod hotelem „Wodohraj”, gdzie kierowca znowu miał coś do załatwienia. Tu czekaliśmy ponad kwadrans. Poszlibyśmy obejrzeć cmentarz legionowy obok dawnego kościoła — obecnie cerkwi grekokatolickiej, ale drabinkę służącą do wchodzenia na pakę kierowca przezornie miał umocowaną gdzieś z boku i nie przyszło mu do głowy ją przystawić na czas postoju. Nie chciało nam się skakać z wysoka.

Potem pojechaliśmy w górę wsi i dalej w górę Rafajłowca, tą samą drogą, którą cztery lata wcześniej schodziłem z kontuzją kolana. Zupełnie inaczej wyglądała ta dolina — inna rzecz, że pokonywałem ją teraz w przeciwnym kierunku. Inna była pogoda, a ja mogłem zwracać uwagę na coś innego niż przedtem. Ził powoli przedzierał się przez błoto. Ja szczególnie rozglądałem się za ujściem potoku do Rafajłowca, gdzie wtedy żegnałem się z resztą grupy. Było kilka potoczków z lewej strony, ale wszystkie były za małe. W końcu duży potok — i ogromny plac załadunkowy drewna wyglądający niczym ocean błota. Nie przypominałem sobie czegoś takiego — czyżbym wtedy był tak bardzo obolały, że nie zauważyłem? Dziwne. Ale po dalszym kilometrze nastąpił koniec jazdy, a kolejnego potoku z lewej już nie było. Musiało więc to być jednak tamto miejsce. Ale przecież wtedy z bocznej doliny wychodziło się nagle i schodziło do potoku po skarpie. U zejścia potoków rosła kępa drzew, a obok stał jakiś barak dla drwali. Wyrąb potrafi zmienić wygląd miejsca nie do poznania.

Wysiedliśmy z gruzawika. Droga, którą właśnie pokonaliśmy, była słynną Drogą Legionów, zbudowaną w 1914 roku. Była wzmocniana, dylowana — teraz nie różni się od innych leśnych dróg w okolicy. Przed nami był ostatni jej odcinek — w źródłiskowym jarze doliny Rafajłowca kilka lat wcześniej doszło do osuwiska i serpentyny Drogi Legionów wyprowadzające na przełęcz zostały odcięte. Może dzięki temu zachowały się w niezłym stanie — osuwisko uchroniło ten odcinek przed wjazdem takich pojazdów jak nasz. Teraz jednak trzeba było dostać się do tych serpentyn. Osuwisko zdążyło już porosnąć krzakami, ścieżki nie było — pozostawało szturmować stok. Ścieliśmy w ten sposób dolną serpentynę wychodząc od razu na zakręt. Przełęcz Legionów osiągnęliśmy po około 40 minutach.

Przełęcz Legionów jest ciekawym miejscem. Tradycyjnie miejsce to nazywało się przełęczą Rogodze Wielkie. Podczas pierwszej wojny światowej austriackie dowództwo nakazało swoim oddziałom obsadzenie „Przełczy Pantyrskiej”, aby uniemożliwić Rosjanom przedarcie się tędy na Nizinę Węgierską. Kłopot w tym że żadna „Przełęcz Pantyrska” nie istnieje. Istnieje szczyt Pantyr oraz poniżej Polonina Pantyrska. Na sam szczyt Pantyru prowadzą dwie ścieżki: jedna z Poloniny Pantyrskiej, druga grzbietem granicznym. Nie ma tam bezpośredniej drogi z Rafajłowej. Oddziały austriackie błąkały się więc po lasach szukając nieistniejącej przełczy, kiedy dowództwo do tego rejonu skierowało posiłki w postaci polskich legionów. Legioniści zamiast szukać drogi postanowili ją zbudować. Od strony zakarpackiej wykorzystano pasterski płaj na Rogodze Wielkie, ale dalszą część drogi — zejście do Rafajłowca i dalej doliną — zbudowano wycinając drzewa i budując z nich pomosty nad potokami i jarami. Wojska rosyjskie nie spodziewały się tego i w Rafajłowej pozostawiły niewielkie siły, które legioniści łatwo pokonali, tworząc tzw. Rzeczpospolitą Rafajłowską — pierwszy skrawek ziemi będący we władaniu Polaków po okresie zaborów.

Na pamiątkę tych wydarzeń legioniści postawili na przełczy krzyż. Jeszcze w latach 1920-tych krzyż wymieniono z drewnianego na stalowy. Dziw bierze,

że ta pamiątka polskości przetrwała cały okres radziecki. Miejscowa legenda głosi, że władza radziecka zapłaciła miejscowemu drwalowi za ścięcie krzyża. Ponieważ krzyż był stalowy, drwal zabrał się do tego piłą do metalu, ale mu się stępiła. Kiedy udał się do Rafałowej po nową piłę, w drodze powrotnej miał zostać zabity przez piorun. Okoliczna ludność uznała to za znak od Opatrzności, więc nie znalazł się nikt chętny do dokończenia tej pracy. Trudno powiedzieć, ile prawdy jest w tej legendzie. Ślady prób nadpiłowania są widoczne na krzyżu. Jednak z drugiej strony, gdyby władza radziecka była zdeterminowana do likwidacji tej pamiątki, nazwałaby przełęcz Przełęczą Mołotowa albo jakoś podobnie, względnie wróciła do tradycyjnej nazwy. Tymczasem we wszystkich radzieckich opracowaniach i na wszystkich radzieckich mapach figuruje „*Pieriewał Liegionow*” względnie „*Pieriewał Liegionierow*”. Dziwne. Prawdopodobnie samą nazwę uznano za mało istotną, a lokalne władze nie chciały się przyznać, że nie mogą nikogo przekonać, by ściał krzyż — i nabrały wody w usta licząc, że wyższa władza nie będzie chodziła po lasach i się o tym nie dowie. W każdym razie krzyż i tablica pamiątkowa przetrwały. Stoją dziś na trawiastej przełęczy, z widokiem na szczyty Durni i zakarpackiej Urii. Na przełęczy wypasane są konie, czasami pojedyncze sztuki bydła. Przełęcz jest też świetnym miejscem biwakowym, problemem jest jedynie woda — która jest, ale bywa używana przez zwierzęta, więc zanieczyszczona.

Porobiliśmy zdjęcia — sobie przy krzyżu oraz zwierzętom — po czym ruszyliśmy z przełęczy na północ śladem dawnej granicy polsko-czechosłowackiej w kierunku Taupiszyrki. Ten odcinek trasy jest mało interesujący. Idzie się zacienionym lasem, śladem dawnej przecinki granicznej napotykać kolejne słupki dawnej granicy. Żadnych widoków — jedynym urozmaiceniem są od czasu do czasu powalone pnie, które trzeba albo obchodzić, albo przeciskać się pod nimi, albo pokonywać górą. W ten sposób przechodzi się kilka niewielkich wzniesień, aż teren zaczyna się wznosić coraz bardziej stromo. Pod koniec pojawiają się pojedyncze krzaki kosówki, a tuż przed samym grzbieciem Taupiszyrki cały jej łan — na szczęście niezbyt szeroki. Ścieżka przeciska się między krzakami zwierającymi się górą.

Taupiszyrka jest szczytem średniej wysokości, ma formę wału o kierunku z północnego zachodu na południowy wschód. Las sięga prawie po jej wierzchołek. Kosówka porasta stoki — zwłaszcza te północne — ale samym grzbieciem prowadzi szeroka ścieżka. Nie jest też oczywiste, co należy przyjąć za sam wierzchołek Taupiszyrki. Miejsce, gdzie główny grzbiet karpacki od Przełęczy Legionów osiąga Taupiszyrkę, nie jest najwyższym punktem. Roztaczają się jednak z niego widoki, podczas gdy sam najwyższy punkt otoczony jest kępami drzew. Za to równie piękne widoki są z miejsc tuż poniżej najwyższego wierzchołka, są to jednak miejsca na stoku. Widok z Taupiszyrki to przede wszystkim widok na Sywulę i Małą Sywulę oraz ciągnące się od nich na prawo pasmo Negrowej, Bojaryna, Gawora i Maksymca. Szczyty Zakarpacia oraz pasmo Doboszanki wydają się stosunkowo odległe, zaś pasmo Czarnej Połoniny jest prosto pod słońce. Oczywiście — około południa. Ale tak to już jest, że trudno być na Taupiszyrce o innej porze niż południowa, chyba że spędza się noc gdzieś w górach. Odpoczęliśmy na szczycie. Poruszyliśmy przy okazji temat nazwy szczytu brzmiącej dość niecodziennie. Nazwa brzmi z rumuńska, „*talpa*” to kret, więc nazwa znacząłaby coś w rodzaju „kretowiska”. Tyle że góra swoim kształtem kretowiska nie przypomina, ani też nie widzieliśmy na niej ani jednego śladu po kretach.

Przejście grzbietem Taupiszyrki było przyjemne, ale krótkie. Grzbiet się skończył i zaczęło się schodzenie nie tyle do lasu, co lasem, równie nieciekawe, jak podejście z Przełęczy Legionów. Nagle — w środku lasu — pojawił się ogromny betonowy blok. Był to znak granicy rezerwatu botaniczno-dendrologicznego, którą najwyraźniej właśnie przeszliśmy; znak był do nas ustawiony tyłem. Niedaleko za tym znakiem dotarliśmy do polany — według mapy była to polana Jaworzyc. Sasza postanowił tu zrobić postój. Pogoda niestety psuła się — ciemniało w oczach, zbierało się na deszcz, w którym żaden odpoczynek nie byłby przyjemny. Od Rafałowej dzieliły nas około 2 godziny marszu — gdyby zaczęło padać, nie robilibyśmy już postojów, należało więc wypocząć tutaj. Widoki coraz bardziej się ograniczały wraz z nadejściem kolejnych chmur. Ruszyliśmy dalej wraz z pierwszymi kroplami deszczu.

Padło średnio — za to wiało bardzo. Błyskało i grzmiało, ale gdzieś daleko po górach. W lesie te kaprysy pogody nie były zbyt uciążliwe. Po godzinie marszu znaleźliśmy się na odkrytym terenie nad wsią. Tu wiatr hulał w najlepsze, rwał przeciwdeszczowe folie, a deszczem zacinał z boku. Widok na Rafałową był ładny, ale trudno go było podziwiać. Teraz już każdy szedł na własny rachunek, widząc nieodległą wieś. Klucząc między polami osiągnęliśmy wiejską drogę, a rychło potem — hotel „Wodohraj”. Na jego terenie była tzw. koliba pełniąca funkcję „kafe”, można tam było dostać piwo i coś do jedzenia. Zgromadziliśmy się w tej kolibie zając się pierogami, bo tylko to było na ciepło. Poza tym piwo, ciasteczka i czipsy. Deszcz stopniowo przechodził. Co mniej wybredni po kolei opuszczali kolibę udając się w ostatni — około kilometrowy odcinek trasy wiejską drogą do „Lubawy”. Kiedy tam dotarłem, właśnie było po deszczu. Na niebie można było obserwować niesamowitą tęczę pełną kolorów.

Do wieczora pozostało jeszcze sporo czasu, bo dzisiejsza wycieczka nie była zbyt długa. Rozeszliśmy się więc po najbliższej okolicy. Niewątpliwie najciekawszym obiektem w pobliżu była tzw. „Hallerówka” — dawna leśniczówka jeszcze z czasów austriackich, w czasie „Rzeczypospolitej Rafałowskiej” zajęta była pod kwaterę generała — wtedy jeszcze majora — Hallera. Budynek stoi do dziś — co prawda w nie najlepszym stanie, wygląda na świeżo opuszczony. Naprzeciwko niego jest teren dawnego cmentarza — ogrodzony i zamknięty. Przez płot widać było jedynie kamienny pomnik ku czci „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 1941–1945”. Obok dom kultury, zamknięty z wyjątkiem jednego pomieszczenia ze sklepem. Przed domem kultury — przystanek autobusowy, przy przystanku — tablica z informacją turystyczną oraz drogowskazy turystyczne. Co ciekawe: dwujęzyczne — po ukraińsku i... po polsku! Postawione na pewno przez kogoś, dla kogo polski nie był językiem rodzimym — były z błędami. Obkupiwszy się w piwo i słodycze po paskarskich cenach wróciliśmy do „Lubawy” na kolację. Zamyślaliśmy o wieczornym ognisku, ale nasz gospodarz Wiaczesław podszedł do tego pomysłu bez entuzjazmu. Możliwe że dlatego, że ktoś miał mu przywieźć cement do budowy garażu — i nie przywiózł, a na następny dzień byli umówieni robotnicy, których teraz trzeba było odwoływać. Za to nasz kierowca był odprężony. Udało mu się nawiązać z firmą, postanowiono przysłać ekipę do naprawy autokaru.

Przed wycieczką kolejnego dnia Sasza przestrzegł nas, że będzie ciężko. Naszym celem była Doboszanka, uchodząca za symbol gorgańskiej dzikości. Przed drugą wojną światową utworzono tam tzw. rezerwat turystyczny, wolny od znakowanych szlaków — faktycznie chodziło o zachowanie terenów myśliwskich dla prezydenta Rzeczypospolitej. Czasy się zmieniły, ale idea rezerwatu trwa. Do-

boszanka jest dzisiaj objęta *zapowidnykiem* (rezerwatem) „Gorgany”. Główny wschodniokarpacki szlak turystyczny skrętnie ją omija. Na terenie rezerwatu obowiązuje zakaz biwakowania i formalnie jest okresowy zakaz wstępu od maja do czerwca, potem we wrześniu, ale nikt tego nie sprawdza i nie egzekwuje. Sama góra składa się z kamieni, w niższych partiach porośnięta kosówką. Terenów wypasowych na Doboszance nie ma i tym prawdopodobnie należy tłumaczyć wyjątkową jej dzikość. Turystycznie jednak nie jest to szczyt trudny — poza tym że jest odległy, a dojścia są trudne orientacyjnie. Ścieżki istnieją — trzeba jednak o nich wiedzieć. Są nieznakowane i łatwo je zgubić.

Wyjechaliśmy o 7 rano gruzawikiem, który już znalazł swoją tylną klape i tym razem bez przystanków — pewnie dlatego, że od razu skręciliśmy w lewo w dolinę Doużyńca i wyjechaliśmy z centrum wsi. Przejeżdżaliśmy jedynie przez przysiółki zwane Stadnice czy Hundy — ale domy stały tu rzadko i nie było żadnych sklepów. W różnych miejscach w dolinie widać było za to nasypy, a nad bocznymi potokami przyczółki dawnych mostków. Były to resztki po kolejce wąskotorowej — lokalnie zwanej *uzkokolejką* — która do Rafajłowej prowadziła z Nadwórnej (35 km). W Rafajłowej — w miejscu obecnego domu kultury — był dworzec, na którym kolejka dzieliła się na dwie odnogi — dolinami Doużyńca i Salatruka. Kolejka przetrwała do 1973 r., kiedy powódź uszkodziła wiele nasypów, a odbudowę uznano za nieopłacalną. Do kolejnej powodzi w 1980 r. przetrwało jedynie odgałęzienie w dolinie Salatruka, eksploatowane lokalnie. Dziś można sobie jedynie wyobrazić widok parowozu i wagoników w pięknej górskiej dolinie.

Do pierwszych dwóch przysiółków dałoby się dojechać zwykłym samochodem, potem jednak zaczęło się błoto, a w nim koleiny — dalszy trakt dostępny był tylko dla ciężkiego pojazdu. Zresztą niezbyt długo nim jechaliśmy. Skręciliśmy w boczną dolinę Ozirnego, którą po jakichś 4 km dojechaliśmy do urokliwej polanki z barakiem i wiatą na ognisko. Po prawej w dole prześwitywała tafla śródlęsnego jeziora. Ozirne.

Po wyładowaniu się z gruzawika przygotowaliśmy się do marszu. Sasza opowiedział, co mu się przytrafiło tutaj z inną grupą. Mianowicie, zaraz na początku podejścia jedna z uczestniczek poczuła się źle i za wiedzą Saszy postanowiła zrezygnować z wejścia na Doboszankę i zawrócić. Gruzawik niestety już zdążył odjechać, więc pani postanowiła powolutku wracać do Rafajłowej pieszo. Pechowo natknęła się na pasterza udającego się właśnie do Ozirnego, a właściwie nie tyle pechowo na pasterza, co na jego psa, który pogryzł ją dotkliwie. Pies szczepiony oczywiście nie był. Skończyło się na tym, że odwieziono panią do Iwano-Frankiwska do szpitala na szycie, a potem wyekspediowano czym prędzej do Polski na serię bolesnych zastrzyków.

Nie dziwię się, że ta pani zawróciła. Początek podejścia z Ozirnego na boczny grzbiet Medweżyka był ostry, a na grzbiecie było tylko trochę lepiej. Stromo do góry lasem i żadnymi widokami, i tak przez dwie godziny. Dopiero potem drzewa stały się niższe, zaczęły się pojawiać śródlęsne polanki. Ścieżka z leśnej stopniowo zamieniała się w kamienistą, a wokół zaczęły się pojawiać pojedyncze krzaki kosówki, następnie całe jej kępy, a potem — łany. Cały czas jednak szło się ścieżką. Z pomiędzy co poniektórych krzaków kosówki zaczęły się odsłaniać widoki — przed siebie i w lewo na zbocza Poleńskiego oraz w tył w kierunku Czarnej Połoniny. Widoki stopniowo się rozszerzały, aż dotarliśmy do rodzaju kulminacji zwieńczonej dwumetrowym metalowym trianulem. Było tu mało miejsca dla tak licznej grupy jak nasza, nie słyszałem więc, co Sasza objaśniał

na drugim jej końcu. Nasza droga prowadziła stąd w prawo na nieodległy Medweżyk, podczas gdy w lewo odchodził ślad ścieżki prosto w kosówkę porastającą główny grzbiet pasma. Doskonale widoczne stąd szczyty Poleńskiego, a przede wszystkim Pikuna — wręcz zapraszały. Pogoda była idealna, tylko ten nieprzebyty gąszcz kosówki po drodze.

Kosówkowanie nas także nie ominęło, ale to chyba było nic w porównaniu z tym co byłoby na Pikunie. Z naszej kulminacji musieliśmy przedrzeć się przez kosówkę jakieś 20 m w dół na drugą stronę grzbietu, po czym skrajem gorganu między kępami kosówki przejść jakieś 100 m pod Medweżyk, a potem ponownie przedrzeć się przez 20 m łąnu kosówki. Zresztą cały czas mieliśmy ścieżkę, ale kosówka zrastała się górą. Na szczyt Medweżyka było jakieś 30 metrów w bok po kamieniach.

Medweżyk (1736 m) jest zachodnim wierzchołkiem pasma Doboszanki (środkowym jest Doboszanka, wschodni nazywany jest Doboszańcem) i chyba bardziej panoramicznym od najwyższego szczytu. Grzbiet opada tu dość stromo ku zachodowi, przez co z Medweżyka najlepiej widoczna jest grupa Poleńskiego i Koziego Gorganu. Za nimi w tle po lewej widoczne jest pasmo Sywuli oraz inne szczyty Gorganów Centralnych. W kierunku południowym widoczne jest całe pasmo Czarnej Połoniny od Durni po Steryszorę. W dole Połonina Płaska, a hen w oddali na horyzoncie mającą czarnohorskie olbrzymy na czele z Howerlą. W kierunku wschodnim widać przede wszystkim Doboszanek w formie lekko przekrzywionej kamiennej piramidy.

Nie przesiadywaliśmy tu jednak zbyt długo. Każdy na własną rękę ruszył ku Doboszance która wydawała się na wyciągnięcie ręki. Trasa na nią cały czas była widoczna, biegła po wielkim polu gorganu tworzącym całe pasmo. Co jednak wydawało się tak bliskie, wcale tak łatwe nie było. Jeszcze na zejściu z Medweżyka odcinkami była widoczna ścieżka, potem jednak przyszło iść zwyczajnie po kamieniach — bez ścieżki. Niektóre kamienie wymagały kroku pół metra w górę albo w dół, a niektóre się ruszały. Przejście po nich wymagało dużej uwagi. Mieliśmy szczęście, że było sucho, bo podczas deszczu kamienie robią się w dodatku śliskie. W każdym razie to, co wyglądało na raptem jakieś 40 minut, wymagało do przejścia pełnej godziny, i to z okładem. Góry uczą cierpliwości, a gorgan szczególnie.

Na Doboszanek (1758 m) schodziliśmy się przez blisko pół godziny. Widok z niej był podobny jak z Medweżyka, lecz teraz na wschodzie widoczny był Doboszaniec, a przed nim ogromne i niesamowicie pofałdowane pole głazów. Około 100 lat temu doszło tu do gigantycznego osuwiska odsłaniającego wewnętrzne warstwy skał. Dziś jednak na skutek erozji skały nie różniły się kolorem od innych i trudno byłoby odgadnąć, że ta katastrofa miała miejsce w skali geologicznej tak niedawno. Za Doboszańcem widniał Syniak, masywny, ale niższy i przez to nieefektywny. Gorszą stroną widoku z Doboszanki był Bukowel. W okolicach tego kurortu narciarskiego w barbarzyński sposób powygalano góry z lasu pod nartostrady — podobno jest ich 22, ale nie liczyłem. Widok tych gór kojarzył mi się w pewien sposób z zesłańcami syberyjskimi, którym golono pół głowy, albo wygalano pas przez środek głowy, aby ich w ten sposób oznaczyć i umożliwić natychmiastowe rozpoznanie w przypadku ucieczki. Te wygolone góry były wprawdzie widoczne z Medweżyka, ale w mocno skróconej perspektywie i ich widok tak bardzo nie raził. Perspektywa na zachód wzbogaciła się o Medweżyk. Pomimo że jest on nieco niższy od Doboszanki, obydwa szczyty prezentują coś w rodzaju lustrzanego odbicia: Medweżyk z Doboszanki wygląda podobnie

jak Doboszanka z Medweżyka. Tylko nachylenie jest przeciwne, tak jak to jest z lustrzanymi odbiciami.

Posiedzieliśmy na Doboszance blisko godzinę — ale też i był to jeden z najprzyjemniejszych moich pobytów szczytowych. Pogoda świetna, ciepło, nie wiało. Sam wierzchołek skalisty, ale nie tak ciasny jak wierzchołek Sywuli, ani zbyt obszerny jak wierzchołek np. Grofy. Nic nas nie gonilo, a powrót miał być tą samą, znaną już nam trasą. W końcu wraz z kilkoma osobami postanowiliśmy powrócić na Medweżyk głównie dla zmiany perspektywy, zwłaszcza że wcześniejszy postój na Medweżyku był tak krótki. Godzinę później siedzieliśmy więc na Medweżyku we czterech, przez kolejne trzy kwadransy oczekując nadejścia reszty grupy i obserwując kruki, których kilka sztuk zebrało się nad nami.

Potem znana już nam przeprawa przez kosówkę na boczną kulminację, zejście w dół do lasu i przez las do Ozirnego. Gruzawik już czekał, grupa bardzo się rozciągnęła w zejściu i długo trwało, zanim pojechaliśmy. Zrobiło się późno, w dolinie Doużyńca słońce zdołało już się schować za góry. Po powrocie do „Lubawy” nastąpiła szybka, bo spóźniona obiadokolacja. Wiaczesław nadal nie otrzymał swojego cementu, zaś nasz kierowca wyzalał się na swoją ekipę mechaników. Ekipa ta jeszcze nie dojechała, ale przez telefon komórkowy zdołała się zwrócić z pretensjami, że mieli w jeden dzień naprawić autokar i wrócić, a tymczasem na granicy trzymali ich osiem godzin, spisując każde narzędzie z osobna do warunkowej odprawy celnej. Byli gdzieś koło Lwowa i wyrażali wątpliwość, czy nie zabraknie na Ukrainie psów i kotów, które oni cały czas wieszają za stan ukraińskich dróg. Ekipa dojechała w środku nocy.

Rankiem czekał na nas nasz znajomy gruzawik mający nas zawieźć tym razem do doliny Salatruka. Naszym celem była bowiem Sywula, najwyższy szczyt Gorganów. Dla wielu uczestników było to jak gdyby ukoronowaniem całej wycieczki. Ja wprawdzie na Sywuli już byłem, ale liczyłem na to, że tym razem będę miał lepsze szczęście do pogody, poprzednim razem zamiast widoków była mgła i padające gradziny. Ponadto dzisiaj mieliśmy iść na Sywulę z przeciwnej strony przez Połoninę Ruszczynę, o której wiele słyszałem, a nigdy dotąd nie byłem.

Na dzisiejszą wycieczkę postanowił się zabrać z nami Wiaczesław. Stwierdził że koniec tygodnia, piątek, więc z tym cementem i tak nie przyjadą, a na Sywuli bardzo dawno nie był. Zabrał ze sobą psa — właściwie to pieska. Barsik niczym się nie wyróżniał — ot, taki kudłaty wiejski piesek wielorasowy biały w brązowe łaty wielkości spaniela z ogonkiem w wywinięty do góry rogal. Trochę nas dziwiło, jak takie stworzenie będzie pokonywać trasę — bądź co bądź 12 km w jedną stronę oraz kilometr do góry. Wiaczesław wsadził pieska na pakę, po czym sam też wsiadł. Zatrzymaliśmy się ponownie przed hotelem „Wodohraj” — a właściwie przed sklepem, który się przy nim mieścił. Kierowca wyniósł stamtąd dwie skrzynki piwa i podał nam na pakę — z zastrzeżeniem, żebyśmy nie pili, bo to nie dla nas.

Pojechaliśmy w górę doliny Salatruka. Jest ona węższa od doliny Doużyńca i nie tak zamieszкана — oprócz domostw przy samym wyjeździe z Rafałowej nie ma przysiółków, a jedynie kilka domów tu i tam. Również śladów po kolejce wąskotorowej widać tu było znacznie mniej, pomimo że kolejka istniała tu o 8 lat dłużej. Ponadto sama dolina była bardziej zryta ciężkim sprzętem leśnym, przejezdność dla samochodów osobowych kończyła się po jakichś 2 km. Szczególnie ciężkie były momenty stromych podjazdów po przekroczeniu w bród potoku Salatrak. Koła ziła długi czas męły błoto, obrzucając nim osoby sto-

jące przy burtach, zanim udawało się z tego wyjechać. Na koniec dojechaliśmy do jakiegoś baraku, za którym w poprzek doliny leżały już tylko powalone pnie drzew. Było tak wąsko, że ził miał poważne problemy, aby zawrócić — w tym celu wjeżdżał tyłem na skarpę, przy czym zupełnie nie można było zrozumieć, dlaczego ten manewr postanowił wykonywać z nami wszystkimi na pace, skoro i tak wysiadaliśmy w tym miejscu. Dwie skrzynki piwa wysiadały również, ich przeznaczeniem okazał się barak.

Wbrew ponurym przewidywaniom nie czekała nas przeprawa przez pnie, które zalegały dalszą część doliny. Sasza poprowadził nas skosem na stok leśną drogą. Miły początek nie pozbawił nas przyjemności obcowania z pniami. Droga szybko się zmieniła w ścieżkę, na której jak na złość co jakiś czas leżały powalone ogromne pnie drzew — czasami co 100 metrów, a czasami co 10. Drzewa były ogromne, nie wiadomo było, jak się zabrać do ich pokonywania. Pod pnem przesłwit tak na 70 centymetrów — trzeba by się tamtędy czołgać. Obejść? W obie strony pień ciągnie się kilkanaście metrów, a już pięć metrów w bok od ścieżki — chaszczki i krzaki. Górą? Pień ma 50 cm średnicy, albo i więcej. Wdrapywać się i skakać? Różne były metody, zależnie od konkretnego przypadku. Na szczęście przeprawa przez ten tor przeszkód trwała tylko z godzinę, za to powyżej stoku stał się stromy. Po jakichś dwóch godzinach niespodziewanie z krzaków wyszliśmy na przecinkę tuż koło dawnego słupka granicznego. Był to już główny grzbiet karpacki. Sasza dał tutaj pół godziny odpoczynku przed dalszą drogą. Barsik trzymał się dzielnie, biegał wszędzie wokoło zaglądając do plecaków.

Wobec dotychczasowej trasy kolejny odcinek wzdłuż dawnej przecinki granicznej był łatwy. Nie było wprawdzie z niego widoków, za to nastąpiła przystopka. Nagle zza dużej kępy krzaków wyskoczyły na nas dwa ogromne stworzenia. Były to konie. Nie miały złych intencji, emanowała z nich ciekawość. Staraly się wmieścić w naszą grupę i iść razem z nami, co spowodowało pewne zatroskanie — wszakże nieraz ktoś się potknie, zatrzyma albo nawet przewróci, byłoby niefajnie mieć w takim momencie styczność z kopytami. Konie potowarzystyły nam przez jakiś czas, mieliśmy uwagę skupioną na nich i droga nam szybko minęła. Konie pozostały na dole przed ostatnim stromym podejściem pod Ruszczyne, skąd patrząc wstecz można było zobaczyć jedno z najpiękniejszych gorgańskich urwisk zwane Piekłem.

Konie i fotografowanie urwiska spowodowały, że druga część grupy straciła kontakt wzrokowy z pierwszą, nie wiadomo było dokąd iść. Ruszczyzna bowiem należy do miejsc wyjątkowo trudnych orientacyjnie, błądzenie po Ruszczyźnie we mgle obrosło wręcz legendami. Teraz wprawdzie pogoda była piękna, ale przecinających się ścieżek było wiele, a na żadnej nie widzieliśmy początku grupy. Krzyczeliśmy, nawoływaliśmy i nic. Ruszczyzna jest w zasadzie zwornikiem łączącym główny grzbiet Karpat z grzbietem Sywulskim — przy czym jest to zwornik przełęczkowy, jednocześnie Ruszczyzna jest nazwą połoniny o tej samej nazwie, znajdującej się w tym samym miejscu, ale nieograniczającej się jedynie do samego siodła. Na połoninie ma swoje źródła rzeka Bystrzyca Sołotwińska, co dodatkowo komplikuje topografię. Staliśmy więc bezradnie przy rozstajnych ścieżkach do czasu, aż nadszedł idący na końcu Wiaczesław z Barsikiem i pokazał drogę. Jak się okazało — nie była to ta sama droga, którą poszła pierwsza część grupy, ale obydwie zbiegały się. Pierwsza część grupy poszła drogą najkrótszą poprzez Bystrzycę, a my — obeszliliśmy źródła. Dłuższy czas czekali na nas przy ruinach schroniska, widząc nas ruszyli dalej. Nie mieliśmy więc czasu obejrzeć ruin.

Miejsce na schronisko jest idealne. Położone na skraju pięknej połoniny, w miejscu osłoniętym od wiatru, w miejscu krzyżowania się licznych możliwych szlaków wędrówek, w miejscu, skąd wypad na Sywulę — na lekko — nie zajmuje więcej niż godzinę. Schronisko PTT na Ruszczynie wiele się nie nadziało. Zbudowane bodajże w 1936 r. — we wrześniu 1939 r. zostało placówką radzieckiej straży granicznej (na głównym grzbiecie Karpat była wtedy — od 1938 r. — granica węgierska). Gdy 22 czerwca 1941 r. Niemcy napadły na Związek Radziecki, wydano rozkaz o wycofaniu się straży granicznej i spaleniu posterunków. W ten sposób zakończyły działalność prawie wszystkie schroniska w Gorganach — w każdym razie to na Ruszczynie, w Rafajłowej, pod Pantyrem, pod Steryżorą, na Jali i w Kruhłej. . . w ukraińskich przewodnikach turystycznych o obiekcie na Ruszczynie mowa jest, że to są „*ruiny storożky*” a nie schroniska. . . Dziś po schronisku na Ruszczynie pozostał kamienny obrys fundamentów. Wewnątrz rosną już drzewa, a na zewnątrz pełno świetnego miejsca do biwakowania, tylko czasami pasą się tutaj konie — przychodzą od staj pasterskiej odległej o kilometr.

Wejście na Sywulę od Ruszczyny jest warte opisanie. Istnieją dwa warianty — przez Małą Sywulę albo jej trawersem. Trasą przez Małą Sywulę prowadzi obecnie główny wschodniokarpacki szlak turystyczny, wariant trawersem jest nieznakowany. Od ruin schroniska szlak prowadzi do góry prosto w las. Robi w nim tu i tam niewielkie zakosy, ale cały czas ścieżka jest widoczna. Po jakichś 20 minutach doprowadza do charakterystycznego rozejścia się ścieżek. Znakiwany czerwono szlak odchodzi stąd w prawo do góry przez kosówki, okrąża Małą Sywulę. Spośród kosówek otwiera się widok na pasmo Doboszanki, a potem także na Czarną Połoninę i Taupiszyrkę. Po wyjściu z kosówek następuje ostry skręt w lewo i podejście na szczyt Małej Sywuli ścieżką, a pod koniec po gorganie. Na szczycie Małej Sywuli stoi kilkumetrowy betonowy słup — dawna podpora wieży triangulacyjnej. Wierzchołek Małej Sywuli jest obszerny, pokryty kamieniami gorganu. Widoki z Małej Sywuli i z Sywuli są w gruncie rzeczy podobne. Z samych wierzchołków obydwu szczytów miejsce po schronisku na Ruszczynie jest niewidoczne, doskonale je natomiast widać z trawersu Małej Sywuli.

Z Małej Sywuli zeszliśmy na przełęcz pomiędzy obydwoma szczytami, skąd — podobnie jak to jest na Doboszance — wydaje się, że szczyt Sywuli jest na wyciągnięcie ręki. Jednak idzie się na górę 20 minut, z trudem, klucząc między głazami gorganu. Zdziwiłem się bardzo, gdy dochodząc do szczytu spotkałem tam Barsika. Czekał na swojego pana, nie mogąc wskoczyć na szczytowe kamienie, podczas gdy Wiaczesław był jeszcze w połowie drogi od przełęczu. Sam wierzchołek Sywuli (1836 m) jest niewielki, pomiędzy głazami z trudem mieści się kilkanaście osób. To ogromny kontrast w porównaniu z Małą Sywulą, gdzie nie byłoby problemu z pomieszczeniem setki ludzi na szczycie.

Widok z Sywuli zapiera dech w piersiach. Widać wokół morze gór i wiele planów. Na pierwszym jest oczywiście Mała Sywula, a w drugą stronę — Łopuszna. Nieco dalej — na północnym wschodzie — jest ogromny płaski Ihrowiec, zza którego uważne oko wypatrzy sam samiotki szczyt Wysokiej. Dalej — daleko widnieje pasmo Arszyca, a plan bliżej grupa Grofeńska: Grofa, Parenki i Popadia. Za nią plan dalej — Mołoda i Jajko Ilemskie, a plan bliżej — Kanusiaki i Jałowa Klewa. W kierunku zachodnim widać wał Końca Gorganu, na lewo od niego Taupiszyrkę i Czarną Połoninę. Howerli i Czarnohory trudno się dopatrzeć, ale one tam są — w oddali i około południa — pod słońce. Na wschodzie za Małą Sywulą widać pasmo Doboszanki, Poleńskiego i Koziego Gorganu —

sprawiające stąd swoiste wrażenie jakiegoś górskiego bałaganu. Niestety, piękno gór starali się popsuć jacyś idioci. Na szczytowych kamieniach Sywuli wymalowali jakieś napisy sprayem.

Na szczycie pobiliśmy ze trzy kwadransy, po czym zaczęliśmy powrót. Ponieważ już byliśmy na Małej Sywuli, wybraliśmy przejście trawersem. Znikąd inąd nie jest tak dobrze widoczna Połonina Ruszczyzna, jak właśnie z tego trawersu. Zejście z Sywuli trawersem do ruin schroniska na Ruszczyźnie zajmuje jedynie około 45 minut.

Powrót dalej tą samą drogą odbywał się niczym w odwróconym filmie. Piekło, zejście z Ruszczyzny na grzbiet, napotkanie koni. Tym razem nie interesowały się one nami wcale, za to było ich sześć. Skąd wzięły się nowe cztery — nie wiedzieliśmy. Potem marsz grzbietem i skręt w lewo w chaszczę przy dawnym słupku granicznym, którego numer zapamiętaliśmy. Teraz w dół — i nasz tor przeszkód, jeszcze trudniejszy. Po pierwsze — my byliśmy zmęczeni, po drugie — zrobiło się gorąco — po trzecie — leżący w poprzek stoku pień podczas zejścia wymagał zeskoku z większej wysokości niż przy wejściu, i to na nachylony w dół teren. Kleiliśmy jak szewcy na to zejście. Sasza chyba wziął to sobie do serca, bo w następnych latach wejście na Sywulę wykreślił z planu wycieczki „Gorgany z Rafajłowej”.

Gruzawik nie czekał na nas przy baraku. Powiedziano nam tam, że czeka, ale trzysta metrów dalej, za zakrętem doliny — w miejscu, gdzie łatwiej było zawrócić. Załadowaliśmy się na pakę — jednak brakowało Wiaczesława. Sasza wyszedł mu naprzeciw. Wrócili razem kwadrans później. Piesek odmówił dalszego marszu, zaczął skomleć i Wiaczesław musiał go nieść na rękach przez nasz tor przeszkód.

Podróż powrotna gruzawikiem minęła bez wrażeń. Za to w Rafajłowej — same wydarzenia. Ekipa z Veolii naprawiła autokar i już wyjechała w drogę powrotną. Natomiast przy budowie garażu leżało dwadzieścia 50-kilogramowych worków cementu. Nasz kierowca autokaru twierdził, że około południa podjechał traktor przyczepą. Żona Wiaczesława, Liuba, po kolei nosiła jeden worek za drugim od bramy do tej budowy. Traktorzysta się tylko przyglądał tej czynności ze swojego fotela na traktorze. Nasz kierowca twierdził, że nie wiedział, czy w tej sytuacji wypada pomóc, a ponadto miał na głowie mechaników, których nie chciał odrywać od przeprowadzanej właśnie naprawy autokaru. I tak oto ukraińska kobieta sama przeniosła tonę cementu o jakieś 30 metrów. Traktor nie mógł wjechać bliżej, bo przeszkadzał w tym autokar — stojący akurat bez jednego koła na podnośniku hydraulicznym.

Wieczór spędziliśmy miło przy ognisku z kiełbaskami i z piwem, zakupionymi w pobliskim sklepie „Liuks”. Nie tylko zresztą piwie — stwierdziliśmy, że zdobycie najwyższego szczytu Gorganów stanowi specjalną okazję. Pokupowaliśmy więc różne wysokoprocentowe trunki, a potem częstowaliśmy się nimi wzajemnie.

Na koniec wyjazdu zaplanowana była oczekiwana przeze mnie wycieczka na Czarną Połonię. Rankiem zdziwiliśmy się, że przyjechał po nas inny gruzawik niż przedtem. Też ził, tyle że na pace woził nie wiadomo co — metalowa podłoga nie była widoczna pod warstwą mieszaniny błota, ścinków drzewnych, żużlu — i chyba też odchodów zwierzęcych. Za to odmalowany był że hej! Na szoferce i burtach wymalowane miał płomienie. „Oj, to będzie szedł ogień!” — pomyśleliśmy. Ciekawi, zapytaliśmy Saszę, dlaczego ta zmiana pojazdu. Wyjaśnienie było szczególne — otóż była dziś sobota, a kierowca naszego poprzedniego gruzawika

jest wyznawcą Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Sobota w myśl tej religii to dzień święty, w którym obowiązuje zakaz pracy. Musieli więc poszukać innego gruzawika — tymczasem okazało się, że prawie wszystkie gruzawiki w Rafajłowej należały do wyznawców tejże religii — i ostatecznie tylko ten jeden gruchot był do dyspozycji.

Wsiadliśmy na pakę. Nasz pojazd potoczył się raźnie — wprawdzie nie wlokąc za sobą płomieni, ale niebieską chmurę spalin. Ile to mogło palić — strach pomyśleć. Grunt, że jechaliśmy wszystkiego 12 kilometrów, a w połowie drogi zatrzymaliśmy się, aby kierowca mógł dolać paliwa z dwóch 20-litrowych kanistrów. Miał ich w sumie na pace sześć, kolejne dwa dolał na końcu trasy, a kolejne dwa podczas chwilowego postoju w drodze powrotnej. Pojechaliśmy w dolinę Riczki, a z niej w górę doliny Bratkowca, ostatnie dwa kilometry jadąc korytem potoku. Nie było tu bowiem żadnej drogi. Koryto potoku jednak musiało być wykorzystywane jako droga, bo nie było w nim żadnych progów skalnych uniemożliwiających przejazd, a na końcu trasy dojechaliśmy do placu załadunkowego drewna. Wyraźne drogi zrywkowe prowadziły z góry do tego placu, leżało na nim kilka kłód i stał leśny ciągnik gąsienicowy.

Z placu ładunkowego w górę przez las prowadził płaj. Termin znany wschodniokarpackim bywalcom, ten jednak płaj tutaj był jednym z najbardziej klasycznych płajów, jakie widziałem. Nie był żadną ścieżką ani drogą, lecz płajem właśnie. Szeroki na ponad metr nie miał śladów kolein — na całej szerokości wydeptany był przez racice. Co prawda niekiedy widać było na nim ślad opony, ale zbyt wąskiej jak na samochodową — za szerokiej jak na rowerową. Tym znakiem nowoczesności był motor marki Iż, służący pasterzom z Połoniny Bratkowskiej do komunikacji ze światem. Co prawda zastanawiałem się, jak ci pasterze na tym motorze jeździli korytem potoku, ale widocznie było to wykonalne.

Zatrzymaliśmy się przy staj pasterskiej — od pasterzy zakupiliśmy bundz. Zachwalali też *samohonkę* w plastikowych butelkach PET 1,5 litra, ale nie zdecydowaliśmy się. Odeszliśmy nieco od staj, aby wyjść z koszmarnego błota pokrywającego najbliższe sąsiedztwo i na połoninie — wśród traw i luźno pasącego się bydła — delektowaliśmy się serem. Niestety pogoda zaczęła się psuć. Błękitne rankiem niebo obecnie zaciągnęło się chmurami — wprawdzie były to chmury wysokiego pułapu, z których nie padało, ale słońca nie było już widać. No cóż — myśleliśmy — pogoda w sumie nie jest taka zła, nie musimy mieć lampy takiej jak poprzedniego dnia.

Sasza poprowadził nas w poprzek połoniny na zachód do bocznej dolinki wciętej pomiędzy szczyty Bratkowskiej Wielkiej i Gropy. Podchodziliśmy najpierw wzdłuż potoku, potem przecięliśmy go na prawo i zaczęliśmy się wspinać wprost do góry bardzo stromym zboczem. Aczkolwiek porośnięte trawą, miało ono formę ścianki o wysokości około 30 metrów. Nie było tu żadnej ścieżki — wejście po nachylonych kępach traw było bardzo mozolne i musieliśmy wchodzić po kolei — nie więcej niż 4 czy 5 osób jednocześnie na ścianie — żeby w razie czego wzajemnie siebie nie postrzącać. Gdy dotarłem na grzbiet — jako jakiś dwudziesty z kolei — okazało się, że pogoda bardzo się zmieniła. Nie padało wprawdzie, ale niewiele ponad pasmem kłębiły się chmury. Widniejący w oddali szczyt Sywuli był jak gdyby przez nie odcięty. Po grzbiecie Doboszanki wlokły się obłoki, to tu, to tam. Byliśmy na grzbiecie Czarnej Połoniny, na nienazwanej kulminacji w połowie drogi pomiędzy Bratkowską a Gropą.

Ruszyliśmy w lewo ku nieodległemu szczytowi Bratkowskiej (1792 m) po wyraźnej grzbietowej ścieżce wzdłuż słupków dawnej granicy. Pogoda marna, bo

marna — na razie trzymała. Chwilami dochodziło do przejściowych zamgleń, ale widać było w jedną stronę Grope, w drugą — Steryszorę, a w oddali Doboszanę i ciągle uciętą Sywulę. Osiągnęliśmy wierzchołek. Od mojego poprzedniego pobytu zmieniło się tutaj o tyle, że nie było już na szczycie metalowego trianguła. Jego pogięte resztki walały się gdzieś w trawach. Dawny słupek graniczny nr 44 stał za to niewzruszony.

Po chwili odpoczynku Sasza opowiedział, co widać ze szczytu, a czego nie widać na skutek pogody, po czym ruszyliśmy dalej. Zastanawiałem się, jak będzie z tym przejściem grzbietem Czarnej Połoniny — bo zważając na topografię i miejsca, do których mógł dojechać gruzawik — wydawało mi się, że z Połoniny Bratkowskiej powinniśmy wejść na przełęcz pod Małą Bratkowską, po czym przez Bratkowską pójść na Grope, z niej potem zejść doliną Gropieńca do przysiółka Kłempusze, albo wręcz pójść dalej na Durnię i schodzić z niej do tychże Kłempuszy jakoś na przełaj. Tymczasem szliśmy w odwrotną stronę. Do Steryszory nie byłoby czasu, to za daleko. Czyżby Sasza zamierzał wchodzić na Małą Bratkowską albo Ruską? Nic z tego! Z przełęcz pod Małą Bratkowską skręcił ostro w dół z powrotem na Połoninę Bratkowską. Jakież to przejście grzbietem Czarnej Połoniny? Przecież to było li tylko wejście na Bratkowską i zejście z niej, wprawdzie różnymi drogami. Poczulem się rozczarowany.

Krowy na Połoninie Bratkowskiej gapiły się na nas bezrozumnie. Pogoda nie poprawiała się. Choć chmury nie obniżyły się, zaczęła padać mżawka — może zresztą padała już od pewnego czasu, tylko my będąc wyżej, gdzie silniej wiało, byliśmy poza jej zasięgiem. Pragnęliśmy dokupić bundzu, ale okazało się, że naczelnik pasterz gdzieś pojechał, jego kumpel upity spał, a 12-letni chłopak nie wiedział, czy wolno mu sprzedawać bundz, ani tym bardziej za ile. Na plaży w lesie mżawka przestała być uciążliwa. Szybko zeszliśmy do naszego gruzawika.

Znowu buchnął z niego niebieski dym — i jazda w dół. Tankowanie w połowie drogi wypadło pośrodku pola barszczu Sosnowskiego, zarastającego w tym miejscu całą dolinę Riczki. Mżawka uniemożliwiała rozprzestrzenianie się toksycznych oparów, co wynagrodził nam nasz żil. Przez dłuższą chwilę po tankowaniu nie chciał odpalić. Zostaliśmy otoczeni obłokiem benzyny do tego stopnia, że zaczęliśmy się ostrzegać, aby przypadkiem nikt nie zapalał papierosa. Ale za którymś razem żil zaskoczył i potoczył się dalej ku Rafajłowej.

Zajechawszy umyśliśmy się i w oczekiwaniu na obiadokolację poszliśmy jeszcze do sklepu zobaczyć, czy czegoś nie kupić na powrót do Polski. Po namyśle zdecydowaliśmy jednak, że lepiej będzie zatrzymać się w tym celu gdzieś indziej, bo będzie taniej.

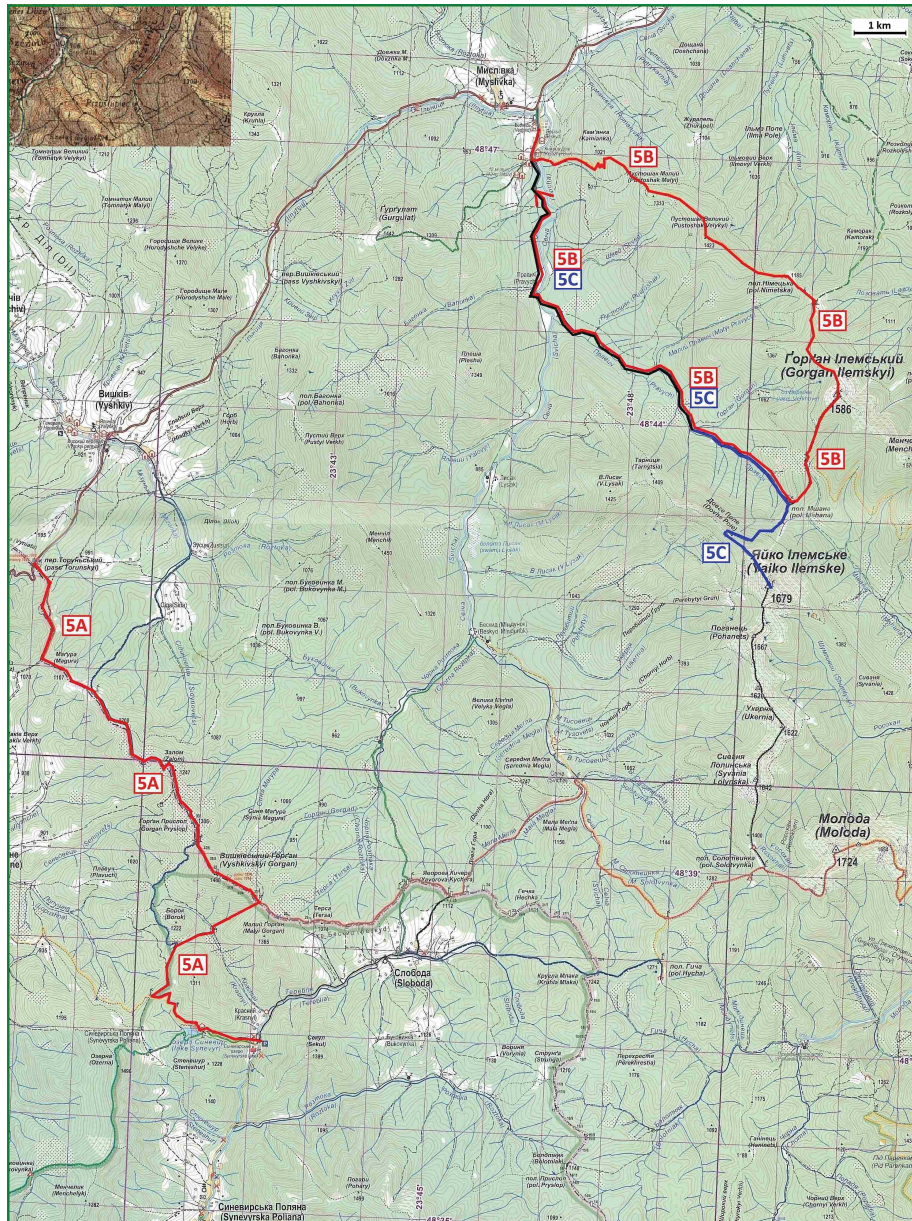
Rankiem — ostatni widok na zapłakaną od deszczu Rafajłową. Obiektywnie rzecz biorąc wyjazd był udany, zdobyliśmy wszystkie cztery planowane szczyty, z czego trzy w dobrych lub nawet bardzo dobrych warunkach. Odczarowałem Przełęcz Legionów, na którą cztery lata wcześniej nie było dane mi dotrzeć. A jednak pozostało coś, co kazało mi myśleć, żeby tu jeszcze powrócić. Z wyjątkiem samej Bratkowskiej — całe pasmo Czarnej Połoniny.



Fot. 9: Doboszanka



Fot. 10: Widok z Sywuli na Ithrowiec



Trasy wycieczki 5: 5A na Gorgan Wyszowski i do Jeziora Synewirskiego; 5B na Gorgan Ilemski; 5C na Jajko Ilemskie.

Odcinek zaznaczony na czarno jest częścią trasy 5C pokonaną za pomocą lokalnego transportu terenowego; ten sam odcinek podczas trasy 5B pokonany był pieszo.

5

Pomysł na kolejną wycieczkę w Gorgany zjawił się nagle. Za ledwie miesiąc wcześniej wróciłem z Rafajłowej. Planowałem wyjazd do Rumunii w Retezat, kiedy mój rumuński znajomy napisał do mnie, że nic z tego. Uzyskał roczne stypendium na wyjazd do Szanghaju, czego się nie spodziewał, gdy się ze mną umawiał. Pozostałem więc sam — w środku lata, z zaklepanym terminem na wyjazd. Nie chciało mi się przedsięwziąć samotnej wyprawy do Rumunii. Rozglądając się za innymi propozycjami wyjazdu w tym samym terminie natrafiłem na propozycję PTTK Rzeszów p.t. „Gorgany Zachodnie”. Zamierzałem jechać w tamten rejon, ale zamiar przekładałem na później, bo inne rejony wydawały się mi bardziej atrakcyjne. Teraz jednak nastąpił taki zbieg okoliczności, dlaczego by go nie wykorzystać?

W planach wycieczki był pierwszego dnia Gorgan Wyszkowski, drugiego — Gorgan Ilemski, trzeciego — Jajko Ilemskie, a czwartego — na dzień wyjazdu — Chom. Niemalże w ostatniej chwili omal że nie przyszło mi zrezygnować z wyjazdu — rozboleł mnie ząb. Dentysta popatrzył, poborował, założył fleczer i powiedział, że przez tydzień wytrzyma.

Wyjazd z Rzeszowa był na noc. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że pilotem jest ponownie Ula, a przewodnikiem — znowu Sasza. Zupełnie jak gdyby kontynuacja poprzedniej wycieczki, gdyby nie to, że uczestnicy byli inni — choć nie do końca: trzy osoby były te same!

Autokar był za to inny — z innej firmy — PKS Sędziszów Małopolski. Kierowcą był Ormianin posiadający prawo pobytu i prawo pracy w Polsce, na imię miał Aram. Czarnowłosa i korpulentny. Niestety, okazał się także czarnym charakterem tego wyjazdu. W jego rękach tachograf potrafił się zmienić w rodzaj pistoletu, ale potrafił również uprzykrzać życie i bez tachografu.

Granicę w Medyce przekroczyliśmy po północy, o trzeciej nad ranem na obwodnicy Lwowa zabraliśmy Saszę, po czym przed piątą rano zajechaliśmy do Stryja. Tam na stacji benzynowej Aram zarządził godzinny postój twierdząc, że taki ma przepis. Potem potoczyliśmy się przez Bolechów do Doliny (miejscowości o tej nazwie), skąd skierowaliśmy się w górę doliny Świcy. Przejechaliśmy przez Ludwikówkę, nazywaną się teraz Myśliwką, potem przez Przełęcz Bahonkę, nazywaną się teraz Przełęczą Wyszkowską, Wyszków i na Przełęcz Wyszkowską, nazywaną się teraz Przełęczą Toruńską. Zamieszanie z tymi nazwami straszne, nb. Przełęcz Toruńska pochodzi on nazwy wsi Toruń po drugiej stronie Karpat, dawniej z węgierska nazywanej Toronya — po węgiersku coś w rodzaju „wrota”; nie ma to nic wspólnego z grodem Kopernika oprócz zbieżności nazwy.

Na Przełęczy Wyszkowskiej — wysiadka. Aram ponaglał nas, żeby zrobić to jak najszybciej. Mieliliśmy wsiąść do autokaru w Synewirze, do którego Aram miał — dookoła gór — ze 70 kilometrów, a według niego jeszcze tylko 2 go-

dziny czasu do regulaminowej 9-godzinnej przerwy w kierowaniu autokarem. Wskoczyliśmy więc z autokaru nieco na łapu-capu, niekoniecznie pamiętając o zabraniu wszystkich rzeczy potrzebnych na wycieczce — a Aram czym prędzej odjechał. Przełęcz jest dość ciekawym miejscem. Przed drugą wojną światową było tu przejście graniczne, stało tu również schronisko turystyczne PTT. Zachował się cmentarz żołnierski z pierwszej wojny światowej, austriacki. Na kamiennych krzyżach widnieją nazwiska chyba wszystkich nacji cesarstwa, ale o dziwo — ponad połowa jest polska. Po schronisku nie zachował się żaden ślad. Co prawda istnieje kawał muru oporowego podobny do fundamentu schroniska, ale jest za krótki i za wysoki. Osłania jakąś ziemną konstrukcję niewiadomego celu — jak gdyby bunkra, ale zbudowanego z płyt betonowych. Konstrukcja ta ma wymiary ze 3 metry na 4, wysoka jest na 3 metry i do połowy wkopana w ziemię. Stoi po tej samej stronie drogi, co cmentarzyk. Po drugiej stronie drogi jest parking i kilka stołów piknikowych. Obrazu dopełniały dwa ogromne znaki witające przejezdnych na terenie *oblasti* (obwodów) zakarpackiej i iwanofrankiwskiej oraz równie duży billboard administracji lasów propagujący ochronę przyrody. Na billboardzie widniała tleniona blondyna w mundurze leśniczyny ze spódniczką mini, w typie tzw. blachary.

Nie było co tu więcej robić. Ogarnęliśmy się i w trasę. Prawdę mówiąc — czułem się nieco rozczarowany. To tak mają wyglądać zachodnie Gorgany? Szliśmy wszak głównym grzbietem karpackim — ale wyglądało to tak: po lewej i po prawej stronie wysokie na 20 metrów drzewa, pomiędzy nimi po grzbiecie dwudziestometrowa przecinka. Biegnie nią gruntowa droga, czasami natrafiając na błotko rozchodzi się na warianty, potem się zbiega. Tu trzydzieści metrów do góry, to znowu dwadzieścia metrów w dół, co sto czy dwieście metrów lekki zakręt w lewo lub prawo. Tam, gdzie nie ma drogi, rosną chaszczce, względnie dziurawiec na chłopa wysoki. W sumie niewiele to odbiegało od wędrowania graniczną przecinką gdzieś w Beskidzie Niskim albo w zachodnich Bieszczadach w rejonie Gmyszów Wierch, Bubniów Wierch, Wierch nad Łazem. Trafił się w końcu drogowskaz turystyczny na boczny szlak do jakiejś wsi, a przez prześwit w drzewach fragment widoku na Jajko Ilemskie, Sywanię Lolińską i Mołodę. Potem znowu nieciekawy las. W końcu poręba, za nią obniżona o jakieś 100 metrów przełęcz, a za nią duża góra. Sasza powiedział że to już Gorgan Wyszkowski. Gorgan? Taki zalesiony?

Taki zalesiony. Co prawda był i gorgan, ale potem, już na zejściu. Wejście prowadziło zwyczajnie — lasem i przypominało nieco wejście od północy na Baranią Górę, z tą różnicą, że ścieżka tutaj była węższa i od czasu do czasu były stare graniczne słupki. Szczyt Gorganu Wyszkowskiego niczym się nie wyróżniał poza tym, że oprócz słupka dawnej granicy stał na nim inny słupek z literami TSH. Takie zagadkowe słupki czasami występują na szczytach w głównym grzbiecie Karpat oraz na Zakarpaciu. Przez prześwity w drzewach widać było fragmenty pasma Jajka Ilemskiego, Mołody i Popadii. Lepszy widok otworzył się na zejściu podczas pokonywania pola gorganu, które wreszcie uzasadniło nazwę szczytu.

Po przejściu gorganu osiągnęliśmy przełęcz, przez którą przechodziła gruntowa droga. Niewiarygodnie stroma. Skręciliśmy w nią w prawo w kierunku Jeziora Synewirskiego, ale ciężko nią nawet było schodzić. Nachylenie miała jak nic 30 stopni — zastanawialiśmy się, jakie to pojazdy mogą z tej drogi korzystać. Może czołgi? Schodząc na piechotę miejscami robiliśmy zakosy, bo się nie dało inaczej. Zejścia na pysk było z pięćset metrów, po czym skręciliśmy w prawo na

ścieżkę prowadzącą w boczną dolinkę — do góry. Tym razem łagodnie, ale za to długo. Grzbiet osiągnęliśmy po dobrej pół godzinie. Wędrowaliśmy teraz lasem — to grzbietem, to trawersami, pozornie bez sensu, nieznacznie się obniżając. W końcu weszliśmy w stary rzadki las i przez drzewa w oddali ujrzeliśmy tafłę jeziora. Schodziło się do niego jeszcze długo, powoli obniżającym się trawersem.

Nad Jeziorem Synewirskim znaleźliśmy się jak gdyby w innym świecie. Tuż po wyjściu z leśnej dziczy natrafiliśmy na duży pomost nad jeziorem, obok trzy knajpy i kilka straganów z pamiątkami, pełno samochodów, pomimo że — jak się potem przekonaliśmy — obowiązywał tu zakaz ruchu, a parking turystyczny był w odległości 2 km. Wokoło było pełno ludzi — na kocach lub karimatach, niektórzy siedzieli na turystycznych krzeselkach. Inni zaś spacerowali wokoło, najczęściej z butelkami piwa w rękach. Po samym jeziorze pływała tratwa również pełna ludzi. Jezioro Synewirskie jest największym zbiornikiem wodnym w ukraińskich Karpatach. Pośrodku ma niewielką wyspę. Jest bardzo malowniczo położone, ale w jego popularności największą rolę grają chyba sława samego miejsca i łatwość dostępu. Ale same atrakcje turystyczne tego miejsca jakoś nam nie pasowały. W knajpach wszystkie stoliki były zajęte — można było kupić coś na wynos, ale zgodnie z lokalnym obyczajem trzeba byłoby długo czekać. Stać innym ludziom nad głowami? Czy iść na spacer po to, by wracając dowiedzieć się, że nasze zamówienie anulowano, skoro poszliśmy sobie? Piwo było tanie, sprzedawane w ogromnych półtoralitrowych plastikowych butelkach i — okazało się — wyjątkowo niedobre. Pamiątki — raczej nie dla nas. Przecież sobie nie kupimy czerwono-czarnej banderowskiej czapeczki z pięciocentymetrowej wielkości tryzubem na otoku. Ani plastikowej repliki kałasznikowa „*sdielano w Kitaje*”, bo po co nam coś takiego? Ciągnęło nas na przejażdżkę tratwą, ale okazało się, że trzeba się w tym celu zapisywać na kilka godzin przed. Po co? Nie byliśmy w stanie odgadnąć.

Obejrzeliśmy więc jezioro, po czym zeszliśmy 2 km do parkingu turystycznego, gdzie stał nasz autokar. Był jednak zamknięty, a Arama nie było nigdzie widać. Chodziliśmy przez chwilę po parkingu w nadziei, że kierowca się pojawi, zdenerwowani, ponieważ byliśmy już głodni, a nawet jeśli ktoś miał jeszcze coś do jedzenia w plecaku, to absolutnie nie można było tego spożyć w tym miejscu. Przy parkingu stał bowiem publiczny szalet z którego rozchodził się niesamowity odór na całą okolicę. W końcu Sasza się zniecierpliwił i zatelefonował do Arama. Okazało się że Aram jest, tyle że leży w autokarze i śpi. Przyjechał do Synewiru o 9:30 rano i zgodnie z tachografem ma 9 godzin czasu wolnego, a więc do 18:30. Była zaś 16:30. Aram łaskawie się zgodził na chwilę otworzyć autokar, żebyśmy mogli pozostawić niepotrzebne rzeczy, ale potem mamy sobie gdzieś iść, ponieważ jego obowiązuje odpoczynek.

Poszliśmy więc drogą w dół — trudno było czekać przez 2 godziny w tym smrodzie. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie pójść do odległego o 3 km muzeum lasu i spławu drewna, wprawdzie zniszczonego kilka lat wcześniej przez powódź, ciekawiło nas jednak, jak to może wyglądać. Jednak mając tylko dwie godziny, musielibyśmy zwiedzać w tempie japońskim, a przecież mieliśmy już dzisiaj w nogach te kilometry — może nie za wiele, ale ze 20 na pewno. Ponadto Sasza wyrażał nadzieję, że może Aramowi się coś odmieni i postanowi uruchomić się szybciej o pół godziny czy kwadrans. Mogło nie wystarczyć czasu.

Jakieś pół kilometra poniżej parkingu znalazła się za to knajpa o nazwie „Kolyba”. Nie docierał tu już smród i weszliśmy do środka. Menu było ubogie, ale ceny niewygórowane — pozamawialiśmy sobie barszcz ukraiński i szaszłyki,

placąc po 40 hrywien na osobę. W ten sposób zeszedł nam czas, po czym powróciliśmy do autokaru. Aram był już na nogach, otworzył autokar, ale gdy zobaczył że większość nas już dotarła, dokąś sobie poszedł i nie było go przez pół godziny. Jazda do Wołowca malowniczymi drogami trwała około półtorej godziny. Zmęczeni po wędrowce i poprzedniej nocy spędzonej w autokarze przysypialiśmy.

W Wołowcu zostaliśmy zakwaterowani w hotelu niedaleko dworca. Byliśmy tak zmęczeni, że szybko przełknęliśmy obiadokolację i rozeszliśmy się do pokoi spać. Dopiero następnego dnia wymienialiśmy wrażenia, a było co wymieniać. Przede wszystkim — pociągi. Dworzec leżał tuż obok, a była to główna linia kolejowa Lwów–Czop. Ruch był spory, przy czym jakoś tak był zorganizowany, że w Wołowcu przystawały wszystkie pociągi — zarówno osobowe, jak międzynarodowe w rodzaju ekspresu Moskwa–Wiedeń, a także wszystkie pociągi towarowe. Zgodnie z jakimś kolejowym przepisem każdy pociąg pasażerski ruszający ze stacji dawał znak syreną. Pociągi towarowe tego nie robiły, za to zatrzymywały się i ruszały z niesamowitym szczękiem i zgrzytem, które mogłyby umarłego obudzić. Ponadto wielu z nas miało przeróżne ciekawostki w pokojach. Największą był niewątpliwie różowy słoń. Był pluszowy, wysokości około metra, ubrany w indyjskie ozdóbki i ustawiony tak, żeby siadając na nim można było oglądać telewizję. W porównaniu z tym moja ciekawostka wyglądała blade. Polegała na tym, że kiedy zamykało się drzwi do łazienki, gasło w niej światło. Trzeba było się myć, kąpać i załatwiać potrzeby albo przy otwartych drzwiach, albo w ciemnościach.

Rano wstaliśmy wcześniej i szybko przełknęliśmy śniadanie, czekała nas bowiem ponad dwugodzinna jazda autokarem do Ludwikówki (Myśliwki), a dopiero stamtąd wyjście w góry. Pogoda była ładna, jadąc rozglądaliśmy się po okolicy. Przez Miżhirję i Toruń dojechaliśmy na znaną już nam Przełęcz Wyszkowską, a potem do Ludwikówki, gdzie skręciliśmy w boczną drogę do wsi. Po chwili zajechaliśmy na betonowy plac około 50 na 50 metrów. Przy placu stała przyczepa kempingowa pełniąca funkcję miejscowego sklepu, był również billboard zapraszający do hotelu „Wedmid” („Niedźwiedź”) w tejże Ludwikówce (Myśliwce). Zapytaliśmy więc Saszę, czemu to my dojeżdżamy do Ludwikówki z odległego Wołowca zamiast kwaterować tu na miejscu. Sasza wskazał na plac i wymalowane na nim symbole: „Widzicie? To jest lądowisko helikopterów. Bogaci biznesmeni z Kijowa przylatują tu swoimi maszynami na wypoczynek. Nawet nie ma sensu pytać o ceny w Wedmidu. Babka w tej przyczepie pilnuje, żeby nikt nie zastawił placu, a handlem jedynie sobie dorabia”. Ładne rzeczy!

Wysiedliśmy z autokaru, po czym Sasza dłuższą chwilę rozmawiał z Aramem, wyglądającym na bardzo niezadowolonego. Poszliśmy drogą w górę wsi. Z boku drogi widoczny był nasyp dawnej kolejki wąskotorowej, miejscami jeszcze były podkłady. Kolejka — jak wiele innych — przestała jeździć na skutek powodzi w 1997 r.; podobno zachował się jej 7-kilometrowy górny odcinek w dolinie Czarnej Roztoki, z przypadkowo tam znajdującą się jedną lokomotywą. Ale tam nie szliśmy; zresztą teraz pewnie już tego nie ma. Coś, co przestaje mieć cel istnienia, prędko popada w degradację. Minęliśmy kilka gospodarstw i drogowskazy turystyczne. Rzut oka na przedwojenną mapę WIG-owską tego rejonu wskazał, że obecna sieć szlaków turystycznych nic się nie różniła względem przedwojennej. Tylko kolory niektórych szlaków zostały zmienione. Niesamowite.

Przeszliśmy przez mostek na Świcy, a potem przez teren wyglądający na kemping. Stało tam szereg domków, ale wszystko było zamknięte i wyglądało

na opuszczone, pomimo że był środek lata. Ktoś to kupił i porzucił? Własność jakiejś upadłej komunistycznej organizacji? Nie wiadomo. Za kempingiem szlak wszedł na górskie zbocze i podchodził nim wśród lasu — to zakosami, to trawersem, a chwilami po prostej do góry. Przecieliśmy koryto potoku — można było się napić do woli i nabrać wody na zapas, co okazało się bardzo potrzebne, bo nie natrafiliśmy już na żadną wodę aż prawie do końca dnia, a robiło się już gorąco. Osiągnąwszy grzbiet Pustoszaka skręciliśmy nim w prawo i nadal szliśmy pod górę. Chwilę przerwy zrobiliśmy na niewielkim polu gorganu pod szczytem Małego Pustoszaka, z widokami na Gurgulat i Jajko Ilemskie. Zmartwiłem się, gdy podczas tej przerwy poczułem lekki ból i niemiły zapach od mojego zęba.

Dalsza trasa prowadziła dość monotoniście do góry ostrzem grzbietu. Ścieżka wiodła przecinką szerokości około dwóch metrów. Widoków żadnych. Co pewien czas wchodziło się na jakąś kulminację, o której myślało się, że to już jest Wielki Pustoszak, ale potem okazywało się, że po następnych stu metrach szlak prowadzi znowu do góry. Sam Wielki Pustoszak niewiele różnił się od tych innych wzniesień — wierzchołek był tylko bardziej rozległy, a zejście z niego bardziej konkretne i dłuższe. Zejście to doprowadziło nas na Połoninę Niemiecką.

Połonina Niemiecka jest bardzo urokliwym miejscem, aż dziwne, że nie doczekała się własnej famy czy legendy — jak chociażby Ruszczyzna, Płyśce, Sołotwinka czy Połonina Niżna. Zajmuje rozległą przestrzeń na grzbiecie, obejmując podwójne siodło przełęczy. Przez ponad pół godziny idzie się przez to morze traw. Niestety — prawie puste. Na tej wielkiej przestrzeni pasło się może kilkanaście sztuk bydła. Za Połoniną Niemiecką weszliśmy ponownie stromo w las, rozpoczęło się końcowe podejście pod Gorgan Ilemski. Przypomina ono jakieś gigantyczne schody — podchodzi się do góry najpierw stromo, potem teren wypłaszcza się imitując kopułę szczytową, po to tylko, by po wejściu na to, co się uważało za wierzchołek, w pewnej odległości ujrzeć początek kolejnego „stopnia”. Poszczególne stopnie różnią się jednak między sobą: pierwszy jest zupełnie leśny, drugi — w strefie skarłałego lasu, trzeci — na granicy lasu i kosodrzewiny, wreszcie ostatni — w samym piętrze kosodrzewiny. Kosówka nie jest tu wysoka i rośnie w kępach, a nie w łąkach. Dość łatwo wychodzi się na Gorgan Ilemski.

Z płaskiego wierzchołka Gorganu Ilemskiego (1580 m) roztacza się bardzo ładna panorama. Dominuje w niej od zachodu nieodległe Jajko Ilemskie z widocznym ogromnym żłebem spadającym ze szczytu. W kierunku wschodnim ciągnie się stąd tonące w kosodrzewinie pasmo Arszyicy prowadzące nad Osmołodę. W kosodrzewinie widoczna jest linia przecinki, a drogowy turystyczny pokazuje kierunek do Osmołody, ale zamiast czasu przejścia podaje słowo „żerep” — czyli kosodrzewina. Taka jest prawda. Wspomniana przecinka odcinkami jest, a odcinkami jej nie ma, kiedy się ją raz zgubi, pewnie niełatwo jest odnaleźć dalszą jej część. Pomiędzy Arszyicą a Jajkiem, niczym w ramach, ujęty jest widok na Gorgany Centralne. Dominuje w nich stosunkowo najbliższa Mołoda wraz z Jajkiem Perehińskim, za nią widoczne jest pasmo Grofeńskie. Lewa część panoramy jest dalej i obejmuje pasma Sywuli i Ihrowca. Widok zapiera dech w piersiach szczególnie, że idąc od Pustoszaka ten widok otwiera się tak nagle.

Wierzchołek pokryty jest luźnymi kamieniami, pośród których rosną niskie kępy kosówki. Po wieży triangulacyjnej istniejącej tu przed drugą wojną światową nie pozostał żaden ślad. W przewodnikach turystycznych są wzmianki o szczątkach samolotu, jaki miał się tu rozbić podczas wojny, ale również nie było żadnych jego śladów. Ze szczytu schodziliśmy na Prawicką Przełęcz — dawniejszą połoninę Mszana, która wszakże całkowicie zarosła lasem. Zejście

prowadziło wśród kosówki, przez pasmo lasu do rozległego pola gorganu — pole to jest doskonale widoczne np. z Jajka Ilemskiego. Strome, złożone z dużych i ruchomych głazów, sprawiło nam sporo trudności, po których zejście na przełęcz było banalne.

Na rozstajach szlaków pod Prawicką Przełęczą zatrzymaliśmy się na tyle, aby cała grupa zdołała się zebrać i rozpoczęliśmy zejście do doliny Prawicza. Czekano nas teraz około 10 kilometrów marszu doliną do samej Ludwikówki. Wtem, wśród idących na czele grupy dało się zauważyć poruszenie. Zaczęli się nagle rozbiegać ze ścieżki w las, bez wyraźnego powodu. Powód ten szybko dał o sobie znać w postaci brzęczenia. Ktoś z idących na przedzie nie zauważył gniazda os i na nie nadepnął. Rozszalałe owady rzuciły się do żądlenia wszystkiego, co się ruszało. Na szczęście ja byłem od tego daleko i unikałem żadeł, ale tak jak wszyscy z końca grupy musiałem obchodzić feralne miejsce szerokim łukiem po chaszczach. Idący na początku grupy nie mieli tyle szczęścia. Rekordzista otrzymał 7 użądleń, chociaż sprawca — tylko 3. Oddalaliśmy się z tego miejsca jak potrafililiśmy najszybciej, mnie zaś — nie wiadomo, czy z powodu wrażenia, czy zmęczenia coraz bardziej bolał ząb.

Osiągnęliśmy drogę i od tego miejsca nasz marsz był łatwiejszy. Ponieważ droga prowadziła prosto do Ludwikówki, Sasza oznajmił, żeby każdy szedł własnym tempem. Mieliśmy spotkać się przy autokarze. Dolina Prawicza okazała się odludnym miejscem — długa i pusta. Wiele jednak wskazywało, że dawniej taka nie była — nie tylko przedwojenna mapa WIG, ale i pozostałości starych sadów, tu i ówdzie podmurówki domów, a nawet samotnie stojące kominy. Zapytałem Saszę, co takiego tu się stało. Odpowiedział, że to działanie komunistycznych władz — ludzie dostali nakaz przeprowadzki do kolchozowych bloków w Wyszkwowie lub Seneczowie — pozwolono pozostać wyłącznie ludziom starym, którzy w kolejnych latach powymierali. Młody, jeżeli nie chciał się przeprowadzić, uznawany był za wroga władzy robotniczo-chłopskiej, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ja jednak skłonny jestem podejrzewać nieco inną historię. W pobliskich Bieszczadach Wschodnich tradycja Bandery i UPA jest wyjątkowo żywa. Tutaj góry są większe, a teren jeszcze dzikszyszy. Podejrzewam, że to był po prostu lokalny matecznik UPA i władza radziecka wysiedliła ludność — podobnie jak wysiedlono ludność z polskich Bieszczadów podczas akcji „Wisła”, z tą różnicą, że nie było potrzeby wywożenia ludności w odległą stronę. Ludność przesiedlono do kolchozów pod czujne oczy politruków. Możliwe, że po likwidacji UPA osobom starym niepotrzebnym w kolchozach rzeczywiście pozwolono wrócić, jeżeli ktoś jeszcze miał do czego. W każdym razie dolina Prawicza przypominała mi dolinę Wisłoki gdzieś spod Nieznajowej, jedynie góry wokół były tak trzy razy wyższe.

Droga niemiłosiernie się dłużyła, a do tego mnie coraz bardziej pobolewał ząb. Wziąłem tabletkę przeciwbólową, po której szło mi się jeszcze gorzej. Zaczęło mdlić, bo wziąłem ją na pusty żołądek, zjeść nie było można, bo nie można było się zatrzymać. Sasza gnał w dół jak szalony — dopiero potem okazało się, że z powodu Arama. A ja wlokłem się w ogonie.

Przeszliśmy przez most nad Świcą zbudowany z ogromnych rur. Dalej droga się poszerzyła, a teren stał się bardziej płaski. Szedłem na końcu grupy razem z jedną uczestniczką oraz pilnującą końca Ulą. Pozostałe osoby dawno znikły nam z pola widzenia, gdy nagle na tej dziurawej leśnej drodze zobaczyliśmy nasz autokar. Sasza przekonał Arama aby wyjechał naprzeciw. Wyjechaliśmy bowiem z Wołowca o 7 rano a była 17-ta. Aram twierdził zaś, że on może

pracować tylko przez 13 godzin od chwili rozpoczęcia pracy i o 20-tej będzie się musiał zatrzymać na 9 godzin, gdziekolwiek by był. Gdyby nasz powrót do Ludwikówki się opóźnił, moglibyśmy nie zdążyć wrócić do Wołowca przed upływem tego czasu.

Wsiadliśmy do autokaru, ale Aram wyraźnie był niezadowolony z tego, że wjeżdżał po nas na tę drogę. Potłukliśmy się z dziesięć minut po wybojach do znanego już nam placu-ładowiska, a potem już dalej szosą przez Wyszków i Toruń do Miżhirji. Tam nastąpiła niespodzianka. Aram zatrzymał się przy skrzyżowaniu dróg i poszedł do stojącego tam sklepu. Gdy wrócił, włączył silnik i zaraz go wyłączył, po czym kazał wszystkim wysiadać. Twierdził, że jest mało paliwa i musi zatankować, a nie wolno mu tego robić z pasażerami na pokładzie. Wsiadliśmy, a on odjechał w kierunku centrum Miżhirji. Nie było go ponad godzinę, przez którą my — głodni i zmęczeni wałęsaliśmy się wokół skrzyżowania, dodatkowo cierpiąc od zapadającego wieczornego chłodu. Nasze wszystkie rzeczy pojechały w autokarze, bo nikt nie myślał, że z tym tankowaniem zejdzie tak długo. Lokalny sklep był wyjątkowo biedny — oprócz alkoholu i papierosów można w nim było kupić wyłącznie konserwy.

Aram w końcu wrócił po nas z miną triumfatora, wsiadliśmy i pojechaliśmy w kierunku Wołowca. Na jakieś 15 kilometrów przed celem zatrzymaliśmy się w miejscowości Pilipiec, pod jakimś hotelem — Aram stwierdził że wybiła godzina 20 i dalej nie jedzie. Wybuchła awantura pomiędzy nim, Ulą i kilkoma najbardziej zdesperowanymi uczestnikami, ostatecznie Aram uległ i ruszyliśmy dalej. Aram gnał jak wściekły ryzykując wypadnięcie z zakrętów, a filary wiaduktu kolejowego minęliśmy o włos. W Wołowcu nonszalancko skręcił w lewo pod hotel, zajeżdżając drogę jakiejś ładzie, która nie omieszkała nas obtrąbić. Poszliśmy do pokoi się umyć, zjedliśmy szybko opóźnioną obiadokolację. W hotelu zapytałem się o możliwość zakupu pieczywa — potrzebne mi było na jutro na wycieczkę. Dowiedziałem się, że w kuchni pieczywa nie dostanę, ale niedaleko jest całodobowy sklep. Wołowiec jest dziwną miejscowością — nie może być miastem, ponieważ jest za mały, nie jest również wsią, ponieważ nie ma tu gospodarstw ani wiejskich chałup — chyba że nieliczne na obrzeżach. Przez osadę przebiega droga — w górnej części znajduje się rozwidlenie — oraz linia kolejowa. Prawie cała zabudowa zajmuje obszar pomiędzy drogą a koleją i składa się głównie z obrzydliwych bloków z wielkiej płyty. Gdzieś pomiędzy tymi blokami tkwił *mahazyn* otwarty *deń* i *nicz*. O tej porze — po zmierzchu — stanowił centrum zainteresowania miejscowego pijactwa, że aż bałem się, czy mnie nie zaczepią. Sklepowa bardzo się dziwiła, że nie po alkohol przyszedłem, ale chleb sprzedawała.

Kolejny dzień wstał równie pogodny. Nauczony wczorajszym doświadczeniem wziąłem tabletkę przeciwbólową już przy śniadaniu. Dzisiejszym celem było Jajko Ilemskie, najwyższy z zaplanowanych szczytów. Przejazd — ponownie do tej samej Ludwikówki. Drogę już doskonale znaleźliśmy. W Ludwikówce wysiedliśmy na tym samym ładowisku co wczoraj, ale zamiast wyruszać pieszo, czekaliśmy na gruzawika, Sasza obgadał jego wynajęcie poprzedniego dnia. Uchroniło nas to od konieczności marszu tą samą doliną Prawicza, którą schodziliśmy poprzedniego dnia, ale przyczyna wynajęcia gruzawika była zupełnie inna: konieczność wyrobienia się w ciągu 8 godzin z wycieczką na Jajko, tak aby czas pracy Arama licząc od wyjazdu z Wołowca do powrotu nie przekroczył 13 godzin.

Gruzawikiem dojechaliśmy prawie do miejsca, gdzie poprzedniego dnia mieliśmy przygodę z osami. Szybko wyszliśmy na Przełęcz Prawicką. Niebieski szlak na Jajko Ilemskie był świeżo wyznakowany, oznakowanie błyszczało nowością. Sasza swoim zwyczajem popędził przodem wraz z kilkoma najszybszymi uczestnikami, reszta zaś rozciągnęła się na dużej długości. Ale przy tym oznakowaniu aby się zgubić, trzeba by to zrobić specjalnie. Szło mi się nadzwyczaj ciężko. Szlak doprowadzał do Długiej Polany na północno-zachodnim ramieniu Jajka, gdzie po wyjściu z lasu następował zwrot w lewo o prawie 180 stopni. Teraz z pół kilometra trawami, a potem klucząc na skraju urwiska pomiędzy kosówką, jałowcami i jarzębinami wyszedłem na kopułę szczytową. Do wierzchołka dotarłem jako jeden z ostatnich.

Jajko Ilemskie (1679 m) jest szczytem bardzo widokowym. Sto metrów w górę względem Gorganu Ilemskiego robi różnicę. W dalekim planie widok jest podobny. W bliskim — dominuje przede wszystkim ogromny wał Mołody wraz z pobliskim Jajkiem Perehińskim. Z Jajka Ilemskiego dobrze też widać pasmo Arszyicy i można wyróżnić jej kolejne niewybitne wierzchołki: Menczelyn, Niwkę, Menczelyk, Nerjedów, Spaskie itd., niesamowite nazwy. Doskonale też widać było barbarzyńskie zręby zupełne na stokach Arszyicy — obecne i dawne, w różnych stadiach zalesienia samosiewem. W dole ciągnęła się dolina Mszany — ku Osmołodzie, której wszakże nie było widać, schowanej za zakrętem doliny. Widać było jedynie pagór z masztem telefonii komórkowej nad wsią. Jak to wszystko wydawało się blisko!

Jako że szczyt nazywał się Jajkiem — Sasza zaskoczył wszystkich, wyciągając z plecaka ze 40 jajek ugotowanych na twardo — do rozczęstowania. Niesamowity pomysł. Skądinąd „Jajko Ilemskie” to interesująca nazwa dla szczytu. Kopuła szczytowa widziana z Długiej Polany rzeczywiście zdaje się przypominać jajko, ale tylko z tego kierunku skojarzenie jest tak oczywiste. Niemniej — Ilemskim nazywa się dla odróżnienia od Jajka Perehińskiego, dobrze stąd widocznego, a bynajmniej nie przypominającego jajka swym kształtem. Skąd więc te nazwy?

Powrót po zaledwie pół godzinie nastąpił tą samą drogą. Idąc w przeciwną stronę, z Długiej Polany dobrze widać było nieodległy Wielki Gurgulat, a po drugiej stronie doliny Świcy wysoką górę całą w wyrobach, można było wyobrazić sobie, jak bardzo zniszczoną przez ciężki sprzęt leśny. To był Chom, nasz plan na dzień jutrzejszy. Wszyscy byliśmy zde gustowani, Sasza zaproponował więc, żeby następnego dnia zamiast na Chom pójść na Gurgulat. Nie było głosów sprzeciwu.

Na znanym nam szlaku, przemierzonym dopiero co w przeciwną stronę, bardzo się rozciągnęliśmy, przy czym ja szedłem na końcu, tak mi było ciężko. Zastanawiałem się, czy to może z powodu tabletki przeciwbólowej, którą rano zażyłem — ale przecież teraz po siedmiu godzinach powinna była przestawać już działać. Przeklinałem też Saszę i jego pomysł z jajkami na twardo, bo choć od zjedzenia go na szczycie minęła już ponad godzina, nadal czułem w ustach smak jajka — i to zepsutego. Do czekającego na nas gruzawika schodziliśmy się ponad pół godziny. Podczas jazdy na wybojach doznawałem kolejnych uderzeń smaku zgniłego jajka. To nie było to nieszczęsne jajko — to była ropa. Niedobrze. Na szczęście następny dzień miał być już ostatnim dniem naszej wycieczki. „Jakoś przetrwam” — pomyślałem.

Dojechaliśmy do lądowiska, a tymczasem naszego autokaru z Aramem nie było — chociaż według umowy miał czekać. Sasza telefonował do niego na ko-

mórkę, ale nie odpowiadał. Myśleliśmy, że może dojeżdża do nas i jadąc nie może rozmawiać, ale minęło pół godziny, potem godzina — a tu ani widu autokaru, ani słyhu od Arama. Uła z Saszą zaczęli się zastanawiać, co robić — do Wołowca było stąd ze 60 kilometrów i brak bezpośredniej komunikacji. Do Miżhirji jeszcze można by się jakoś było dostać, ale ponieważ Wołowiec ma ze światem połączenie kolejowe, to kursów autobusowych pomiędzy Miżhirją a Wołowcem było — nie byliśmy pewni — czy dwa, czy trzy na dobę. Na pewno nie zdążylibyśmy. Wśród wymiany niespokojnych zdań Sasza od czasu do czasu ponownie telefonował do Arama i wreszcie za którymś razem Aram odebrał. Był w Dolinie — to znaczy w miasteczku nazywającym się Dolina. Nie wiadomo, po co tam pojechał, ale na bazarze spotkał swoich krajan — Ormian, wdał się z nimi w rozmowę, a że był gwar, nie słyszał telefonu. Tak się przynajmniej tłumaczył. Z Doliny do Ludwikówki jest 35 kilometrów, tak więc przyszło nam czekać na Arama jeszcze przez godzinę.

Powrót do Wołowca przebiegł tylko z jednym nieprzewidzianym zdarzeniem. Mianowicie w Miżhirji Aram niespodziewanie skręcił do centrum miejscowości zamiast do Wołowca. Zatrzymał się po kilkuset metrach i dokądś poszedł, zostawiając nas zamkniętych w autokarze. Wrócił po dziesięciu minutach niosąc ze dwadzieścia kartonów papierosów, przewiązanych sznurkiem.

Za to podczas obiadokolacji Sasza niespodziewanie ogłosił, że z przyczyn organizacyjnych nie możemy pójść jutro na Gurgulat. Według niego nie wystarczyłoby czasu, aby wejść na szczyt, zejść z niego i jeszcze tego samego dnia wrócić do Polski, jak to było planowane. Dla rozczarowanych zaproponował w zamian wycieczkę na wschód słońca na Woskriesieński Wierch, zwany inaczej Tomnatykiem Borżawskim. Była to najbliższa wysoka góra nad samym Wołowcem, zaliczana do pasma Połoniny Borżawy. Większość uczestników zaakceptowała ten pomysł. Wyjście z hotelu miało być o 2:30 w nocy.

Przyczyną zamieszania był oczywiście Aram. Gdy usłyszał o planach na następny dzień, zaproponował, że on musi mieć swoje rozkładowe i nierozkładowe przerwy w pracy i jeżeli byśmy wyjechali z Wołowca o 7 rano do Ludwikówki, a potem ruszyli stamtąd około 14-tej, to gdzieś w rejonie Lwowa Aram musiałby zakończyć pracę i przenocować, a jechać dalej mógłby dopiero następnego dnia.

Poszliśmy więc spać szybko, noc bardzo krótka — a właściwie to połowa nocy. Wychodziliśmy na trasę w całkowitych ciemnościach, nie licząc światła gwiazd i tego docierającego ze stacji kolejowej. Poszła nas siedemnastka. Przeszliśmy pod wiaduktem kolejowym, następnie koło ostatnich domów Wołowca, drogą wśród łąk dotarliśmy do lasu. Potem — nadal w ciemnościach — przedzieraliśmy się przez jakiś jar, by dojść do starej leśnej drogi, która wyprowadziła nas na połoninę. Niestety spóźniliśmy się na ten wschód słońca. Już dniało. Do szczytu zwieńczonego prawosławnym krzyżem było niedaleko, ale dotarliśmy tam gdy słońce było już na wysokości dwóch swoich tarcz nad horyzontem. Przepiękne widoki na Borżawę — na Wielki Wierch. W drugą stronę wręcz niesamowicie prezentował się Pikuj. Kto by pomyślał, że w Bieszczadach występują ponad kilometrowe różnice wysokości? Pikuj ma 1406 metrów, Wołowiec leży na zaledwie 320. Ale zarówno Borżawa, jak Pikuj, to nie są Gorgany. Z Woskriesieńskiego Wierchu zeszliśmy inną, łatwiejszą trasą. Zastanawialiśmy się, po co w tamtą stronę pchaliśmy się w nocy przez ten okropny jar, który kosztował nas spóźnienie się na wschód słońca? Zapewne Sasza pomylił się w prowadzeniu nas, tylko się do tego nie przyznał.

Do Wołowca wróciliśmy przed 9-tą, w sam raz na śniadanie. Nie za bardzo mi smakowało w sytuacji, gdy cokolwiek jadłem, miało to posmak ropy. Odjazd zarządzono o 10-tej. Zebraliśmy się przy autokarze, ale Arama nie było. Spóźnił się pół godziny. Gdzie był — nie chciał powiedzieć. Ruszyliśmy kolejny raz dobrze już nam znaną trasą przez Miżhirję, Toruń i Wyszków. Minęliśmy Ludwikówkę, oglądając z daleka z prawej Gurgulat, a z lewej Chom, na które nie dane nam było wejść. Jadąc wzdłuż Świcy tu i ówdzie dostrzegaliśmy nasypany zlikwidowanej wąskotorówki. W Dolinie skręciliśmy na Stryj i kawałek dalej zjechaliśmy na pobocze. Postój pół godziny — drugie śniadanie Arama.

Potem pojechaliśmy dalej, ale w Stryju znowu postój. Zjechaliśmy z trasy na jakieś wąskie uliczki na tyłach dworca kolejowego, kluczyliśmy przez chwilę, aż zatrzymaliśmy się koło cmentarza. Aram powiedział, że musi coś załatwić i wróci za pół godziny. Poszedł do pobliskiego domu. Nie mając nic lepszego do roboty, poszliśmy obejrzeć ten cmentarz. Interesująca była zwłaszcza jego stara część, bo nowa — z podobnymi do siebie nagrobkami z przedstawieniami osób zmarłych przekutymi z fotografii na kamień — była podobna do większości cmentarzy na Ukrainie. W starej za to zachowało się sporo starych grobowców z napisami po polsku. Popękanych, zmurszałych, omszałych. Co interesujące — aczkolwiek napisy były polskie, to prawie nie było nazwisk kończących się na „ski”. Większość nazwisk brzmiała z niemiecka, choć były spolszczone: Szmidt, Majer, Wagner, itp. Może to spolszczeni Niemcy czy schryścianizowani Żydzi? Tak czy owak musiała być to szczególna społeczność.

Aram wrócił spóźniony o piętnaście minut, targając ogromną torbę podróżną. Nie mógł zmieścić jej do bagażnika zajętego przez nasze plecaki, więc dwa z nich polecił zabrać do środka. Ze Stryja nie pojechaliśmy zbyt daleko. Ujechaliśmy jakieś 20 km i zatrzymaliśmy się pod dworcem w Mikołajowie. Aram oznajmił, że będzie miał teraz regulaminową jednogodzinną przerwę. Ponieważ złożyło się, że akurat zapowiadano pociąg ze Stryja do Lwowa, Sasza stwierdził, że nie będzie czekał. Pożegnał się z nami i pojechał pociągiem. My nie mieliśmy takiego wyboru. Pociąg odjechał, stacja opustoszała. Do centrum Mikołajowa było za daleko, by iść i oglądać, pozostała nuda.

Po godzinnym postoju ruszyliśmy dalej. Na obwodnicy Lwowa spotkał nas pech: jakaś potworna kraksa. Jedynie po znaczku na jednym z wraków dało się rozpoznać, że to było BMW, znaczka drugiego z wraków nie było widać, a w zmiażdżonej masie metalu nie można było rozpoznać co to było. Droga zablokowana. Trzeba było zawrócić, po trzech kilometrach skręcić i jechać przez miasto. Ten objazd zajął sporo czasu. Ze Lwowa pojechaliśmy w kierunku Medyki, ale zatrzymaliśmy się w Mościskach. Ponownie na godzinę. Aram wyjaśnił, że przepisy zabraniają mu jechać dłużej niż 4 godziny bez przerwy. Wprawdzie od postoju w Mikołajowie minęły dopiero 3, ale istniało prawdopodobieństwo, że czwarta godzina jazdy wybiłaby na pasie ziemi niczyjej — już po odprawie granicznej ukraińskiej, ale jeszcze przed odprawą polską. Ponieważ nie wolno się tam zatrzymywać, Aram byłby w sytuacji bez wyjścia. Nie mogąc zrobić przerwy złamałby przepisy o czasie pracy.

Wolny czas w Mościskach wykorzystaliśmy na przechadzkę po centrum i zrobienie drobnych zakupów. Zaskoczyła nas ilość polskojęzycznych napisów oraz to, że sporo miejscowych rozmawiało po polsku między sobą. Po przerwie ruszyliśmy, by ponownie zatrzymać się w Szechyniach. Aram poszedł tam do sklepu, zostawiając nas zamkniętych w autokarze. Po kwadransie wrócił z kilkoma butelkami wódki. Przez następną chwilę krążył wokół autokaru otwierając i za-

mykając kolejne bagażniki. To nie mógł tych zakupów zrobić podczas postoju w Mościskach?

Wreszcie granica. Bardzo długo czekaliśmy na odprawę — jakieś dwie godziny, i to pomimo że nie było kolejki. Podobno była jakaś awantura z prze-mytnikami po stronie polskiej — zarekwirowano im towar, oni zaś w proteście zablokowali przejście. Musiano ściągać posiłki straży granicznej z Przemyśla, aby usunąć siłą protestujących i wydalić z powrotem na Ukrainę. Ukraińscy pogranicznicy mieli pewne wątpliwości co do mnie, bo z powodu zęba nieco spuchłem i wyglądałem trochę inaczej niż na zdjęciu. Ale przyjęli wytłumaczenie. Obawiałem się też odprawy polskiej wiedząc o tych papierosach i wódce wiezionych przez Arama, ale najwyraźniej polscy celnicy mieli dość wrażeń na ten dzień i nie sprawdzali autokaru zbyt gorliwie.

Zajechaliśmy do Przemyśla. Aram podjechał pod dworzec i oznajmił, że jedzie już 12 godzin i w pozostałą godzinę nie zdąży dojechać do Rzeszowa. Więc rozpoczyna swoją regulaminową 9-godzinną przerwę, a dalej pojedzie dopiero rano. Musi też zamknąć autokar, więc mamy się zdecydować, kto jakie rzeczy zabiera — i won. Na szczęście za dwadzieścia minut z dworca odchodzi nocny pociąg pospieszny z Przemyśla do Wrocławia. Zmieniłem więc tylko środek transportu i pojechałem tym pociągiem do Rzeszowa, gdzie miałem zaparkowany samochód. Z Aramem się nie żegnałem. Obiecałem sobie tylko, że jeżeli kiedyś w przyszłości zapiszę się na wycieczkę i kierowcą okaże się Aram — to zrezygnuję.

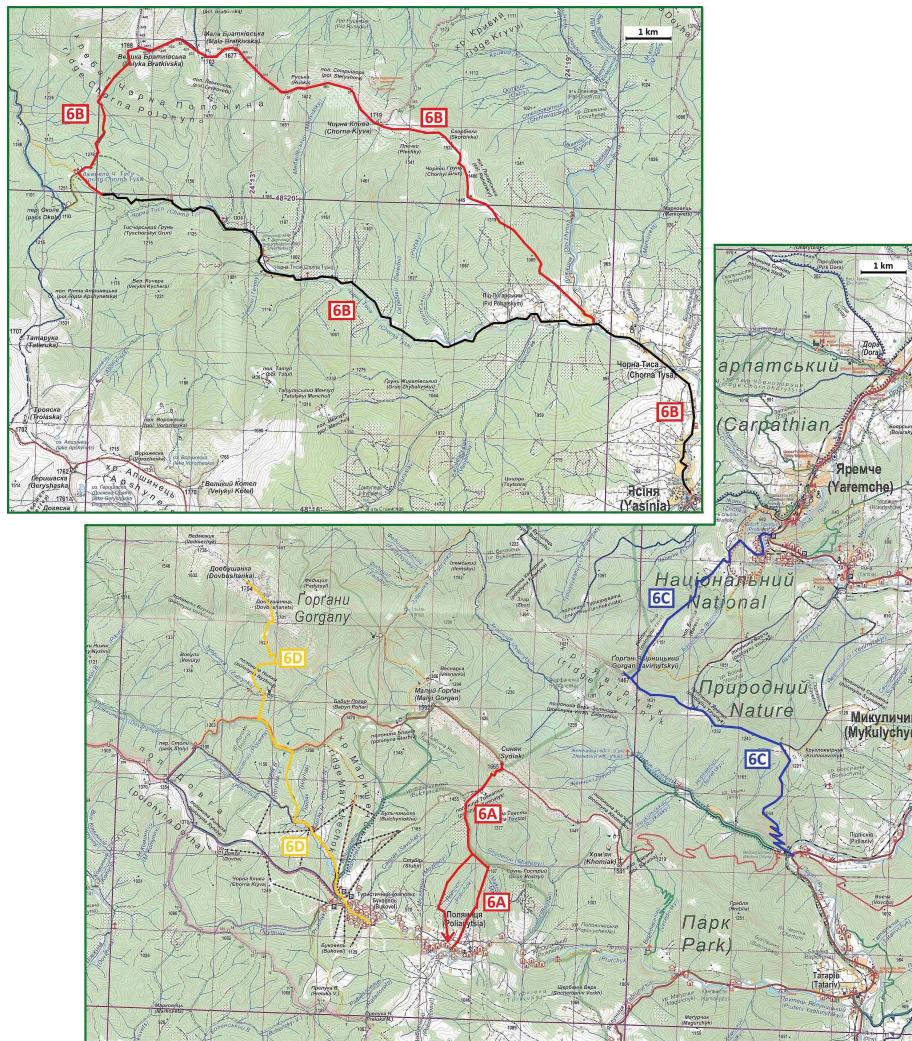
Ząb był niestety do usunięcia. Był zresztą taki jeszcze przed wyjazdem, gdyby się tylko chciało dentyście wykonać jego prześwietlenie. Nacierpiałem się niepotrzebnie.



Fot. 11: Połonina Niemiecka



Fot. 12: Jajko Ilemskie



Trasy wycieczki 6: 6A na Syniak; 6B na Bratkovską i Steryszorę; 6C na Jawornik Gorgan; 6D na Doboszankę.
 Odcinek zaznaczony na czarno został pokonany za pomocą lokalnego transportu terenowego.

6

Byłem już na kilku wycieczkach PTTK Rzeszów na Ukrainę, gdy biuro rozesała ankietę co do oczekiwań i pomysłów przyszłych wyjazdów. Zaobserwowano bowiem spadek zainteresowania ofertą i jako jedną z przyczyn uznano, że zbyt często realizowane są takie same albo bardzo podobne plany, co zniechęca starych bywalców do dalszych wyjazdów. Ze swej strony jako nowy cel wycieczki zaproponowałem Steryszorę w paśmie Czarnej Połoniny wraz z przejściem całej wschodniej części tego pasma od Bratkowskiej przez Małą Bratkowską i Ruską. Ku pewnemu mojemu zdziwieniu PTTK Rzeszów pomysł ten przyjął i wkomponował go w wycieczkę pod nazwą „Gorgany Wschodnie”. W ramach tego wyjazdu miały być jeszcze wejścia na Syniak, Jawornik Gorgan oraz Doboszanke. Na Doboszance już byłem, ale nie od tej strony, bowiem baza miała być w Polanicy. Na Syniak dotąd nie udało się mi wejść, a na Jawornik Gorgan jeszcze w ogóle nie próbowałem. Propozycja brzmiała atrakcyjnie.

Wyjazd był jak na ogół — na noc. Nauczony doświadczeniem z poprzedniego wyjazdu ustaliłem z pilotem, że do autokaru dosięgnę się w Przemyślu. Okazało się, że niepotrzebnie. Odprawa graniczna poszła bardzo szybko, tak że na obwodnicy Lwowa zjawiliśmy się przed czasem i czekaliśmy tam około kwadransa na Saszę. Dojechał taksówką. Godzinna przerwa wymagana przez tachograf kierowcy nastąpiła w Haliczu, gdzie dotarliśmy około 6:30 rano. Zatrzymaliśmy się pod lokalem z szyldem „Kafe-bar 24h”. Był on chyba znany Saszy, bo obsługująca nas zaspana barmanka traktowała go jak znajomego. Do nas za to łaśli się kot — piękne zwierzę o długiej sierści, przypominające trochę norweskiego kota leśnego. Zamówiliśmy kawę i z kawiarnianego ogródka podziwialiśmy widoczne na horyzoncie Gorgany, oświetlone porannym słońcem. Były one jednak na tyle daleko, że nie można było rozpoznać poszczególnych szczytów. Zapowiadał się piękny dzień i już ostrzyliśmy nasze apetyty na Syniak, wejście na który było zaplanowane jeszcze tego samego dnia, zaraz po przyjeździe.

Jednak gdy ruszyliśmy dalej, z pogodą zaczęło się dziać coś niedobrego. Poranne słońce przestało świecić. Niebo zaciągnęło się chmurami wysokiego pułapu, ale góry nadal były widoczne w oddali. Ale im jechaliśmy dalej, tym było gorzej. Gdy w Delatynie wjechaliśmy w dolinę Prutu, nad nami wisiały już ciężkie chmury, które snuły się po szczytach gór. Do Polanicy, do znanego już hotelu „Huculska Świtlycia” dojechaliśmy około 10-tej. Zakwaterowaliśmy się. Szczyty gór tonęły we mgle, ale skoro nie padało — to wymarsz zgodnie z planem. Może przewieje te chmury — myśleliśmy, zwłaszcza że wiatr był dość silny.

Wprost z hotelu rozpoczęliśmy podejście na górski stok. Minęliśmy kilka domostw zastanawiając się, jak ludzie tam mieszkają, z konieczności musząc pozostawiać swoje auta przy szosie i podchodzić w górę te kilkadziesiąt metrów. Do domostw prowadziły szerokie, ale strome ścieżki, którymi mógłby wjechać

koń z wozem, w dzisiejszych czasach — quad, ale nie samochód. Po pokonaniu około stu metrów wzniesienia stok stał się łagodniejszy. Weszliśmy w las, a niewiele później — we mgłę. Jak to ze mgłą bywa, gęstniała wraz z wysokością i oblepiała wilgocią, pomimo że nie padało. W pewnym momencie skręciliśmy z głównej ścieżki w prawo i po jakimś czasie doszliśmy na trawiasty teren. Była to Połonina Tomnatyk. Trudno ją było podziwiać, bo mgła była tak gęsta, że widoczność nie przekraczała 50 metrów. Trudno też było znaleźć dalszą drogę — wiadomo było, że powinna być po drugiej stronie połoniny — przed drugą wojną światową wiódł tędy turystyczny szlak — ale w którym miejscu szukać tego końca w tej mgle?

Urozmaiceniem na Połoninie Tomnatyk były konie. Gonily jeden drugiego w tej mgle albo biegały grupkami po kilka, nie zważając na nas, turystów. Musieliśmy się nagle rozstępować przed nadbiegającymi kopytniakami. Odnosiło się wrażenie, że te konie miały uciechę, że to była dla nich jakaś zabawa. Żadnych ludzi w pobliżu nie było widać, a dwa szałas na połoninie stały otwarte i puste. Powyżej połoniny ścieżka prowadziła zakosami, najpierw przez pasmo lasu, potem chwilę przez kosówkę, a następnie po gorganie. Była wyraźnie ułożona z kamieni, aż dziw bierze, że ten szlak uchował się przez ponad 70 lat. Dopiero w wyższych partiach, gdzie teren się nieco kładzie, ścieżka miejscami przestała być widoczna i trzeba się było za nią rozglądać. Niesamowite, że ten szlak turystyczny nadal istniał, pomimo że oznakowanie farbą dawno się zatarło.

Na szczyt Syniaka (1666 m) wychodzi się niezauważalnie, a we mgle — szczególnie. Nachylenie stoku łagodnieje, kluczy się pomiędzy kępami kosówki i jałowców, przecina ledwo widoczną ścieżkę. Prowadzą nią czerwone znaki głównego wschodniokarpackiego szlaku turystycznego, ale w tym miejscu ścieżka jest słabo przedeptana. Biegnie ona dawnym płajem po grzbiecie Syniaka, omijając wierzchołek. Dziś naturalnym jest, że każdy turysta pragnie wejść na szczyt, kiedy jest raptem 50 metrów od niego. Podczas przejścia grzbietu ścieżka jest wygodniejsza — zejście z wierzchołka na zachód jest strome, a na wschód przez kosówkę — ale obydwaj dojścia na wierzchołek ściśle po grzbiecie są jak najbardziej do przejścia. Ale najłatwiej wejść na Syniak właśnie tak, jak prowadziła nasza dzisiejsza droga. Na rozległym wierzchołku Syniaka jest dwuipółmetrowy kopiec z kamieni pośrodku pola głazów 20 na 20 metrów, otoczonego kosówką. Widzialność — zero. Z trudem było widać tę kosówkę. Szkoda. Zjedliśmy, co kto zabrał na wycieczkę — i w dół, tą samą drogą. Przechodzenie grzbietem na Chomiak — co rozważaliśmy jeszcze w Haliczu — w tych warunkach nie miało większego sensu.

Konie na Połoninie Tomnatyk tym razem jakoś nie chciały się bawić z nami. W ogóle ich nie widzieliśmy. Zrobiła się za to 14:30 i najwidoczniej słońce zaczęło się obniżać, a mgła coraz słabiej ogrzewana od góry zaczęła się skraplać. Zaczęło siąpić. Im schodziliśmy niżej, tym bardziej padało, do hotelu dotarliśmy w regularnym deszczu. Wieczorem Sasza sprawdził prognozę pogody w internecie i zdecydował, że następnego dnia zamiast na Czarną Połoninę pójdziemy na Jawornik Gorgan. Powiedział, że dobra pogoda będzie pojutrze, jutro będzie się jeszcze kisić, chociaż powinno być lepiej niż dzisiaj. Poszliśmy spać wcześniej, zmęczeni po poprzedniej nocy w autokarze.

Zatem — Jawornik Gorgan. Spośród znanych szczytów Gorganów jeden z najniższych, a znany zapewne z trzech powodów: wyjątkowo wielkich bloków skalnych tworzących gorgan, stosunkowo łatwej osiągalności i bliskości Jarem-

cza, z którego stanowił dawniej cel jednodniowych wycieczek. Technicznie — autokarem pojechaliśmy do Podleśniowa, a zejść mieliśmy do Jaremcza.

Na początku czekała nas atrakcja — przejście po wiszącej kładce nad Prutem. Rzeka ma tu około 50 metrów szerokości, kładka zaś przypomina miniaturkę wiszącego mostu. Dobrze zabezpieczona po bokach siatką trzęsła się nieco pod nogami. Ścieżka na drugim brzegu doprowadzała do nasypu kolejowego linii Iwano-Frankiowsk–Delatyn–Worochta–Rachów. Wypadało nam wejść na nasyp i przejść około 100 metrów torami, w tym przez kolejowy most nad wpadającym tu do Prutu potokiem Żeniec. Warto wspomnieć, że na Ukrainie obiekty takie, jak mosty i tunele kolejowe, nieważne jak krótkie by były, stanowią obiekty strategiczne. Za czasów Związku Radzieckiego były one wszystkie pilnowane przez wartowników z bronią. Przy naszym mostu stała tablica, że *perechid zapreszczen*, a za mostem budka dla strażnika — którego na szczęście nie było, więc przeszliśmy nie niepokojeni.

Dalej nasza ścieżka wspięła się niezliczonymi zakosami na grzbiet Jawornika Gorganu. Niewątpliwie musiał to być dawniej szlak turystyczny, bo tylko szlaki prowadzi się w taki sposób. Przez drzewa obserwowaliśmy coraz głębiej zapadającą się w dół dolinę Prutu, aż wyszliśmy na lokalną kulminację, a chwilę potem na rozległą polanę na grzbiecie. Była to Połonina Wołcza — czyli wilcza. Być może rzeczywiście wilki tu gospodarzą — połonina była pusta, wyjąwszy ślad po szalase, obok miejsce na ognisko, a w nim bielejąca krowia czaszka. Dalej podchodziliśmy znowu lasem aż do osiągnięcia szczytowej grani Jawornika Gorganu.

Tworzące grań bloki gorganu mają rozmiary niekiedy ponad dwa metry i nie ruszają się, bo są zbyt ciężkie, aby to uczynić pod ciężarem człowieka. Są za to gładkie, porośnięte zielonymi porostami — i śliskie. Wrażenie psuć może jedynie niewielka wysokość bezwzględna Jawornika Gorganu (1467 m), przez co szczytowe partie znajdują się na granicy lasu i piętra kosówki. Kosodrzewina i skarłale świerki starają się rosnąć w dziurach między kamieniami i nie tworzą łańców ani lasu jedynie dlatego, że tych dziur nie ma zbyt wiele. Widok z Jawornika Gorganu jest ładny, ale ograniczony. Od południa i zachodu widnokrąg zasłania wyższe pasmo Syniaka i Chomiaka. Dziś Chomiak był dobrze widoczny, po grzbiecie Syniaka snuły się chmury zakrywające kamienny kopiec na szczycie. Również Doboszanka zasłonięta była przez chmury. Dobry widok był za to w drugą stronę, tyle że był to widok w dolinę Prutu z zabudowaniami Jaremcza i innych nadpruckich miejscowości. Kamienista grań Jawornika Gorganu ciągnie się przez ponad kilometr, ale przebyliśmy tylko jej połowę do najwyższego punktu. Stąd po dłuższym odpoczynku zeszliśmy na drugą stronę grzbietu. Grań w stronę Jaremcza opada najpierw około 10-metrową ścianką i niewiele jest miejsc pozwalających zejść w tę stronę.

Zejście do Jaremcza było mało ciekawe — wręcz nudne. Prowadziło umiarkowanie w dół leśną drogą coraz niżej i niżej. Gdyby nie długość tego zejścia, dałoby się zapomnieć, że jest się w Gorganach, a nie gdzieś pod Otrytem w Bieszczadach — las wyglądał podobnie. Po trzech godzinach zakręt w prawo doprowadził do pierwszych domostw, potem trzeba było jeszcze przejść drogą przez boczny grzbiet i już w dole można było ujrzeć zabudowania w okolicach wodospadu w Jaremczu. Miejscowość dzieli się bowiem na jak gdyby dwie części — centrum wokół dworca oraz ośrodek turystyczny przy wodospadach Prutu. Turysty na ogół trafiają do tego drugiego.

Prut płynie tu malowniczym wąwozem głębokim na kilkanaście metrów, dawniej tworząc kilkumetrowy wodospad. Wodospad ten wysadzono w powietrze za czasów Austro-Węgier w celu udroźnienia rzeki dla spławu drewna. Uzyskano tyle, że zamiast jednego kilkumetrowego progu Prut spada tutaj w dół kilkumetrową kaskadą. Zniszczono przyrodniczy obiekt, a spławianiu drewna niewiele to pomogło, trzeba je było zwozić koleją. Kolej zresztą przebiega w odległości jakichś 200 metrów od rzeki, poniżej wodospadu przechodząc przez najpierw tunel, a zaraz potem most, nadal pilnie strzeżone przez wartownika. W miejscu tym istniał dawniej jeden z największych w Europie mostów o konstrukcji łukowej. Wyszadzony podczas drugiej wojny światowej został za czasów radzieckich zastąpiony banalną konstrukcją na betonowych filarach. Ruch kolejowy nie jest duży, czasami jednak można natrafić na pociąg. Rozkładowo przejeżdża 6 par pociągów na dobę, ruchu towarowego praktycznie nie ma. Nad samym wodospadem zbudowano natomiast kładkę dla pieszych. Pełni ona funkcję największej atrakcji turystycznej w okolicy, ludzie robią sobie na niej zdjęcia, a młode pary zamykają symboliczne kłódki na balustradzie kładki, po czym wrzucają kluczyki do rzeki.

Wokół kładki powstał turystyczny *bazarczik* — tak go tu nazywają, swoją rolę przypomina nieco bazarek w Zakopanem przy dojściu do kolejki na Gubałówkę. Można tu kupić różnorakie pamiątki, zarówno wyroby lokalne jak i *made in China*. Stroje ludowe, zabawki, skóry, swetry, narzuty, galanterię drewnianą, jeans, buty turystyczne, kapcie, sery, książki i przewodniki turystyczne, artykuły kibica i dewocjonalia — co prawda te ostatnie jedynie w wersji chrześcijaństwa wschodniego. Kilka straganów oferuje banderowskie memorabilia. Można też kupić niektóre artykuły spożywcze, jak np. ser czy miód. W osobnej części *bazarcziku* znajdują się stragany z antykami. Można też zjeść i napić się — pomiędzy straganami jest kilka barów. Jest również wielka stylowa restauracja „Huculszczyzna”, co do której Sasza przestrzegł, że dają tam mało, drogo, niesmacznie i długo trzeba czekać. Dla chętnych jest wypożyczalnia rowerów, można także zakosztować jazdy konnej. Koni jednak nie ma na miejscu, podany jest jedynie kontaktowy numer telefonu z adnotacją, że w razie czego zwierzęta zostaną przyprowadzone na umówioną godzinę. Ceny — można powiedzieć, że normalne, ale to dla nas, turystów. Te same rzeczy na bazarze w zwykłej miejscowości — o ile są (bo któż na wsi potrzebuje np. butów turystycznych?) — kosztują trzy razy taniej. Tuż na zapleczu straganów zaczynają się inne światy. Najpierw jest świat ukraińskiej rzeczywistości — rozjeżdżony błotnisty plac pełen śmieci, służący za parking. Potem jest świat jak z dziwacznej bajki — kilka wielkich nowoczesnych hoteli. Hotele wyglądają na puste. Komu służą? Czyżby działały zimą? Ale przecież Jaremzcze nie jest ośrodkiem narciarskim, nie ma tu żadnych wyciągów ani tras zjazdowych. Przed tymi hotelami stoją zrobione z betonu zwierzęta — sarny, koniki i zające wielkości człowieka, pomalowane na jaskrawe kolory. Rzadko można spotkać tak obrzydliwy kicz. Do całego tego kompleksu prowadzi droga właściwie gruntowa, bo niewiele jej pomaga, że większe dziury i podjazd pod przejazd kolejowy wysypano tłuczniem.

Po zejściu z gór oddaliśmy się uciechom tego bazaru — ot, przejść, przejrzeć stragany, coś zjeść, kupić jakąś pamiątkę. Przy okazji zrobić kilka zdjęć nad rzeką. A potem do autokaru i w drogę. Po obiadokolacji pozostaliśmy w sali jadalnej, kupiliśmy piwo oraz słodycze i spędziliśmy wieczór na opowiadaniu bądź kawałów, bądź o własnych przygodach górskich.

Kolejny dzień wstał mglisty, była to jednak taka poranna mgła zapowiadająca dobrą pogodę. Autokar zawiózł nas tym razem na drugą stronę głównego grzbietu Karpat, do Jasini. Przejeżdżaliśmy więc po drodze przez Przełęcz Tatarską, która w geografii oddziela formalnie Gorgany od Czarnohory. Przed drugą wojną światową było tu przejście graniczne. We wrześniu 1939 r. ewakuował się tędy na Węgry gen. Maczek wraz ze swoimi czołgami. Przejście graniczne trwało tu jednak znacznie dłużej niż do 1939 r. Otóż w czasach radzieckich, kiedy na podróżowanie między obwodami (*oblastiami*) wymagane były przepustki, na Przełęczy Tatarskiej istniał punkt kontrolny — aż do 1991 roku! Lokalne władze obwodów iwanofrankowskiego i zakarpackiego porozumiały się jednak co do tego, żeby własnych mieszkańców móc z obwodu wypuszczać, ale obcym na swój teren wejść nie pozwalać. Na przełęczy wytyczono około 500-metrową strefę pomiędzy szlabanami kontrolnymi obydwu obwodów, co miejscowa ludność natychmiast wykorzystwała do wymiany handlowej. Na przełęczy, w oddaleniu od wszelkich miejscowości, powstał regularny bazar. Istnieje on do dziś, tylko że przekształcił się w rodzaj *bazarcziku* turystycznego, podobnego do tego w Jaremczu. Teraz jednak o poranku kramy były jeszcze zamknięte, a ponadto nam było spieszo w góry, bo trasa planowana na dziś była długa.

W Jasini zajechaliśmy na umówione przez Saszę miejsce. Czekają tu na nas mikrobusy terenowe — dwa, ponieważ każdy mógł pomieścić 15 osób, a nas wszystkich było 25. Miały nas zawieźć na znaną mi już Przełęcz Okole, skąd mieliśmy rozpocząć wędrówkę. Trakt powyżej przysiółka Czorna Tisa był terenowy, błotnisty i nie nadający się dla autokaru. Przesiedliśmy się do mikrobusów. Autokar pojechał za nami do Czarnej Tisy, gdzie miał czekać na nasz powrót z gór. Nasza jazda trwała wyjątkowo długo. Około piętnastu kilometrów z Czarnej Tisy na Okole jechaliśmy blisko godzinę. Mikrobusy, pomimo że terenowe, miejscami zakopywały się w błocie i z trudem posuwały się w górę. W jednym miejscu drogę blokowało przewrócone drzewo — myśleliśmy już, że koniec jazdy, ale na szczęście kierowca z drugiego mikrobusu miał ze sobą piłę. Na samą przełęcz Okole jednak nie dojechaliśmy. Zatrzymaliśmy się na około kilometr przed, dalsza droga podobno była nieprzejezdna.

Sasza poprowadził nas teraz skrótem stromo pod górę do samego źródła Cisy. Samą Przełęcz Okole ominęliśmy. Byłem w tym samym miejscu cztery lata wcześniej. Jakże inaczej było tu teraz! Źródło na nowo obmurowane, kamienie oczyszczone. Woda ujęta rurą spadała z niej do rodzaju misy, skąd dalej odpływała betonowym korytem do wąwozu. Bariery wokół źródła zainstalowano nowe, wybudowano rodzaj altanki, zbudowano nowe schody w górę na łąkę, gdzie kiedyś stało schronisko. Wszystko zostało pięknie odmalowane, nad źródłem zwisały skrzyżowane dwie niewielkie flagi, ukraińska i węgierska. Tabliczka nad źródłem została wymieniona na dwujęzyczną, po ukraińsku i węgiersku.

Również dalsza trasa stanowiła przyjemne zaskoczenie. Nie trzeba było błąkać się po wiatrołomach jak cztery lata temu — na Bratkowską prowadził nas świeżo wyznakowany szlak, a przez wiatrołom zostało przecięte przejście za pomocą piły motorowej. W nieco ponad dwie godziny weszliśmy na Bratkowską!

Pogoda była świetna — widoki z Bratkowskiej — przecudne. Trzecie moje wejście na ten szczyt — i wreszcie udało się trafić z pogodą. Widocznie do trzech razy sztuka. Doskonale widoczna Steryszora wytyczała kierunek dalszej wędrówki — na oko wyglądało to na nie więcej niż 3 godziny. Wygodna grzbietowa ścieżka prowadząca po płaskiej wierzcholinie Czarnej Połoniny zapraszała wręcz, aby czym prędzej wyruszyć. W drugą stronę jak na wyciągnięcie ręki wid-

niała oświetlona promieniami słońca Gropa. Gdyby mieć więcej czasu, można by i na nią wyskoczyć — pomyślałem, to tylko jakieś 40 minut w jedną stronę. Ale przecież za Gropą jest Durnia — o kolejne 45 minut, będzie kusić. A więc nie, bo i tak trzeba będzie kiedyś odbyć wycieczkę w drugą stronę Czarnej Połoniny.

Na Bratkowskiej spędziliśmy godzinę — mogliśmy dobrze wypocząć, a także się najeść, co okazało się bardzo potrzebne w dalszej trasie. Półgodzinne zejście na przełęcz pod Małą Bratkowską było mi już znane, łatwe i przyjemne. Wejście na Małą Bratkowską również nie przedstawiało żadnych problemów. Za Małą Bratkowską zrobiło się ciekawiej. Grzbiet obniżył się nieco, pojawiły się kępy kosówki oraz jałowców. Zmieniła się perspektywa — o ile z Bratkowskiej Wielkiej wydawało się że jesteśmy naprzeciw Poleńskiego, to teraz wydawało się, że naprzeciw Medweżyka. Grzbiet Syniaka też zdawał się być zbliżyć. Podejście pod Ruską. Ruska — szczyt o dwóch wierzchołkach, z czego ten odrobinę niższy jest w głównym grzbiecie, a ten wyższy nieco z boku. Będąc na niższym wierzchołku Ruskiej tego wyższego wcale nie widać. Kosówka przesłaniająca widok ma jakieś trzy metry. Kawalek za Ruską, z niewielkiego wypłaszczenia terenu, patrząc na Steryszorę, można się było popłakać. Od szczytu dzieliło nas nie więcej jak 2 km, ale cały grzbiet okryty był gęstym płaszczem kosówki. Na szczęście ścieżka póki co była — więc istniała nadzieja, że jakoś w tej kosówce nas tam poprowadzi.

Poprowadziła. Niedaleko za tym miejscem dała po prostu nura w kosówkę. Dołem, pod sprężystymi gałęziami była doskonale widoczna, ale przejść tamtędy dałem radę najwyżej kot. Gałęzie zwierzały się górą, niekiedy tak mocno, że ich odgarnianie wymagało siły. Po przejściu takiej bariery uwolnione gałęzie sprężynowały poza swoje początkowe położenie, uderzając kolejną osobę czekającą w kolejce do zmagania się z paskudztwem. Były po rękach, po nogach, po całym ciele, nawet po głowie, jeśli się ktoś w porę nie zasłonił. Czepiały się przy tym wszystkiego — rękawa, plecaka, potrafiły łapać za kieszeń spodni albo ściągać z głowy czapkę. Im dalej, tym było gorzej, nie żeby kosówka była gęstsza; minęliśmy siodło między Ruską a Steryszorą i rozpoczęliśmy podejście pod szczyt. Było więc dodatkowo pod górę, a my coraz bardziej zmęczeni. Upalne słońce też dodawało od siebie, co mogło. Męczarnia trwała ponad dwie godziny. To co z Bratkowskiej wyglądało na niespełna trzy godziny marszu, trwało w rzeczywistości pięć i pół. Gdy dotarłem w końcu na szczyt Steryszory, rzuciłem się na ziemię jak nieżywy obok dawnego słupka granicznego nr 35. Dopiero po chwili ochłonałem.

Steryszora (1723 m) jest ostatnim od wschodu szczytem pasma Czarnej Połoniny i przy tym bardzo widokowym, bardziej niż Bratkowska. Zawdzięcza to lepszemu położeniu w stosunku do otaczających gór. W kierunku południowo-wschodnim nic nie zasłania widoku z niej na Czarnohorę, najbliższe jej szczyty — Howerla i Pietros choć odległe, to widoczne są jak na dłoni. Z powodzeniem też można wyróżnić inne szczyty tego pasma. W kierunku południowo-zachodnim widnieje pasmo Świdowca, ale wybija się w nim najwyższa i najbardziej charakterystyczna Bliźnica zamiast trudniejszych do zauważenia bo mniej wybitnych Trojaski, Tatulskiej, Todiaski czy Tataruki. W kierunku północno-wschodnim, zamiast jak z Bratkowskiej jednego, ze Steryszory widać pasma Doboszanki i Syniaka, w tym drugim wybija się z lewej ostroga Małego Gorganu, a z prawej nieco odosobniony Chomiak. Na północny zachód widać okrytą kosówką Ruską, a za nią połoninny grzbiet Bratkowskiej. W oddali, hen za doliną Bystrzycy można dopatrzeć się podwójnego szczytu Sywuli i Małej Sywuli, dalej Negrowej i Bojaryna, a w tle za nimi — Ihrowca.

Pod Steryszorą przed drugą wojną światową istniało schronisko PTT. Ze szczytu nawet było widać Połoninę Steryszora na północnym stoku, gdzie ono było, a raczej to, co pozostało z połoniny. Rozpanoszyła się na niej kosówka, wyraźnie pochłonęła już jej brzegi i zaczęła się nawet rozrastać w środku w formie kęp. Nie wiadomo, czy po schronisku nie pozostał żaden ślad, czy też utonął on w morzu kosówki. Krygowski w swoich wspomnieniach pisał, jak to w 1938 r. z okien schroniska po raz ostatni spoglądał na ogromne łąki Połoniny Steryszory. Dziś nie tylko schroniska, ale i połoniny też już nie ma.

Na Steryszorze było pięknie, ale było już późno. Nie trzeba było żadnego zegarka, aby to stwierdzić — dawało się już odczuwać specyficzny przedwieczorny chłód. Pora więc w drogę. Na szczęście była ona łatwa — ze szczytu w kierunku Czornej Tisy prowadziła wyraźna ścieżka. Opuściwszy kopułę szczytową nie natknęliśmy się już na żaden krzak kosówki. Ścieżka wkrótce doprowadziła nas do pasterskiej staj. Była zamieszкана — wokół kilku szałasów kręciło się trzech pasterzy. Ale stada musieli mieć gdzieś daleko, bo tu na miejscu były jedynie trzy krówki. Smętnie zaryczały na nasz widok. Ze staj w dół prowadził płaj, a właściwie już droga — miała ze trzy metry szerokości i ślady kolein. Widok ziła tak wysoko, na tle odległej Howerli, byłby niesamowity, ale nie było nam dane tego zobaczyć.

Rozpoczęliśmy teraz swoisty wyścig: szliśmy drogą w dół. W dół przemierzaliśmy się też słońce. Spieszyliśmy się i schodziliśmy bez odpoczynku. Wygrało jednak słońce. Tyle zyskaliśmy, że gdy zrobiło się ciemno, zdążyliśmy wyjść z lasu. Pozostało nam jeszcze z półtora kilometra polnymi drogami wśród sianozęci nad Czorną Tisą. Autokar czekał już na nas w środku przysiółka. Kierowca był stęskniony — cały dzień stał tutaj i nudził się jak mops, nie mając nawet do kogo się odezwać — bo o czym miałby ewentualnie rozmawiać z miejscowymi? Zdążył się też zacząć martwić, kiedy się ściemniło, a nas jeszcze nie było. Sasza wprawdzie próbował się skontaktować z nim przez komórkę, ale na Steryszorze nie było zasięgu, a potem spieszyliśmy się i zapomniał.

Wracaliśmy do Polanicy w dobrych nastrojach. Wprawdzie kosówkowanie dało nam niezłe w kość, ale daliśmy radę i byliśmy z tego dumni. Dopiero przy wieczornym myciu zauważyliśmy, że mamy niezłe pamiątki z wędrowki: ręce i nogi całe w siniakach od uderzeń gałęzi. Najbardziej zatroskanych z nas Sasza uspokoił, że jutro na Doboszance takich atrakcji nie będzie.

Kolejny dzień wstał jeszcze piękniejszy — od rana ani jednej chmurki na niebie. Autokarem jechaliśmy bardzo krótko — jedynie jakieś 3 km do parkingu przy wjeździe do kurortu narciarskiego Bukowel.

Bukowel ulokowany jest w górnej części doliny Prutca. Jest to kurort zbudowany od podstaw. Zanim powstał, istniał w tym miejscu tylko przysiółek Polanicy liczący kilkanaście chat. Po tych chatach nie ma dziś śladu. Na odcinku około 2 km całkowicie przekształcono dolinę. Przede wszystkim wybudowano szereg kilkupiętrowych hoteli trzy i czterogwiazdkowych, choć jest też i pięciogwiazdkowy. Ceny w tych hotelach są jak w Nowym Jorku. To nic, że te gwiazdki są na wyrost. Dla bardziej wymagających klientów wybudowano całą wioskę domów jednorodzinnych. Restauracje są w hotelach, oprócz tego jest kilka wolnostojących. Jest kilka sklepów ze sprzętem turystycznym, futrami i biżuterią. Zwykłych sklepów spożywczych nie ma — bo nie po to przyjeżdżają tu goście, aby żywić się samemu. Od tego są restauracje. Zbudowano kilkupiętrowe parkingi, a wszystko wybrukowano kostką Bauma w różnych kształtach i kolorach. Z kostki tej zbudowano również szeroką promenadę spacerową tworzącą główną

oś ośrodka. W okolicznych górach poprowadzono 22 nartostrady, wygalając pasma lasu. Na góry poprowadzono 12 wyciągów krzesełkowych. Komunikację ze światem zapewnia przede wszystkim lotnisko w Iwano-Frankiwsku. Połączenie z lotniskiem zapewnia działający w Bukowelu serwis limuzyn; nieważne, że po wyjeździe z Bukowela mają one do pokonania 90 kilometrów dziurawych dróg. Dla mniej wymagających klientów kursują bezpośrednie autokary, których rozkład jazdy jest skorelowany z rozkładem lotów. Są też autobusy zwyczajne, zatrzymujące się wszędzie po drodze. Zamiast na lotnisko w Iwano-Frankiwsku jadą one na zwykły dworzec. Służą obsłudze ośrodka, nie mają jednak prawa wjeżdżać na jego teren. Przy wjeździe do Bukowela jest szlaban i budka, gallowo umundurowany strażnik sprawdza, czy dany pojazd ma prawo wjazdu. Należy się ono tym, którzy mają wykupione rezerwacje, względnie — być może — szlachetnie urodzonym. Turyści wędrujący z plecakami po górach nie należą do nich, wypadło nam więc wysiąść przy szlabanie i przejść przez cały Bukowel na piechotę.

Sprawia on wrażenie, jak gdyby był miejscem z bajki. Ale niekoniecznie dobrej. Wszechobecny kicz przywodzi raczej na myśl takie postacie z bajek, jak Gargamel czy Baba Jaga: złe, ale do tego stopnia głupie, że w ostatecznym rozrachunku — nieszkodliwe. Bukowel szokuje swoim luksusem, choćby to był luksus jedynie na pokaz. Nawet w odległej o 3 km Polanicy, gdzie kwaterowaliśmy, są zwykle gospodarstwa, gdzie biedni ludzie z trudem wiążą koniec z końcem hodując na przydomowej działce krówkę, trzy świnki i stadko kur. A w niektórych przysiółkach można napotkać domy, gdzie ludzie jeszcze nie mają prądu.

Co prawda teraz latem Bukowel nie robił tak luksusowego wrażenia. Jest to kurort narciarski, zimowy. Latem duża część hoteli jest zamknięta na głucho, działają tylko niektóre, przy czym widać, że gości nie mają. Na czteropiętrowych parkingach zaparkowanych było po kilkanaście aut, tylko na najniższym piętrze. Wyciągi krzesełkowe były wyłączone z wyjątkiem dwóch, a i te uruchamiano — było napisane — jedynie w przypadku, gdy zbierze się przynajmniej 20 osób chętnych. Sporej wielkości plastikowy plac zabaw dla dzieci ział pustką, w pobliskich oczkach wodnych smętnie pływało kilka kaczek. Za to słychać było potworny hałas młotów pneumatycznych, spychaczy, koparek i betoniarek, a w powietrzu unosił się pył. Trwała dalsza rozbudowa ośrodka. Raczej kiepskie warunki do wypoczynku — na budowie.

Zakres prac, jaki można było obejrzeć, był niesamowity — godny chyba jakiegoś tyрана w rodzaju „Słońca Karpat”. Powyżej centrum ośrodka zryto spychaczami całą dolinę. Wykopano dół długi na pół kilometra, szeroki na sto metrów. Koparkami dokopano się do skał, w których dół pogłębiano dalej za pomocą młotów pneumatycznych. Zaplanowano tutaj jezioro. Na zimę miało gromadzić zapas wody do sztucznego naśnieżania stoków, latem planowano stworzyć tu areal surfingowy. Planowano instalację maszyny do wytwarzania sztucznych fal. Na razie jedynie wkuwano się coraz głębiej w ziemię. Wydobyte kamienie wywożono dokądś ciężarówkami, a wszystko zdawało się przypominać odkrywkową kopalnię. Powyżej tego dołu weszliśmy na około kilometrowej długości gruntową drogę, po której co kilka minut szalały ogromne żyły wzbijając chmury kurzawy. Dalej w dolinie budowano drugi podobny zbiornik wodny. Na czas jego budowy przesunięto potok — usypano wzdłuż doliny kamiennieo-ziemną groblę po której musieliśmy iść, ponieważ dawna droga przestała tu istnieć — na jej miejscu powstawało jezioro. Grobla w swojej górnej części kończyła się miękkim błotkiem, po którym trzeba było przejść, a następnie przekroczyć potok o głębokości

do pół łydki — bo po dotychczasowej stronie nie dało się dalej iść: zarośnięta krzakami pięciometrowa skarpa.

Po przeprawie wkroczyliśmy w zwyczajniejszy świat: las i prowadząca przez niego droga, powoli pnąca się na grzbiet, stara i zapomniana, chyba jeszcze z czasów sprzed powstania ośrodka. Wśród leśnej gęstwiny wreszcie przestał nam dokuczać pył i kurz, wszechobecne w Bukowelu. Na grzbiecie znaleźliśmy ścieżkę, a na niej czerwone znaki głównego wschodniokarpackiego szlaku turystycznego, który po zejściu z Syniaka dążył stąd na Przełęcz Krzyżówkę i dalej na Połoninę Płaską. Niedaleko stąd było źródło, można więc było napić się do woli i uzupełnić zapas wody. Kawalek drogi za źródłem była polanka z malinami — niestety jeszcze niedojrzałymi — i pięknym widokiem na Steryszorę. Niedługo potem opuściliśmy szlak i na przełaj przez las zaczęliśmy schodzić do doliny Zubrynki. W drodze powrotnej okazało się że była tutaj ścieżka, ale w swojej najwyższej części przed grzbieciem zanikała. Schodząc jakoś nie udało się nam na nią trafić. Zejście nie należało do najłatwiejszych.

Znaleźliśmy się w dolinie Zubrynki w dosyć dziwnym miejscu. Dolina była tu rozszerzona, po jej przeciwnej stronie pod skarpą płynęła Zubrynka. Dno doliny było porośnięte tylko trawą, w której to tu, to tam wyjeżdżone były koleiny, w nich często woda, a w wodzie — kijanki. Gdzieś tutaj w okolicy przed drugą wojną światową stało schronisko PTT, ale nie wiedzieliśmy gdzie dokładnie. Na mapach WIG oznaczone było właśnie tu, z opisów jednak wynikało, że powinno być jakiś kilometr niżej w dolinie. Świeciło słońce i zrobiło się nawet upalnie. Na kamieniach nad brzegiem potoku zrobiliśmy odpoczynek przed czekającym nas podejściem.

Rozpoczęło się ono od wspinaczki na trzymetrową glinianą skarpę na drugim brzegu Zubrynki. Tam natrafiliśmy na dwie szopy — najwyraźniej na bydło, ale teraz wyglądały na opuszczone — od których prowadziła dalej zarośnięta trawą przecinka. Była to dawna droga, idąc po niej można było wyczuć koleiny pod stopami, choć z powodu trawy nie było ich widać. Doprowadziła nas na trawiastą przestrzeń tu i tam porośniętą świerkami. To Połonina Niżna — jak się okazuje, również w pewnym stadium sukcesji roślinności, zmierzającym ku zanikowi połoniny. Tu również stało kiedyś schronisko PTT. Śladów po nim trudno szukać — jeśli w ogóle istnieją, byłyby niewidoczne wśród bujnych traw, a możliwe, że miejsce po schronisku zdążył już pochłonąć las.

Na Połoninie Niżnej skręciliśmy w prawo w ledwo widoczną ścieżkę prowadzącą trasą innej dawnej drogi, potem jej ślad podążył prosto, a my — za ścieżką — na rodzaj grzbieciku. Opadał on z pagórka w kształcie kopca znajdującego się na bocznym ramieniu od Doboszańca, czyli wschodniego wierzchołka Doboszanki. Podejście grzbiecikiem w pełni słońca — na samym grzbieciku poza trawą nic nie rosło — było monotonne i bardzo mozolne. Ze szczytu pagórka był ładny widok na Syniak, szczególnie na jego zachodni wierzchołek, Mały Gorgan. Doboszanki nie było widać, znajdowała się za pasmem lasu.

Przełęczka pomiędzy pagórkiem a Doboszańcem okazała się zdradliwa — pomimo że było tak wysoko, w zalesionej przełęczce zalegało błoto głębokie po kolana i trzeba je było obchodzić po chaszczach. Przez cienki pas kosówki przechodziła ścieżka, która następnie już na gorganie ułożona była z kamieni w zakosy. Najwidoczniej był to dawny szlak turystyczny — możliwe że dziki, bo przecież przed drugą wojną światową na Doboszance pod przykryciem „rezerwatu turystycznego” istniał rezerwat myśliwski prezydenta RP z zakazem znakowania szlaków. Jednakże byliśmy na tyle blisko miejsc dawnych schronisk

w Zubrynce i na Połoninie Niżnej, że — kto wie? Nie było wolno znakować szlaków farbą, ale może ktoś układał ścieżkę na zasadzie społecznej? A może — rozpoczęto budowę szlaku pomimo zakazu, aż wtrąciły się służby i budowę przerwano? Albowiem ścieżka dochodziła do pewnego miejsca i urywała się. Oczywiście, dalej były możliwe dwa sensowne sposoby wejścia na dalsze głązy, ale potem wariantów było już więcej i wydeptane ścieżynki rozpląwały się w ogromnym polu gorganu zalegającym zbocze Doboszańca. Nie było wyjścia — trzeba było pisać się dalej w górę, samemu znajdując sobie drogę wśród chybotliwych głązów.

Wierzchołek Doboszańca ma kształt mocno wydłużony i jest niewiele mniej widokowy od głównego szczytu Doboszanki. Różnica na niekorzyść polega głównie na tym, że Doboszanka zasłania widok na Medweżyk i Poleński oraz ogranicza widok w kierunku Sywuli. Za to pobliski Mały Gorgan jest jak na dłoni, a jego wielkość potęguje głębia doliny Zubrynki leżącej przed nim. Śmiesznie mały wydaje się pagórek na grzbiecie, przez który wchodziliśmy. Tego dnia jednak Doboszaniec przebił Doboszankę pod względem widoku. Już podchodząc na szczyt zauważyliśmy, że niebo się zasnulo i zaczęły napływać chmury. Teraz na Doboszańcu widać było, że chmury schodzą coraz niżej i jeśli dalej tak będzie, za pewien czas otulą góry gęstym kożuchem mgły. Szybko ruszyliśmy więc dalej w nadziei, że zdążymy na Doboszankę zanim to nastąpi.

Po drodze przechodziliśmy przez malownicze rozpadliny. Grzbiet pomiędzy Doboszańcem a Doboszanką jest podwójny, pośrodku znajduje się rodzaj dolinki. Formą i kształtem przypomina ona znajdujące się w wielu miejscach okopy z pierwszej wojny światowej, ale tutaj musiałyby walczyć olbrzymy. Miejscami dolinka ma nawet 10 metrów głębokości, a szerokości nawet 20. Stanowi ona pozostałość ogromnego osuwiska, do którego doszło tu na początku XX wieku. Po stu latach erozja sprawiła wszakże, że kolorem kamienie nie różnią się już od innych w okolicy.

Na Doboszankę (1758 m) niestety nie zdążyliśmy. Na niewiele przed szczytem otoczyła nas mgła — wprawdzie niezbyt gęsta, tak że można było dostrzec zarysy w jedną stronę Doboszańca, a w drugą Medweżyka, ale dalszych gór nie było widać. Za to nad nami krążyło stadko kruków, kracząc głośno jak gdyby zwiastując jakieś nieszczęście. Samemu czułem się dość dziwnie, docierając na szczyt Doboszanki po raz drugi, ale z przeciwnej strony niż przedtem. Przyszło mi na myśl porównanie z budową transkontynentalnej linii kolejowej w USA, kiedy to nitki budowane od wschodu z Chicago i od zachodu z San Francisco spotkały się gdzieś w Utah i na pamiątkę tego ostatni gwóźdź mocujący podkłady łączący obydwa fragmenty linii zrobiono ze złota.

Posiedzieliśmy na szczycie około pół godziny w nadziei, że może mgła przejdzie. Na początku istotnie chwilami coś więcej się odsłaniało, ale gdy ostatecznie mgła zgęstniała, Sasza dał sygnał do odwrotu. Mgła zdążyła zejść niżej, obejmując cały grzbiet. Jakże inaczej wyglądały teraz okolice osuwiska — gdybyśmy nie przeszli ich w tamtą stronę, trzeba byłoby iść według kompasu, aby nie pomylić drogi. Sam wierzchołek Doboszańca strawersowaliśmy. Był to błąd, bo w ten sposób nie wiedzieliśmy, w jakiej linii względem jego wierzchołka mamy schodzić, aby w dole natrafić na urwaną ścieżkę, a we mgle nie było widać, gdzie jest nasz pagór, na który ta ścieżka prowadziła.

Poszliśmy za daleko i strawersowaliśmy prawie całego Doboszańca. Schodziliśmy po gorganie, natrafiając na głązy wielkości pralek i lodówek, na których trzeba było siadać i zsuwać się z nich na kolejne niższe głązy. Wreszcie zaczęli-

śmy wychodzić z mgły i wtedy okazało się że nasz grzbiecik z pagórem są daleko na prawo, a przed nami na wprost — zwarty łań kosówki. Trzeba więc było mierzalnie trawersować w prawo po tych pralkach i lodówkach. W ten sposób zejście zajęło znacznie więcej czasu niż wejście. Co więcej, różne osoby różnie sobie radziły w tym terenie i gdy dotarłem na pagór, Sasza stwierdził, że czeka tam już od dwudziestu minut. A druga połowa grupy nadal nie nadeszła. Tymczasem spojrzeliśmy do tyłu i zobaczyliśmy wyłaniający się z chmur Doboszaniec. Zanim nadeszli wszyscy, widać było i Doboszanekę. Gdy wróciliśmy na Połoninę Niżną, na powrót świeciło słońce. Jaki pech!

W dolinie Zubrynki było już całkiem gorąco, a na podejściu pod grzbiet Połomów — ten ze szlakiem — pot łał się z nas strumieniami. Potem — już na szlaku — utrapieniem stały się muchy. Wróciliśmy tą samą dobrze nam znaną trasą, toteż każdy szedł własnym tempem i kolejno dochodziliśmy do Bukowela. Minęliśmy pierwszy zbiornik-kopalnię w budowie, następnie na drodze ziły pokryły nasze spocone ciała warstwą pyłu i kurzu, zaschło nam w ustach kompletnie. Minęliśmy drugi zbiornik-kopalnię. Na całej długości promenady z kostki Bauma otwarta była smętna jedna budka z piciem i hot dogami.

Każdy przychodzący z gór chciał się napić. Utworzyła się kolejka. Pani sprzedawczyni trzymała bowiem porządek: jeśli ktoś zamawiał hot doga, nadziewała bułkę na nagrzewnicę, a parówkę wkładała do mikrofal, po dwóch minutach hot dog był gotów. Jeśli ktoś prosił o dwa hot dogi, trwało to dwa razy dłużej, bo nagrzewnica była tylko jedna. W tym czasie wszyscy, którzy chcieli tylko picie — sprzedawane w butelkach — musieli czekać. W ten sposób spotkaliśmy się wszyscy w kolejce przy tej budce.

Potem, napici, w dobrych humorach podążyliśmy przez krainę Gargamela do naszego autokaru, a nim do Polanicy.

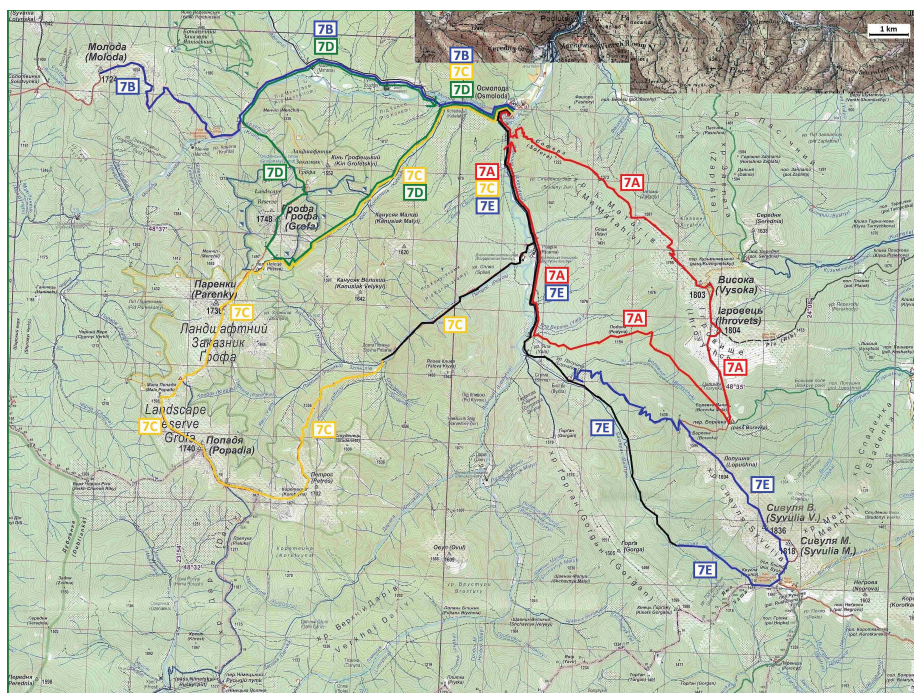
Sine ślady po bitwie z kosówką na Steryszorze obnosiłem jeszcze przez 10 dni. W kolejnych latach PTTK Rzeszów nigdy więcej nie włączyło Steryszory w plan swojej wycieczki.



Fot. 13: Ogromne bloki skalne na grani Jawornika Gorganu



Fot. 14: Widok z Bratkowskiej na Steryszorę



Trasy wycieczki 7: 7A na Wysoką i Ihrowiec; 7B na Molodę; 7C na Popadię; 7D na Grofę; 7E na Sywułę.
Odcinki zaznaczone na czarno zostały pokonane za pomocą lokalnego transportu terenowego.

7

Przyszedł wreszcie czas, kiedy odważyłem się odbyć wycieczkę w Gorgany indywidualnie i samotnie. Samotnego wyjazdu wprawdzie nie planowałem, tak jednak wyszło. Zamyślałem o wyjeździe wraz z moim kolegą, Krzyśkiem, z którym już rok wcześniej byłem w Czarnohorze. Chcąc uniknąć wyjazdu biwakowego poszukiwałem jakiejś kwatery pod dachem. W grę wchodziły trzy: znany mi już pensjonat — sadyba „Lubawa” w Rafajłowej, hotel „Wodohraj” w tej samej miejscowości oraz pensjonat — sadyba „Arnika” w Osmołodzie. W praktyce okazało się, że do „Wodohraju” należało „przyjechać, a zobaczy się co dalej”, Wiaczesław w „Lubawie” wyraził rozczarowanie, że chodziło tylko o 2 osoby, jednoznacznie pozytywnie odpowiedział jedynie Wiktor z Osmołody. Kiedy już miałem z Wiktorem ustaloną datę przyjazdu za miesiąc, Krzysiek niespodziewanie dla mnie sam pojechał w Czarnohorę, w to samo miejsce, gdzie byliśmy poprzednio. A kiedy stamtąd powrócił, okazało się, że jest bez kasy — nie miał dostatecznie pieniędzy na kolejną wyprawę.

Nie powiem, że nie denerwowałem się przed tym wyjazdem.

Wsiadłem o 17-tej w Warszawie w ukraiński autobus rejsowy do Kałusza przez Iwano-Frankiwnsk, dojechałem na miejsce o 7 rano. Jedynym godnym uwagi zdarzeniem była mała awantura na granicy, kiedy to polska straż graniczna wysadziła z autobusu Ukraińca. Posługiwał się on paszportem kolegi, twierdził, że jego własny mu w Polsce skradziono i musi wrócić do swojej ojczyzny, aby wyrobić nowy. Straż graniczna nie wykazała pobłażania i człowieka zabrano.

Na dworcu autobusowym w Kałuszu kupiłem bilet do Osmołody na 8:40. Niewiele tu się działo. Autobusy przyjeżdżały i odjeżdżały, w krzakach spał jakiś Cygan, wokół którego biegała dwójka małych dzieci. Bezpański — a może i pański pies penetrował teren dworca w nadziei znalezienia czegoś do jedzenia wśród śmieci. Popsuła mu interes baba z miotłą, szufłą i foliowym workiem. Pies wtedy podszedł do mnie i usiadł obok, spoglądając błagalnym spojrzeniem. Pewnie czuł jedzenie, jakie miałem w plecaku. Autobus przyjechał punktualnie — mały, brudny zatłoczony rzęch, ale ja nie łudziłem się, że miałby być inny. Nieśpiesznie pojechał przez Pijło, Broszniów-Osadę, Roźniatów, Perehińsko i Jasień do Osmołody. Od Perehińska droga miała więcej dziur niż asfaltu, za Jasieniem asfaltu nie było już wcale. Pasażerów po drodze stopniowo ubywało, na końcowy przystanek dojechało około 10 osób.

Byłem więc w Osmołodzie — po raz pierwszy sam. Ze znalezieniem noclegu nie miałem problemu, bo na samym przystanku autobusowym widniała tabliczka ze strzałką „Noclegi-Arnika”. Po polsku. Do „Arniki” było jakieś 300 metrów. Wszedłem, obszczekał mnie pies — wilczuropolodobny, ale nieco mniejszy od zwykłego owczarka niemieckiego. Z pobliskiego domu wyszedł starszy pan, gdy usłyszał ode mnie, w jakim celu przyjechałem, przedstawił się jako ojciec

Wiktora i powiedział, żeby poczekać na ławce. Wiktor „za chwytynu” przyjdzie. Miałem już doświadczenie z Ukrainy i spodziewałem się co to może znaczyć. Na Ukrainie każdy ma czas. Czekałem tym razem ze 20 minut — całkiem nieźle.

Wiktor zakwaterował mnie w jednoosobowym pokoju na piętrze. Było czyścio i wygodnie, jedynym mankamentem było ulokowanie łazienki na parterze, podczas gdy wejście na piętro było za pomocą czegoś, co wprawdzie już nie było drabiną, ale jeszcze nie było schodami. Miało stopnie, a nie szczeble, miało też poręcz, ale nachylone było z 70 stopni względem podłogi. A w dodatku skrzypiało okrutnie, gdy się po tym wchodziło lub schodziło. Po zakwaterowaniu się postanowiłem wyjść do sklepu — głównie po picie, którego potrzebowałem zarówno na resztę dnia, jak i na planowaną wycieczkę w dniu następnym. Kiedy wychodziłem, nagle złapał mnie za nogę pies — na tyle mocno że bolało, ale nie na tyle mocno by zranić. „Teraz już jesteś swój” — powiedział na to Wiktor — „on tak się wita ze wszystkimi, co są po raz pierwszy”. W ten sposób zapoznałem się z Ralfem.

Wodę mineralną i piwo kupiłem w pobliskiej „Oksance”. Kiedy wróciłem, Wiktor wypytał mnie o moje plany. Miałem je dość konkretne. Mój pobyt miał trwać 8 dni. Ile się da pochodzić, tyle pochodzę, wiadomo, że w pojedynkę nie mogę chodzić w wybitnie złą pogodę. Na pierwszy ogień — Wysoka, na której dotąd nie byłem, następnie Mołoda, na której też nie byłem, ale nieco niższa. W dalszej kolejności bardzo odległa Popadia. Na Popadię musi być super pogoda, w razie nieco gorszej mogę pójść na Grofę, a jak będzie super, to na Grofę na końcu, nie na najbliższej i gdyby się uprzeć, w 7 godzin można obrócić. Na koniec ewentualnie Arszyca — jeżeli będzie jeszcze czas, bo na pewno nie dam rady chodzić w góry dzień w dzień, a po dalekiej wyprawie na Popadię na pewno trzeba będzie jeden dzień pauzować. Wiktor zapytał się o Sywulę, czemu nie planuję najwyższego szczytu — cóż, na Sywuli byłem już dwa razy, w tym jeden raz w pogodę super.

Wiktor zapytał się jeszcze o wyżywienie, zakłopotany nieco, bo kuchnię prowadziła na ogół jego żona Julia. Teraz jednak Julia była w Kałuszu — z okazji zakończenia roku szkolnego, miała wrócić nazajutrz. Wiktor z Julią mieli dwójkę nastoletnich dzieci, Witię i Anię, którzy w Kałuszu chodzili do szkoły, zamieszkując u rodziców Julii. Wyjaśniłem, że w zasadzie jestem samowystarczalny. Konserwy miałem, makaron też, mogłem ugotować, gdybym chciał, ale po jeździe nie miałem na to ochoty. Miałem chleb, a nawet jeszcze dwie kanapki niezjedzone w podróży.

Tymczasem Wiktor niespodziewanie zaproponował mi przejażdżkę terenowym UAZ-em do Kruhłej w dolinie Mołody. Celem jazdy było dostarczenie dwóch 20-litrowych kanistrów paliwa dla ekipy Towarzystwa „Karpatske Steżky”, która za pomocą pił motorowych oczyszczała szlaki z kosówki w rejonie Mołody. Zgodziłem się oczywiście. Drogi leśne, jak drogi — nieszczerólnie ciekawe. Przy ujściu Kotelca przypomniało mi się, jak tu było przed pięciu laty — teraz stał tu drogowskaz turystyczny z planem szlaków, a na drzewach świeżo wymalowane znaki. Potem teren już dla mnie nieznany. Z drogi ładny widok na Mołodę, potem Mszana, gdzie budowano leśniczówkę, a potem wąska i ciasna dolina Mołody. Przy odejściu czerwonego szlaku na Grofę czekało dwóch młodych ludzi ze stelażami od plecaków. Kanistry przywiązali do tych stelaży taśmą, chwilę pogadali z Wiktorem, po czym poszli w las gdzieś na Jajko Perehińskie. My zaś zawróciliśmy.

Po tej przejażdżce poczułem się już bardzo zmęczony, umyłem się więc i położyłem spać, pomimo że dochodziła dopiero 19-ta.

Skoro tak wcześnie położyłem się spać, to wcześnie się obudziłem — o 5 rano, kiedy jeszcze było szaro. Na co miałbym czekać? Prędzej wyjdę w góry, to prędzej powrócę i lepiej odpocznę przed kolejnym dniem. Zjadłem więc dwie kanapki, popiłem herbatą — i w drogę. Z obejścia wybiegł za mną Ralf. Pomyślałem — jak odejdę gdzieś dalej, to zawróci. Rzeczywiście, zanim przeszedłem jakieś 800 metrów do mostu na Mołodzie, pies zniknął. Za mostem poszedłem w lewo, by po dwustu metrach napotkać czerwony szlak sprowadzający w lewo do mostku na Łomnicy. Mostek był konstrukcji wiszącej, ale chodnik miał zrobiony z poprzecznie umocowanych desek. Dwóch brakowało, a pozostałe były obślizgłe. „Potrzebny jak dziura w moście” — nasunęło mi się mimo woli. Za mostkiem szlak wznosił się najpierw zakosami, a potem na przemian to lekko wznoszącymi się trawersami stoku, to kilkanaście metrów po prostej do góry. Widoków żadnych — wszędzie rosły drzewa. Po jakiejś godzinie stok się wypłaszczył i doszedłem do niewielkiej polanki, gdzie na drzewie przybita była biała strzałka z napisem „Faszory”. Byłem więc na tzw. Soferze. Teraz miałem podchodzić do góry na Matachów, stanowiący zachodnie ramię Wysokiej. Wychodząc na jedną z wielu kolejnych kilkumetrowych kulminacji terenu zauważyłem, że coś się przede mną porusza. Przestraszyłem się, gdy to coś zaczęło się szybko zbliżać w moim kierunku. Był to Ralf.

Pomyślałem sobie najpierw, że niedobrze, bo pies może się zgubić, potem jednak doszedłem do wniosku, że jeśli tyle za mną polazł, pewnie będzie się mnie trzymał i jak ja wrócę, to on też. A w dodatku będę miał z tego psa właśnie taki pożytek, że biegając wokół mnie wypłoszy wszystko, z czym spotkać bym się nie chciał, wszelkie niedźwiedzie, wilki, rysie, dziki czy nawet sarny i jelenie. Sarna czy jeleni wprawdzie są niegroźne, ale gdy w oddali przez drzewa widać, że coś się rusza — na ogół jest to jeleni lub sarna — zawsze istnieje niepewność: co, jeżeli nie? W każdym razie idąc dalej miałem świadomość, że jestem z Ralfem. Pies buszował po okolicznych zaroślach, raz na sto metrów przede mną, innym razem za mną, to znowu z boku, czasami oddalał się bardziej tak, że traciłem go z oczu. Wtedy najczęściej po jakimś czasie gdzieś w oddali słyszałem jego szczekanie: najwidoczniej coś znalazł, co należało obszczekać. Obszczekiwanie trwało zawsze tak długo, że zdążyłem odejść na tyle, że przestawałem je słyszeć. Wtedy najczęściej po kwadransie Ralf doganiał mnie, cały wesoły i szczęśliwy.

Przez ciągle rozglądanie się za Ralfem szybciej mijał mi czas i szybciej ubywało drogi. Oto więc już byłem na niewielkiej przełęczce grzbiecie Matachowa, mając po prawej domek zwany w turystycznym żargonie „Hotelem pod Wysoką”. Od biedy można tu byłoby nocować. Zaraz potem osiągnąłem granicę lasu i otworzyły się widoki, niska kosówka nie przeszkadzała. Widać było przede wszystkim Wysoką — przede mną. W prawo za doliną dominowała ogromna Grofa. Szlak szedł najpierw lekko po lewej stronie grzbieta, potem przez kawałek grzbieta, a następnie prawą stronę coraz bardziej się wznosząc. Widok Wysokiej coraz bardziej zaczynał przypominać ten podręcznikowy, zauważyłem nawet na północnym stoku ślad po płaju, podchodzącym zakosami i dawniej nadającym Wysokiej charakterystyczny wygląd. Płaj ten zarósł, ale może się odtworzy, skoro teraz poprowadzono nim szlak turystyczny (żółty).

Mój szlak przewinął się przez boczny grzbiecik spadający z wierzchołka Wysokiej, po czym nastąpiło skrzyżowanie z tamtym szlakiem żółtym. Ścieżka od tego miejsca zbiegała na płytką przełęcz między Wysoką a Ihrowcem, trawer-

sując wysoką jakieś 30 metrów poniżej wierzchołka. Cóż robić? Przecież nie omieszkam wejścia na sam szczyt, skoro doszedłem aż tutaj. Opuściłem szlak i wspiałem się na wierzchołek po kamieniach. Ralf był nieco zaskoczony, bo poszedł ścieżką dalej, ale widząc co robię zawrócił, przyszedł za mną i położył się na najwyższym kamieniu na szczycie. Dumny. W widoku z Wysokiej (1805 m) dominuje przede wszystkim ogromny i rozległy Ihrowiec, zza którego w jednym miejscu w śmieszny sposób wystaje samiotki czubek Sywuli. Najpiękniejszy widok jest w prawo od Ihrowca — na pasmo Grofy, Parenek i Popadii. Świetnie widoczny jest też grzbiet Arszyca oraz leżąca pod nim dolina Mszany sięgająca po Prawicką Przełęcz; Wysoka znajduje się jak gdyby na osi tej doliny. Ponieważ było jeszcze wcześniej — Wysoką osiągnąłem około 9:30 — wszystko to było przepięknie oświetlone porannym słońcem. W kierunku przeciwnym było za to pod słońce — z pasma Doboszanki widziałem jedynie zarysy, o dalekich widokach na Howerlę nie mogło być mowy. Wykonałem dokumentację fotograficzną i posiliłem się, po czym poszedłem w kierunku Ihrowca.

Nie schodziłem do szlaku, tylko grzbietem do przełęczy między Wysoką a Ihrowcem, słabo widoczną ścieżką wśród kamieni i rzadkich krzaków kosówki. Dalej już szlakiem — wiedziałem o tym, że trawersuje on wierzchołek Ihrowca, więc w stosownym miejscu, gdzie trawers przestawał się wznosić, zeszedłem z niego w lewo do góry. Znalazłem się na ogromnym szczytowym płaskowyżu Ihrowca (1809 m). Gdyby porośnięty był trawą, a nie usłany kamieniami, z powodzeniem mógłby się na nim odbyć mecz piłkarski, a może nawet dwa równocześnie. Gdzie był jednak właściwy szczyt? Na tak dużym obszarze nie było łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Na rozległym szczytowym płaskowyżu istniało też kilka kopców kamieni, jak gdyby każdy z nich miał oznaczać wierzchołek. Przyjrzałem się dokładnie, który stoi w najwyższym miejscu i tam poszedłem. Nie był to jednak ten kopic szczytowy, przy którym byłem w 2006 roku — tamten minąłem po drodze.

Choć widok z Ihrowca jest wspaniały — z żadnego innego szczytu pasmo Sywuli nie wygląda tak pięknie — ze zrobieniem zdjęć był pewien kłopot z powodu wielkości szczytowego płaskowyżu. Aby zrobić zdjęcie Sywuli, a następnie Wysokiej, musiałem się przemieścić wzdłuż płaskowyżu ze 200 metrów. Mniej trzeba było przejść pomiędzy fotografowaniem Grofy i Doboszanki — jedynie jakieś 80 metrów, w poprzek płaskowyżu. Ralf obserwował te moje fotograficzne wędrówki po Ihrowcu i chyba dziwił się, po co chodzę po kamieniach tak bez sensu.

To tyle? — pomyślałem. Była bowiem dopiero 11:30, a mi przyszło wracać. W zasadzie — gdybym chciał, to mógłbym kontynuować swoją wędrówkę — na Sywuli prawdopodobnie byłbym za jakieś 5 godzin. Tylko co ja miałbym wtedy tam robić? W jaki sposób miałbym wrócić do Osmoły? Osiągnąłem przecież planowany na dziś cel, trzeba wracać, oszczędzać siły a jutro? Spojrzałem w kierunku Mołody. Jutro — tam.

Zeszedłem ze szczytu Ihrowca do szlaku, który zaczął się łagodnie obniżać. Stok Ihrowca w tym miejscu nazywany jest Ihrowyszczem. Legenda głosi, że w nocy przy pełni księżyca bawią się tu majki, czyli dusze zmarłych, a nieochrzczonych dzieci. Widok stąd na pasmo Sywuli jest wyjątkowo piękny, stok Ihrowca dodaje mu głębi. Zdjęcie, które tu zrobiłem, okazało się być identycznym ujęciem, jakie w 1907 roku z tego samego miejsca zrobił Mieczysław Orłowicz. Oczywiście nie zdawałem sobie z tego sprawy, okazało się to dopiero

w domu po wywołaniu zdjęć i porównaniu ze starym zdjęciem w książce. Niżej szlak wszedł w zarośla i widoki się skończyły aż do siodła Przełęczy Borewka.

Na Przełęczy i Połoninie Borewka byłem już w 2006 roku. Teraz jednak przełęcz była pusta. Stojący na niej szałas przestał istnieć. Stał za to słupek z mapką okolicznych szlaków i drogowskazami. Miały się w tym miejscu przecinać szlak czerwony, którym schodziłem z Ihrowca, a biegnący dalej na grzbiet Sywulski, ze szlakiem żółtym podchodzącym z Huty i przez siodło zbiegającym w dolinę Łomnicy powyżej Jali — którym planowałem schodzić. Strzałki strzałkami, ale w kwestii ścieżek — na Ihrowiec była, w kierunku Sywuli i Huty — też, w kierunku Jali — nie było. „Zbyt stary ze mnie turysta, żeby się na takie numery nabrać” — pomyślałem — i poszedłem przez trawy na skraj połoniny szukać ścieżki na skraju lasu. Znalazłem. Ścieżka zbiegała łagodnie w dół, a zachwycony Ralf biegł to z jednej strony, to z drugiej, to daleko z przodu. Potrafił nawet pozostać gdzieś z tyłu, a potem odnajdywał się na ścieżce przede mną, jak gdyby zdziwiony, że tak wolno idę, skoro on zdażył mnie obiec wielkim łukiem po krzakach i wertepach. Cóż za pies! Szlak wykonał szeroką pętlę do jaru, przekroczył go, po czym schodząc grzbietem doszedł do wyrębu — i znikł. Jak miał nie zniknąć, skoro wycięto drzewa, na których był wymalowany, a dawną ścieżkę rozorano ciężkim sprzętem przy ściąganiu kłód? Ale wiadomo było, że te kłody dokądś ściągano, dokąd — do drogi w dolinie Łomnicy. Wystarczyło więc schodzić śladami ciężkiego leśnego sprzętu, aby zejść w dolinę. Co prawda — po błocie. Ciekawe, że to błoto przeszkadzało mnie, a Ralfowi — wcale.

Pozostał mi już tylko marsz doliną, szeroką drogą w dolinie Łomnicy, jakieś 8 km — nudy, bo na tym odcinku brak jest widoków. Jedyнным urozmaiceniem są zabudowania Ryzarni — okazała leśniczówka, a obok majdan i barak na sprzęt leśny. Kiedy przechodziłem tamtędy, Ralf wbiegł w obejście poprzez uchyloną bramę. Wołałem na niego, ale nie posłuchał, pewnie nie zrozumiał po polsku, a nie umiałem do niego zawołać po ukraińsku. Niebawem z zabudowań dobiegło zajadłe szczekanie oraz czyjeś wrzaski — z leśniczówki wybiegł facet z kijem, a zaraz potem widziałem, jak Ralf skakał przez półtorametrowej wysokości płot. Pobiegł następnie w las, z którego wybiegł na drogę jakieś 200 metrów dalej. Niesamowite psisko.

Do Osmołody dotarłem o 16-tej. Ralf już czekał tam na mnie. Odłączył się w miejscu, gdzie czerwony szlak odchodził na mostek na Łomnicy i gdzie zamknęła się moja dzisiejsza pętla trasy. Miałem więc jeszcze sporo czasu, aby odpocząć i nabrać sił przed jutrzejszą trasą. Jeszcze wracając doliną Łomnicy rozmyślałem, jak to wszystko należy rozegrać. Mołoda — dobrze, ale co potem? Popadia. Ale to bardzo długa wycieczka, więc trzeba być na nią bardzo wypoczętym. Lepiej, żeby ta Mołoda nie dała mi w kość. Nie jest szczególnie trudna — można na nią wejść w jakieś trzy godziny, wrócić w nieco ponad dwie. Ale wcześniej trzeba się dostać do Kruhłej, 9 km leśną drogą, a po zejściu z Mołody tą samą drogą powrócić. Jak wygląda ta droga — wiedziałem, bo pierwszego dnia jechałem tam z Wiktorem. Postanowiłem więc obgadać z Wiktorem, aby mnie tam zawiózł i przywiózł. Co do porannego zawiezienia — zgodził się za 150 hrywien, natomiast nie był chętny mnie stamtąd zabrać. Nie mówił nie, ale marudził — widocznie miał jakieś plany na popołudnie. Ostatecznie stanęło na tym, że zawiezie mnie rano, a po południu będę się starać wrócić „okazją”. Podobno codziennie dowożą robotników leśnych do Piskawy w dolinie Mołody i po południu powinni wracać, miałem zamachać, żeby mnie zabrali do Osmołody.

Przy okazji miałem okazję poznać żonę Wiktora, Julię, która właśnie wróciła do Osmołody i — jak to bywa w podobnych sytuacjach — zaprowadzała na powrót swoje porządki po dwutygodniowej nieobecności. Przywiozła ze sobą zapas chleba — zapytała mnie czy nie potrzebuję, ale to był dopiero początek mojego pobytu i miałem jeszcze dużo. Załapałem się też na spóźniony obiad.

Rano Wiktor zawiózł mnie do Kruhłej. Przed wyjazdem zapytał, czy chcę zabrać psa. Czemu nie? Poprzedniego dnia tak wiernie mi towarzyszył. W Kruhłej pojechaliśmy kilkaset metrów dalej niż poprzednio, do odejścia szlaku na Mołodę. Wiktor pokazał mi ruiny schroniska PTT w dolinie Mołody. Dobrze, że mi je pokazał, bo inaczej bym ich nie odnalazł. Przy leśnej drodze poprowadzonej po trakcie dawnej wąskotorówki jest wypłaszczenie terenu — mniej więcej 50 na 15 metrów. Podobnych wypłaszczeń przy tej drodze jest wiele, praktycznie przy ujściu każdej bocznej dolinki lub potoku. Wszystkie zarośnięte są chaszczami wysokimi na trzy metry, identyczne chaszczce porastają całe poboczne drogi. To wypłaszczenie różni się od innych tym, że odchodzi przez nie szlak. Zaraz za drogą pokonuje metrowej wysokości wał, a potem drugi podobny wał po jakichś 10 metrach. Dawne fundamenty. Tylko tyle pozostało po schronisku. Swoją drogą to osobliwy przypadek, aby szlak turystyczny przebiegał przez środek dawnego schroniska.

Po pokazaniu ruin, Wiktor wsiadł do swojego UAZ-a, a Ralf pozostał ze mną cały szczęśliwy, że idzie na kolejną wycieczkę. Początek wejścia na Mołodę był iście morderczy — stromo pod górę najpierw ścieżką, a potem drogą zrywkową. Droga ta biegła wprost do góry i była niewiarygodnie stroma, wątpię żeby moje auto (Ford Fiesta 1.2) dało radę podejść pod coś takiego, nawet gdyby ta droga miała asfalt. Niewiele z tej drogi pamiętam, bo stromizna była tak duża, że przyszło mi koordynować kroki i oddechy, a po każdym stu krokach przystawałem dla odpoczynku. Po blisko godzinie ta droga doprowadziła do ogromnego wyrębu. Musiał on być przeprowadzony jakieś 5 lat wcześniej, sądząc po wielkości drzewek-samosiejek, które porastały to miejsce. Droga oczywiście rozchodziła się tu na kilka i rozpływała w niebyt, znaki szlaków też znikaly, bo nie było ich na czym namalować. Wiktor uprzedził mnie o tym miejscu, zatem wiedziałem, że mam przejść wyręb w kierunku na prawo-wprost, i rzeczywiście, po drugiej stronie odnalazłem szlak. Z wyrębu roztaczał się ładny widok na Grofę i Konia Grofeckiego oraz leżącą między nimi Przełęcz pod Koniem.

Powyżej szlak wszedł w ładny stary las podszyty mchem i doprowadził do ścieżki myśliwskiej — czyli rajsztoku — biegnącej w poprzek stoku. Idąc w prawo można by tą ścieżką dojść na Jajko Perehińskie, ale szlak skręcał tu w lewo. Narobiwszy wysokości na tej potwornie stromej drodze teraz nadrabiał odległość, mniej więcej pół godziny szedłem prawie po płaskim, jedynie nieznacznie się wznosząc. Ralf swoim zwyczajem cały czas biegał gdzieś po krzakach.

Po odcinku trawersu szlak skręcił nagle w prawo i do góry, po chwili osiągając granicę lasu przy wielkim stosie kamieni ułożonych niczym pomnik. Dalej była już kosówka, przez którą szlak kluczył niezliczonymi zakrętami. Mołoda była już blisko, zdawała się być na wyciągnięcie ręki, pomyślałem że fajnie, że już, że za jakieś 20 minut będę na szczycie. Te 20 minut okazały się jednak być godziną z okładem. Nie dość, że szlak robił różne esy-floresy, to jeszcze łukiem obchodził rodzaj dolinki pomiędzy Mołodą a grzbietem łączącym ją z Jajkiem Perehińskim. Potem, gdy już wszedł na grzbiet Mołody, zamiast trzymać się ściśle linii grzbietu, wchodził w rodzaj trawersu, by po kilkudziesięciu metrach

wykonywać pionowe podejście wśród kosówki z powrotem na grzbiet. Na niższym wierzchołku Mołody stał niewielki metalowy trójkąt. Za nim szlak wchodził do długiego na kilkadziesiąt metrów okopu z pierwszej wojny światowej. Że też się chciało wtedy kopać okopy na takim szczycie. Potem szlak podążał przez kosówki na nieodległy już wierzchołek.

Wierzchołek Mołody (1723 m) tworzy sympatyczne płaskowzgórze porośnięte trawą, poprzątkane pojedynczymi kamieniami, w otoczeniu kęp kosówki. Ze szczytu roztacza się ładny widok przede wszystkim na pasmo grofeńskie — od prawej Popadia, Mała Popadia, Parenki, Grofa i Koń. Daleko za nimi i po lewej widać pasmo Sywuli, Ihrowca i Wysokiej. Pięknie przedstawia się też pasmo Arszyca, widoczne w całej swojej rozciągłości, można w nim wyróżniać poszczególne niewybitne wierzchołki tego wału. W oddali widoczne jest też Jajko Ilemskie. Natomiast grzbiet łączący Mołodę z Jajkiem Ilemskim wygląda stąd dziwnie karłowato, włącznie z najwyższą w tym grzbiecie Sywanią Lolińską, jedynie niespełna 100 metrów niższą od Mołody. Obydwa szczyty rozdziela głęboka przełęcz Sołotwinka. Z dawnej Połoniny Sołotwinka w okolicach tej przełęczy pozostały dzisiaj dwie śródleśne polany, dobrze widoczne z Mołody. Również Jajko Perehińskie widziane z Mołody nie sprawia większego wrażenia: zalesiony szczyt częściowo ukryty za niższym wierzchołkiem Mołody.

Była dopiero 11:30. Otworzyłem dużą konserwę, zjadłem połowę, drugą połowę oddałem Ralfowi. Miałem jeszcze sporo czasu by dokądś iść, ale dokąd? Pociągła mnie magiczna nazwa Sołotwinki, szczególnie że przed drugą wojną światową stał tam schron turystyczny i można znaleźć wiele opisów z nim związanych „jak to drzewiej bywało”. Ale idąc tam utraciłbym dużo wysokości, a potem musiałbym wracać znowu na Mołodę, bo stamtąd nie ma innej drogi powrotu do Osmołody. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że mogłem pójść na Jajko Perehińskie. Stwierdziłem, że skoro nie mam dobrego pomysłu, a następnego dnia planowałem Popadię, najlepiej będzie zaoszczędzić siły i wrócić.

Wróciłem więc do Kruhłej tą samą drogą. Na poziomym odcinku szlaku Ralf coś wyczuł i popędził przed siebie jak oszalały. Po dłuższej chwili w oddali usłyszałem jego zajadłe szczekanie. Zdawał się nie odstępować tamtego miejsca. Zdażyłem zejść do wyrębu, przestałem go słyszeć. Potem do Kruhłej, a psa nadal nie było. Zmartwiłem się. Ale co miałem poradzić? Wiktor sam proponował, żeby Ralf poszedł ze mną, znał swojego psa i chyba wiedział co robi.

W Kruhłej znalazłem się o 14-tej. Co robić? Czekać na ten samochód z drwalami? A jeżeli nie zabiorą? Zdecydowałem więc, żeby wracać pieszo — jak auto będzie jechać, zamachać na niego, gdziekolwiek będę, a jak nie — zawsze prędeży znajdę się bliżej Osmołody. Miałem więc 9 km nudnej drogi przed sobą. Minąłem odejście szlaku na Grofę. Potem minął mnie ogromny kraz zwożący drewno, zamachałem na niego, ale się nie zatrzymał. Jechała też łada — jak ona tu dojechała po tych dziurach? Ale na mój widok kierowca rozłożył ręce wskazując, że miał komplet pasażerów. Po niespełna godzinie doszedłem do skrzyżowania w Mszanie obok budowy leśniczówki. A tam Ralf! Skąd on wiedział, żeby w tym miejscu czekać na mnie?

Miałem teraz zwiększoną szansę na transport, bo oprócz kierunku z Piskawy mogło też jechać coś z Rosochanu w dolinie Mszany. Ale jechał tylko kolejny *lisowoz*, przy czym nie było sensu na niego machać, skoro miał trzy osoby w szoferce. Potem zaś motocykl. Drogi ubywało powoli. W dole po prawej zablyszczła kopuła monasteru w Łuzkach. Obejrzenie go mogłoby być interesujące, ale — pomyślałem — cóż ja będąc sam miałbym niepokoić zakonników, na doda-

tek idąc tam z psem? Minąłem kolejno — most na Mołodzie i ujście Kotelca. „Tędy powinienem jutro wracać z Popadii” — pomyślałem. W połowie drogi między ujściem Kotelca a Osmołodą z tyłu dobiegł mnie głośny warkot — to jechał kolejny *lisowoz*, a tuż za nim ciężarówka z naczepą do przewozu osób — wioząca drwali. Ale zatrzymywanie jej w tym miejscu byłoby śmieszne, bo do Osmołody pozostało mi niewiele ponad kilometr. Przeszedłem obok pola biwakowego nad brzegiem Mołody, dochodząc do dobrze znanego mi skrzyżowania z drogą wzdłuż Łomnicy. Dalej przez most — i już byłem w Osmołodzie. Przed powrotem do „Arniki” wstąpiłem jeszcze do sklepu „Oksanka”, aby zakupić na jutro wodę mineralną, a na dzisiaj piwo. Przed sklepem było gwaro jak rzadko — zatrzymała się przy nim ta ciężarówka z drwalami. W „Arnice” Wiktor był przekonany, że przyjechałem wraz z nimi.

Czekała za to na mnie bardzo dobra wiadomość. Otóż do „Arniki” przyjechał właśnie polski turysta, który koniecznie chciał wybrać się w pasmo grofeńskie, przejść je całe w ciągu jednego dnia, od Popadii po Grofę. Dokładnie tak, jak ja planowałem, a nawet więcej, bo ja wejście na Grofę zamierzałem odbyć innego dnia. Zbyszek — bo tak miał na imię — był jednak zdeterminowany. Wiktor powątpiewał co do tych jego planów i przychylił się do mojego zdania, że to się raczej nie uda. Tak czy owak spotkało mnie duże szczęście, że na najdłuższą z zaplanowanych wycieczek miałem towarzystwo. Ze Zbyszkiem postawiłem sprawę tak, że pójdziemy na Popadię i Parenki, a co będzie z Grofą, ustalimy jak będziemy na Parenkach, jeśli będziemy jeszcze mieli czas i siły to czemu nie mielibyśmy pójść także na Grofę?

Wieczór przeszedł na rozmowie przy piwie. Zbyszek interesował się skąd jestem, co robię i co ja tutaj robię. On sam pochodził z Żagania i pracował w firmie drzewnej zajmującej się produkcją płyt wiórowych i oklein. Jego firma zakupiła podobną fabrykę w Broszniowie na Ukrainie, licząc na większe zyski z powodu surowca tańszego o połowę, a płac niższych o dwie trzecie. Jednakże pomimo niższych kosztów, przy identycznej technologii i takich samych maszynach ukraińska fabryka nie wychodziła na swoje i trzeba było do niej dokładać z tego, co wyprodukowywał zakład w Polsce. Zbyszek będący w Polsce zastępcą głównego technologa został oddelegowany do tej fabryki w Broszniowie, aby sprawować tam nadzór. Soboty i niedziele były wolne od pracy — wyjazd do domu na dwa dni nie miał sensu, zwłaszcza do Żagania, więc Zbyszek wykorzystywał te dni, by chodzić po górach lub zwiedzać.

O Ukraińcach miał jak najgorsze zdanie. Wypytałem go o szczegóły. Powiedział że już po tygodniu pobytu w Broszniowie zorientował się w czym rzecz i że problem tkwi w warstwie kulturowej. U nich do pracy się przychodzi, ale niekoniecznie się pracuje. Po weekendzie jest tak tragicznie, że ponad połowy pracowników nie można dopuścić do pracy, ponieważ są pijani. Ponadto są w pracy lekkomyślni i nieostrożni, nie używają środków BHP, pomimo że te środki są. W rezultacie dochodzi do wypadków, a każdy wypadek wywołuje poruszenie i zainteresowanie w całym zakładzie, wszyscy wtedy przestają pracować i tak jest do końca dnia. Uszkodzenia maszyn często naprawiają według własnej inwencji, a nie według instrukcji obsługi, czym doprowadzają do awarii, przestojów i zwiększenia kosztów na skutek konieczności wzywania serwisu. Każde czyjeś urodziny lub uroczystość cerkiewna, jakiś ślub, chrzciny czy pogrzeb w czyjejkolwiek rodzinie stanowią okazję do wypitki podczas przerwy śniadaniowej, po czym dalsza praca na ten dzień ustaje. Mistrzowie brygad nie interesują się tym, co brygady robią, więc potrafiło się zdarzyć, że całodzienną produkcję płyt wió-

rowych ułożono pod chmurką — pod drzwiami magazynu zamkniętego dlatego, że magazynier się upił i nie przyszedł do pracy. W nocy spadł deszcz i całodzienną produkcją można już było tylko napalić w piecach na trociny. „Ręce opadają, nie ma na nich siły” — powiedział Zbyszek. Co do efektów swojego nadzoru — podsumował, że największym wysiłkiem spowodował, że fabryka wychodzi na zero, zysków jednak nie przynosi.

Rano Wiktor zawiózł mnie i Zbyszka UAZ-em do Długiej Polany w dolinie Pietrosa. Z jazdy niewiele pamiętam, bo jako że w szoferce był fotel tylko dla jednego pasażera, ja jechałem w pace. Była ona zakryta i przystosowana do przewozu ludzi w ten sposób, że do burt miała przykręcone ławki. Po bokach miała małe okienka, nigdy chyba niemyte. Drzwi z tyłu zamykane były na rygiel od zewnątrz, tak że przewożeni wewnątrz ludzie, aby wysiąść, musieli czekać na kierowcę, żeby je otworzył i ich uwolnił. Zbyszek nazwał ten pojazd chyba najtrafniej — kibitką. Notabene — formalnie pojazd należał do Górskiej Służby Ratowniczo-Poszukiwawczej, podlegającej pod Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Ukrainy. . .

Pożegnaliśmy się z Wiktorem — i w drogę. Pogoda piękna — ani chmurki na błękitnym niebie. Zapowiadał się wspaniały dzień. Przekroczyliśmy potok i zaczęliśmy podejście. Grzbiet Pietrosa Koretwińskiego, którym podchodziliśmy, zdawał się nie mieć końca. Ciągle tylko wyżej i wyżej, jedynym urozmaiceniem było że raz bardziej stromo, a raz mniej. Ścieżka była wyraźna, a czerwone znaki prowadziły nas bez błędu aż do wyjścia z lasu — co zajęło nam około 2 godzin. Widoki dość ograniczone — na Parenki, w drugą stronę widzieliśmy tylko połałdowany grzbiet Pietrosa Koretwińskiego cały w kosówce. Właśnie na wejściu w kosówkę powstały problemy. Ścieżka rozchodziła się tu na trzy, a na żadnej nie było widać znaków. Uradziliśmy ze Zbyszkiem, że każdy z nas pójdzie inną ścieżką i zawoła, jeżeli znajdzie znak. Rozeszliśmy się — i cisza. Ani ja nie zauważyłem znaku, ani Zbyszek nie zawołał. Właściwą ścieżką była ta trzecia, ale zanim obydwaj się pokapowaliśmy, straciliśmy z kwadrans.

Szlak następnie kluczył wśród łańców kosodrzewiny na trzy metry wysokiej, tak że nie było nic widać. Byliśmy tuż pod szczytem Pietrosa Koretwińskiego (1709 m), ale szlak na wierzchołek nie wchodził — zresztą nie było po co, bo był on zarośnięty kosówką, tak samo jak całe otoczenie. W przewodniku turystycznym było napisane wprawdzie, że na szczyt prowadzi słabo widoczna ścieżka przez kosówkę, ale pomimo szczerych chęci żadnej takiej ścieżki nie znaleźliśmy. Opuściwszy szczytową kopułę Pietrosa szlak obniżył się na grzbiet Koretwin, skąd doskonale prezentował się nasz cel — Popadia. Pięknie widać było także pasmo Borżawy na Zakarpaciu. Na zejściu z Koretwin napotkaliśmy pierwszy słupek dawnej granicy polsko-czechosłowackiej, wzdłuż której podchodziliśmy dalej na Popadię. Na podejściu — prowadzącym przez okopy i linie stanowisk ogniowych z pierwszej wojny światowej — Zbyszek miał jakiś kondycyjny kryzys. Na ostatni odcinek, który mi zajął pół godziny, on potrzebował cały kwadrans dłużej.

Pogoda była piękna, a widok wspaniały. Przed nami widniał rozwlekły wał Parenek, zza którego wystawała Grofa. Moim zdaniem jest to jeden z najpiękniejszych widoków w Gorganach. Oprócz tego oczywiście widać było Mołodę, pasmo Borżawy, a w przeciwną stronę w oddali — Sywulę, Ihrowiec i Wysoką. W kierunku południowym bliski Pietros Koretwiński prezentował się przeciętnie, a leżące dalej szczyty otoczenia kotła źródłiskowego Łomnicy — Busztul i Bert — ginęły w blasku słońca. Była godzina 11:30, pogoda była ładna, po

błękitnym niebie snuły się białe baranki. Uradziliśmy, że w dalszą drogę ruszymy równo w południe. Obejrzelśmy stary słupek odcinka granicznego — z orłem i lwem, jeden z dwóch takich słupków zachowanych w ukraińskich Karpatach, a potem posililiśmy się tym co mieliśmy, jednocześnie ciesząc oczy panoramą.

Z Popadii zeszliliśmy wyciętym w kosówce szlakiem na przełęcz, a następnie weszliśmy na Małą Popadię, skąd obniżyliśmy się do lasu na Przełęcz pod Małą Popadią. Znajduje się tu śródleśna polana stanowiąca miejsce biwakowe — tradycyjne, bo w okolicy jedyne. Wszędzie wokoło jest bowiem albo gorgan, albo kosówka, względnie gęsty las, ponadto istotną sprawą jest dostęp do wody. Brak wody w wyższych partiach gór jest jednym z większych problemów podczas wędrówek w Gorganach. Mając na uwadze doświadczenia z dwóch poprzednich dni, na wycieczkę zabrałem dwie półtoralitrowe butelki wody. Teraz, po podejściu w upalnym dniu i posiłku na Popadii, w jednej butelce miałem ledwie jedną trzecią. Zbyszek zabrał jedną butelkę i właśnie opróżnił ją do dna. Na Przełęcz pod Małą Popadią do drzewa przybita była strzałka z napisem „woda 0:10” i Zbyszek stwierdził, że się pofatyguje. Zapytał mnie, czy też nie chcę tam pójść, ale stwierdziłem, że ta jedna trzecia butelki powinna mi wystarczyć na przejście przez Parenki, po czym uzupełniłem wodę w dobrym źródle przy schronie na Płyścach, w ten sposób nie będą wnosili na Parenki niepotrzebnego ciężaru. Nieobecność Zbyszka postanowiłem wykorzystać na odpoczynek.

Minęło pół godziny, a Zbyszek nie wracał, minęły trzy kwadranse, godzina. Zacząłem się niepokoić. Zgubił się? Przecież nie sposób, w każdej sytuacji powinien móc wejść na grzbiet, nawet przedzierając się przez chaszczę, a grzbietem prowadzi szlak. Przecież 10 minut drogi to nie jest daleko. Coś mu się stało? Postanowiłem poczekać do 15-tej i jeżeli nie wróci to trudno — muszę iść go szukać. Wrócił jakoś o 14:45. Chyba musiał zgubić drogę do tej wody, bo opowiadał, jak daleko musiał chodzić i jak przedzierał się przez krzaki. Prawdopodobnie więc poszedł gdzieś dalej w dół, do źródeł jakiegoś innego potoku. Dobrze więc, że nie ruszyłem go szukać, prawdopodobnie rozminęlibyśmy się.

Nieplanowane opóźnienie mogło się zemścić — i to podwójnie, bo w ten sposób zaczynało nam brakować czasu na zdobycie Grofy, a ponadto przez tę godzinę niebo pociemniało, a słońce skryło się za chmurami. Ale Zbyszek miał wodę, ja odpocząłem bardziej niż chciałem — więc w drogę. Po przejściu pasma lasu weszliśmy w kosówkę. Szlak prowadził dwumetrowej szerokości przecinką, tyle że jak zwykle trzeba było uważać na resztki korzeni pod nogami. Widoków żadnych — kosówka wysoka na trzy, a miejscami na cztery metry. Żadnej możliwości zejścia w bok, a kosówki przed nami całe morze — aż po oddalony o jakieś 3 kilometry wierzchołek Parenek. Tymczasem zaczęły nas dochodzić odgłosy burzy, a niebo zaciągało się chmurami błyskawicznie. Co jednak mieliśmy robić będąc w tym miejscu? Na razie szliśmy dalej przed siebie, jedynie okryci foliami od deszczu, który zaczynał już padać. Gdy lunęło bardziej i zaczęło grzmieć tuż obok nas, znaleźliśmy jakiś okazalszy krzak kosówki i schroniliśmy się pod nim przykryci foliami.

Nie musieliśmy czekać zbyt długo. Burza tak szybko jak przyszła, tak sobie poszła, wszystkiego trwała pół godziny. Znowu wyszło słońce, ale ochłodziło się znacznie, a z dolin podnosiły się opary mgieł. Wymuszony odpoczynek pod kosówką dobrze nam zrobił, bo teraz szybko wydostaliśmy się na szczyt Parenek.

Parenki (1727 m) leżą pośrodku pasma grofeńskiego, ale pomimo dużej wysokości widok z nich nie jest tak wspaniały, jak z innych wysokich szczytów — głównie dlatego, że w jedną stronę ograniczony jest przez Popadię, a w drugą

przez grzbiet Pietrosa Koretwińskiego widoczny za doliną. Niesamowicie za to prezentuje się z Parenek Grofa. Oddzielona głębokim siodłem Płyśców wygląda przeogromnie. Na jej zboczu doskonale widoczna jest przecinka, którą podchodzi szlak turystyczny, biegnie on po wyraźnej stromiźnie i wydaje się stąd znacznie trudniejszy, niż jest w istocie. Zgodnie z naszą umową mieliśmy podjąć tutaj decyzję, czy wchodzimy na Grofę, ale żadnej dyskusji nie było. Siły nawet byśmy mieli, ale poszukiwanie wody, a potem burza zabrały nam czas. Była już 17:30, można było liczyć, że w godzinę zeszlibyśmy na Płyśce i jakoś przed 20-tą moglibyśmy być na Grofie. Potem jeszcze za widoku zdołalibyśmy zejść na Przełęcz pod Koniem i potem stanęlibyśmy wobec wyboru: albo po ciemku schodzić czerwonym szlakiem do Kruhłej, a potem iść jeszcze 9 km drogą do Osmołody, albo po ciemku przedzierać się leśnymi ścieżkami, które nawet w dzień łatwo jest zgubić — do ujścia Kotelca. Na nocleg w domku pod Koniem nie byliśmy przygotowani, nie mieliśmy ani ciepłych rzeczy na noc, ani dość jedzenia. Decyzja mogła być więc tylko jedna — schodzimy na Płyśce, a stamtąd doliną Kotelca wracamy do Osmołody.

Zejscie z Parenek prowadziło przecinką w kosówce najpierw stromo w dół, potem już łagodniej. Dało się we znaki bardziej niż myśleliśmy, głównie z powodu korzeni. Grofa była coraz bliżej i wydawała się coraz wyższa. Żał nam było, że na nią nie wejdziemy, ale i tak osiągnęliśmy wiele. Na Płyścach odpoczęliśmy chwilę przy schronie turystycznym, a potem szybko zeszliliśmy do doliny. Teraz z kolei mnie dopadł jakiś kryzys. Zbyszek wysforował się daleko do przodu i co pewien czas na mnie czekał. Ja nie mogłem nadażyć, męczyłem się, pragnąłem chwili odpoczynku, ale gdy tylko dochodziłem do Zbyszka, on ruszał dalej. W ten sposób doholował mnie do samej Osmołody na godzinę 21-szą, gdy zaczynało zmierzchać.

Po tak intensywnym dniu pełnym wrażeń kolejnego dnia postanowiłem zrobić przerwę. Mówi się zresztą, że czwartego dnia wędrowania przychodzi kryzys, może dla mnie objawił się on już trzeciego dnia wieczorem. Ponadto sam zgotowałem sobie pewien problem organizacyjny — mianowicie po wejściach na Wysoką, Mołodę i Popadię czwartym moim celem była Grofa — spod której właśnie wróciłem. Nie uśmiechało mi się łoic w górę tego samego szlaku doliną Kotelca, którym zszedłem dopiero co przed paru godzinami. Ponadto po powrocie z Popadii jedliśmy, myśliśmy się i oporzadzaliśmy aż do po północy i obudziliśmy się o 8:30 rano. Zbyszek, jeszcze wczoraj mający pewne niejasne plany co do Mołody, stwierdził, że i tak było już zbyt późno. Po śniadaniu poszliśmy jeszcze na spacer nad rzekę (Łomnicę), po czym spakował się i wyszedł na drogę czekać na okazję podwiezienia jakimś samochodem choćby do Perehińska, skąd dalej były już autobusy; do Osmołody w niedzielę nie kursowały.

Nie mając nic do roboty pobawiłem się trochę z kotem, później wybrałem się na spacer po Osmołodzie. Miejscowość rozłożona jest praktycznie wzdłuż jednej drogi na odcinku około 500 metrów, o ile nie liczyć zaliczanej do Osmołody fermy pstrągów położonej kolejne pół kilometra dalej w dół w kierunku Kuźmieńca. Dwie boczne drogi prowadzą — jedna do tartaku, „Arniki” i jeszcze jednego domu, druga — w kierunku grzbietu Arszyca, stoją przy niej dwa domy. Obok głównej drogi jest też placzyk, na którym tyłem do drogi stoi pomnik, a za placzykiem — duży parterowy budynek. O ten pomnik pytałem się Wiktora już wcześniej, opowiedział mi interesującą historię.

Pomnik powstał jeszcze w czasach radzieckich, kiedy to w Osmołodzie prężnie działał miejscowy *lisokombinat*. Przy jakiejś tam okazji miejscowy sekretarz

partii postanowił wykazać się inicjatywą budowy pomnika Lenina. Inicjatywa oczywiście znalazła poparcie dyrektora i ogłoszono dobrowolną zbiórkę pieniędzy na jego budowę. Rzecz jednak trafiła na opór w *rajonie* — czyli jak gdyby powiecie. Powołano się na jakiś przepis, w myśl którego pomników Lenina nie wolno było stawiać w miejscowościach poniżej 100 osób ludności, a w Osmołodzie mieszkało jedynie 80. Ale co było robić, gdy pieniądze już zebrano? Postanowiono więc postawić pomnik *lisoruba*, czyli drwala. Jakiś artysta z Iwano-Frankiwska zaprojektował posąg naturalnej wielkości, z piłą motorową na ramieniu. Postawiono go w Osmołodzie na cokole zbudowanym dla Lenina i pomalowano srebrną farbą. A że w tamtych czasach komunikacja Osmołody ze światem opierała się głównie na kolejce wąskotorowej, pomnik postawiono tak, aby witał wszystkich ludzi wychodzących z dworca. Dworzec był po przeciwnej stronie placu niż droga, więc pomnik stanął tyłem do drogi.

I tak stoi sobie do dziś, jedynie z piły motorowej odpadł kawałek betonu odsłaniając metalowe pręty zbrojenia. Budynek dworca od czasu likwidacji wąskotorówki — na skutek powodzi w 1997 r., która zerwała wiele mostków na trasie — służy dziś jako magazyn leśnictwa. Jest zamknięty, można zajrzeć przez szybę w drzwiach i dojrzeć nadal wiszący w poczekalni rozkład jazdy, a w nim wymienione dwa pociągi na dobę. Torów wąskotorówki dawno już nie ma, ale z tyłu dworca wyraźnie widać trzy podłużne zagłębienia po torach i dwie podłużne wysypki po peronach. Część dawnego nasypu wąskotorówki jest wykorzystywana jako dodatkowa droga na zapleczu chałup.

Z obiektów wartych wymienienia w Osmołodzie są jeszcze dwa *hurtożytki* i „Ganc”. *Hurtożytki* to hotele robotnicze dla drwali, drewniane, ale piętrowe. Dziś nie pełnią już swojej roli. W jednym mieści się stacja ratownictwa górskiego — czyli miejsce pracy Wiktora — oraz sklep. Drugi stoi otwarty i opuszczony naprzeciw końcowego przystanku autobusowego i służy... jako toaleta dla oczekujących. Zresztą — z wodą, jeśli ktoś potrzebuje, bo studnia — taka staromodna na korbę i wiadro — stoi tuż obok.

„Ganc” jest bazą hotelowo-turystyczną, całkiem nową. Składa się z centralnego budynku z pokojami hotelowymi i knajpą oraz kilku domków jednorodzinnych — także do wynajęcia. Na terenie jest plac zabaw dla dzieci, ponadto sztyld wypożyczalni rowerów i nart. Strzyżona trawka, parking ułożony z kostki Bauma. Ale wszystko puste, zamknięte, a po terenie chodzi strażnik z groźnym psem. W internecie można znaleźć że nocleg w „Ganc” kosztuje od 300 hrywien za dobę. Wiktor zapytany o „Ganc” odpowiedział mi wymijająco, że on nie wie po co to komu i ja też żebym się lepiej nie interesował. Może jakiś mafijny ośrodek szkoleniowy pod przykrywką hotelu? Kto wie?

Spośród domów w Osmołodzie wyróżnia się „Oksanka” — dawny budynek dyrekcji *lisokombinatu*, piętrowy, przebudowany przez nowych właścicieli, którzy zajęli piętro, a parter przerobili na pensjonat. Obok domu postawili kontener, w którym mieści się sklep. Nocowałem w „Oksance”, gdy byłem poprzednio w Osmołodzie, gdy ciągle padało. Powiedziałem o tym Wiktorowi, który się uśmieł. Zapytany przeze mnie o przyczynę, odparł że tu w Osmołodzie miejscowi już przepowiadają pogodę na podstawie ich gości. Mianowicie, ilekroć do „Oksanki” przyjeżdża jakaś grupa autokarem, zawsze pada.

Ponieważ cały dzień byłem na miejscu, zamówiłem pełny obiad u Julii, zrobiłem też pranie koszul korzystając z uprzejmie udostępnionej pralki. Wieczorem do „Arniki” przyjechali nowi goście — czwórka turystów z Katowic: Grzesiek, Stefan, Paweł i Małgosia. Byli mniej więcej w moim wieku, może kilka lat młodszy.

Liderem grupy był wyraźnie Grzesiek. Z ich wynurzeń wynikało, że byli oni rodzajem paczki, która razem wyjeżdżała w góry, to w Bieszczady, to w Sudety, to w Tatry, albo do Rumunii czy Bułgarii, co roku gdzie indziej. Przyjechali teraz w Gorgany, dużo o nich słyszeli, naczytali się w internecie, gdzie natrafili dość przypadkowo na anons „Arniki”. Przybyli samochodem, wyrażali się krytycznie o stanie tutejszych dróg. Największą ochotę mieli na zdobycie Sywuli. Kiedy przyjechali, byli zachwyceni, że widzą tę górę tak blisko. Musiałem im wytłumaczyć, że to nie jest Sywula, tylko Grofa. Pewne rozczarowanie zmieniło się szybko w radość, kiedy dowiedzieli się, że następnego dnia na nią idę. Nie mieli żadnej mapy.

Następnego dnia jednak nie poszedłem na Grofę, ani ja, ani oni. Gdy obudziliśmy się rano, za oknem była ściana wody i nie było nawet widać przekaźnika telefonii komórkowej na pobliskim pagórze, co dopiero mówić o górach. Zamiast wyjścia w góry — długie spanie, celebrowanie śniadania. Spacer pod parasolem do „Oksanki” po jakieś wafelki i herbatniki do kawy. Turyści ze Śląska wypytali mnie o wszystkie atrakcje Osmołody i pod parasolami poszli na spacer. Okazało się, że dotarli aż do fermy pstrągów, zakupili tam ryby, przynieśli i poprosili Julię, by je zrobiła na obiad dla wszystkich, wliczając gospodarzy i mnie. Ze sklepu przynieśli też wybór napojów wysokoprocentowych, komentując, że zaskoczeni byli tak dużym ich wyborem w wiejskim sklepie na końcu drogi. Najwyraźniej nie znali Ukrainy. W każdym razie częstowali siebie nawzajem, mnie, Wiktora, Julię, a nawet kolegę Wiktora z pracy, który po coś wpadł.

Około południa deszcz zamienił się w mżawkę, a potem przestał padać. Z dusznej kuchni przenieśliśmy się więc do altany na dworzu. Alkohol rozwiązał języki, więc opowiadaliśmy sobie nawzajem nasze przeróżne doświadczenia z gór. Oni z różnych gór, a ja głównie z tych tutaj, powoli wyrabiając sobie u nich rolę autorytetu. Pstrąg na obiad był przepyszny, resztę dnia spędziliśmy też głównie przy stole. Pod wieczór wypogodziło się. Za moją radą Ślązacy postanowili poprosić Wiktora, aby nas rano podwiózł „kibitką” w górę doliny Kotelca tak daleko jak się da, aby zaoszczędzić nam nudnego marszu. Na pięć osób koszt 100 hrywien — wychodziło niewiele.

Późnym wieczorem, gdy już kładliśmy się spać, przyszedł Wiktor uprzedzić nas o pewnej zmianie planów. Otóż wezwano go z centrali do wsparcia akcji poszukiwawczej jakiegoś turysty aż w Czarnohorze, musiał więc jechać. Ale że my mamy się nie martwić, bo zamiast niego przyjdzie ktoś, aby zawieźć nas tą kibitką do Kotelca. Na Wiktora czekał już jakiś samochód przed bramą.

Poranek wstał ładny. O 7-mej zjedliśmy wczesne śniadanie. Wyszliśmy przed dom — kibitka stała tak samo jak wieczorem, ale mijał czas i nikogo przy niej nie było. Chcieliśmy już dać sobie spokój i iść pieszo, ale powstrzymała nas Julia zapewniając, że kierowca na pewno przyjdzie. Rzeczywiście przyszedł — 45 minut spóźniony. Sympatyczny młody człowiek. Umiał prowadzić samochód, ale najwyraźniej pierwszy raz siedział za kierownicą takiego auta. Nie mógł dać sobie rady z terenową skrzynią biegów kibitki, posiadającą dwie dźwignie. Ciągłe się mylił; jak to takiego nazywają — kierowcodentysta. Mnie te jego zgrzyty irytowały chyba najbardziej, bo jako mianowany kierownikiem grupy siedziałem w szoferce. Człowiek ten chciał jak najlepiej — chciał zawieźć nas jak najdalej i zamiast wysadzić nas przed którymś kolejnym brodem, widząc drogę dalej postanowił przejechać i utknął w potoku. Tylne koła były jeszcze na twardym gruncie, ale przednie były całe w wodzie. Silnik warczał, kibitka się bujała to do przodu, to do tyłu, ale nie była w stanie wyjechać z pułapki.

Trzeba było próbować pomóc wypchnąć pojazd, ale przede wszystkim odciążyć — bez pasażerów istniała jakaś szansa że może wyjedzie. Cóż jednak robić, kiedy pasażerowie są w pace zamknięci od zewnątrz, nie mogą sami wyjść, a naszą soferkę okalała woda? Nie było wyjścia — otworzyłem drzwi i wskoczyłem do wody po kolana. Obszedłem kibitkę i uwolniłem zdezorientowanych pasażerów. Bez ludzi prawie że mu się udawało wyjechać do tyłu, a więc ponownie wszedłem do wody aby pomóc wypchnąć. Grzesiek ze Stefanem rzucili się również, ale zanim zdążyli wejść do wody, kibitka wyjechała już tyłem na brzeg. Kierowca bardzo nas przeproszał — nie tyle za zamieszanie, co za to, że nie dał rady nas zawieźć dalej, jak obiecał Wiktorowi.

Pożegnaliśmy się z kierowcą i ruszyliśmy na szlak. Ja chlap, chlap — w przemoczonych butach. I tak przejechaliśmy ponad połowę drogi Kotelcem. Przeszliśmy jakieś 500 metrów wzdłuż potoku, potem w lewo w bród na skarpe, po kolejnych kilkuset metrach w dół, przez potok, następnie w górę i po jakiejś półtorej godzinie byliśmy na Płyścach przy schronie turystycznym. Po raz któryś wykręciłem skarpetki i wreszcie przestało mi chlupać w butach, choć oczywiście wszystko było nadal mokre.

Na Płyścach weszliśmy na czerwony główny wschodniokarpacki szlak turystyczny, którym w górę, najpierw lasem, potem przez kosówkę, a na koniec ułożoną z kamieni ścieżką po gorganie. Płyśce zdawały się zapadać w dół, widoki roztaczały się coraz szersze, aż w końcu stanęliśmy na szczycie obok kamiennego kopca.

Widok z Grofy (1748 m) oglądałem po raz pierwszy, bo za poprzednim razem widać było tylko najbliższe kamienie. Osobiście oceniam, że widok z Grofy jest drugim najpiękniejszym widokiem z gorgańskiego szczytu — po Sywuli. Wynika to z centralnego położenia Grofy względem innych gór. Prosto na północ leży dolina Łomnicy z doskonale widoczną w dole Osmołodą. Na prawo od doliny wznoszą się kolejno Seredna, Wysoka, Ihrowiec, Borewka, Łopuszna i Sywula. W dalszej części panoramy za siodłem Ruszczyzny widoczny jest Koniec Gorganu, a bliski plan tworzą Kanusiaki Mały i Wielki. Dalej na prawo widnieją Pietros oraz — za doliną Pietrosa — wał Parenek, zza którego wystaje wierzchołek Popadii. Za Sywulą na horyzoncie widoczne są odległe szczyty pasma Doboszanki i Syniaka. Licząc od doliny Łomnicy w lewo, widać pasmo Arszycy, a bliżej — nisko w dole — Konia Grofeckiego. Zachodnia część panoramy zdominowana jest przez ogromny wał Mołody. Teraz jednak nie wszystko było widać. Chmury były rozczłonkowane, ale najwyraźniej uparły się siedzieć na Sywuli, odcinając jej wierzchołek niczym nożem. Zastanawiające że Sywula jest tylko 30 metrów wyższa od Ihrowca, oba szczyty leżą dość blisko siebie, tymczasem Ihrowiec cały czas był widoczny, a Sywula wcale. Druga uparta chmura siedziała na Parenkach zasłaniając Popadię, o ile z samych Parenek chwilami schodziła odsłaniając wierzchołek, to Popadia nie pokazała się w ogóle. Jakież chmury snuły się też po Mołodzie, okresowo zasłaniając lub odsłaniając ten szczyt.

Grofa była jedynym celem naszej wycieczki i choć te różne chmury snuły się tu i tam, pogoda była stabilna. Nie poganiałem więc do wymarszu licząc, że może niektóre szczyty się odsłonią. Minęło jednak 45 minut, nie odsłoniły się, a moi towarzysze nabrali chęci do kontynuowania wędrowki. Opuściliśmy więc Grofę, schodząc po jej północnym stoku najpierw po kamieniach, potem przecinką w kosówce, a na koniec zakosami wśród lasu na Przełęcz pod Koniem. Domek pod Koniem stał nadal tak jak przedtem, jedynie ktoś wyrwał mu drzwi, a w środku wałały się śmieci. Mogliśmy stąd albo schodzić szlakiem koło Stawu

Grofeckiego do Kruhłej w dolinie Mołody, a potem wracać do Osmołody drogą, albo schodzić ścieżką myśliwską, tzw. rajsztokiem do ujścia Kotelca ze świadomością, że jakiś kilometr przed końcem ten rajsztok urywa się na ogromnym wyrębie sprzed kilku lat. Małgosia pragnęła zobaczyć staw, więc pierwsza opcja przeważała.

Staw Grofecki okazał się dużym rozczarowaniem. Zamiast urokliwego jeziora, którego się spodziewaliśmy, szlak wyprowadził na torfowisko. Tyle bowiem pozostało ze stawu. Co gorsza, dawną drogę, którą szedł szlak, porosły tutaj gęste chaszczki. Przejście po torfowisku nie wzbudzało zaufania i ostatecznie przeciskaliśmy się, ocierając się o krzaki skrajem dawnego brzegu jeziora. Szlak poniżej stawu schodził w dół wyraźną leśną drogą, na której ku swojemu zdumieniu nagle ujrzeliśmy barak na kołach i krzątającego się przy nim drwala. W pobliżu nie było żadnego świeżego wyrębu — może więc planowano jakiś? Nie nasza jednak sprawa, więc nie pytaliśmy. Niedługo potem zeszliśmy na brzeg Mołody.

Mołoda w tym miejscu jest rzeką, a nie potokiem — szerokości ma wprawdzie nie więcej jak 20 metrów, ale głębokości woleliśmy nie sprawdzać. Dna zresztą nie było widać, po wczorajszym deszczu rzekaniosła sporo wody koloru błota. Przez rzekę — jako kładka — przerzucony był ogromny, gruby pień drzewa. Ktoś go od góry nieco obrobił piłą łańcuchową aby nie był zupełnie okrągły, płaska powierzchnia wystarczała na stawianie stóp jedna za drugą. W dodatku pień był wygięty w łuk pod własnym ciężarem. Nie zastanawiając się wiele weszłem pierwszy na tę kładkę, za mną weszli Grzesiek i Stefan. Pod ciężarem nas trzech pień zaczął się bujać i gdy weszła na niego Małgosia, czym prędzej uciekła z niego z piskiem. Paweł pozostał z nią na drugim brzegu, tymczasem ona panicznie przyglądała się wodzie szukając miejsca do przejścia w bród. Wołała, że tędy nie przejdzie i nie przekonała jej, że Paweł spokojnie przeszedł, dla przykładu. Grzesiek wrócił więc na tamten brzeg, wziął od Małgosi plecak, a potem przeprowadził ją na naszą stronę. Trwało chwilę, zanim doszła do siebie po przeżyciu.

Drogę z Kruhłej do Osmołody znałem już dobrze i raz już pokonałem ją pieszo. Szliśmy niespiesznie, licząc na jakąś szansę podwiezienia, choć dla pięciu osób nie byłoby to łatwe. Nic jednak nie jechało. Minęliśmy Mszaną, potem doszliśmy pod monaster w Łużkach. Grzesiek z Małgosią zostali w tyle, wraz z Pawłem i Stefanem zatrzymaliśmy się, żeby na nich poczekać i razem odwiedzić monaster. W tym momencie nadjechał jednak kraz wyładowany drewnem. Grzesiek zamachał na niego i wraz z Małgosią załapali się na podwózkę. Niestety w szoferce było miejsce tylko dla dwojga pasażerów, więc my trzej pozostaliśmy na drodze. Przeszła nam ochota na zwiedzanie monasteru i powoli, spokojnie poszliśmy do Osmołody. Taki czasami bywa pożytek z chodzenia na przedzie.

W Osmołodzie czekał już Wiktor. Okazało się, że cały ten jego wyjazd był psu na buty. Zanim on dojechał w Czarnohorę, lokalni ratownicy z Worochty znaleźli turystów. Nic im się zresztą nie stało, po prostu po pijanemu poszli, gdzie ich oczy poniosły, byli bez mapy i w obliczu nadchodzącej nocy zatelefonowali przez komórkę do ratowników.

Odbywszy wycieczkę na Grofę, a mając jeszcze czas do wyjazdu zamyślałem pójść na Koniec Gorganu, na którym dotąd nie byłem. Uprzednio myślałem wprawdzie o Arszyca, ale oglądając ją z Mołody oraz Grofy trochę mi przeszła chęć. Pasma wyglądało bardzo dziko, kosówki miałem już dość, a tam wyglądało na to, że jest jej wyjątkowo dużo, a za to nie było szlaku. Pomysł samotnej

wyprawy na Arszycę — czy nawet z Ralfem — przestał mi się podobać. Ponadto, odbywając tę wycieczkę ponownie zeszedłbym do Mszany i drogę stamtąd do Osmołody musiałbym pokonywać pieszo po raz trzeci. Moi śląscy towarzysze byli jednak zdeterminowani na Sywulę do tego stopnia, że namawiali Wiktora, aby ich tam poprowadził za opłatą. Nie wiem, czy Wiktor nie chciał, czy jak — ale wpadł na pomysł, żebym to ja ich tam poprowadził, poprosił mnie o to i przekonał.

W taki sposób stałem się poniekąd przewodnikiem po Gorganach. Wieczór minął miło i przy stole, podobnie jak wieczór poprzedni. Wyjazd kibitką zaplanowany był na 7 rano.

Buty mi niestety nie wyschły. Przeszły jedynie na tyle, że przez pierwsze 5 minut po ich założeniu nie czułem wilgoci. Ale — to dla mnie nie pierwszyna. Pogoda była ładna — nawet za bardzo. Słonecznie, ale nadspodziewana przejrzystość powietrza nie wróżyła dobrze. Pojechaliśmy dobrze mi znaną trasą przez Ryzarnię. Teren wyglądał jakoś inaczej, daremnie wypatrywałem kamienia Potockiego. Okazało się, że od mojego poprzedniego pobytu w tym miejscu leśnictwo wykonało tu inwestycję w postaci przebudowania dawnego nasypu wąskotorówki na drogę kołową — natomiast stara droga została zapomniana. Za to nową drogą można było dojechać aż do Wyżniego Bystryka, gdzie dawniej kończyły się tory i skąd było blisko na Ruszczyne, tylko że bez szlaku. Taki wariant drogi wybrałem chętnie nie tylko, że bliżej. Wejście na Sywulę od Ruszczyzny jest bowiem ciekawsze. Przejdziemy grzbiet Sywulski aż do Borewki i zejdziemy do Niżniego Bystryka, który właśnie mijaliśmy. Nie przypominał on rozjeżdżonego pełnego błota majdanu, jakim był dawniej. Owszem, domek dla drwali stał jak przedtem, obok niego był wyjeżdżony placyk, a całą resztę dawnego placu załadunkowego drewna porastało zielsko wysokie po pas. Mostek nad potokiem, którym przedtem baliśmy się przejść, został wymieniony na nowy. Wjechaliśmy teraz w wąską dolinę Bystryka. Drzewa z obydwu stron drogi niemal zwierały się górą i wyobrażałem sobie, jak niesamowity musiał być widok, kiedy zamiast naszej kibitki jeździła tędy kolejka.

Dojechaliśmy do ujścia jakiegoś jaru. Utwardzona droga w tym miejscu kończyła się. Rozdzielała się na dwie: jedną biegnącą dalej w głąb doliny, drugą wchodzącą bardzo stromo na grzbiet między doliną a jarem. Obydwie wyglądały jak pary kolein wyżłobione w błocie i listowiu. Umówiliśmy się z Wiktorem w Niżnym Bystryku o 16-tej i dalej ruszyliśmy pieszo. Para kolein rychło przeszła w ścieżkę, która doprowadziła do wiatrołomu. Tam rozwidła się na płataninę ścieżek, ale grzbiet w tym miejscu był dość wyraźny, więc spodziewałem się, że ścieżka ponownie się odnajdzie za wiatrołomem. Tak właśnie się stało. Kawalek dalej była niewielka polanka z wałącym się starym szaląsem i ładnym widokiem na grzbiet Końca Gorganu. Zrobiliśmy tu postój, a moi towarzysze zapytali mnie, ile razy już tędy chodziłem. Nie mogli uwierzyć, że nie szedłem wcześniej nigdy.

Dalsza trasa prowadziła dobrą ścieżką, wyraźnym grzbiecikiem wśród starożytnego, zacienionego lasu. Ścieżka w pewnym momencie rozszerzyła się, zeszła z grzbietu w prawo i po chwili doprowadziła na połoninę na głównym grzbiecie karpackim. Wśród traw widoczne były słupki dawnej polsko-czechosłowackiej granicy. Połonina ta na dawnych mapach nazywała się Kruhła — tak samo jak miejsce schroniska PTT w dolinie Mołody — choć obydwa miejsca są odległe od siebie o jakieś 20 km w linii prostej — a dolinami zapewne dwukrotnie dalej. Był stąd bardzo ładny widok na stoki Końca Gorganu. W siodle połoniny poniżej

nas pasły się liczne konie, które najwyraźniej zainteresowały się nami. Powoli, niespiesznie zaczęły się do nas zbliżać. Wyglądały bardzo ładnie i wydawały się sympatyczne, chyba jednak miały jakieś swoje spory, bo gdy jedne podeszły do nas bardzo blisko, podbiegł jakiś inny rumak i ugryzł jednego z nich w szyję. Tamten odpowiedział wierzgnięciem — i zaczęło się końskie brykanie i gonitwy dookoła nas. Czym prędzej więc ewakuowaliśmy się z tego miejsca, obawiając się, że konie za nami podążą. Początkowo rzeczywiście na to wyglądało, ale ostatecznie one pozostały u siebie, a my — zgrzani — szybko przeszliśmy fragment grzbietu dzielący nas od Ruszczyzny.

To miejsce już znałem — poprowadziłem więc moich towarzyszy do śladów schroniska i zarządziłem półgodzinną przerwę, wiedząc o tym, że teraz będzie stromo pod górę. Na postoju opowiedziałem im o historii tego miejsca. Obejrzeliliśmy ruiny i porobiliśmy sobie zdjęcia z kilkoma końmi, które się tutaj pasły. Nie wykazywały one jednak zainteresowania nami jak tamte z Kruhłej ani też nie zamierzały nam dawać przedstawienia typu rodeo.

Podczas przerwy postanowiłem zdjąć na chwilę buty — i zaniepokoiłem się. Całe czuby miałem odklejone od podeszw, prawy but bardziej — jakieś 5 cm, lewy mniej — na połowę tego. Co prawda już wcześniej czułem w butach pewien luz, ale nie zastanawiałem się nad tym, myślałem, że lekko przeschnięte buty rozczłapały się, kiedy wilgoć się bardziej równo rozprzestrzeniła po nich na skutek marszu. Tak już nieraz bywało. Teraz jednak pojawił się problem. Kiedy się chodzi z miejsca na miejsce z dużym plecakiem, wśród wszystkich rzeczy ma się jakąś zapasową parę butów, wprawdzie nie spełniającą wymogów butów turystycznych, ale mogących służyć jako awaryjne. Zabieranie takiej pary butów na jednodniową turę stanowi jednak niepotrzebny balast. Co robić? Buty wprawdzie jeszcze się nie rozleciały i chwilowo można było w nich iść, ale jak długo wytrzymają, zanim podeszwy odpadną zupełnie? Przypomniałem sobie, że przecież dawni Bojkowie czy Huculi, mieszkańcy tych ziem, w okresie letnim często popylali po tych górach na bosaka — szczególnie ci biedniejsi. Tyle, że oni byli do tego przyzwyczajeni, a skórę na stopach pewnie mieli jak z wołu. Odwrót niewiele by zmienił, o jakim odwoście zresztą mogła być mowa? Wiktor miał na nas czekać w Niżnym Bystryku — najkrótsze dojście tam prowadziło dawną drogą wojenną po stoku Sywuli — i było tylko nieznacznie krótsze od drogi przez szczyt — tyle że nie trzeba byłoby zdobywać wysokości. A jakież rozczarowanie dla moich towarzyszy, gdyby przerywać wycieczkę z takiego powodu! Co prawda z tego miejsca na Sywulę wiódł dalej szlak i teoretycznie mógłbym ich puścić dalej samych. Ale droga doprowadza do siodła pod Borewką, gdzie szlak trzeba zmienić, a potem w odpowiednim miejscu skrócić na ścieżkę do Niżnego Bystryka. Można się pomylić. A ponadto ja tą drogą wojenną szedłbym sam, gdyby mi się buty całkiem rozwały, to nikt by nie wiedział, w którym miejscu to się stało, ani co się ze mną dzieje.

Doszedłem do wniosku, że trzeba jakoś iść dalej, tyle że wolniej i uważniej, szczególnie kiedy to będzie na gorganie i będzie łatwo o coś zahaczyć podeszwą. Powiedziałem o tym moim towarzyszom. Nieoczekiwanie Paweł wyciągnął ze swojego plecaka rolkę szerokiej taśmy izolacyjnej. Wpadł na pomysł, że te moje buty oklejmy i jakoś to będzie. Wprawdzie taśma się za jakiś czas przetrze i przedrze, ale jest jej cała rolka i w razie czego będziemy się zatrzymywać co kilometr i oklejać buty na nowo. Okleiliśmy więc moje buty — głupio to wyglądało, ale najważniejsze, aby to było skuteczne.

Ruszyliśmy stromo pod górę. Historia z moimi butami odwróciła naszą uwagę od pogody, która tymczasem poleciała na łeb. Niespodziewanie słońce skryło się za coraz niższymi chmurami. Stwierdziłem, że lepiej w tej sytuacji zrezygnować z wejścia na Małą Sywulę — te dodatkowe 15 minut mogło zawazyć nad tym, czy z samej Sywuli będziemy mieć jakieś widoki, czy też przyjdzie nam zdobywać szczyt we mgle. Niewiele też wyszło z moich planów, aby z powodu butów iść uważnie i powoli. Taśma na moich butach przetarła się w polowie trawersu Małej Sywuli i odpadła, stwierdziłem jednak, że lepiej nie tracić czasu i nie zatrzymywać się na ponowne oklejanie butów, bo chmury nadciągały, znikła już w nich Popadia, lada chwila miały objąć Parenki.

Niestety! Kiedy zbliżaliśmy się do przełęczy między Małą Sywulą a Sywulą, wał chmur przewalił się przez sąsiedni grzbiet Końca Gorganu, ogarnął go i szybko zmierzał w naszym kierunku. Spieszyliśmy się na szczyt, potknąłem się kilka razy, ale buty jakoś wytrzymały. Niespełna 20 metrów przed wierzchołkiem przegraliśmy ten wyścig. Chmura była pierwsza, ogarnęła nas mgła. Pech. Towarzysze nic mi nie powiedzieli, ale ja miałem sam do siebie pretensje. Te buty! A w ogóle to przecież gdybyśmy ruszyli z Ruszczyzny o te 5 minut wcześniej, zdążylibyśmy. A tak — mogłem moim towarzyszom jedynie pokazać widoki z Sywuli w swoim aparacie fotograficznym. Tak się złożyło, że nadal miałem tę samą kartę pamięci, ze zdjęciami z poprzedniego mojego pobytu tutaj, przy wspaniałej pogodzie.

Wypiliśmy po kieliszku koniaku, przyniesionego przez Stefana na okoliczność zdobycia najwyższego szczytu, zjedliśmy tabliczkę czekolady, okleiliśmy moje buty nową taśmą — i dalej w drogę. Nie było co robić na szczycie, mgła i wiało, nadziei na poprawę pogody nie widzieliśmy, raczej obawialiśmy się że zaraz zacznie padać. Nie zaczęło, ale mgła gęstniała w oczach i to pomimo że schodziliśmy już ze szczytu. Zdawała się otulać wszystko swoim wilgotnym tumanem, podczas gdy wiatr stopniowo ustawał. Z mgły wyszliśmy w okolicach ruin na grzbiecie Łopusznej. Odsłoniły się widoki — na grzbiet Końca Gorganu, a w drugą stronę na Ihrowiec, który zdawał się być rodzajem podpory dla chmur. Wlokły się one po jego płaskiej wierzcholinie.

Mgła się niestety skraplała. Taśma z moich butów wnet odpadła, a naklejona kolejna nie wytrzymała więcej niż 50 metrów. Trzeba było dać sobie spokój z dalszym oklejaniem, nie miało to sensu. Weszliśmy w piętro kosówki. Szlak był szeroko przecięty, nie trzeba więc było przeciskać się między gałęziami. Stało się za to po uschniętych korzeniach, wykrzywając buty na różne sposoby. Czulem, jak stopniowo robiło mi się w butach coraz luźniej, aż na podejściu pod ostatni wierzchołek — Borewkę — potknąłem się mocniej i podeszwa prawego buta oderwała się do mniej więcej jednej trzeciej długości. Szedłem więc dalej o wiele wolniej, właściwie lewą nogą, dostawiając prawą z pięty. Byłem prowadzącym grupę, ale w rzeczywistości wlokłem się na końcu. Towarzyszom powiedziałem, żeby na mnie zaczekali na siodle Borewki.

Kiedy tam doszedłem, trwała między nimi rozmowa co do planów na dzień następny, w grę wchodził albo Ihrowiec — który teraz w zejściu byli widzieli — chwilami się odsłaniał, albo Arszyca, o której ja wiele mówiłem podczas poprzednich postojów. Ja byłem wobec tych planów sceptyczny — jakże miałbym iść na kolejną wycieczkę bez butów? Pocieszyli mnie wszakże, że to nie powinien być problem, bo Wiktor pracując w górskim pogotowiu ratunkowym na pewno coś poradzi, na pewno będzie miał jakieś zapasowe buty, które będzie mógł pożyczyć.

Ruszyliśmy więc dalej w dół — ostrzegłem moich towarzyszy przed niespodziewaną ścieżką od tyłu od prawej, na którą trzeba będzie skręcić, aby dojść do Niżnego Bystryka zamiast wracać na Ruszczyne, nie wypuszczali się więc w przód, aż mineliśmy to miejsce. Ale dalej — Małgosia, Paweł i Stefan popędzili przed siebie, ze mną został tylko Grzesiek. Z butami było niestety coraz gorzej, prawa podeszwa trzymała się już tylko na odcinku obcasa, pomiędzy but a podeszwę dostało się błoto, przedostało się tamtędy do środka buta. Miałem uczucie, jak gdybym stąpał po błocie w samej tylko skarpecie. Podeszwa lewego buta też się odrywała coraz bardziej. Schodziłem powoli, krok za krokiem. W końcu ujrzałem Niżny Bystryk. Kibitka już czekała, Wiktor i moi towarzysze także. Dotarłem aż trzy kwadransy po nich. Wściekły na los, szarpnąłem za prawą podeszwę i oderwałem do końca.

Jadąc do Osmołody w szoferce wraz z Wiktorem, zapytałem się go, co mógłby poradzić na ten kłopot z butami. Odparł niestety, że będzie problem. Oczywiście zobaczy, co się da zrobić, ale w niedalekim Perehińsku z butów można kupić jedynie gumiaki. Turystycznych butów nawet w Kałuszu nie widział, trzeba by jechać po nie do Iwano-Frankiwska, a publicznymi środkami komunikacji to zajmie dwa dni. Owszem, w magazynie ratowników są jakieś buty, ale dla mnie niczego stosownego sobie nie przypomina. Swoich butów pożyczyc nie mógł, bo nosił rozmiar 43, podczas gdy ja — 45.

Na miejscu okazało się to niestety prawdą. W magazynku ratowników było około 20 par butów w różnym stanie, ale ze względu na rozmiar dla mnie był jedynie jeden but. Drugi but od tej pary miał wypaloną podeszwę — najwyraźniej ktoś wchodził w nim do ogniska. Aż zapytałem Wiktora po co trzymają coś takiego w magazynie, skoro właściwie zdatny do użytku jest jeden but. Odparł, że może się zdarzyć, że akurat ktoś uszkodzi sobie lewy but i tylko on będzie mu potrzebny, a prawy — ten spalony — trzymają do kompletu, żeby ktoś niepotrzebnie nie przetrząsał całego magazynku szukając pary do tego lewego, dobrego.

Jak to się mówi w takich sytuacjach: zdechl pies. Wycieczki ani na Ihrowiec, ani na Arszyce nie będzie. Nawet gdybym miał tam pójść w gumiakach, trzeba by po nie pojechać do Perehińska. Wiktor mógłby tam zawieźć, ale sklep otwierali o 10-tej, po dziurawej drodze wrócilibyśmy najwcześniej na 11-tą i byłoby za późno, aby wychodzić w góry. A przecież jutro miał być i tak ostatni dzień mojego pobytu. Co więc robić? Po co miałbym siedzieć tu w Osmołodzie dodatkowy dzień, patrząc się jedynie na góry? Trudno. Postanowiłem więc skrócić pobyt i wracać do domu. Moi towarzysze ze Śląska rozczarowani takim obrotem sytuacji zrezygnowali z wycieczki górskiej. Wypyтали Wiktora o wszelkie możliwe atrakcje okolicy i zdecydowali się odbyć objazdową wycieczkę samochodem — do Skitu Maniawskiego i Pniowa, obejrzeć tamtejsze ruiny zamku.

Wieczór przeszedł na moim przygotowywaniu się do powrotu oraz gadaniu. Moi towarzysze ze Śląska jak mogli tak wypytywali mnie o wszelkie atrakcje okolicy, jakie znam oraz o różne szczyty Gorganów i realia wędrowania po nich. Z tego wszystkiego stwierdzili, że najbardziej interesował ich Chomiak. Uznali, że są w stanie podjąć się zdobycia go samodzielnie. Ale ten plan pozostawili sobie na pojutrze. W miejscowych sklepach skończył się chleb — z niewiadomych przyczyn nowego nie dowieziono. Sytuacja najwidoczniej zupełnie normalna — Julia wrzuciła ramionami i poszła do kuchni piec podpłomyki.

Ślązacy wyjechali samochodem zaraz po śniadaniu, ja zaś spakowałem się i do czasu odjazdu swojego autobusu o 11:30 oczekiwałem w altanie, spoglądając na

pięknie oświetloną słońcem Grofę. Na drogę dostałem od Julii dwa podpłomyki, pożegnałem się obiecując powrócić tu może za dwa lata, może za trzy. Wiktor był w swoim biurze w ratownictwie zajęty jakąś biurokracją, nie miałem okazji się z nim pożegnać. Ralf odprowadził mnie na przystanek autobusowy ale widząc, że się tam zatrzymałem i nie idę dalej, zawrócił do domu.

Autobusem zjechałem do Kałusza, i tam się zaczęło. Chciałem kupić bilet na autobus do Polski, a kasjerka mi odpowiedziała pytaniem: „*na zawtra?*”. „*Nie, na siewodnia*” — odpowiedziałem. — „*Siohodni nema*”. — „*Pa czemu?*” — „*Pa szto że awtobus sia polamał.*” No pięknie. Połamany autobusem oczywiście nie da się jechać, ale co robić w tej sytuacji? Pomyślałem, że pojedę do Lwowa, a tam zobaczę, jak dałoby się dalej, co najwyżej pojedę na przejście graniczne do Szechyni i przejdę je pieszo, a z Medyki busem do Przemyśla. Tyle że obawiałem się, że mogę nie zdążyć, że dotrę do tego Lwowa na jakąś 20-tą i kursy do Szechyni będą dopiero rano. Kasjerka była jednak mądrzejsza ode mnie, powiedziała mi, że to, co chcę zrobić, jest bez sensu, żebym jechał najbliższym autobusem do Iwano-Frankiwska, a tam łapał autobus do Warszawy jadący z Kołomyi. Pojechałem więc do tego Iwano-Frankiwska, niezbyt szczęśliwy, bo geograficznie to było w kierunku przeciwnym niż Polska.

W Iwano-Frankiwsku okazało się, że takich jak ja odesłanych przez uslužną kasjerkę z Kałusza było już kilkunastu i *kwitkiw nema*, bo wykupiono już wszystkie miejsca na ten autobus z Kołomyi. Można było wydostać się z Ukrainy jadąc do Pragi — jechał tam autobus trasą przez Koszyce, Bratysławę i Brno. Ale po co miałbym jechać do któregoś z tych miast? Pozostało mi więc tylko to, co zamierzałem przedtem — jechać do Lwowa. Tylko że teraz zrobiło się tak późno, że miałem już pewność, że ze Lwowa się tego dnia już nie wydostanę. Perspektywa spędzenia nocy w jakiejś poczekalni razem ze zbieraniną wszelkich możliwych nacji Wschodu była mało zachęcająca, ale jaki był inny wybór? Zostać w Iwano-Frankiwsku i jechać następnego dnia? Nie sądziłem, aby tutejsze poczekalnie różniły się od lwowskich, a jeśli nawet, to na niekorzyść. Hotel? Znając ceny, kosztowałyby mnie majątek, więcej niż cały pobyt u Wiktora.

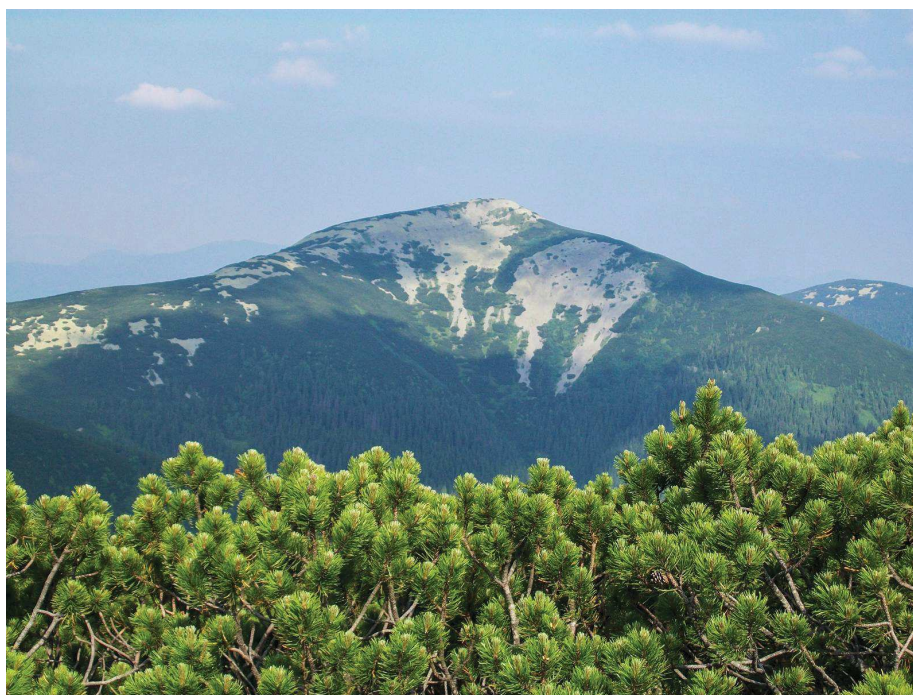
Ustawiłem się więc do okienka, gdzie sprzedawano bilety na autobus do Lwowa, kiedy podszedł do mnie jakiś facet. zaproponował zawiezienie do Lublina. Okazało się że miał on firmę pod nazwą „przewóz osób” i zapewne ktoś z dworcowej kasy dał mu cynk, że jest okazja do zrobienia interesu: sporo osób odprawionych z kwitkiem, może ktoś będzie chętny pojechać za duże pieniądze. Usługę wycenił sobie na 200 złotych — polskich, a więc dwa i pół raza drożej niż bilet autobusowy, w dodatku tylko do Lublina, a nie do Warszawy. Lublin wynikał z zasięgu samochodu, gdyby bowiem miał jechać do Warszawy, musiałby tankować paliwo w Polsce, bo inaczej nie zdołałby wrócić — a na Ukrainie paliwo było dwa razy tańsze niż u nas. Naturalnie zgodziłem się. Powiedział żeby czekać za godzinę.

Wyjechaliśmy o 16-tej samochodem volkswagen transporter, oprócz mnie były jeszcze cztery osoby — dwa młode małżeństwa ukraińskie udające się do Polski do pracy — jedni na bazarze w Łodzi, a drudzy w ogrodnictwie gdzieś pod Poznaniem. Kierowca jechał w sposób zawadiacki, ścinając zakręty, wyprzedzając pod górkę i nic sobie nie robiąc z dziur. Droga minęła nam szybko i już o 19-tej byliśmy w Krakowcu, prawie na granicy. Tam podjechał pod jakiś nędzny przydrożny bar, wysadził nas i powiedział że musi pojechać tanio zatankować samochód i że to mu zajmie *piat chwylyn*. Te pięć minut trwało aż do 21:45! Specyficzne poczucie czasu, widocznie zupełnie normalne, skoro moi

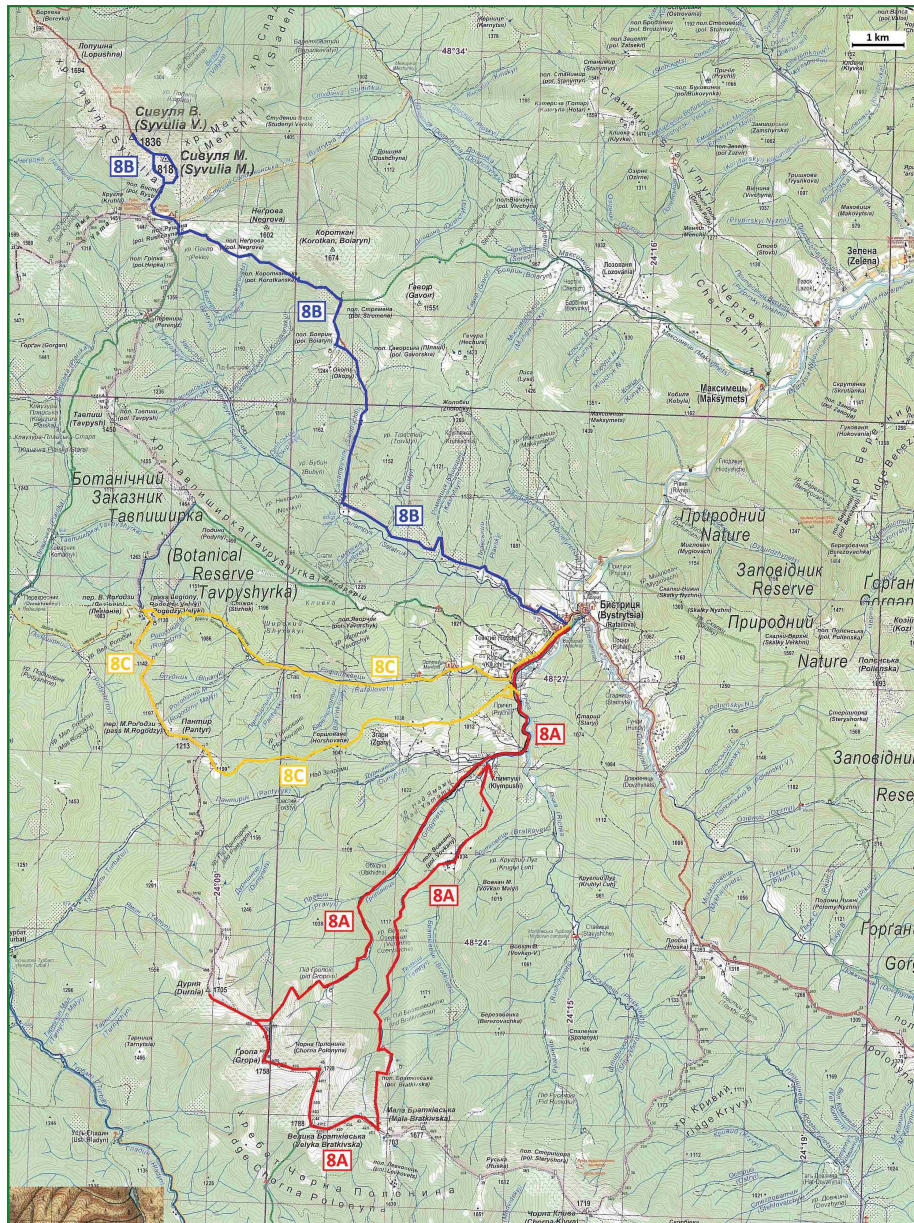
ukraińscy towarzysze podróży nie wykazywali żadnego zaniepokojenia tą sytuacją. Dość szybko odprawiliśmy się na granicy, po czym trasą przez Jarosław i Biłgoraj dojechaliśmy do Lublina na godzinę 0:15 (wliczając jedną godzinę z uwagi na zmianę czasu). Dlaczego jechaliśmy tą trasą, a nie krótszą przez Hrebenne i Zamość? Słodka tajemnica tego kierowcy, zapewne ukryta w tych *piat chwytynach*. Może do opon wkładano kartony z papierosami? Co miało odjechać z Lublina, dawno już odjechało. Wraz z parą udającą się do Poznania poszedłem na dworzec kolejowy, gdzie przyszło spędzić resztę nocy — do pierwszego pociągu odjeżdżającego do Warszawy o godzinie 4:55.



Fot. 15: Wysoka



Fot. 16: Popadia



Trasy wycieczki 8: 8A na Bratkowską; 8B na Sywulę; 8C na Przełęcz Legionów i Pantyr.

8

Pomimo perturbacji związanych z powrotem do Polski wyprawę do Osmoły uznałem za bardzo udaną. W tamtym 2011 roku odbyłem jeszcze jedną wycieczkę w ukraińskie Karpaty — ale nie w Gorgany, lecz w Czarnohorę i Poloniny Hryniawskie. Była to wycieczka PTTK Rzeszów, ale nie wspominałem jej tak dobrze. Częściowo winne były okoliczności obiektywne: złamana stopa Saszy i konieczność zastąpienia go przez polskiego przewodnika, który okazał się trochę nieudolny. Ponadto mieliśmy marne warunki zakwaterowania (ścisk) i niesmaczne wyżywienie. Pomny tego doświadczenia wiosną 2012 r. postanowiłem odbyć kolejną wycieczkę indywidualnie. Jako cel obrałem Rafajłową, na wyjazd namówiłem Krzyśka oraz stwierdziłem, że we dwóch wygodniej będzie nam podróżować samochodem. Dysponowałem wtedy autem marki Ford Fiesta, piętnastoletnim, ale jeszcze żwawym, poddanym dopiero co gruntownemu przeglądowi technicznemu. W Rafajłowej umówiłem noclegi u p. Olgi, prowadzącej sezonowe schronisko „Biernat House”. Do auta na wszelki wypadek — znając ukraińskie drogi — zabrałem drugie koło zapasowe, opłaciłem wszelkie ubezpieczenia — i pojechaliśmy.

Problemem tego wyjazdu okazało się moje własne zdrowie. Na miesiąc przed wyjazdem przeziębilem się i w żaden sposób nie mogłem się pozbyć choroby, już zdawało się, że z niej wychodziłem, ale dochodziło do ponownego zaostrzenia objawów. Jednak wiele razy zdarzało mi się wyjeżdżać w góry nie w pełni zdrowym i objawy przeziębieniowe zawsze tam przechodziły. Zdawało się, że wystarczy oderwanie od codziennych trosk, świeże górskie powietrze i umiarkowany wysiłek. Sądziłem, że tak będzie i tym razem. Na wszelki wypadek zaopatrzyłem się jednak w leki.

Podróż do Rafajłowej przebiegła nadszpiewanie gładko. Wyjechaliśmy z Warszawy na noc o godzinie 21-szej, zajechaliśmy na granicę o 1:30, trzy godziny później byliśmy po odprawie. Po krótkiej przerwie na tankowanie w Iwano-Frankiwsku i zmyleniu drogi w Nadwórnej (przez co niepotrzebnie tłukliśmy się z 10 km polnymi drogami, zanim dobiliśmy do właściwej drogi) do Rafajłowej dojechaliśmy na punkt 12-tą. Niesamowity był zbieg okoliczności, bo wcześniej poinformowałem panią Olgę, że spodziewamy się przyjechać około 12-tej, ale ponieważ nigdy nie wiadomo, ile czasu zajmie odprawa, możemy być równie dobrze o 10 rano, jak pod wieczór. Ostatnie 35 km wyjątkowo dziurawej drogi jechaliśmy przez godzinę. Jak dziurawa była droga, najlepiej świadczy to, że samochód pogubił na niej kołpaki, ale nie czułem ani nie słyszałem, kiedy odpadały. Na stacji benzynowej w Iwano-Frankiwsku kołpaki jeszcze były, w Rafajłowej już nie — a nie zatrzymywaliśmy się nigdzie po drodze, aby ktoś mógł nam je ukraść.

Sezonowe schronisko „Biernat House” położone jest blisko środka wsi, w okolicy cerkwi. Budynek pełnił dawniej rolę poczty, ale został przebudowany. Dawne wejście do poczty zostało łazienką, a wejście tylne zostało wejściem głównym. Wewnątrz jest sień oraz trzy pokoje noclegowe dla 8 turystów. Gospodyni wraz z synkiem zajmowała piętorko. Pani Olga wyszła za mąż za Polaka, okres zimowy spędzała w Polsce w Piasecznie pod Warszawą, przenosząc się do Rafajłowej na okres od maja do września, z czego na jeden miesiąc wakacji dojeżdżał mąż. Budynek odziedziczyła po swoich rodzicach, którzy — jak wynikało z jej wynurzeń — od kilku lat nie żyli, a rozeszli się ze sobą wiele lat wcześniej. W każdym razie pani Olga mówiła o sobie, że jest Huculką — chociaż tak trochę żartując. Rafajłowa jest bowiem wsią etnicznie huculską, tyle że peryferyjną. Tutejszy folklor nigdy nie był tak charakterystyczny jak w centrum Huculszczyzny, raczej należy mówić, że występowały tu jedynie jego niektóre przejawy, a o przynależności do huculskiego etnosu w największym stopniu decydowała gwara.

Po nocy w samochodzie byliśmy zmęczeni, ja dodatkowo osłabiony. W planach na następny dzień mieliśmy pasmo Bratkowskiej, w szczególności jej zachodnią część z Durnią, Gropą i Bratkowską Wielką, długa wycieczka wymagała wczesnego wyjścia na szlak. Pani Olga zaserwowała nam pyszny obiad w postaci barszczu ukraińskiego i pierogów. Po obiedzie poszliśmy jeszcze na spacer, zajęliśmy do jednego z tutejszych sklepów, kupiliśmy piwo, a ja dodatkowo koniaczek, którym zamierzałem się wzmocnić przed snem. Położyliśmy się wcześniej.

Ranek wstał brzydki — obudził nas deszcz kapiący z dachu. Stwierdziliśmy, że w takich warunkach nie ma sensu chodzić po górach i ledwie sobie to powieździeliśmy, deszcz przestał padać, a z pomiędzy chmur zaczęło wyglądać słońce. Była 8 rano — mieliśmy więc przesiedzieć ten dzień, który zaczynał zapowiadać się mimo wszystko ładnie? Zmieniliśmy więc decyzję: idziemy, pomimo że ta decyzja oznaczała, że możemy nie zdążyć powrócić przed zmierzchem.

Wyruszyliśmy więc w górę wsi, mijając kolejne gospodarstwa, następnie poszliśmy wzdłuż Riczki — głównego potoku źródłowego Bystrzycy Nadwórniańskiej — do przysiółka Rafajłowej o nazwie Kłempusze. Zajmuje on dno wysoko położonej doliny, rozchodzą się tu szlaki niebieski na Bratkowską przez Połoninę Bratkowską oraz czarny na Gropę, a ściślej — na główny grzbiet karpacki na prawo od Gropy, nieco w stronę Durni. Poszliśmy prawym wariantem, ponieważ szybciej doprowadzał on do grzbietu, mimo że komplikowało to nasze wstępne założenia. Według nich mieliśmy przejść pasmo od Bratkowskiej Wielkiej w kierunku zachodnim tak daleko jak się da, t.j. przez Gropę i Durnię aż do — być może — Pantyru. Późne wyjście spowodowało jednak, że byliśmy w niedoczasie i spieszyliśmy się mimo woli.

Dolina powyżej Kłempuszy była najpierw błotnista i szeroka, wyjeżdżona przez sprzęt leśny, następnie się zwęziła i otoczył nas las. Szło mi się bardzo ciężko, dostałem zadyszki i kaszlu — który potęgował zadyszkę i odbierał siły. Mozolnie zdobywaliśmy teren. Szlak opuścił dolinę wychodząc na zbocze, najpierw kilkoma zakosami, a potem trawersem do bocznego grzbietu opadającego z Gropy. Otworzył się stąd ładny widok do tyłu na Rafajłową w dole i pasmo Poleńskiego i Doboszanki leżące za doliną. Przed nami widniał potężny grzbiet wznoszący się coraz wyżej, poprzerastany kosówką, pomiędzy którą wił się nasz szlak. Podejście było strome, z gatunku tych najmniej przyjemnych. Nachylenie stoku wprawdzie stopniowo malało, ale głównie po to, by wraz z osiągnięciem kolejnego przełamania grzbietu widać było jego dalszy ciąg do następnego stopnia.

Wreszcie — grzbiet. Na prawo za przełęczą doskonale widoczna była Durnia, grzbiet w lewo wznosił się łagodnie przez kosówki i istnienia Gropy można było jedynie się domyślać, wiedząc o niej z mapy. Pogoda przestała być tak piękna, jak o ósmej rano — napłynęły chmury, ale wysokiego pułapu. Wszystkie góry były widoczne, ale pogoda straszyla; nie wiadomo było, co z niej jeszcze wyniknie. Krzyś w tej sytuacji chciał od razu iść w lewo, odpuścić Durnię i zaliczyć najwyższe dwa szczyty tego pasma, Gropę i Bratkowską. Ja wszakże miałem z Durnią porachunki sprzed 6 lat, kiedy to mnie pokonała. Chciałem koniecznie wejść na jej szczyt. Krzyś niechętnie, ale zgodził się na to.

Prawie że zbiegliśmy w przełęcz między Gropą a Durnią. Główna ścieżka prowadząca grzbietem odchodziła tu w trawers do dawnej połoniny i źródła na stoku Durni, pamiętnych dla mnie. Teraz jednak podażyliśmy wąską ścieżynką wzdłuż dawnych słupków granicznych, po grzbiecie. Dopóki podchodziliśmy stokiem Durni, nie było tak źle — ścieżka wiła się wśród kosówek. Niezbyt wysokich, takich na półtora metra. Gdy już jednak dotarliśmy na rodzaj szczytowego wypłaszczenia, gubiła się w kosówkowym gąszczu. Głowy — mogliśmy oceniać — mieliśmy na poziomie takim samym co samutki wierzchołek Durni, od którego dzieliło nas około 100 metrów kosówki. Miejscami były w niej przejścia, ale ścieżka wyraźnie zanikała i na tych 100 metrach istniało duże prawdopodobieństwo, że zgubimy ją całkiem i będziemy musieli się przedzierać — a po zdobyciu szczytu wracać tą samą drogą.

„Paweł, czy nie moglibyśmy przypadkiem uznać, że to jest szczyt, gdy jesteś tak blisko niego i na tej samej wysokości?” — zapytał Krzyś. Sensu stricto — moglibyśmy. W górach jest wiele takich przypadków, w rzeczonych Gorganach chociażby Pietros Koretwiński, na który wejść można, ale ścieżka wiedzie kilkanaście metrów poniżej wierzchołka — nieosiągalnego, bo tonącego w kosówkach. Albo najwyższy szczyt Polski, Rysy w Tatrach — zdobywa się wierzchołek 2499 m, podczas gdy opodal jest punkt wyższy (2503 m), na który wejść jest trudniej. Staliśmy właśnie na jakiejś większej kępie, wyższej od otoczenia o jakieś pół metra, więc w podobny sposób można było skonstatować, że weszliśmy na Durnię (1709 m). Krzyś nie miał najmniejszej ochoty przedzierać się przez krzaki. Dalsza droga byłaby z mojej strony przekroczeniem jakiegokolwiek granicy egoizmu. Podałem się, uznałem racje Krzysia, zrobiłem tyle zdjęć z tego miejsca ile się dało, po czym zgodziłem się zawrócić.

Szybko wróciliśmy na przełęcz między Durnią a Gropą i zaczęliśmy podchodzić pod Gropę. Tu dla odmiany ścieżka była wyraźna, za to kosówka była trzymetrowa i momentami nie rozumieliśmy celu tej ścieżki, wijącej się między krzakami w niesamowitych zakrętach. W końcu doprowadziła ona do pięciometrowej stromej ścianki, na którą trzeba było się wdrapać. Dalej szło się już ostrzem grzbietu wśród niskich kosówek, a potem wśród kamieni. Wierzchołek Gropy wydawał się być o wyciągnięcie ręki, ale w rzeczywistości szło się na niego jeszcze 15 minut.

Widok z Gropy (1758 m) zapierał dech w piersiach: w jedną stronę Bratkowska, na prawo od niej — Świdowiec, w drugą stronę — Durnia. W dole — kotlina Rafajłowej, a za nią po lewej Negrowa i Bojaryn opadające od Sywuli, a po prawej — Poleński, Pikun, Medweżyk i reszta pasma Doboszanki. Było coś groźnego w tym widoku pod niebem zasnutym chmurami wysokiego pułapu, z ciemniejszymi obłokami pędzonymi szybko wiatrem na wysokości zaledwie jakichś 100 metrów powyżej wierzchołka Bratkowskiej. Na Gropie nie zatrzy-

mywaliśmy się zbyt długo, bo Krzysio pilno było zdobyć samą Bratkowską. Wydawała się ona bardzo blisko, ale szliśmy do niej 40 minut.

Bratkowska (1792 m) — który to już raz na niej byłem? Czwartą. Dotychczas na żadnym gorgańskim szczycie nie byłem tyle razy. Widok ciągle ten sam — podobny do tego z Gropy, tyle że zamiast Durni — zasłoniętej stąd właśnie przez Grope — widać właśnie tę ostatnią. W przeciwną stronę na wschodnim końcu pasma Czarnej Połoniny widoczna jest kształtna piramida Steryszory. Z Bratkowskiej nie za bardzo widać, jakie atrakcje — kosówkowe — zapewnia Steryszora. „Krzys miał tyle przeciwko kosówce na Durni — ciekawe, co by pomyślał, kiedy przyszedłoby mu iść na Steryszorę?” — pomyślałem. Przewiało tymczasem te najciemniejsze obłoki i pogoda przestała tak bardzo straszyć. Momentami nawet zza chmur wyglądało słońce. Na szczycie Bratkowskiej zjedliśmy kanapki, ale rozkoszować się pobytom nie było jak. Było już po 15-tej, a powrotna droga była przed nami daleka.

Z Bratkowskiej schodziliśmy tą samą trasą, którą pokonywałem poprzednim razem — na przełęcz pod Małą Bratkowską, a stamtąd niebieskim szlakiem na Połoninę Bratkowską. Z lasu szlak wyprowadził nas na otwartą trawiastą przestrzeń połoniny. Ścieżka rozplywała się tu wśród traw. Połonina była pusta, a przecież jeszcze trzy lata temu było na niej tyle bydła. Gorzej, że nie wiadomo było, które idą. Przemierzyliśmy połoninę do miejsca, w którym po drugiej jej stronie powinien dalej ciągnąć się szlak — i nic. Nie było ani znaków, ani dalszej ścieżki. Dopiero, gdy obszedłem szpaler drzew, wokół których rosły krzaki — ujrzałem odejście drogi i niebieski znak na drzewie przy niej. Szlak poprowadzono niedawno, ale naniesiono go na podkład mapy, który nie uwzględniał postępującej zmiany granicy lasu i zarastania połoniny. W każdym razie naszukaliśmy się tego szlaku przez dobre pół godziny i straciliśmy w ten sposób nadzieję na powrót przed zmierzchem.

Weszliśmy na leśną drogę — a właściwie płaj, dawny trakt komunikacyjny z Połoniny Bratkowskiej do Rafajłowej. W pewnym momencie — zdumienie. Przed nami były rozstaje, płaj skręcał w lewo, na drzewach przy nim widniały zdrapane znaki szlaku. W prawo prowadziła wąska ścieżka, kierowała do niej wyróżniona w korze drzewa strzałka. Krzys gotów był tam skręcić i protestował, kiedy ja wybrałem jednak płaj. Nie byłem tu nigdy przedtem, ale po mojej stronie przemawiało doświadczenie: ufaj przede wszystkim mapie, a nie znakarzom, szczególnie w takiej sytuacji jak ta. Ponadto, podczas wycieczek PTTK Rzeszów dowiedziałem się o zabawach tutejszych pasterzy, właśnie takich: nożami ścierają oznakowania szlaków i strzałkami kierują turystów w las, na manowce. a potem mają z nich radochę. To tutaj było to tak oczywiste, że nie miałem wątpliwości. Krzys natomiast mocno się zdziwił, gdy 300 metrów dalej przy naszym płaju na powrót pojawiło się oznakowanie szlaku.

Zaraz potem doszło do spotkania — niecodziennego jak na Gorgany. Turysty! Dwójka studentów z Iwano-Frankiwska wybrała się z namiotem w góry. Przyjechali autobusem do Rafajłowej i podchodzili na Połoninę Bratkowską, gdzie zamierzali nocować. Następnego dnia chcieli wejść na Bratkowską i przejść grzbietem aż do Przełęczy Legionów, tam zabiwakować, a kolejnego dnia przemieścić się na Ruszczyne. Stamtąd planowali zdobyć Sywulę, po czym schodzić do Rafajłowej. Mili ludzie. Pogadaliśmy z nimi z kwadrans i byśmy pogadali dłużej gdyby nie to, że było późno, a droga przed nami daleka.

Dalsza droga była początkowo nudna — dwie godziny gruntową drogą po grzbiecie wśród lasu. Gdy wyszliśmy na otwarty teren, słońce schowane już było

za grzbietem Czarnej Połoniny. Nas okrywała szarówka nadchodzącego zmierzchu, jedynie z drugiej strony doliny jaśniał oświetlony gorgan na Doboszance oraz trawy na Połoninie Płoskiej. Łąki, przez które szliśmy, chyba kiedyś były zamieszkane przynajmniej sezonowo — mijaliśmy stare drzewa owocowe, jakieś kamienne podmurówki dawnych zabudowań. W lesie za tymi łąkami było już całkiem ciemno, na szczęście było to tylko wąskie pasmo drzew, za którym nastąpiło zejście do Kłempuszy. Ścieżka kluczyła pewien czas wśród sianozęci i poletek ogrodzonych płotami, zanim doprowadziła nas do znanego już nam rozstaja.

Teraz od Kłempuszy szliśmy już zupełnie po ciemku. Wyciągnęliśmy nawet latarki. Noc była bezksiężycowa, bo akurat był nów. Do pierwszych zabudowań Rafajłowej dotarliśmy o 22-giej. Pani właśnie zamykała sklep, wzięła nas omyłkowo za spóźnionych klientów i zaczęła. Skorzystaliśmy z okazji, kupiliśmy po piwie i jakieś suche ciasteczka. Byliśmy głodni i spragnieni, bo przez ostatni odcinek nie przystawaliśmy, chcąc jak najszybciej wrócić do Rafajłowej. Głodnym piwo uderzyło do głów, a mieliśmy do przejścia jeszcze 2 kilometry. Ostatni odcinek pokonałszy wężykiem i do „Biernat House” wróciliśmy 22:45. Pani Olga była już zaniepokojona, czy nam się nie stało nic w górach.

Po takiej wyprawie kolejny dzień musiał być dniem odpoczynku. Dla mnie okazał się dodatkowo dniem intensywnej — końskiej — kuracji. Poprzedniego dnia poczułem się lepiej, szczególnie w drugiej połowie wycieczki, kiedy nie trzeba już było mozolnie zdobywać wysokości, ale w nocy wiele razy budziłem się, dostawałem ataków kaszlu oraz dreszcze. Rano obudziłem się rozbity, nie miałem termometru, żeby zmierzyć czy mam gorączkę, ale pewnie ją miałem. Wziąłem więc lekarstwa, w tym sięgnąłem już po ostateczną linię obrony, jaką był antybiotyk. Zdawałem sobie sprawę z tego, że pozbawi mnie części sił, ale Krzyś nie był w zbyt dobrej formie fizycznej i uważałem, że nawet osłabiony podołam mu dotrzymać towarzystwa.

Tymczasem Krzyś zaplanował fotograficzną wędrowkę po wsi. Miał zamiar przejść się po okolicy i porobić zdjęcia w różnych zakamarkach, licząc na różne scenki rodzajowe. Chociaż nalegał abym z nim poszedł, zdecydowałem się zostać i dojsć do siebie — najpierw w łóżku, a po dwóch godzinach, kiedy poczułem się nieco lepiej — w ciepłe słońca na ławeczce przed domem. Krzyś wrócił po czterech godzinach zmęczony chodzeniem po dziurach i płotach. Zwiedził dolną część wsi, gdzie zauważył między innymi duży, względnie nowy, ale opuszczony budynek, zastanawiał się, co to było. Była to niefortunna inwestycja z ostatnich lat Związku Radzieckiego. Miał to być hotel — prawdopodobnie robotniczy, choć na *hurtożytk* nieco za ładny — tylko że zlokalizowano go na terenie dawnego cmentarza. Kiedy zbudowano go, pod własnym ciężarem osiadł i popękały mu ściany. Zapytałem Krzysia, czy oglądał „Hallerówkę”, czyli dawną leśniczówkę w której kwaterował generał — wówczas jeszcze major — Haller podczas pierwszej wojny światowej. Krzyś był poruszony, bo nie zwrócił uwagi na ten dom, stoi on przy głównym skrzyżowaniu w dolnej części wsi, ale na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia.

Wypiliśmy kawę i postanowiliśmy już razem iść na dalsze zwiedzanie wsi, tym razem w górę. Trasę tę przeszliśmy wprawdzie już wczoraj dwukrotnie, ale nie zatrzymywaliśmy się we wsi. Zaraz za „Biernat House” na następnej parceli trwała rozgrzebana budowa. Nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby nie miejsce. Ta parcela to bowiem miejsce historyczne związane z turystyką. Przed drugą wojną światową stała tu karczma Izaaka Lejzora Wundermanna. Sta-

nowiła ona ośrodek ruchu turystycznego, Wundermann prowadził hotel, sklep, pomagał w organizacji wycieczek. Ponieważ podczas pierwszej wojny światowej pomagał legionistom organizując zaopatrzenie, zaangażowany był w ruch legionowy. Był również lokalnym przedsiębiorcą — najważniejszym w okolicy. Posiadał tartak, ale parał się każdym rodzajem działalności, na przykład wydawał pocztówki. Kres jego działalności położyli w 1941 r. Niemcy, wysiedlając Wundermanna do getta w Nadwórnej. Nie wiadomo, co się z nim stało dalej, był jednak stary i istnieje prawdopodobieństwo, że nie dożył do likwidacji getta w dołach śmierci w pobliskim lesie. Natomiast miejscowa ludność skorzystała z okazji i nabrała z karczmy co mogła, karczma zaś w niewyjaśniony do dziś sposób spłonęła.

Niedaleko za tą parcelą po lewej stronie drogi stała cerkiew greckokatolicka — dawny kościółek rzymskokatolicki, w czasach radzieckich pełniący funkcję najpierw magazynu, a potem sklepu. Radziecka władza zburzyła sygnaturkę na dachu, obecnie jednak była już odbudowana w nieco innym miejscu. Obok cerkwi znajdował się cmentarzyk legionistów z pomnikiem. Cmentarzyk aktualnie był wykorzystywany jako skład materiałów budowlanych — akurat trwał remont dachu cerkiewki. Tego dnia nie wykonywano żadnych prac, ponieważ była to niedziela, wokół cerkwi coś jednak się działo, podjechał jakiś samochód i wysiedli z niego jacyś ludzie. Okazało się że odbędzie się msza, ale nie teraz, tylko za półtorej godziny. Postanowiliśmy pójść na tę mszę, tymczasem obejrząc cmentarz — nie ten mały legionowy, tylko duży, wiejski, widoczny z daleka — na górze, jak przystało na cmentarz.

Nie wyróżniał się on niczym szczególnym. Znaleźliśmy jakiś nagrobek z końca XIX wieku, ale poza tym najstarsze groby były z okresy międzywojennego — nie było ich dużo i były zaniedbane. Z nowszych czasów dominowało lastryko, a tylko groby z ostatnich lat były kamienne. Ogólnie wyglądało na to, że w Rafajłowej mieszkają ludzie raczej biedni, których nie stać na zbytek przy pochówku najbliższych. Między grobami znaleźliśmy przestrzeń mniej więcej 10 na 3 metry porośniętą zielskiem. Nie mieliśmy pewności, ale prawdopodobnie była to zbiorowa mogiła tutejszych Polaków wymordowanych przez UPA. Miejscowi ukraińscy nacjonałści wykazali się łaskawością: miejscowej ludności polskiej dali aż trzy miesiące czasu na wyprowadzenie się. Kto nie wyprowadził się, sam sobie był winien. W roku 2004 z okazji 90-lecia walk Legionów, w Rafajłowej była delegacja Sejmu RP. Podniesiono wówczas sprawę pomordowanych Polaków. Zaproponowano, aby na ich mogile postawić pomnik. Jednak *Silka Rada* — czyli Rada Wsi — nie wyraziła na to zgody. Powód: pomnik byłby widoczny z okien domu Petra. Tymczasem Petro w 1944 r. miał 14 lat i nie chciano go przyjąć do UPA jako zbyt młodego. Na ochotnika więc sam zgłosił się do katowskiej roboty, żeby dowieść że nadaje się do walki. Gwoli prawdy, poniósł za to karę — za przynależność do UPA spędził 10 lat na Syberii.

Poszliśmy na greckokatolicką mszę. Nie będę opisywał liturgii. Częściowo rozumieliśmy o co chodzi, a częściowo gapiliśmy się niczym cielęta na malowane wrota. Pod koniec doszło do pewnego zgrzytu — na mszy były w większości kobiety, a jedynie kilku mężczyzn. W pewnym momencie w liturgii jest procesja dookoła nawy z chorągwiami — brakowało mężczyzn do niesienia wszystkich i zaproponowano to nam. Musieliśmy się jakoś wymówić, bo obawialiśmy się, że nie będziemy wiedzieli, co w danym momencie mielibyśmy robić z tymi chorągwiami. Zamiast nas dobrano więc dwie kobiety. Skądinąd to jest ciekawy przyczynek do relacji męsko-damskich na Ukrainie. Msza trwała długo — pra-

wie dwie godziny. I tak było to krótko w porównaniu z nabożeństwem w pobliskiej cerkwi prawosławnej. Nabożeństwa w obydwu cerkwiach rozpoczynały się o tej samej godzinie. My zdążyliśmy wyjść z cerkwi i zjeść obiad, a nabożeństwo prawosławne dopiero się kończyło.

Po obiedzie poszliśmy na jeszcze jeden spacer — także w górę wsi, bo przy poprzednim spacerze dotarliśmy jedynie do cerkwi. Zapusciliśmy się w boczną drogę, która doprowadziła nas do tartaku. Wprawdzie droga ciągnęła się dalej, ale po drugiej stronie potoku, który musielibyśmy przechodzić w bród. Zawróciliśmy więc. Dalej w górę wsi był nowiutki ni to dom, ni to kościółek — zbór Adwentystów Dnia Siódmego — ale stał zamknięty. Potem sklep, drogowy szlak turystyczny z odejściem szlaku na Taupiszyrkę — i szlaban leśnictwa. Jako przeciwwaga w tym szlabanie została użyta oś od wagonika wąskotorowej kolejki. Za szlabanem był rozjeżdżony plac ładunkowy drewna, po czym zabudowania wsi się kończyły przy rozwidleniu dróg i potoków: w lewo do Kłempuszy, w prawo na Przełęcz Legionów; w lewo Riczka, a w prawo Rafajłowiec. Na łące w widłach potoków pasło się kilka podrośniętych byczków, kilkumiesięcznych, zawiadackich i skorych do zabawy, a nieświadomych swej siły. Zrezygnowaliśmy z posiedzenia nad potokami, bo wzbudzaliśmy pewne zainteresowanie, a jakoś nie mieliśmy ochoty na corridę — czy też — z racji młodego wieku byczków — na jej trening.

Wróciliśmy więc do „Biernat House”. Położyliśmy się spać szybko, bo następnego dnia planowaliśmy wyprawę na Sywulę. Szykowała się prawdziwa wyprawa bo jak wyliczyłem — było tego 18 km w jedną stronę i do tego 1100 m różnicy wzniesień. Co prawda jakieś 6 z tych 18 km można byłoby podjechać, tylko że nie było jak załatwić transportu. Pani Olga w tej mierze okazała się całkiem bezradna i nie potrafiła nam pomóc. W hotelu „Wodohraj”, gdzie się dopytywałem, również nie wiedziano, co nam poradzić — owszem mogli nam załatwić podwiezienie, ale zilem. Koszt przejazdu takim potworem przewyższał granice sensowności, gdy chodziło tylko o nas dwóch. Przyszło więc pogodzić się z tym, że całą drogę przyjdzie pokonywać pieszo.

Wstaliśmy w nocy i wyruszyliśmy w trasę jeszcze przed świtem. Pierwsze kilometry prowadziły drogą w głąb doliny Salatruka — nie było problemu, aby ten odcinek pokonywać po ciemku i o szarówce. Świt zastał nas jakieś 2 km za Rafajłową. Dzień zapowiadał się ładny, niebo było błękitne, a tylko znad potoków wznosiły się pasemka mgieł. Trasa nasza prowadziła czerwono znakowanym głównym wschodniokarpackim szlakiem turystycznym, wyglądała więc na prostą, wyjąwszy możliwe problemy z brakiem oznakowania w jakichś miejscach. Za szlakiem skręciliśmy w boczną dolinę Salatruczyła, gdzie droga stała się błotnista z dużą ilością rozlewisk wypełnionych kijankami. W niektórych zamiast kijanek trafiały się traszki, stanowiące przedmiot dużego zainteresowania ze strony Krzysia: czy to były traszki alpejskie czy karpackie? Obydwa gatunki występują w Karpatach, a różnią się jakimiś szczegółami trudnymi do rozróżnienia przez kogoś, kto nie jest biologiem. Krzys jednak jest biologiem z wykształcenia i wyglądało, jak gdyby kwestię rozróżnienia traszek wziął sobie za sprawę honoru.

Z doliny pełnej traszek szlak wyprowadził poprzez las na Połoninę Bojaryńską. Leży ona na bocznym ramieniu szczytu o nazwie Bojaryn, kompletnie zarośniętego kosówką. Roztaczał się stąd ładny widok na Taupiszyrkę. Połonina była pusta, a znaki szlaku — ginęły. Pozostało więc iść według mapy, w górę połoniny, śladami ścieżek końskich lub bydłowych. Nic trudnego, wystarczyło trzymać się grzbietu, a znaki odnalazły się same na drugim końcu połoniny.

Ścieżka odchodziła w las i po chwili docierała do szerokiego na dwa metry płaju prowadzącego ze wsi Maksymiec w dolinie Bystrzycy Nadwórniańskiej stokami Bojaryna i Negrowej na Połoninę Ruszczyzna. Za czerwonymi znakami skręciliśmy w lewo; w prawo płajem odchodził zielony szlak do Maksymca.

Wędrówka płajem była łatwa i przyjemna, choć dość długa. Po drodze jest obfite źródło, spomiędzy drzew od czasu do czasu otwierają się widoki to na Taupiszyrkę, to na Czarną Połoninę. Do góry widoczne są stoki Bojaryna a potem Negrowej, porośnięte kosówką i odstręczające na myśli o zdobywaniu tych szczytów. Płaj powoli zdobywa wysokość. W górnej jego części, już niedaleko Ruszczyzny w okolicach płaju pasło się sporo sztuk bydła i kilka koni, była także baczka, wokół której krzątał się jakiś człowiek, ale nie bezpośrednio przy szlaku, więc nie zagląдалиśmy. W końcu przez drzewa ukazała się nam Mała Sywula, szlak skręcił tu w lewo i ujrzeliśmy urwisko Piekła.

Obfotografowaliśmy je, po czym na przełaj przeszliśmy przez Połoninę Ruszczyzna obok źródeł Bystrzycy Sołotwińskiej. Połonina była pusta — żadnego bydła i żadnych koni. Doszliśmy do ruin schroniska PTT, przy których zrobiliśmy dłuższy — zaplanowany — postój z jedzeniem. Można rzec — przed atakiem szczytowym.

Dalej w górę znaną już mi trasą. Pogoda była piękna, wymarzona, prawie identyczna do tej, która była podczas mojego poprzedniego wejścia na Sywulę od Rafajłowej — nawet może teraz była jeszcze lepsza — zbyt dobra pogoda wywołuje efekt delikatnej mgiełki ograniczającej widoczność na duże odległości. Weszliśmy wariantem przez Małą Sywulę, bardzo krótko zatrzymując się na jej szczycie. Potem przełęcz i wspinaczka na wierzchołek Sywuli (1836 m). Ej, powędrowałoby się dalej przez Łopuszną na Ihrowiec! Jakoś nie miałem szczęścia do wejść na Sywulę od północnej strony — podchodziłem tak dwukrotnie i dwukrotnie było coś niedobrego z pogodą. A dwukrotnie wchodząc od strony południowej — idealna pogoda za każdym razem. Można było pomarzyć, aby iść dalej. Można było skontaktować się z Wiktorem z Osmołody, by wyjechał po nas do Niżnego Bystryka. Potem, po noclegu w Osmołodzie moglibyśmy wracać przez Wyżny Bystryk, Ruszczyne i Taupiszyrkę. Ale nie mieliśmy ani rzeczy do spania, ani prowiantu na drugi dzień wędrówki. Tymczasem dochodziła już 14-ta i najwyższa pora była, aby wracać.

Wracaliśmy na Ruszczyne oczywiście trawersem. Tam zagadaliśmy się niepotrzebnie i dali zwieść ścieżkom wzdłuż Bystrzycy Sołotwińskiej. Gdy zorientowaliśmy się, że idziemy źle, aby się nie cofać, przedarliśmy się na przełaj przez trawy i krzaki — do właściwej ścieżki. Popatrzyliśmy jeszcze raz w tył na Sywulę i w prawo na Piekło, po czym ruszyliśmy dalej płajem, tym samym, którym przyszliśmy. Chodziło mi wprawdzie po głowie, czy nie schodzić wprost w dół do doliny Salatruka, ale po namyśle uznałem ten pomysł za zbyt karkołomny z uwagi na stromy teren.

Na płaju napotykaliliśmy liczne bydło i konie, teraz znacznie liczniejsze niż rano. Szedłem pierwszy, a Krzys z tyłu, bo fotografował niektóre zwierzęta, te które wydawały się pozować do fotografii, kiedy zza zakrętu ścieżki wyszło trzech pasterzy. Zainteresowali się nami, z tym że ja po *dobry dzień* nie pragnąłem podjąć rozmowy. Pytali mnie dokąd idziemy, a na odpowiedź, że do Rafajłowej, powiedzieli, że idziemy źle, bo ten płaj prowadzi do Maksymca i żeby pójść z nimi do szalasu, a oni nam tam pokażą dalszą drogę. Zbyłem ich twierdzeniem, że jeżeli ten płaj prowadzi do Maksymca, to też dobrze, bo stamtąd dojedziemy do Rafajłowej. I jeszcze przed zakończeniem odpowiedzi ruszyłem dalej. Ci pa-

sterze nie podobali mi się. Jakoś tacy mało pastercy byli, podpici, w dodatku jeden z nich miał w rękę siekiere. Po co komu siekiera, kiedy idzie do krowy lub konia? Zabijać je będzie czy co?

Ruszyłem przed siebie, gdy tymczasem oni zainteresowali się Krzysiem. Słyszałem, jak już już namawiali go na jakąś rozmowę i na to, byśmy poszli z nimi do szałas. Przeraziłem się. Przypomniałem sobie historię opisaną w internecie jakieś 5 lat temu, kiedy to polscy turyści zostali zaproszeni przez pasterzy do szałas, a tam poczęstowani samogonem z dodatkiem czegoś na sen. Obudzili się potem nagutcy — w samych slipkach — gdzieś w lesie, jak się okazało prawie 20 km od tamtego szałas. Miało się to dziać gdzieś w okolicach Pikuja w Bieszczadach, od tamtego czasu o podobnych przypadkach nie słyszałem — ale kto to wie? Póki co starałem się nie panikować, nie pokazywać, że się boję. Szedłem przed siebie nie dając znać, że słyszę cokolwiek, co się działo się z tyłu. Zastanawiałem się co zrobić jeżeli. . . Wracać do Krzysia nie miało najmniejszego sensu, w razie czego nie miałem najmniejszej szansy, aby go obronić. Gnać przed siebie czy w dół mogłem, ale w razie czego szanse były minimalne — oni znacznie lepiej zaprawieni do biegania po wertepach niż ja i niewiele by tu pomogły moje turystyczne buty przeciwko ich gumiakom, nawet jeżeli goniliby mnie pijani. Napotkać kogoś? Niby kogo, skoro przez cały dzień widzieliśmy rano tylko jednego człowieka w dolinie Salatruka, a potem tylko tych pasterzy? Jakąś szansę dawało przede wszystkim rozdzielenie się. Jak by nie było, ich było trzech i przy naszym rozdzielaniu się jeden z nas musiałby mieć do czynienia tylko z jednym z nich.

Rozmyślając tak minąłem zakręt ścieżki i przestałem ich widzieć — więc chodu! Przyspieszyłem kroku. Będąc już na drugim końcu polany obejrzałem się — Krzyś spieszył za mną. Na szczęście sam. Na wszelki wypadek ruszyłem dalej przed siebie. Kiedy Krzyś mnie w końcu dogonił ledwie żywy od szybkiego marszu, zrobił mi wyrzuty, że tak go zostawiłem z tymi pasterzami, że nie pozwoliłem mu z nimi pogadać. Woląłem nie drażnić tego tematu dalej — aż dopiero już w Rafajłowej, po powrocie, a potem już w domu w Warszawie. Pani Olga, kiedy usłyszała o naszej przygodzie, skomentowała, że nic dziwnego, bo na tej poloninie pasają pasterze z Maksymca, a w Maksymcu mieszkają niedobrzy ludzie. Czyżby знаła przedwojenny przewodnik Gašiorowskiego, w którym napisane jest, że Maksymiec w dawnych czasach służył jako gniazdo opryszków? A swoją drogą — najwyraźniej tradycja zobowiązuje.

Roztrząsałem później tę przygodę w myślach. Chodziłem tyle razy samotnie w okolicach Osmołody, ryzykowałem? Otóż — nie za bardzo. Tam w Osmołodzie Wiktor, z racji swojej pracy jako ratownik górski, był królem. Ratownicy byli opłacani przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Ukrainy — tak samo jak milicjanci. Któż by chciał z takim zdrzeć? Niechaj by spróbował obedrzeć turystę na terenie Wiktora, to by ostatni raz pasał na poloninie. Co innego tutaj. Na Ruszczyńcu jakiś n-ty zmysł podpowiedział mi, że może by tak zejść skrajem Piekła do doliny Salatruka. Należało posłuchać — bo pewnie tamci nas widzieli jak szliśmy do góry na Sywulę i widząc, że nie mamy bazowych plecaków, spodziewali się, że będziemy tędy też wracać. Ale nie spodziewali się, że mogę być tak nieuprzejmy i dziwny.

Dalsza droga minęła mi niezauważenie. Trasę znałem i szedłem przed siebie rozpamiętując przygodę. Krótki postój zrobiliśmy na Poloninie Bojaryńskiej, ale nie było już teraz tego ładnego widoku. Słońce było już nisko i chowało się właśnie za grzbietem Taupiszyrki. W półmroku zeszliśmy lasem do doliny

Salatruczyla, w której było już całkiem ciemno. Rozjaśniło się nieco — na chwilę — gdy wyszliśmy do szerszej doliny Salatruka, ale niedługo potem słońce zaszło. Do Rafajłowej dotarliśmy niewiele wcześniej, niż wracając z Bratkowskiej — o 22:30.

Podobnie jak po Bratkowskiej, postanowiliśmy zrobić dzień przerwy. Z rana poszliśmy do pensjonatu „Lubawa”, skąd miała wyjeżdżać grupa turystyczna PTTK Rzeszów realizująca wycieczkę „Gorgany z Rafajłowej”. Przewodnikiem jej był Sasza, a nie mogliśmy się dotychczas spotkać, bo albo my wychodziliśmy z Rafajłowej wczesnym rankiem, albo oni. Nasze spotkanie było dużym zaskoczeniem dla Saszy, który się nie spodziewał mnie spotkać. Ucieszył się bardzo i rozmawialiśmy około pół godziny o górach. W szczególności ja zastanawiałem się nad dalszymi naszymi planami. Wycieczki takie jak na Bratkowską i Sywulę odczuwaliśmy jako zbyt długie, wolelibyśmy coś krótszego. Wycieczka na Doboszankę byłaby dobra, gdyby udało się dojechać do Ozirnego, ale Sasza niestety nie mógł nam w tym pomóc. Wyglądało na to, że w Rafajłowej nie było żadnych samochodów o dzielności terenowej, a mniejszych od ziła. Alternatywą mogłaby być wyprawa na bliższy Poleński, ale Sasza ostrzegł, że miejscowe leśnictwo poprawia właśnie ścieżkę grzbietem Skalek, więc jest ona pełna ściętych drzew i gałęzi, a przez to trudna do przejścia. Ostatecznie stanęło więc, że pójdziemy na Taupiszyrkę i na Połoninę Płoską. Może niezbyt ambitne cele, ale równie realne co przyjemne.

Pożegnaliśmy się z Saszą, który właśnie odjeżdżał autokarem wraz z grupą. Mnie zastanowiła różnica w możliwościach uprawiania turystyki tu i w Osmołodzie. Teoretycznie powinno tutaj być łatwiej, bo Rafajłowa liczy prawie 20 razy więcej mieszkańców niż Osmołoda, ale okazuje się, że przez to wcale nie jest łatwiej o transport lokalny, a wręcz przeciwnie. Sieć szlaków turystycznych w rejonie Osmołody jest również gęstsza, a same szlaki lepiej utrzymane. Jakże to odmiennie wygląda dzisiaj, niż w okresie międzywojennym, kiedy to — sądząc po opisach — Rafajłowa była ośrodkiem cywilizacji przychylnym turystom, podczas gdy Osmołoda była li tylko osadą drwali i turysta nie miał tam czego szukać. Rafajłowa najwyraźniej nie może się doczekać nowego Wundermanna, względnie ciągle przechodzi rodzaj żałoby po tamtym.

Wracając do „Biernat House” obejrzelśmy po drodze „Hallerówkę” i miejsce po cmentarzu naprzeciwko niej. Obecnie stał tam jedynie zaniedbany sowiecki pomnik „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 1941–1945”. Wstąpiliśmy do sklepu i obejrzelśmy z zewnątrz cerkiew prawosławną. Poszliśmy nad rzekę, po drodze pokonując dawny nasyp kolejki wąskotorowej — nadal były widoczne przyczółki jej mostku nad potokiem Salatruk u jego ujścia do Bystrzycy.

Rozmawialiśmy potem z panią Olgą na różne tematy — głównie jak to tutaj dawniej bywało, choć to „dawno” dla pani Olgi nie oznaczało jakichś zamierzchłych czasów, ale raczej lata 1980-te, schyłek władzy radzieckiej. Kolejkę wąskotorową pani Olga знаła jedynie z opowiadań innych ludzi. Głównym tematem były przeróżne wiejskie spory o miedze, praktycznie nieznanne przez cały okres radziecki. Z ciekawostek — pani Olga przyniosła nam znaleziony na strychu obraz — bez ramy. Przedstawiał jakieś młode małżeństwo, namalowany był bardzo realistycznie — prawdopodobnie przemalowany z fotografii. Ubrani byli w stylu lat międzywojennych i nie wiadomo, kto to był. Mieliśmy nawet zabrać ten obraz ze sobą do Polski, ale ostatecznie zapomnieliśmy. W Warszawie, już po powrocie, zajrzałem do starych fotografii przedwojennych mieszkańców Ra-

fajłowej opublikowanych w jednym z numerów czasopisma „Płaj”, ale żadna z twarzy nie przypominała mi tamtej z obrazu.

W taki sposób przeszedł nam czas do obiadu. Po południu wybraliśmy się na spacer w górę wsi do rozejścia się dolin Riczki i Rafajłowca. W najlepsze trwała tam praca na placu załadunku drewna, opodal pasły się te same czupurne byczki co przedtem. Poszliśmy jeszcze kawałek w górę Riczki. Nad brzegiem rzeki stał tam dziwny budynek: mały, murowany, piętrowy. Na parterze miał pomieszczenie z drzwiami balkonowymi otwierającymi się nad nurtem rzeki, a piętro zupełnie otwarte — jedynie szczytowe ściany były przykryte dachem. Obok budynku znajdowała się kładka przez Riczkę. Nie dowiedzieliśmy się, czemu miała służyć ta instalacja. Wieczór spędziliśmy odpoczywając i snując plany dalszych wycieczek.

Ranek wstał pochmurny, ale nie padało. Góry były widoczne i nie widzieliśmy powodu, dla którego mielibyśmy zmieniać nasze plany. Trasa na Przełęcz Legionów i Taupiszyrkę nie była długa — na jakieś 8 godzin marszu, więc wyruszyliśmy nie spiesząc się o 8 rano w górę doliny Rafajłowca. Pogoda niestety leciała, zrobiło się zimno i zaczęło siąpić. Na domiar złego przez poprzednie dwa dni zapomniałem o swoim zdrowiu — ponieważ czułem się wtedy lepiej, przestałem brać leki. Teraz czułem się znowu gorzej, a kiedy przyszło podchodzić w górę doliny — momentami zaczynało brakować mi tchu i dostawałem napadów kaszlu tak głębokiego, że w oczach widziałem gwiazdy, a i tak zwykle niczego nie mogłem odkasłać. Czasami tylko po kaszlu dostawałem jakiegoś dziwnego chemicznego smaku w ustach i wtedy odpluwałem coś, co w ogóle nie przypominało śliny. Miało konsystencję piany i Krzysiek zapytał się mnie, czy na pewno dobrze się czuję i — żartując — czy to przypadkiem nie jest wścieklizna. Choć osłabiony, czułem się jednak na siłach iść dalej.

Im głębiej zapuszczaliśmy się w dolinę, tym bardziej padało. Droga — i tak rozmiękła i pełna błota — wypełniała się kałużami. Była nieciekawa, wręcz nudna. Starałem się przypomnieć sobie poszczególne miejsca z poprzedniego razu kiedy pokonywałem tę dolinę gruzawikiem, ale nic nie pasowało. Dolina wyglądała znowu inaczej, była bardziej podobna tej, jaką była, kiedy pierwszy raz tutaj byłem w 2005 roku niż do tej z poprzedniego pobytu. Wyglądało na to, że kiedy tu byłem poprzednio, dolina była zryta przez zwózkę drewna. Teraz kiedy zwózkę zakończono, dolina na powrót zarosła zielenią.

Po dwu i pół godzinach doszliśmy do końca doliny. Trzeba było wspiać się na stok do zachowanego odcinka dawnej Drogi Legionów. Deszcz na szczęście przestał padać, odetchnęliśmy więc, że przetrwaliśmy najgorsze, ale strome podejście po stoku było dla mnie bardzo trudne. Zupełnie nie miałem siły, czułem się, jak gdyby jakiś ciężar siadł mi na klatkę piersiową i dociskał. Jakoś jednak szedłem. „Skoro dałem radę tu, dam radę i wyżej” — pomyślałem.

Na Przełęczy Legionów po starym stał krzyż, a obok niego drogowskaz turystyczny. Opodal stał namiot, nocowali tu jacyś turyści, ale nie byli to ci sami, których spotkaliśmy schodząc z Połoniny Bratkowskiej 4 dni temu. Pasło się również stadko koni, w tym kilka klaczy z małymi źrebietami. Porobiliśmy nieco zdjęć i przed dalszą drogą postanowiliśmy coś zjeść, kiedy nagle nadciągnęła chmura i znów zaczęło padać. Ponownie założyliśmy więc niedawno zdjęte folie i kończąc posiłek w deszczu zastanawialiśmy się co robić dalej.

Planowana trasa na Taupiszyrkę w tych warunkach nie miała większego sensu. Chmury były na pułapie tuż powyżej przełęczy, zatem ledwo zaczęlibyśmy wchodzić na stok Taupiszyrki, znaleźlibyśmy się w chmurach. Na dodatek tam

na stoku rośnie kosówka. Wprawdzie prowadzi przez nią ścieżka, ale pod ciężarem wody gałęzie kosówki obniżają się i zwierają. Czekaloby więc nas to, co jest jeszcze gorsze od kosówki: mokra kosówka. A więc co? Wracać tą samą nudną drogą, którą przyszliśmy? Zaproponowałem więc Pantyr. Pójdziemy dobrą godzinę wzdłuż głównego grzbietu, a potem wrócimy do Rafajłowej ramieniem Pantyru, być może z mniejszą ilością błota niż w dolinie.

Poszliśmy więc z Przełęczy Legionów wzdłuż słupków dawnej granicy, tylko że na południe zamiast na północ. Rozpadało się za to na dobre — może nie była to ulewa, ale „prało żabami, psami, kotami i czymkolwiek tam jeszcze”. Ścieżka grzbietowa prowadziła nas wyraźnie od słupka do słupka przez las i kolejne garby grzbietu, potem przez polanę zajmującą siodło przełęczy Rogodze Małe, a potem do góry na Pantyr. Na jego szczycie stał dawny słupek odcinka granicznego — z polskim orłem i czechosłowackim lwem, jeden z dwóch takich słupków zachowanych na Ukrainie (drugi jest na Popadii). Byłem przy tym słupku drugi raz — przy takiej samej pogodzie. Fatum jakieś?

Na Pantyrze opuściliśmy główny grzbiet karpacki, schodząc na Połoninę Pantyrską. Po drodze minęliśmy niewielki węgierski bunkier z drugiej wojny światowej. Deszcz nieco odpuścił, przeszedł w mżawkę.

Na Połoninie Pantyrskiej przed drugą wojną światową stało niewielkie schronisko PTT, próżno jednak szukaliśmy jego śladów w terenie. Pasły się za to konie — a właściwie źle napisałem, że się pasły. Było ich ze dwadzieścia i dawały popisy godne jakichś filmów przyrodniczych o Azji Środkowej albo kowbojskich o mustangach. Cwałowały one w tę i z powrotem po połoninie, od czasu do czasu zatrzymując się. Wówczas do tego konia, który się zatrzymał, podbiegał jakiś inny i go gryzł, po czym gonitwa rozpoczynała się na nowo. Niekiedy bywało że koń, który się zatrzymał, spodziewając się ugryzienia wierzał nagle, trafiając napastnika kopytami w bok. Człowiek po takim kopnięciu z pewnością by się już nie podniósł o ile w ogóle by przeżył, tymczasem na koniach nie robiło to większego wrażenia. Owszem, odbiegał taki kilka kroków jak gdyby w bólu, ale zaraz wracał, a po chwili obydwie rumaki galopowały na przeciwny koniec połoniny.

Końskie towarzystwo niepokoiło nas szczególnie, kiedy galopowało w naszą stronę, przemykały więc przez tę połoninę chyłkiem, skrajem lasu. Za połoniną odnaleźliśmy leśną drogę, a właściwie płaj prowadzący z Rafajłowej. Zejście prowadziło lasem, a nasze nadzieje na mniejszą ilość błota niż w dolinie Rafajłowca okazały się złudne. Błota było tu nawet więcej niż w dolinie, a miejscami nie było innego wyjścia, jak brnąć przez jego środek, skoro po bokach albo leżały powalone pnie, albo rosły gęste chaszczce. Po niedługim czasie wyglądaliśmy jak gdybyśmy byli zrobieni z gliny.

Las się wreszcie skończył i wyszliśmy na odkryty teren. Według mapy był to przysiółek Rafajłowej o nazwie Zhary. Miejsce okazało się niesamowite. Na trawiastym górskim grzbiecie stały chaty i budynki gospodarcze, otoczone drzewami owocowymi, gospodarstwa odgródzone od siebie płotami — czy też raczej tym, co pozostało z drewnianych płotów. A wszystko opuszczone. Niektóre domy stały otwarte, inne nie, niektóre miały jeszcze całe dachy, inne już dziurawe albo zawalające się, były i takie już bez dachów. Chmury uniosły się nieco i w oddali odsłoniła się Połonina Płaska, a za nią tonące w chmurach stoki Doboszanki. Taka wioska duchów — pod samym niebem. Żal tylko, że za kilka lat to wszystko przestanie istnieć, pozostanie tylko stopniowo zakrzaczająca się łąka i te owocowe drzewa.

Z nieba szybko zstąpiliśmy prosto do piekła. Bardzo strome zejście poprowadziło nas przez las ku przysiółkowi Rafajłowej Kluszy, a tam — jeszcze nad wsią — pasły się dwie krówki i dwa cielaki pilnowane przez Cerbera. Psisko rasy kundel średnio duży miało wprawdzie tylko jeden łeb, ale zaciekle było niewiarygodnie. Samotnego turystę pies pogryzłby na pewno. Przymierzał się wielokrotnie to do mnie, to do Krzysia i tylko w ostatniej chwili rezygnował mając uwagę na drugiego z nas. Nieważne było, że bydełko pasło się dwadzieścia metrów w bok od drogi i już właściwie za nami — pies atakował i nie pozwalał przejść. Opisywane sposoby takie jak wzięcie do ręki kamienia albo drąga z lasu tylko potęgowały wściekłość zwierzęcia. Ostatecznie udało się najpierw Krzysowi odwrócić uwagę bestii, przez co ja odszedłem w dół, po czym ja zwróciłem na siebie uwagę, a Krzyś przedzierał się po krzakach obok drogi. Chwilę potem osiągnęliśmy drogę w dolinie, a pół godziny później byliśmy w „Biernat House”. Przemokliśmy do nitki i ubłociliśmy się totalnie. Wieczorem z nieba spadały kaskady wody.

Rano czułem się źle — słaby i ogólnie rozbity. Deszcz nadal padał — to umiarkowanie, to znowu falami ulewy. Pobliski potok zamienił się w rwącą rzekę koloru błota. Gdybym nawet czuł się dobrze, nasza wycieczka na Płoską była niewykonalna. U jej początku, w dolinie Doużyńca należało przejść w bród przez potok Płoszczyńiec. W normalnym stanie wody tam było po kostki, jak było tam teraz — można sobie było tylko wyobrazić. Nawet gdyby się wypogodziło, skoro już spadła tak wielka ilość wody, kolejnego dnia będzie tam tylko trochę lepiej. Trzeba byłoby poczekać przynajmniej dwa dni aby móc odbyć tę wycieczkę.

Trudno. Postanowiliśmy zwinąć żagle i wracać do Polski. Wziąłem dwie tabletki przeciwgorączkowe, żeby móc prowadzić samochód, spakowaliśmy się, pożegnaliśmy się z panią Olgą, obiecując powrót w lepszą pogodę i w lepszym zdrowiu. Wyjątkowo trudna była jazda samochodem do Nadwórnej, ponieważ woda zalała wszystkie dziury w drodze, nie było widać, jakie są głębokie i trzeba było starannie omijać wszystkie. W strugach deszczu jechaliśmy aż do Lwowa. Potem wypogodziło się nieco i deszcz przeszedł w mżawkę. Odprawa graniczna poszła szybko — na szczęście, bo ja czułem się coraz gorzej. W Przemyślu zgłosiłem się do lekarza. Obejrzał, osłuchał: „Gratuluję. Wyhodował sobie pan zapalenie płuc.”

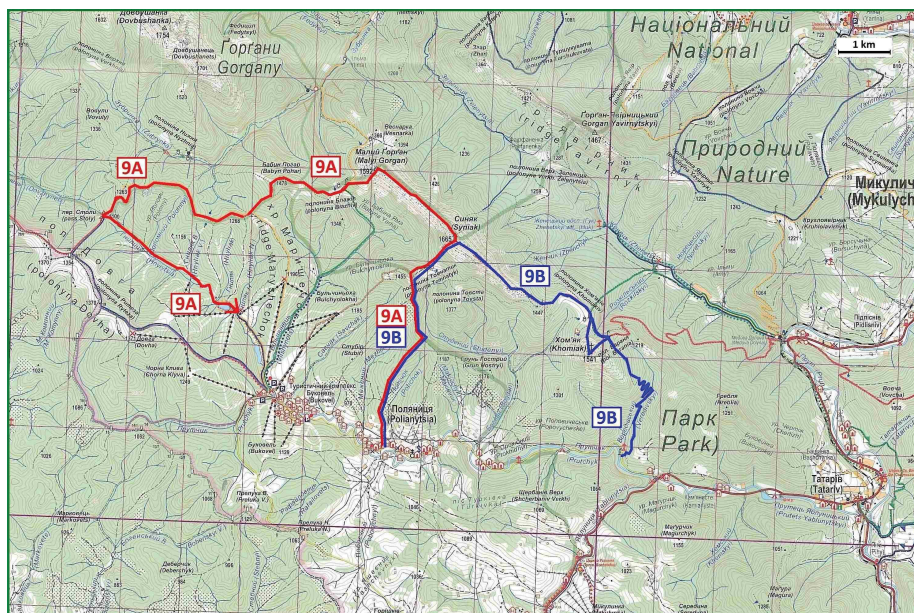
Leczenie trwało około półtora miesiąca. Zapewne mogłoby krócej, gdyby nie sytuacja w pracy, wobec której nie mogłem sobie pozwolić na korzystanie ze zwolnienia lekarskiego.



Fot. 17: Sywula



Fot. 18: Połonina Ruszczyna – okolice miejsca po schronisku PTT



Trasy wycieczki 9: 9A na Siniak, Mały Gorgan i przełęcz Krzyżówka-Stoły; 9B na Chomiak i Siniak.

9

Chciałem sam dla siebie zatrzeć złe wspomnienia spowodowane chorobą i gdy tylko wyzdrowiałem, zapisałem się na wycieczkę PTTK Rzeszów w ukraińskie Karpaty. Była to wycieczka p.t. „Czarnohora i Gorgany”, z akcentem bardziej na Czarnohorę oraz z jednym dniem na objazdową wycieczkę autokarową, a także — nietypowo — z krótką wizytą we Lwowie na koniec. Wycieczka prowadziła w miejsca już mi znane, ale na Howerli i Syniaku ostatnio byłem we mgle i perspektywa widoków z nich stanowiła dla mnie zachętę. Bazą wycieczki był dobrze już mi znany pensjonat „Huculska Świtłyca” w Polanicy.

Wycieczka rozpoczęła się utartym schematem z tą różnicą, że wyjazd z Rzeszowa był o 6 rano, a nie na noc. Odprawa graniczna poszła wyjątkowo szybko — zaskoczył mnie mały ruch na granicy. Potem pojechaliśmy inaczej niż zwykle — nie do Lwowa lecz do Drohobycza, skręcając z głównej szosy już w Mościskach, gdzie czekał na nas Sasza. W Drohobyczu mieliśmy postój tak zaplanowany, aby kierowca był w zgodzie ze swoim tachografem. Zwiedziliśmy zabytkową cerkiew, przeszliśmy po mieście, a potem poszliśmy do restauracji. Zjawienie się jednocześnie 35 klientów stanowiło tam takie zaskoczenie, że obsługa nie mogła sobie poradzić. Pierwszy stolik czekał na podanie dania kwadrans, drugi — pół godziny, trzeci — trzy kwadransy. A ci, co siedzieli przy piątym i dalszych stolikach musieli zrezygnować z posiłku, bo już nadszedł czas odjazdu.

Potem pojechaliśmy dalej przez Stryj i Kałusz. Na obwodnicy Iwano-Frankiwska nieprzyjemny widok: spalony koń trojański. Stała tam dawniej knajpa oryginalnie zrobiona w formie trojańskiego konia, wysokiego na dwa piętra. Goście wchodzili do brzucha po schodach podobnych do trapu, a kelnerzy donosili jedzenie przez pomost prowadzący z pobliskiego budynku do drzwi w szyi konia. Nigdy w tej knajpie nie byłem, ale pomysł — choć mocno kiczowaty — podobał mi się. Teraz jednak z konia zostały tylko cztery betonowe słupy — dawniej nogi — i osmalone deski. Budynek obok też nosił ślady pożaru.

Zajechaliśmy do Polanicy na 17-tą, rozkwaterowaliśmy się, potem obiadokolacja i jak zwykle w takich wypadkach: piwo i gadanie, gadanie, gadanie. Wszak mało kto z kim się jeszcze znał.

Na pierwszy ogień poszła Howerla — a więc nie Gorgany. Skomentuję, że złośliwa. Albowiem wycieczka stała się praktycznie kopią mojego poprzedniego wyjścia na ten szczyt, z tą tylko różnicą, że teraz było cieplej i w szczytowych partiach nie było śniegu. „Główne założenia” pozostały jednak te same: dojazd do Zaroślaka, wyjście na szlak, gdzieś na Plecach Howerli chmura spowijająca wszystko we mgle, wejście na szczyt w zerowej widoczności, podczas zejścia od Małej Howerli brak chmur, a przy szlabanie Karpackiego Parku Narodowego w Zawojeli Howerla już w pełnej krasie.

Na drugi dzień zaplanowano wycieczkę na Kostrzycę. Nie chciało mi się tam chodzić, byłem dwa lata temu. Postanowiłem więc odłączyć się od grupy i samodzielnie pójść na Syniak. Sasza dziwił się po co, skoro Syniak mieliśmy w planie ostatniego dnia — ale skoro już tutaj byłem, to chciałem przejść przez całe pasmo Syniaka. Ostatniego dnia planowana była trasa od Chomiaka po Syniak, bez zachodniej części grzbietu z Małym Gorganem — i tę właśnie część chciałem pokonać. Skoro tak — OK. Sasza poinstruował mnie co i jak, dotyczyło to głównie wyjścia z Polanicy w góry, gdzie od mojego poprzedniego pobytu wiele się zmieniło: na stoku zbudowano kilka nowych domów, a wiele innych znajdowało się w różnych fazach budowy. Trudno bowiem napisać „w budowie”. Te budowy były rozgrzebane, stały wyraźnie już od wielu miesięcy i nic się przy nich nie działo. Dziwne.

Rano wyszliśmy równo — grupa do autobusu, a ja na mój Syniak. Pomijając początkowy odcinek między domami podchodziłem trasą, którą szedłem poprzednim razem — drogą leśną, która po pewnym czasie osiągała grzbiet, nadal prowadząc przez las. Zgubiłem gdzieś tylko odejście ścieżki na Połoninę Tomnatyk i zamiast tego wyszedłem na wierzchołek szczytu Tomnatyk. Poza ładnym widokiem na Syniak — w przeciwną stronę nie było nic widać z powodu drzew — nic z tego nie miałem, za to musiałem schodzić wąską ścieżką stromo w dół na rzezoną połoninę. Jakże inaczej wyglądało teraz to miejsce, gdy nie było mgły! Wszystko jak na dłoni — i żadnych już zwierząt, żadnego wypasu. Przeciąłem trawiaste siodło połoniny. Szałas na drugim jej końcu stały otwarte i opuszczone, z dziurami w dachach. Jeszcze kilka lat, a ich także nie będzie.

Ścieżkę na Syniak łatwo odnalazłem tuż za szałasami. Musiał to zresztą być kiedyś szlak turystyczny, bo powyżej lasu wśród kosówek i po gorganie był starannie ułożony w liczne zakosy. Dopiero blisko grzbietu, gdzie teren zaczynał się wypłaszczać, zakosy zatrały się w terenie. Ale tu było już łatwo, klucząc wśród kęp kosówek wyszedłem na szczyt przy dobrze pamiętanym kopcem kamieni.

Drugi raz byłem więc na Syniaku (1666 m), ale pierwszy raz widziałem z niego inne góry. Było pochmurno z przejaśnieniami, ale pułap chmur był powyżej szczytów. Najpiękniejszy widok z Syniaka jest w kierunku Doboszanki — na pierwszym planie z grzbietem Syniaka zakończonym Małym Gorganem, a w oddali z bocznym pasmem Koziego Gorganu i Koziej, łamiącym ogólny kierunek głównych pasm górskich w tej części Gorganów. Na prawo od Małego Gorganu w dole widać jest niższe od Syniaka pasmo Jawornika Gorganu. W kierunku południowo-wschodnim panoramę przerywa grzbiet samego Syniaka i trzeba zejść nieco z wierzchołka, aby móc dojrzeć Chomiak. Na południe i zachód otwiera się rozległa przestrzeń, za którą w oddali majaczą czarnohorskie olbrzymy Howerla i Pietros, a z prawej — znacznie bliżej — pasmo Czarnej Połoniny, z której stąd najwyższą wydaje się najbliższa Steryszora. Z tego kierunku nic nie zdaje się wskazywać na jej kosówkowe atrakcje. W przestrzeni między Czarną Połoniną a Doboszanką można się dopatrywać najwyższych szczytów Gorganów — z Sywulą. Widok w dół jest niestety znacznie gorszy: Bukowel z jego wyciągami narciarskimi i wygolonymi w lesie nartostradami.

Mały Gorgan — czyli zachodni wierzchołek pasma Syniaka wydawał się niezbyt daleko. Naprawdę to jest około 2 km, przy czym większość tej drogi prowadzi w dół, a potem dość płasko. Ale skakanie po kamieniach gorganu wymaga czasu — przejście tych 2 km zajęło mi prawie godzinę. Schodząc z Syniaka miałem wrażenie, że na Małym Gorganie ktoś jest, potem z połowy drogi na

tym szczycie widziałem jakieś zabawne rogi. Na miejscu okazało się, że są to dwa kopce — a właściwie słupy — ułożone z kamieni, wysokie na 2 metry, półtora metra od siebie. Że się komuś chciało. Za to widok z Małego Gorganu — wyborny. Doboszanka widoczna tuż za głęboką przełomową doliną Zubrynki wygląda ogromnie, a boczne pasmo Koziego Gorganu i Koziej — dzięki zbliżeniu się do niego — niesamowicie dziko. Pozostałe elementy panoramy są podobne do tych z Syniaka, z wyjątkiem tego że Chomiaka nie widać.

Zejście z Małego Gorganu na Połoninę Bładziw okazało się jednym z najbardziej paskudnych, jakie poznałem w Gorganach. Niby prowadzi nim szlak, ale zejście jest niebywale strome i prowadzi po wyjątkowo drobnym gorganie, przypominającym piarg. Trzydziestocentymetrowy krok w dół i drugie trzydzieści centymetrów zjazdu butem po osypującym się zbocz. Całe szczęście, że ruch turystyczny w Gorganach jest niewielki, w przeciwnym razie doszłoby tutaj do erozji turystycznej na niebywałą skalę. W każdym razie — rzadko mi się w Gorganach zdarzało, aby odetchnąć kiedy dotarłem do kosówek, a tutaj tak było.

Przede mną w dole leżała Połonina Bładziw przed następnym wierzchołkiem, już zalesionym, zwanym Babin Poharem. No i problem. Na połoninie pasło się kilka sztuk bydła, a na szlaku stało psisko wyglądające dość podobnie do Cerbera z Rafajłowej. Martwiłem się niepotrzebnie, bo to psisko było inne: na mój widok podażyło szlakiem naprzód, a następnie po połoninie obeszło mnie wielkim łukiem by znaleźć się z mną. No i dobrze.

Przede mną był teraz odcinek leśny około 3 godzin marszu aż do przełęczy Krzyżówka-Stoły. Teoretycznie mogłem wprawdzie schodzić wcześniej do Bukowela, ale nigdy wcześniej nie byłem na Krzyżówce-Stołach, a stało tam podobno jedyne górskie schronisko w czasach radzieckich, tj. *turbaza* „Gorgan”. Wprawdzie miało wątpliwą reputację, a jego gospodarz jeszcze gorszą, niemniej chciałem zobaczyć, jak ten obiekt wygląda. Ścieżka była mało interesująca, ale wyraźna i dobrze oznakowana. Szczyt Babin Poharu od otoczenia różnił się głównie tym, że na szczycie miał trzymetrowy metalowy trianguł — nie wiadomo po co, skoro okoliczne drzewa były wyższe. Z jego wierzchołka nastąpiło też kilkanaście metrów nadspodziewanie stromego zejścia. Potem las, las i las, wyglądający znajomo — bo dołączyła się od lewej droga z Bukowela, którą kiedyś szedłem na Doboszankę. Potem zaś była polana ze znajomym widokiem na Steryszorę. Na Doboszankę schodziłem stąd w prawo w las, teraz znowu szedłem terenem mi nieznanym. Szlak doprowadził do martwego lasu. Zdziwiająco to było miejsce — na przestrzeni około kilometra wzdłuż szlaku martwe kikuty drzew i połamane gałęzie. Szlak został przecięty piłą mechaniczną i nie musząc się przez nic przedzierać mogłem podziwiać potęgę sił natury — ale jakich? Potem szedłem jeszcze z pół godziny, szlak najpierw się obniżył i wszedł w trawers po lewym zbocz, ominął jakieś ostatnie wzniesienia i z wysokiej skarpy zszedł na dość ostro wyciętą przełęcz. Na przeciwstoku czerwony szlak stromo piął się do góry w kierunku na Douhą. Krzyżówka-Stoły.

Meeeee! Usłyszałem. Przez przełęcz przechodziła gruntowa droga, lepsza od strony zachodniej, od Rafajłowej, bo w kierunku przeciwnym, na Bukowel — mocno zarosnięta. Przy drodze, na dwumetrowej skarpie stał ni to dom, ni to chata — w oplakany stan, przed nim zaś na wydeptanym do gołej ziemi gruncie stała upalowana koza. W sumie nie wiadomo po co, bo chociaż — mówią — koza potrafi zjadać nawet puszki po konserwach, to gliny jako żywo nie zjada. Zobaczyła mnie i zabeczwała. Mimo ciągłego beczenia nie pojawił się nikt. Na ścianie budynku była tabliczka że tu jest punkt *Hirskoho Kontrulno Ratu-*

walnoho Zahinu, ale chyba nieważna, bo stara i odrapana, zaś ja nie słyszałem, aby w tym miejscu był punkt pogotowia górskiego. Przed budynkiem był malowany na niebiesko-żółto maszt bez flagi. Wokoło śmieci, wiadra i inne rupiecie. Drzwi były otwarte — wewnątrz nic nie przypominało schroniska. Stół zasłany gratami i niezliczoną ilością brudnych naczyń, obok niego przewrócona ława, na podłodze stary materac i pozwijane brudne koce. W kącie piec kuchenny zastawiony garami, nad pomieszczeniem porozciągane sznurki, na których wisiała niezliczona ilość ciuchów. Pajęczyny i syf. Miauuu! — usłyszałem, bo był jeszcze kot. Nic tu było po mnie. Gospodarza nie spotkałem — co może i lepiej. O Iwanie chodziły bowiem legendy. W to, że dużo pił — wierzyłem. Podobno kiedyś po kłótni z kochanką założył jej na szyję łańcuch z kłódką i przykuł do chałupy, żeby mu nie uciekła. Innym razem zaś zrealizował scenariusz jak z filmu „Wolna Sobota”. Mianowicie — jakiegoś turystę miała ukąsić żmija. Gdy przyszedł po pomoc, Iwan jak gdyby nigdy nic — obejrzał palec i zanim turysta zdążył się zorientować, chwycił za siekierkę i ciach. Podobno Iwan siedział pół roku w więzieniu za ten czyn. W każdym razie Iwana nie było i nie miałem okazji się z nim spotkać. Łaził pewnie gdzieś po lesie — może szukał jakichś grzybów, może kłusował, może leżał gdzieś pijany w zaroślach. Z kozą ani z kotem nie szło się dogadać.

Z Krzyżówki-Stołów schodziłem drogą w kierunku na Bukowel. Był to stary trakt komunikacyjny, jedno z najdogodniejszych przejść w górach, podczas pierwszej wojny światowej, wykorzystywany przez polskie legiony. Teraz była to tylko zarośnięta leśna ścieżyna. Miała niby koleiny — ścieżka przerzucała się z lewej na prawą lub na odwrót, zależnie od miejscowego zabłocenia. Gdy zeszedłem niżej, mogłem się przekonać, co było przyczyną porzucenia drogi. Był nią Bukowel. W pewnym momencie droga doszła do kotlinki wyglądającej jak jedno wielkie bagnisko. Dno kotlinki było pofalowane, porastało ją zielsko, a postawiona gdziekolwiek noga zagłębiała się po kostki w muł. Wszystko wskazywało, że było to dno jakiegoś jeziora nieoznaczonego na mapie. Przeszedłem to miejsce potokiem — lepiej było iść po leżących w wodzie kamieniach, niż po tym mule. W potoku mogłem się podpierać o dno kijkami trekkingowymi, w błocie zagłębiały się i nie dawały się wyciągnąć. Niedaleko już mogłem się przekonać o konkretnej przyczynie zmiany terenowej. Był nią zbiornik na wodę do nśnieżania stoków narciarskich, przez który w tym miejscu przesuwano koryto potoku. Zapewne przez czas budowy zbiornika potok miał zatamowany odpływ i wytworzył jezioro powyżej.

Ubłocony i umorusany — kilka razy przewróciłem się w błotku — wyszedłem na drogę w górnej części Bukowela. Przeszedłem obok sztucznego zbiornika wodnego, potem obok głębokiej jamy w ziemi, schodzącej tarasami niczym odkrywkowa kopalnia i dochodząc do centrum ośrodka ujrzałem... nasz autokar. Miałem niesamowite szczęście i to podwójne. Po pierwsze — że Sasza wpadł na pomysł, aby po skończonej wycieczce na Kostrzycę podjechać do Bukowela i pokazać ten ośrodek. To że Sasza liczył na to, że akurat wrócę z gór podczas tego zwiedzania — można jeszcze było wytłumaczyć. Wiadomo czego i ile miałem do przejścia i z dokładnością do godziny można było przewidzieć mój powrót. Ale tego, że ochronie ośrodka Bukowel akurat nie będzie się chciało stać i kontrolować wjazdu i że podniosą szlaban na stałe — to trudno było przewidzieć. Tak czy inaczej nie musiałem iść po szosie ostatnich 3 km do Polanicy. Bukowel też się jakos prezentował bez życia — na pozór wszystko było jak przedtem, królestwo kiczu i wieczna budowa — tylko że na tej budowie jak gdyby prze-

stało się cokolwiek dziać. Rozgrzebane na wpół ukończone budowle zdawały się oczekiwać na radośniejsze chwile.

Następnego dnia — ponownie Czarnohora i znowu powtórka: trasa z Zaroślaka do Jeziora Niesamowitego i na Szpyci. Zastanawiałem się — skoro z tą mgłą na szczycie wypadła tak podobna powtórka wycieczki na Howerłę, to czy teraz też nastąpi powtórka? Wydawało się nieprawdopodobnym, żeby znowu ktoś się upił i zaszył w kosówkach. Tym razem jednak déjà vu nie było, może dlatego, że nie było planowane przejście na Gutin Tomnatyka. Gdyby było, i tak nie było pewne, czy byśmy doszli. Na głównym grzbiecie Czarnohory wiało okrutnie, a przy porywach czasami trudno było ustać — podczas marszu wiatr spychał ze ścieżki. Co innego w takich warunkach iść 20 minut od Przełęczy Turkulskiej na Szpyci, a co innego iść jeszcze dalej przez półtorej godziny, a potem przez drugie półtorej godziny wracać.

Wycieczka objazdowa po Huculszczyźnie odbyła się trasą Worochta–Werchowyna (dawniej Żabie)–Kuty–Kołomyja–Jaremcze, a więc poza Gorganami, jedynie Worochta i Jaremcze są na ich granicy. W porównaniu z poprzednimi pobytami na Ukrainie coś jednak było inaczej, zdawało się: Ukraina usnęła. Porozpoczynane i przerwane budowle, porzucone odłogiem pola, ruch na drogach wyraźnie mniejszy niż dawniej. Bazarek w Werchowynie dawniej tętniący życiem liczył kilkanaście straganów pomiędzy którymi przechadzało się kilku kupujących. Nawet pan Roman Kumłyk, etnograf-pasjonat i muzyk, zawsze chętnie przyjmujący i oprowadzający turystów po swoim muzeum tym razem kazał na siebie czekać, a eksponaty pokazywał jakoś beznamiętnie, bez ikry. Może się postarzał (*Roman Kumłyk zmarł w styczniu 2014 roku — przyp. red.*). Kołomyja owszem — tętniła życiem, uliczki koło rynku były niczym jeden wielki bazar, ale i na nim było jakoś niebazarowo i spokojnie. Handlowano i owszem, ale nikt nie wykrzykiwał, nie zaczepiał, nie zachwalał swoich towarów, a jedynie czekał. Na pokręconego klienta, którego akurat najdzie fantazja, aby zrobić zakupy na tym straganie? A może na zmiłowanie Boże? Posterunki milicji przy skrzyżowaniach przy wylotach z miast — tak zwane „Daje” — nie wiadomo czy od „daj łapówkę” czy od prawdziwego skrótu *Derżawna Awtomobilna Inspekcija* — były nieobsadzone, a jeżeli już były, to milicjant siedział sobie na krzeselku i albo coś czytał, albo beznamiętnie gapił się w przestrzeń, nie interesując się w ogóle ruchem drogowym. Droga z Kołomyi do Delatyna okazała się tak dziurawa, że autokar ledwie tamtędy przejechał. Nawet Sasza był zdziwiony, zwłaszcza że pamiętał ją z wycieczki rok wcześniej, wtedy nie stwarzała żadnych trudności. Na *bazarcziku* w Jaremczu przy wodospadach Prutu — cisza i spokój. Stragany otwarte, turystów poza nami brak. Ceny z kosmosu, na poziomie tych z Krupówek, więc i my nie kupowaliśmy niczego. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze w Mikuliczynie, pod lokalnym sklepem na drobne zakupy. Piwa był tylko jeden gatunek — tego na Ukrainie, od kiedy zacząłem regularnie jeździć w 2005 roku, jeszcze nie bywało. Nic się nie stało, w Polanicy były jeszcze trzy sklepy. Po obiadokolacji wraz z kilkoma osobami wybrałem się jeszcze na wieczorny spacer nad rzekę. Przy pobliskim domu bawiły się trzy małe szaro-bure kotki, były radosne i ufne, dały się łapać i głaskać. Wyszła na to z domu pani i zapytała się, czy ich nie weźmiemy. Nie chciała pieniędzy — powiedziała, że widzi, że byłoby im z nami dobrze, a tutaj? Ona ich nie potrzebuje, ale przecież nie zabije, więc co one będą miały za życie? Niestety — nie za bardzo mieliśmy możliwość zabrania kotków nawet gdybyśmy chcieli — jak mielibyśmy je przewieźć przez granicę?

Nastał kolejny dzień — już ostatni dzień górski podczas naszego wyjazdu. Autokar zwiózł nas 6 km w dół doliny do ujścia Potoku Weretyńskiego, tam skąd już raz wchodziłem na Chomiak. Podejście znanymi mi już trasą serpentykami przedwojennego szlaku minęło jakoś szybko i bez wrażeń. W porównaniu z poprzednią wycieczką tutaj zmieniło się tylko tyle, że dawne znaki szlaków niebieskie oraz żółte z numerem 201 zostały zastąpione przez jednolite oznakowanie czerwone. Na szczycie Chomiaka również nic się nie zmieniło. Figura Matki Boskiej Patronki Ukrainy stała jak dawniej, a dewastacja jej otoczenia nie posunęła się. Widok ze szczytu był ten sam, a nawet lepszy, bo powietrze było bardziej przejrzyste.

Z Chomiaka nie wracaliśmy już na polanę — dawną Połoninę Baranią, tylko grzbietem wśród kosówek i rozpadlin skalnych zeszliśmy na Połoninę Chomiaków. Połonina ta zajmuje siodło przełęczy między Chomiakiem a masywem Syniaka. Znajduje się na niej niewielka kapliczka, a na stokach stają pasterska. Czy była nadal użytkowana — nie sprawdzaliśmy, ale raczej nie, ponieważ na całej połoninie pasło się zaledwie kilka koni. Były zainteresowane nami, przyłączały się i chętnie pozowały do fotografii. Chyba więc były puszczone luzno i stęsknione ludzi. Przed drugą wojną światową było tu także schronisko PTT im. Mieczysława Orłowicza (za życia!), podobno zachowały się fundamenty, ale z boku, w części połoniny na zachodnich stokach Chomiaka, już od dawna nieużytkowanej i zarośniętej lasem.

Za Połoniną Chomiaków nastąpiło podejście na grzbiet Syniaka — najpierw mozolne przez las, a potem długi marsz lekko wznoszącym się trawersem wśród kosówek, ze dwadzieścia metrów poniżej linii grzbietu. Jako że kosówka była tu niska, ze ścieżki otwierał się ładny widok, tyle że jednostronny. Osobliwie wyglądał stąd Chomiak — kształtu kopy siana, tyle że pokryty płatami kosówki porastającej gorgan, a niżej lasem. Byliśmy już wyżej od jego wierzchołka i spoglądaliśmy na niego z góry. W dole widać było odkryte niskie grzbiety górskie — dawniejsze sianożęcia Worochty, Jabłonicy i Polanicy, w oddali zaś Howerlę i Pietros Czarnohorski, oddzielone szeroką Przełęczą Harmanieską. Wszystkie te widoki były jednak w tył, trzeba było się zatrzymać i odwrócić, aby je podziwiać. Przed nami był tylko łagodnie wznoszący się grzbiet Syniaka i ścieżka wijąca się wśród kosówek. Grzbiet zdawał się nie mieć końca.

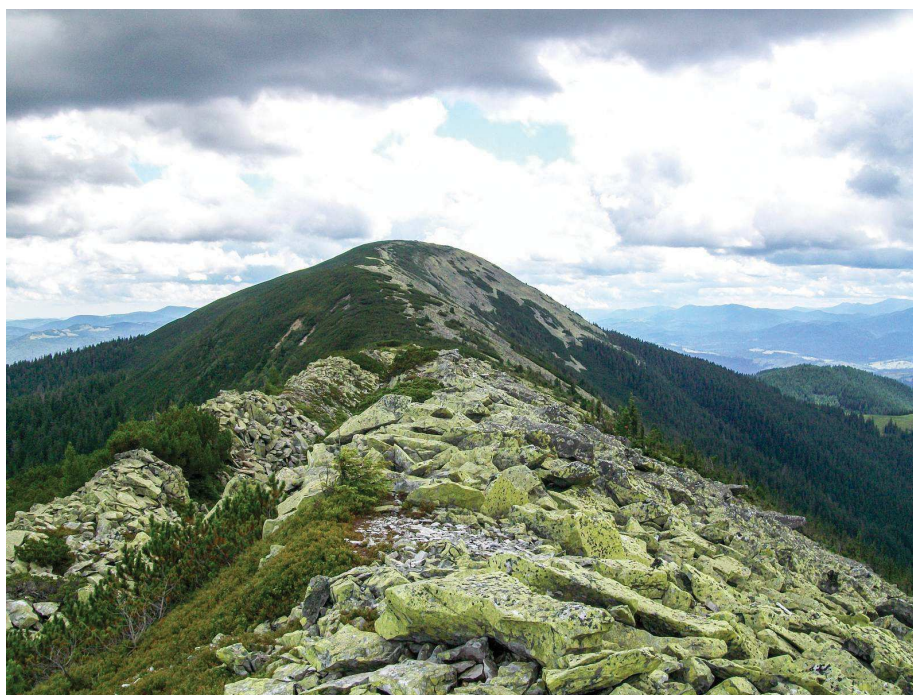
Wreszcie szczyt. Byłem tu zaledwie 3 dni temu, więc wiedziałem czego się spodziewać; pomimo tego porobiłem wiele zdjęć, bo widoczność była teraz lepsza. Schodziliśmy z Syniaka dobrze znaną mi trasą na Połoninę Tomnatyk. Sasza poprowadził nas na połoninie w lewo i w dół do ścieżki omijającej wierzchołek Tomnatyka, przez co nie musieliśmy wchodzić na ten wprawdzie drugorzędny, ale dosyć wybitny szczyt. Schodząc do Polanicy miałem dziwne wrażenie. Oto bowiem podczas tego wyjazdu pokonałem całe pasmo Syniaka, ostatnie takie ważne i znane pasmo w Gorganach, którego jeszcze nie przeszedłem. Licząc od zachodu — pasmo Gorganu Wyszковского — byłem. Pasma Jajka Ilemskiego — na najwyższym Jajku byłem. Arszyca — pasma nie przechodziłem, ale jego najwyższy szczyt Gorgan Ilemski — zaliczyłem. Potem pasmo Mołody — na Mołodzie byłem. Pasma Grofeńskie — byłem na Grofie, Parenkach, Popadii, a także na Pietrosie Koretwińskim tak daleko, jak ścieżka pozwalała. Pasma Sywuli — byłem. Pasma Ihrowca — wprawdzie niecałe, ale najwyższe w nim Ihrowiec i Wysoką miałem na rozkładzie. Taupiszyrka — byłem. Czarna Połonina — również. Pasma Doboszanki? Zwiedzone częściowo, ale na samej Doboszance byłem. Jawornik Gorgan zaliczony, teraz całe pasmo Syniaka od Chomiaka po

Mały Gorgan. Co mi jeszcze w Gorganach pozostało? Czyżby to miał być koniec mojego odkrywania Gorganów i czekają mnie jedynie powtórki?

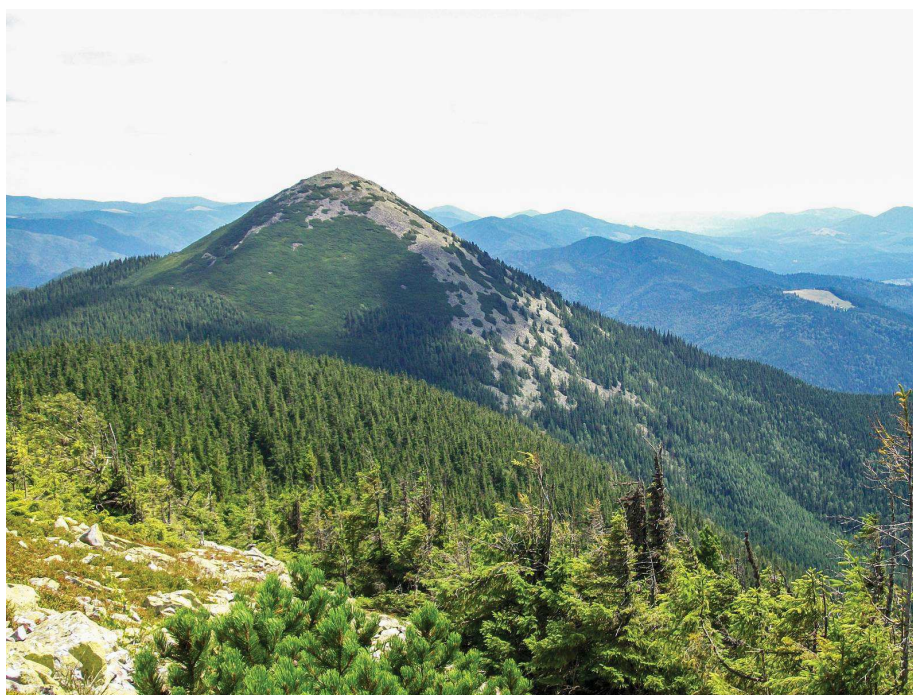
W takich rozmyślaniach zeszedłem do Polanicy. Tam czekała obiadokolacja nietypowo w sali na pięterku. Duża sala jadalna na parterze przygotowana była na wesele. Około 20-tej rozeszliśmy się do pokoi. Zamiast nas pojawili się weselnicy i zabawa trwała do rana. Prawdę mówiąc, spodziewaliśmy się huczniejszej.

Po ostatnim noclegu czekał nas już tylko powrót. Wsiadliśmy do autokaru i pojechaliśmy dobrze znaną nam trasą przez Tatarów, Mikuliczyn, Jaremcze, Delatyn i Nadworną do Iwano-Frankiwska. Tam mieliśmy godzinę przerwy. Przeszliśmy się po rynku i okolicach, ale w niedzielne przedpołudnie nic godnego uwagi się tam nie działo. Pogoda też była jakaś dziwna — pogodnie i bardzo ciepło, ale jakoś sennie. Nie skojarzyliśmy, że była to zapowiedź nadchodzącego frontu atmosferycznego i diametralnej zmiany pogody.

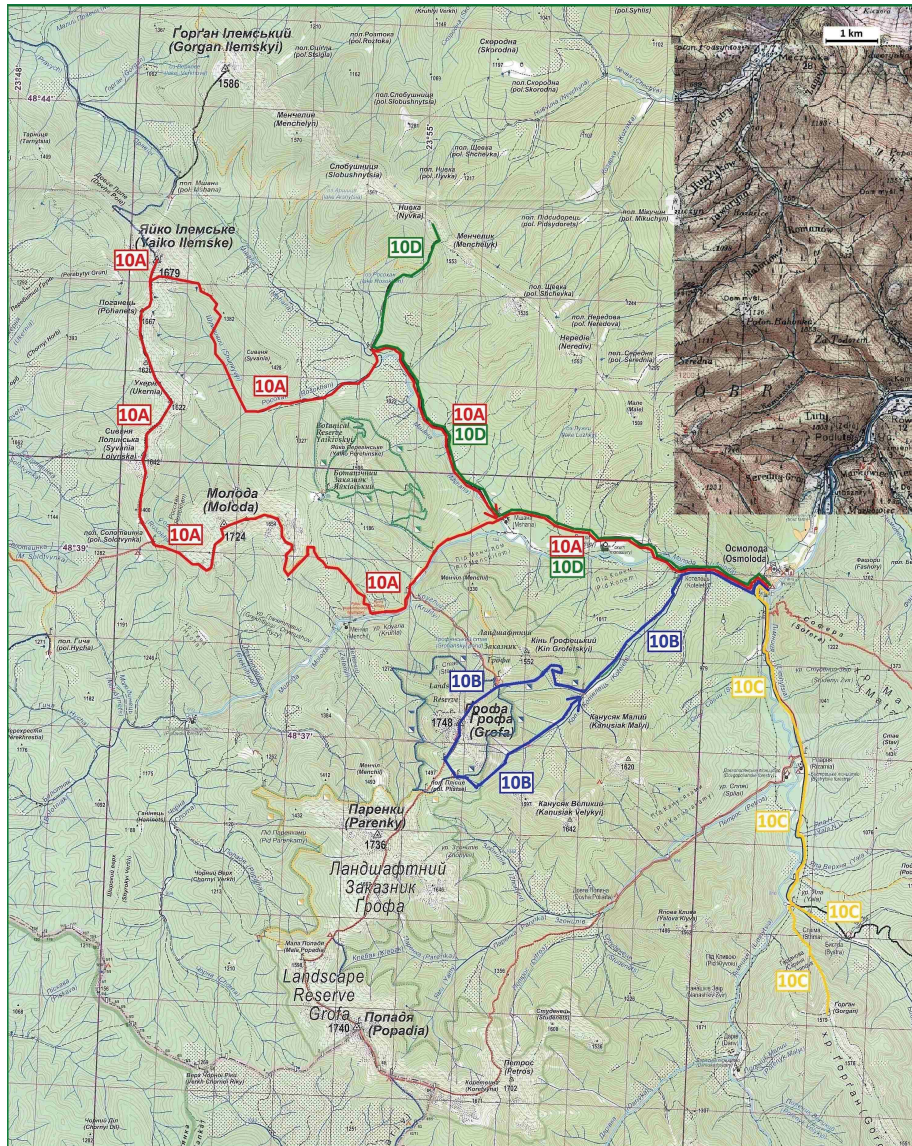
Dwie i pół godziny później we Lwowie woda z nieba spadała wiadrami. Mieliśmy tu aż 4 i pół godziny czasu ze względu na tachograf kierowcy. W strugach deszczu obeszliliśmy starówkę, Rynek, Wały Hetmańskie. Na Wysoki Zamek nie chodziliśmy, bo w taki deszcz nie było po co. Było coś symbolicznego w tym poście. Podczas wszystkich moich wycieczek z PTTK Rzeszów, z których ta była dziewiąta (wliczając wycieczki w inne grupy górskie niż Gorgany), pierwszy raz zajechaliśmy do Lwowa i to w sytuacji, kiedy właśnie skompletowałem wszystkie główne pasma Gorganów. Lał deszcz. Zdawało się, że Ukraina płakała.



Fot. 19: Syniak



Fot. 20: Chomiak



Trasy wycieczki 10: 10A na Mołodę i Jajko Iemskie; 10B na Grofę; 10C na Koniec Gorganu; 10D na Arszyce.

10

A jednak wpadłem na pomysł kolejnej wycieczki w Gorgany prowadzącej po nowych dla mnie trasach.

Sporo zmieniło się w moim życiu przez rok od poprzedniego wyjazdu. Wyłączony przez chorobę z pracy na okres kilku tygodni miałem pod dostatkiem czasu, aby rozmyślać i marzyć. Porządkując swoje zbiory zdjęć zwróciłem uwagę na występowanie trzech dziur w moim fotograficznym pokryciu terenu. Największa z nich była pomiędzy Gorganami Centralnymi — które zwiedzałem w oparciu o Osmołodę — a zachodnimi, z Jajkiem i Gorganem Ilemskimi. Jeden i drugi obszar łączyły się dwoma pasmami górskimi. Były nimi Arszycza oraz grzbiet od Jajka Ilemskiego po Mołodę, z najwyższym szczytem o nazwie Sywania Lolińska. Oprócz niej w grzbiecie tym były dwa inne szczyty o ciekawie brzmiących nazwach: Ukiernia i Pohaniec.

O Sywani Lolińskiej zdarzyło mi się rozmawiać z Saszą podczas któregoś z wyjazdów PTTK Rzeszów. Chodziło o to, że wycieczki stale odbywają się w te same miejsca. Przykład Sywani poruszył Sasza: zgadzając się z moją uwagą, zadał pytanie, w jaki sposób wraz z grupą miałby wchodzić na Sywanię? Gdzie nocować, i jak się tam dostać, skoro nijak niczym dojechać w jej bezpośrednie pobliże? Rozmowę naszą usłyszał jakiś inny turysta, który nie znał gór tak dobrze. Słyszac naszą rozmowę, jaka to Sywania Lolińska jest wysoka i piękna, zrozumiał, że rozmawialiśmy o jakiejś pani do towarzystwa. Kiedy nieporozumienie się wyjaśniło, cała grupa tarzała się ze śmiechu i kiedy potem z autokaru zobaczyliśmy przydrożną prostytutkę, przez autokar przebiegł szmer: Sywania! Natomiast faktem jest, że ze zdobyciem Sywani Lolińskiej jest problem, o którym wspominał Sasza. Chociaż Sywania wydaje się całkiem blisko, gdy ogląda się ją z okolicznych szczytów lub z doliny, nie ma na nią prostej ścieżki. Najkrótsza prowadzi z Kruhłej poprzez sam szczyt wyższej od Sywani Mołody, pomiędzy obydwoma szczytami jest głęboka przełęcz Sołotwinka. Trudności te zagrały mi jednak na ambicji i postanowiłem sobie, że Sywanię zdobędę.

Do Sywani Lolińskiej dokooptowałem plan wejścia na któryś z wierzchołków Arszyczy, zdobycie Końca Gorganu, który cztery razy widywałem z Sywuli i który drażnił mnie swoim przekąźnikiem telewizyjnym na szczycie, ponadto Grofy — ponownie, jako że dotychczas nigdy nie miałem z niej pełnego widoku. W grę wchodziła jeszcze Seredna i ewentualnie Wielki Kanusiak — pod warunkiem, że znalazłby się ktoś chętny towarzyszyć mi w wycieczce poza szlakiem, w gąszczu kosówki; samotne porywanie się na coś takiego uważałem za niebezpieczne. W ten sposób powstał plan kolejnego wyjazdu do Osmołody.

Na wyjazd próbowałem namówić Krzysia, ale się nie dał. Kręcił coś o pilnych zadaniach w pracy, co do których wiedziałem, że nie były pilne. Była połowa wakacji i nikt się nie interesował wynikami od ponad miesiąca, wiadomo było, że

nikt się nie zainteresuje przez następny miesiąc. Raczej skłonny jestem podejrzewać, że Krzys pamiętając o mojej niedawnej chorobie oraz o tym, że chorowałem podczas wyjazdu do Rafajłowej — najzwyczajniej nie chciał, może obawiał się, że znów zachoruję. Przyszło mi więc jechać samemu, a skoro tak — nie było sensu jechać samochodem. Nie tylko drożej, ale przede wszystkim potencjalnie kłopotliwie w razie jakiegokolwiek awarii czy jakiegokolwiek problemu. Pojechałem więc tak, jak przedtem — rejsowym autobusem relacji Warszawa–Kałusz. Nocleg u Wiktora miałem już nagrany, chociaż odbyło się to dosyć dziwnie. Kiedy skontaktowałem się z Wiktorem, najpierw przeprosił, że ma komplet gości na całe wakacje, potem odezwał się sam, żebym przyjechał, tylko że nocować będę w domu u jego ojca, później jeszcze raz, że nie będzie problemu i jedno miejsce zawsze się znajdzie — a na miejscu, okazało się że miejsc było dosyć i mogłem przyjechać jeszcze z 3 osobami, gdybym miał takie towarzystwo.

Podróż minęła bez wrażeń. W Kałuszu byłem przed 7 rano i kupiłem bilet na znany mi autobus do Osmoły o 8:40. Na dworcu tym razem panował spokój. Nic się nie działo oprócz przyjeżdżających i odjeżdżających autobusów, wysiadających i wsiadających ludzi. Linią kolejową po drugiej stronie placu przejeżdżał pociąg z Iwano-Frankiwska do Stryja — poruszając się w tempie roweru. Autobus przyjechał planowo i nie był tak zapełniony jak poprzednio. Mijałem kolejne miejscowości: Broszniów-Osada, Roźniatów, Perehińsko, Jasień. Autobus stopniowo pustoszał. Za Jasieniem stopniowo wjeżdżałem w góry. Osmoła powitała senną atmosferą. Szeroka droga przez wieś była zupełnie pusta — może to przez upał, było bowiem 28 stopni. Oprócz mnie autobusem przyjechały jeszcze tylko dwie osoby — młoda kobieta obładowana tobołkami i pan w średnim wieku wyglądający jak oberwaniec, pewnie jakiś pracownik leśny, bo z przystanku poszedł za wieś w górę doliny. W przeciwieństwie do pani jedyne, co miał ze sobą, to reklamówka.

Do „Arniki” było niedaleko. Przywitała mnie Julia, Wiktor akurat był w pracy, czyli w biurze posterunku ratownictwa górskiego. Ralfa nie było. Puchata kotka Markiza natychmiast zaczęła się do mnie łaścić, ale jak to z kotami — nie wiadomo, czy dlatego, że mnie poznała, czy po prostu tak sama z siebie. Ulokowany zostałem w innym pomieszczeniu niż poprzednio, dwuosobowym, ze spadzistym dachem. Wstając z łóżka musiałem uważać, by nie uderzyć się w głowę o strop. Pomieszczenie nie miało okna, ale łączyło się z korytarzykiem prowadzącym do magazynku — rodzaju rupieciarni, w korytarzyku były okna, pod jednym z nich stał stolik i dwa krzesła. Otwierając drzwi z mojej sypialni miałem coś w rodzaju miniaturowego apartamentu. Dowiedziałem się, że oprócz mnie była tu czteroosobowa rodzina z Wrocławia, ale aktualnie poszli na Arszycę wraz z Ralfem. Poszedłem do sklepu po piwo, rozejrzałem się wokoło, poszedłem nad rzekę. Spokój i cisza, słychać było jedynie szum wody oraz brzęczenie much. Święto jakieś? Upał narastał. Nawet Markiza schowała się do cienia, tylko jej dwójka kociąt baraszkowała to tu, to tam. Kotki jednak były tak dzikie, że nie dawały się złapać.

Wiktor przyszedł z pracy jakiś zagoniony i zaaferowany. Dostał jakieś duże ilości biurokracji do wykonania na wczoraj, a do tego polecenie wyjazdu na szkolenie ratowników górskich. . . do Charkowa. Gdzie Charków, gdzie góry? I kto wymyślił szkolenie ratowników w środku turystycznego sezonu? Ale podobne rzeczy dawno już mnie przestały dziwić na Ukrainie. Na razie Wiktor miał do wyjazdu jeszcze 3 dni. Komplikowało mi to plany, ponieważ bardzo liczyłem na możliwość dojazdu w głąb dolin sławetną kibitką, zasmuciła mnie tym bardziej

wiadomość, że coś się w kibitce popsulo. Należało pojechać po części aż do Kałusza — nie wiadomo czym — a przy tym centrala z Iwano-Frankiwska już drugi tydzień zwlekała z udzieleniem zgody na zakup tych części. *Komandir w Krymu* na wakacjach — i nie miał kto podjąć decyzji.

Pod wieczór dotarła ta rodzina z Wrocławia. Byli na Arszyce — na szczycie zwanym Mała Niwka, na który prowadzi szlak od Mszany doliną Rosochanu. Dojście do tego szlaku wymaga przejścia ok. 13 km gruntową drogą. Była to druga ich wyprawa na Arszyce. Pierwsza, którą próbowali bezpośrednio, bez szlaku leśnymi ścieżkami z Osmołody — załamała się. Doszli wtedy do kosówek za szczytem Małego, gdzie żona i córka zaczęły protestować, a głowa rodziny wyliczyła, że w takim tempie nie zdołaliby przejść grzbietem do Małej Niwki w ciągu jednego dnia — więc zawrócili. Głowa rodziny postanowiła nie dać za wygraną i po dniu odpoczynku poszli znowu, tyle że łatwiejszą trasą. Na następny dzień planowali wejść na Wysoką i to miał być już ich dzień pożegnalny.

Moja wycieczka na Sywanię skomplikowała się na skutek braku możliwości dojazdu — oznaczało to jakieś 9 km dodatkowo drogą do Kruhłej. Chcąc dysponować zapasem czasu na powrót postanowiłem wyjść jeszcze przed świtem. Wyszedłem o 4:45, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno. Pogoda była ładna, a na niebie świeciły gwiazdy. Przeszedłem po moście nad Mołodą, a potem drogą w prawo. Kiedy mijalem ujście Kotelca, zaczynało świtać, było szaro kiedy mijalem Łużki i dopiero w Mszanie nastąpiła pełnia dnia. Tamtejsza leśniczówka, będąca w budowie dwa lata temu, obecnie lśniła nowością. Przeszedłem przez most na Rosochanie i poszedłem w górę doliny Mołody, kiedy z tyłu dogoniła mnie ciężarówka wioząca ludzi. Było jednak bez sensu zatrzymywać ją tutaj na ostatni kilometr marszu. Szkoda, że włożyłem w nogi te kilometry, skoro mógłbym przecież dojechać tą ciężarówką od Osmołody, w dodatku mając półtorej godziny więcej snu, ale z drugiej strony — dopiero żałowałbym, gdyby z jakiegoś powodu pojazd nie zatrzymał się w Osmołodzie na moje machanie.

Koło Kruhłej w krzakach stał zaparkowany samochód — łąda w stanie zaawansowanej autodegradacji, zjadana przez rdzę. Ludzi nie było. Ruiny schroniska w Kruhłej znalazłem tak zarosnięte, że gdybym o nich nie wiedział, to bym nie zauważył, że coś tam jest. Chaszcze w czerwcu jeszcze nie są tak bujne jak teraz, pod koniec lipca. Dalej wiedziałem, co mnie miało czekać — stroma ścieżka przez las, a potem ta rekordowo stroma droga leśna. Postanowiłem podchodzić powoli, żeby się nie zarżnąć i liczyć kroki: 100 kroków i postój, i tak 10 razy. Rzeczywiście, przy dziesiątym postoju widziałem już przed sobą ten wielki wyrąb porastający samosiewem. Po wyrębie krzątały się cztery osoby z wiadrami. Jagodziarze — pewnie ci z tej łądy. Wyglądali na trochę zdziwionych, co ja tutaj robiłem sam o tej porze — dochodziła 9-ta.

Dalej znowu las i trawers rajsztokiem, następnie w prawo do góry i przez kosówki. Trasę znałem, widoki też, wiedziałem gdzie należy zwolnić, aby się nie zmęczyć, a gdzie można iść szybciej. Przed 11-tą byłem na Mołodzie. Pogoda nadal była ładna, ale dość mocno wiało. Postanowiłem coś zjeść i straciłem serwetki — nieprzytrzymane w porę i poniesione wiatrem gdzieś hen w kosówki. Spoglądałem teraz na moją dalszą trasę — od szczytu Mołody już nową. W dole na grzbiecie widniały dwie śródleśne polany — tyle pozostało po poloninie Sopotwince, na której istniał schron turystyczny PTT, sądząc z przedwojennych opisów — jak gdyby kultowy. Potem kształtna Sywania Lolińska, za którą ciągnął się pokryty kosówką grzbiet przez podwójny garb Ukierni na Pohaniec, zza którego widać było Jajko Ilemskie. Szlak turystyczny grzbietem podobno był —

dowiedziałem się od Wiktora — przecięty w kosówce, problemem był wszakże powrót do Osmołody. Podobno istniała ścieżka do Rosochanu z przełęczy między Pohańcem a Jajkiem, ale było stąd za daleko, aby móc ją dojrzeć. Druga możliwość powrotu była dopiero z Prawickiej Przełęczy, aż za Jajkiem Ilemskim. Bardzo daleko. Ponadto kilka ścieżek schodziło z grzbietu na lewo, ale z doliny Czarnej Roztoki miałbym do Osmołody jeszcze dalej niż ze szczytów. „Będzie jak będzie” — pomyślałem. Na razie nie minęło południe i miałem jeszcze dużo czasu — nawet gdybym zdecydował się przedzierać lasem zupełnie bez ścieżki.

Ruszyłem dalej i szybko utraciłem wysokość. Znalazłem się na północnym stoku Mołody i poczułem się odcięty od swojej bazy w Osmołodzie. Ale — sam tego chciałem. Zejście na Sołotwinkę dłużyło się, a gdy w końcu tam dotarłem, ujrzałem nad sobą kształtną piramidę Sywani Lolińskiej. Wyglądała stąd dość imponująco, czekało mnie na nią całkiem spore podejście — 300 metrowe, jak wyliczyłem z mapy. Odpocząłem chwilę, ale nie za długo, bo nie było tu zbyt przyjemnie: otoczona wysokimi drzewami łąka, chaszczce, a w krzakach od czasu do czasu coś łąziło i trzaskało gałęziami. Dopiero z podejścia pod Sywanię, ze skraju polany okazało się, że były to dwa konie — co one tu robiły same w krzakach tak daleko od siedzib ludzkich — nie miałem pojęcia.

Podejście na Sywanię Lolińską na szczęście nie było takie straszne, na jakie wyglądało. Podzieliło się ono na dwie prawie równe części — połowa drogi przez las, druga po gorganie w pobliżu kęp kosówek. A sam szczyt? Jest nieco dziwny, mógłbym określić, że jest to nie cały szczyt, ale trzy czwarte. Piękna kształtna piramida od strony Sołotwniki i Mołody przyjmuje kształt trapezu gdy patrzy się z boków. W stronę Ukierni wierzchołek jest wydłużony i opada bardzo powoli, a że porasta go kosówka, to z samego wierzchołka nic zza gałęzi w tamtą stronę nie widać. Dopiero jeśli przejść jakieś 30 metrów, odsłania się widok na dalszą część grzbietu. Na Sywani Lolińskiej jest bardzo mało miejsca — tyle co szerokość ścieżki. W najwyższym punkcie jest placzyk rozmiarów mniej więcej 3 na 3 metry wśród niskiej w tym miejscu kosówki. Placzyk ten zaścielają kamienie. Nazwa Sywania Lolińska rzekomo pochodzi od tego, że dawniej stanowiła teren wypasowy należący do wsi Lolin. Zastanawiam się tylko, co jadły tutaj te krowy czy owce. Kamienie? Kosówkę? Zdjęcia z okresu międzywojennego świadczą, że wtedy szczyt wyglądał podobnie i nie było na nim pastwisk. Sywania Lolińska jest mało widokowym szczytem. W stronę, w którą Sywania opada najbardziej stromo, większość widoku przesłania ogromny masyw Mołody. Na prawo od niego okoliczne góry są niższe i tylko w oddali widać odległe szczyty Zakarpacia. Z przeciwnej strony widnieje pasmo Arszycy, wysokie lecz równe — poza ostatnim Gorganem Ilemskim wszystkie jego szczyty są podobnej wysokości, porozdzielane kilkudziesięciometrowej głębokości przełęczkami, a wszystko zarośnięte jedną wielką dżunglą kosówki.

Podobna dżungla była teraz przede mną — tyle że na szczęście przecięta piłą motorową. Ścieżką prowadził czarny szlak; główny szlak czerwony pozeгнаłem jeszcze na Sołotwnice, odszedł w lewo w kierunku na Połoninę Hycza. Szlak prowadził dalej przez kosówkę, na przemian to niską, to wysoką, dzięki czemu widoki się to odsłaniały, to zasłaniały. Zejście z Sywani było nieduże, podejście pod Ukiernię jeszcze mniejsze. Długo za to trwało przejście jej drugiego wierzchołka i jeszcze dalej pod Pohaniec. Ten ostatni dla odmiany okazał się ambitniejszy: za łagodnym, ale długim zejściem z Ukierni nastąpiło krótkie, ale bardzo strome podejście na jego szczyt — a właściwie szczyty, bo jest on dwuwierzchołkowy. Wierzchołek od strony Jajka jest znacznie niższy, ale wyraź-

nie góruje nad kolejną przełęczą. Zatrzymałem się na nim zamyślając o dalszej drodze. Była już 15-ta i był najwyższy czas pomyśleć o powrocie. Jedno było pewne: wracać tą samą drogą nie miało sensu, z wyliczenia czasu wychodziło, że w Kruhłej nie mógłbym być wcześniej niż jakoś 22:30 i to o ile na skutek zmęczenia nie musiałbym robić długich odpoczynków podczas wchodzenia z Sołotwinki na Mołodę. Zresztą — nie chciałem ponownie włączyć na Mołodę. Z przełęczy między Pohańcem a Jajkiem opadała wyraźna linia pośród lasu — najwyraźniej jakaś ścieżka albo dawny płaj. Ucieszyłem się więc — jeżeli jest to tak dobrze widoczne w terenie, to musi prowadzić dokądś w dolinę. Zatem — kombinowałem — miałem jeszcze czas, aby zdobyć Jajko — dojść tam, gdzie już byłem kiedyś z drugiej strony i symbolicznie połączyć obie trasy. Potem zejść — myślałem — i najwyżej ostatnie kilometry do Osmołady będą szedł drogą po ciemku — cóż innego robiłem z rana?

Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Co prawda w przełęczy między Pohańcem a Jajkiem nie natknąłem się na ścieżkę w prawo, ale też niezbyt jej szukałem. „Znajdę ją jak powrócę z Jajka” — pomyślałem. Po wyjściu z kosówek czarny szlak zgubił się — ścieżka rozeszła się na kilka wariantów wśród pola gorganu, które następnie zanikły. Ale gorgan nie był zbyt wielki, nie obsypywał się, a im wyżej, tym stok stawał się łagodniejszy. Na szczycie stanąłem o 16-tej, z dziwnym uczuciem połączenia własnych tras z różnych odległych stron. Przedtem byłem tutaj wraz z grupą ludzi mogącą wypełnić autokar — teraz dla kontrastu byłem zupełnie sam. No i na szczycie ktoś przymocował tabliczkę z napisem, że to jest Jajko Ilemskie — po ukraińsku i po angielsku, przedtem tej tabliczki nie było. Widok był ten sam co przedtem, z tym że lepszy w kierunku na Arszycę i odległe pasma Ihrowca i Sywuli, za to znacznie gorszy w kierunku Zakarpacia, a to z powodu położenia słońca — na zachodzie i znacznie niżej na niebie.

Pięknie było na Jajku, ale czas naglił. Od wyrębu na stokach Mołody nie spotkałem nikogo — nie licząc koni — teraz byłem sam wśród morza gór, a wydłużające się cienie mobilizowały do działania. Zastanawiałem się, czy ze szczytu Jajka nie należy zejść na azymut od razu do ścieżki, ale patrząc ze szczytu uznałem to za niedobry pomysł z powodu kosówki. Zeszedłem więc z powrotem na przełęcz pod Pohańcem. Ale ścieżki nie znalazłem. Wróciłem znowu w kierunku Jajka na granicę kosówki i przeszedłem jeszcze raz uważnie rozglądając się choćby za jej śladem. Żadnego. Pomyślałem — może więc ta ścieżka wychodzi powyżej siodła przełęczy bardziej na stokach Pohańca? Tam owszem, znalazłem jakąś ścieżkę, ale po chwili okazało się, że prowadzi ona trawersem Pohańca. Z opisów okolicy wiedziałem, że istnieje taki trawers i prowadzi na Sołotwinę. Odwróciłem się — i z przerwy w kosówce ujrzałem moją poszukiwaną ścieżkę na stokach Jajka. Jakaś paranoja, ścieżka bawi się ze mną w ciuciubabkę. Wróciłem na przełęcz, pobuszowałem w kosówkach, ale ścieżki nie znalazłem. Postanowiłem się więc do niej przebić. Kosówki nie było więcej jak 50 metrów, ale walczyłem z gałęziami przez prawie kwadrans.

Ścieżka rzeczywiście była. Nie miałem chęci sprawdzać, gdzie wychodziła na przełęcz, w tamtym kierunku skręcała za kępę kosówki. Interesował mnie kierunek w dół. Dostyc szybko wyszedłem z piętra kosówki w las. Tu ścieżka przestała być wyłożona kamieniami, więc nieco zarosła i stała się mniej widoczna. Niepokoilo mnie tylko, że zdawała się zakręcać w lewo, jak gdyby w trawers Jajka. Gdyby miała utrzymać tę tendencję mogłaby wyprowadzić mnie aż na Prawicką Przełęcz gdzie... Lepiej nie myśleć, bo to było na tyle daleko, że pewnie by przyszło tam nocować — w górach, samotnie i bez dachu nad głową. Na szczęście

trafiło się rozwidlenie. Kierunek w prawo znacznie bardziej mi się podobał niż ten na wprost, ponadto ścieżka w prawo wyraźnie schodziła w dół. Zadowolony zbiegałem tą ścieżką radośnie w dół i po 10 minutach dotarłem do... pięknego domku myśliwskiego. Domek był nowy, miał zamknięte okiennice i drzwi na kłódkę, obok było miejsce na ognisko. Miałem nóż, wokół leżało pełno kamieni, drewna w bród — gdybym chciał, to włamałbym się do niego, tylko po co?

Gorzej, że za domkiem znajdował się jar — z mapy wyczytałem, że potoku Szumływego. Szukałem dalszej ścieżki w innym kierunku — po grzbiecie lub z drugiej jego strony. Nadaremnie. Cóż za pomysł urządzić domek myśliwski w taki sposób, żeby dojście do niego prowadziło tylko od góry? Na nic jednak moje zdziwienie, skoro takie były fakty. Co teraz? Wracać pod górę do tamtej ścieżki i dać się jej zaprowadzić na Prawicką Przełęcz? Rad nie rad, zdecydowałem się schodzić dalej. Grzbiet był wyraźny i zwykle takimi grzbietami prowadzą jakieś ścieżki choćby odcinkami i choćby zwierzęce. Tu jednak tylko początek był taki obiecujący. Po jakichś 300 metrach zalegający ostrze grzbietu wiatrołom zmusił mnie do jego porzucenia. Zeszedłem w prawo, bo w tę stronę stok wydawał się łagodniejszy, zorientowałem się, że to był błąd dopiero niżej, gdzie ten stok stał się tak stromy, że trudno się nim było dalej posuwać. Na koniec doprowadził mnie do poprzecznego jaru. Wyszurmowałem na jego drugą stronę po to, by się przekonać, że dalej stok jest już tak stromy, że nie nadawał się do zejścia. Zrezygnowany — poszedłem dalej jarem, dobrze wiedząc co to oznacza.

W sumie — nie było tak potwornie tragicznie, miewałem do czynienia wiele razy z jarami znacznie gorszymi od tego. Nie znaczyło to że było łatwo. Jako tako jeszcze zeszedłem w dolinę. Tu płynął Szumływy i przynajmniej przestało mi grozić pragnienie. Dwie butelki wody zabrane z Osmołody skończyły się dawno, jeszcze na Pohańcu. Ale w potoku było czyste wariactwo: kamienie, błoto, powalone pnie leżące w poprzek potoku, a wszelkie wolne od tego miejsca porośnięte przez chaszczce. Co pewien czas potok tworzył kaskady na większych głazach albo pniach leżących w wodzie. Cieszyłem się, kiedy na jakimś odcinku dwudziestu metrów dawało się jakoś iść brzegiem. Po półtorej godzinie tej męczarni doszedłem kompletnie umorusany i w podartych spodniach na jakąś polankę obok potoku, z której widoczny był ślad drogi. Była 19:30. Ostatnie dwa kilometry — bo tyle okazało się z mapy — pokonywałem przez półtorej godziny.

Znaleziona droga była mocno zarośnięta krzakami, ale dość szybko doprowadziła mnie do placu załadunkowego drewna przy wyrębie po drugiej stronie „mojego” grzbietu. Stamtąd była już szeroka droga wyjeżdżona przez żyły, kamazy i krazy, po dwudziestu minutach doprowadziła mnie do Rosochanu w dolinie Mszany — stały tam dwa baraki dla robotników leśnych, aktualnie — puste i zamknięte. Nie interesował mnie również szlak turystyczny wiodący na Arszyce, a jedynie droga w dół — jedyne 13 km. Bagatela.

Droga prosta, ale nudna. Las, co pewien czas jakieś polanki po dawnych wyrębach albo dawne porzucone place załadunkowe. Dużo dziur — mało błota, bo przy trwających od szeregu dni upałach obeschło. Miejscami ziemia była spękana w szczeliny. Słońce było coraz niżej, wreszcie zaszło za grzbietem Ukierni i nastąpiła dość długa szarówka, zanim zdążyło schować się pod horyzontem. Ciemność dopadła mnie — w zasadzie — w Mszanie, gdzie dotarłem na 22-gą. Droga była szeroka, ale mimo to musiałem wyciągnąć latarkę, aby nie wpadać w przeróżne dziury i nie potykać się o leżące niekiedy na niej kamienie. Wolałem też widzieć nieco drogi przed sobą na wypadek, gdybym miał napotkać jakieś zwierzę — pora na to była dobra. Sarna czy jeleni wprawdzie niegroźne,

ale dzik już niekoniecznie, a ponadto nawet taka sarna potrafi nieźle wystraszyć, gdy pojawia się niespodziewanie. Niczego jednak nie spotkałem — być może odstraszały zwierzyne odgłosy moich kroków. Minąłem kolejno Łużki i ujście Kotelca. Na polu biwakowym powyżej Osmołody jacyś ludzie rozbili się namiotami, z samochodowych odbiorników radiowych na cały regulator leciało ukraino-disco. Skręciłem w lewo, przeszedłem most na Mołodzie i dotarłem do „Arniki” na 20 minut przed północą. Julia była zaniepokojona, że tak długo mnie nie było, Wiktor przeciwnie — na mój widok powiedział jej, że widzi teraz, że niepotrzebnie się martwiła, bo on był pewny, że wrócę. Wolałem jednak nie mówić wtedy o mojej przeprawie doliną Szumływego. Według mapy pokonałem tego dnia 42 km — po górach, pomijając drobne zakręty ścieżek niemożliwe do uwzględnienia na mapach.

Po tak wyczerpującej eskapadzie kolejny dzień musiałem odpocząć oraz doprowadzić siebie do porządku. Miałem dziurę w spodniach, naddarty plecak, pęcherze i odciski. Spałem do 10-tej, kiedy zwlokłem się z łóżka, panował już upał. Rodzina z Wrocławia właśnie pakowała się do samochodu, zdążyłem jeszcze z nimi wymienić wspomnieniami — ja z mojej przeprawy Szumływym, a oni ze swojej wycieczki na Wysoką, w szczególności z drogi powrotnej. Z Wysokiej zeszedli bowiem na przełęcz Kuźmienicką i dalej wracali przez Kuźmieniec. Byli zaskoczeni biedą w tej wsi oraz tym, że na ich widok mieszkańcy przerywali jakiekolwiek zajęcia, podbiegali do nich jak do zjawiska, zagadywali i zapraszali natrętnie bądź napraszali się o jakąś pracę w Polsce lub chociażby zaproszenie.

Po późnym śniadaniu poszedłem do sklepu — po jakieś picie i chleb, który już mi się kończył, a także piwo dla ochłody w tak gorący dzień. Przy okazji postanowiłem przespacerować się po Osmołodzie, rozruszać zakwaszone mięśnie. Było sennie. W tartaku ktoś się krzątał — ale nie cięto drewna, tylko przenoszono po jednej desce ze stosu pod trakiem na stertę pod płotem. Droga przez wieś nic nie jechało. Ośrodek „Ganc” jak zwykle — zamknięty i pusty, trawka wystrzyżona, ale i tutaj były pewne oznaki uśpienia: trochę śmieci, wózek supermarketowy (skąd on się tu wziął?) niedbale porzucony na środku trawnika, a groźny zły pies leżał w cieniu drzewa i drzemał. Na mój widok podniósł łeb na znak, że czuwa, ale nawet nie szczeknął. Na domu obok widniał szyld „Kafe-Osmołoda”, lokal wyglądał na zamknięty. Na mój widok z domu wyszła pani zapytać, czy ma otworzyć. Nie potrzebowałem. Wracając zrobiłem zakupy, zaniósłem je do „Arniki”, a potem otworzyłem piwo i poszedłem nad rzekę. Wszedłem do wody, wyszukałem w nurcie jakiś większy głaz i usiadłem na nim z nogami w wodzie do połowy łydek. Spędziłem tam ponad godzinę — powoli sącząc piwo.

Upał był niesamowity — termometr w „Arnice” wskazywał 32 stopnie. Ralf leżał na boku w szopie, ciężko dysząc, nawet małe kotki pochowały się gdzieś w stercie desek.

Po 15-tej przyszedł Wiktor. Wspólnie z nim i Julią zjadłem obiad — w altanie, bo w domu nie dawało się wytrzymać. Zapytałem Wiktora, jak to jest, że tak tu było cicho i spokojnie, inaczej niż poprzednio. Odpowiedział wymijająco — że teraz jest mało pracy w lesie, więc wielu robotników pojechało gdzieś do rodzin, zwłaszcza że środek lata, żniwa i inne prace w polu. Dodał też, że to jest takie chwilowe wrażenie i że niedługo to się wszystko zmieni.

Pod wieczór do „Arniki” przyjechali nowi goście. Chociaż Wiktor i Julia nie powiedzieli mi tego, wyglądało na to, że ci goście byli oczekiwani i to bardzo. Cała „Arnika” została wysprzątana łącznie z obejściem, wszystko zostało poukładane. Goście przyjechali czarnym potworem marki BMW model X6 na

tablicach rejestracyjnych z Sewastopola. Był to elegancko ubrany pan w średnim wieku, jego syn — ubrany w podkoszulkę i dół od dresu, ze złotym łańcuchem i w tatuażach, oraz dwie panie w wieku tego syna, obydwie w mini, jedna w szpilkach, druga w klapkach. Pan był podobno dyrektorem oddziału jakiegoś banku, jego syn szefem ochrony centrum handlowego. Jedna z pań — ta w szpilkach — była świeżo poślubioną żoną tego syna, a druga — ta w klapkach — kochanką jego taty. Towarzystwo przywitało się grzecznie i rozkwaterowało się w dwóch głównych pokojach gościnnych — ojciec ze swoją w trzyosobowym, a syn ze swoją w dwuosobowym. Panie przez dłuższy czas wносиły z samochodu różne torby, a także sprzęt turystyczny — plecaki, buty, kijki trekkingowe nowiutkie prosto ze sklepu, komputer-laptop, lodówkę podróżną i mnóstwo innych rzeczy. Syn wyciągnął z samochodu piwo i poszedł z nim do altany, ojciec zaś poszedł na piętro i wrócił przebrany już na luzaka — w podkoszulkę i szorty. Od piwa wolał coś mocniejszego — wyciągnął z auta gruziński koniak i — kulturalnie — kieliszki, poczęstował Wiktora, Julię i mnie. Swoich pań nie, bo — twierdził — one koniaku nie lubiły.

Ojciec i syn wdali się w rozmowę z Wiktorem i Julią — rozmawiali po rosyjsku, więc rozumiałem z tego mniej niż zwykle; tyle, że chodziło o atrakcje okolicy, warunki na szlakach, możliwości dojazdu i inne sprawy organizacyjne. Panie się prawie nie odzywały, a jeśli już, to szeptały coś albo między sobą albo swojemu mężczyźnie do ucha. Krępowiała mnie ta rozmowa, bo Wiktor z Julią byli wobec tamtych wręcz nadszakajająco uprzejmi, a ja czułem się zbędny. Poszedłem więc najpierw nad rzekę, a potem do swojego pokoju. Tamci wyciągnęli jakiś odtwarzacz płyt i przez resztę wieczoru leciało — nie wiem: ukraińskie disco czy rusko-disco, nie mogłem rozpoznać.

Odpoczywałem i zastanawiałem się, dokąd pójść na wycieczkę następnego dnia — i zdecydowałem się na Gorgan, tj. północny wierzchołek pasma Końca Gorganu. Alternatywą była Grofa, ale po dwukrotnym przemierzeniu drogi do i z Mszany nie chciało mi się nią iść ponownie nawet do ujścia Kotelca.

Zamiast tej drogi więc — równie mało ciekawa przez Ryzarnię i Jałę do ujścia Bystryka, ale przynajmniej inna. Wyszedłem rano, ale bez przesady wcześniej — o 7:30. Za mną wybiegł Ralf. Ucieszyłem się, że będzie mi towarzyszył tak jak przed dwoma laty. Wiktor poradził mi, żebym zamachał, gdyby jechał jakiś pojazd i nie martwił się o Ralfa, który pobiegnie za samochodem, nie miałby problemu nadążyć, bo nie da się po tej drodze jechać szybko. Jakoś jednak nie miałem szczęścia — jeśli już coś jechało, to jakieś auto osobowe ze zbieraczami jagód albo kłonicowy kraz już z jakimś pasażerem w szoferce. Szedłem więc i szedłem, minąłem Ryzarnię — i nic. Robiło się tylko coraz goręcej, pojawiła się aż mgielka ograniczająca widoczność. Niedobrze, ale pocieszałem się, że wyżej powinno być lepiej, bo wiatr będzie ją przewiewał. Ralf jak to Ralf — biegał po okolicznych zaroślach to z jednej strony drogi, to z drugiej. Kiedy się zmęczył, zasunął te jakieś 100 metrów w bok do potoku gdzie schładzał się i pił. Do ujścia Bystryka dotarłem przed 10-tą, zamierzałem tu zrobić dłuższy postój — skończyło się dojście, a zaczynała się wędrówka górską. Według mapy nie było daleko, ale duża różnica wysokości przy dość jednorodnym nachyleniu stoku i przez las. Mordega. Z drugiej strony — dobrze, że przez las, bo przy takiej temperaturze można by paść, gdyby podejście było w pełnym słońcu.

Zaplanowane miejsce do odpoczynku okazało się mało przyjemne. Stał tam opuszczony barakowóz, a obok niego wiata — niczym dla oczekujących na autobus, może zresztą takie było jej pierwotne przeznaczenie — miejsce oczekiwania

dla drwali na transport do Osmołody. Niestety teraz wiata zmieniła funkcję na rolę wychodka. Kto i kiedy się tam załatwiał, skoro wokół nie było ludzi — nie wiem, grunt że śmierdziało od tego potwornie. Pozostało mi więc podejść kilkadziesiąt metrów szlakiem już na stok Gorganu i tam zrobić sobie odpoczynek.

Podejście na Gorgan okazało się dokładnie takie, jakie wynikało z mapy — leśną drogą stromo do góry. Droga miała wyraźne dwie koleiny i prowadziła aż na sam szczyt. Nic dziwnego, skoro był tam przekaźnik telewizyjny — jego elementy trzeba przecież było jakoś dowieźć. Nic jednak nie wskazywało, aby cokolwiek jechało tą drogą w ciągu ostatnich kilku lat — w drodze rosły kilkuletnie choinki, a niekiedy pnie powalonych drzew leżały w poprzek drogi. Powoli, monotonnie i w pocie zdobywałem teren. W pewnym momencie Ralf kręcący się to z przodu, to z tyłu, z ujadaniem rzucił się w bok poprzez chaszczę. Dobiegł do grubego buka, stanął pod nim, zadarł łeb do góry i szczekał. Najwyraźniej coś wyczuł i pogonił. Nie słyszałem żadnych odgłosów uciekania więc — pomyślałem — musiała to pewnie być jakaś wiewiórka, a może kuna. Zresztą Ralf — bywało — wiele razy rzucał się za czymś w bok i przez chwilę obszczekiwał jakieś drzewo. Tym razem było inaczej, stał pod tym drzewem i szczekał. Odszedłem już kawałek drogi szlakiem i szczekanie słyszałem coraz słabiej, a on nadal tam musiał stać. Zawołałem po imieniu — bez efektu. Wreszcie doszedłem na przełamanie grzbietu, skąd stok nie był już tak nachylony, zaczęły się kosówki i w odległości 300 metrów pojawiła się wieża przekaźnikowa — i przestałem już słyszeć Ralfa.

Doszedłem na szczyt. Dobre miejsce do kręcenia filmu z gatunku horroru science fiction. Pośrodku masztu, wysoki na chyba ze 40 metrów, na wysokości 10 i 20 m nad ziemią dookolne platformy. Z poziomu ziemi prowadziły tam stalowe drabiny. Wszystko zardzewiało. Wyglądało, że trzymało się mocno, ale na wszelki wypadek wolałem nie próbować. Obok masztu stały dwa kontenery — obydwa otwarte. Jeden z nich najwidoczniej pełnił funkcje mieszkalne, była w nim nadal rama po łóżku, blat przykręcony do ściany oraz pozbawiona drzwi szafa. Drugi mieścił stojaki, do których dochodziły końcówki pociętych przewodów. Wokół całego wierzchołka co pięć metrów stały dwumetrowej wysokości słupy ze smętnie zwisającymi kawałkami siatki i resztkami drutu kolczastego. Wokół linii dawnego ogrodzenia rosła kosówka, a sam teren „bazy” — jakieś 20 metrów dookoła masztu — z rzadka porastały choinki. Na oko najstarsze z nich były dziesięcioletnie.

Widok z Gorganu był — tyle że nie spod samego masztu. W tym celu musiałem podejść do dawnego ogrodzenia i wychylić się z kosówek. W widoku na wschód dominowało jedno wielkie pasmo Sywulskie, widoczne w pewnym skróceniu, bo Gorgan leży naprzeciw szczytu Borewki, a nie Sywuli. W kierunku północnym widać było kilka planów — od najbliższej Jałowej Klewy poprzez dalsze Kanusiaki po Pasma Grofeńskie. Na zachód — z lekkim odchyleniem na północ — za głęboką doliną widoczny był Owól, samotny szczyt wyglądający niesamowicie dziko. Na południe ciągnął się dalej grzbiet Końca Gorganu, tonący w kosówkach, ale z widocznym w nich śladem ścieżki.

Co teraz? Znakowany szlak turystyczny, niebieski, kończył się na wierzchołku Gorganu. Na przekaźniku namalowany był jego znak końcowy. Mogłem się dalej przebijać ścieżką na Koniec Gorganu — jakieś 5 km w takich warunkach zajęłoby ze 2 godziny, może 2 i pół. Potem przyjdzie stamtąd schodzić — gdzie? Na Ruszczyne, a stamtąd? Nie, na Sywulę nie dałoby rady, zabrakłoby czasu. Jedynie starą drogą wojenną do Niżnego Bystryka, no i stamtąd powrót —

z wyliczenia wynikało, że do Osmołody gdzieś na 23-cią, nie wcześniej. Ewentualnie z Kruhłej Ruszczyńskiej schodzić do Wyżnego Bystryka, co w porównaniu z wariantem przez Ruszczynę pozwoli zaoszczędzić ze 40 minut. Do tego ten upał — z zabranych dwóch butelek wody pozostało mi ledwie pół. Bez sensu — stwierdziłem: nie będę drugi raz z rzędu laził sam po nocy. Trudno więc, postanowiłem wracać tą samą drogą.

Ledwie tak postanowiłem, na szczycie zjawił się Ralf. Niesamowity pies. Ale głupio mu z tym wyszło, że ledwie przyszedł, ja już wracałem. Jakoś mu to jednak nie przeszkadzało, podążył rażno ze mną — a raczej przede mną, popędził do przodu i za pewien czas znów zacząłem słyszeć jego ujadanie. Stał znowu pod tym samym drzewem. Zastanawiałem się, co też tam takiego było, co może być takiego, żeby pies obszczekiwał to coś tak zajadle. Kuna czy wiewiórka dawno by zwiały z tego miejsca w czasie, kiedy Ralf poszedł za mną na szczyt. Ptak od razu by odfrunął, a gdyby miał tam gniazdo, to by się nie włóczył po ziemi pod gniazdem i Ralf nie obszczekiwałby go tak zajadle. Niedźwiedź włazi czasami na drzewa, ale nie jest to zwierzę, które na drzewa ucieka. Cóż więc mogło to być? Kotek? Taki był kiedyś tutaj jeden w okolicy, nieco przerośnięty i z pędzelkami na uszach. Jaśnie pan hrabia Potocki sto lat temu z okładem strzelił do niego i kotek padł, pan hrabia podszedł więc po trofeum, a kotek się na niego rzucił, mocno poranił, zanim nadbiegł towarzyszący myśliwemu leśniczy i rysia dobił. Kamień Potockiego na pamiątkę tego wydarzenia do dziś leży w pobliskiej dolinie Bystryka. Stwierdziłem jednak, że lepiej będzie nie sprawdzać, czy tam rzeczywiście był koteczek. Rysie mają w zwyczaju zarówno uciekać i odpoczywać na drzewach, jak i rzucać się z nich niespodziewanie w dół. Podchodząc mogłem nie zauważyć, w którym miejscu na której gałęzi leży ryś, a ten poirytowany przez Ralfa kto wie co by zrobił, gdyby zobaczył, że przychodzi go prześladować drugi stwór.

Oddaliłem się więc prędko z tego miejsca solidnie obciążając zarówno stawy kolanowe, jak i ręce opierające się na kijkach. Ralf pozostał przy tym drzewie ciągle je obszczekując i dopiero gdy oddaliłem się tak, że przestałem go słyszeć, po jakimś czasie przybiegł. Nieco ponad dwie godziny od wyruszenia ze szczytu byłem przy śmierdzącej wiacie u ujścia Bystryka.

Myśl o rysiu podsunęła mi pomysł, aby zboczyć z trasy, wejść nieco w dolinę Bystryka i zobaczyć słynny kamień Potockiego z wykutym na nim herbem — Pilawą. Kamień ten znajdował się przy drodze do Niżnego Bystryka i widziałem go 7 lat temu jadąc tędy gruzawikiem. Od tego czasu wiele się tutaj zmieniło, do Niżnego Bystryka poprowadzono nową drogę po linii nasypu dawnej wąskotorówki a starą drogę, zalewaną po deszczach przez potok — porzucono. Choć zapomniana, istniała przecież w terenie i łatwo ją odnalazłem. Ale kamienia niestety — nie. Przeszedłem połowę drogi z ujścia Bystryka do Niżnego Bystryka, do miejsca gdzie droga odchodziła od potoku i wspinała się wyżej — i nie znalazłem. Wyżej nie było sensu szukać, bo pamiętałem że z jednej strony drogi był kamień, a z drugiej potok. Zawróciłem, przyglądając się bacznie, czy nie zarzucono kamienia jakimś drewnem, błotem, czy też nie zarosły go chaszczce. Nie znalazłem i poddałem się. Ralf wyglądał na zdziwionego, po co ja wchodziłem na kilkaset metrów w tę boczną dolinę.

Powrót do Osmołody był istną męczarnią. Gorąco było jak w piecu, powietrze stało — można rzec, że gdyby rzucić do góry siekiere, to nie spadłaby. Woda dawno mi się skończyła i nie było skąd jej nabrać. Ralf wprawdzie biegał do potoku, ale nie wiem, jak pokonywał nadbrzeżne urwisko, bo zejście było

karkołomne. Droga wyschnięta była na wiór, popękana w szczeliny. Przy każdym kroku wzbijałem w powietrze kurz. Wlokłem się raczej niż szedłem. Kawałek za Ryzarnią nadjechało zbawienie: ciężarówka z naczepą do przewozu ludzi. Wiozła ledwie pięciu lub sześciu drwali i zatrzymała się na machanie. Dojechałem do Osmołody, kierowca wzbraniał się wziąć ode mnie 5 hrywien na piwo za podwiezienie, ale ostatecznie wziął. Zanim od drogi doszedłem do „Arniki”, nadbiegł Ralf. Wiktor dziwił się, dlaczego Ralf był tak zziąjany — po powrocie położył się w cieniu altany i nie podnosił się stamtąd przez pół godziny. Termometr wskazywał 36 stopni. Wiktor powiedział, że to i tak nic, bo w najcieplejszym momencie było 38. Cały lepiłem się od kurzu i potu, czym prędzej poszedłem umyć się w łazience.

Towarzystwo z Sewastopola było tymczasem na Sywuli. Rano wraz z Wikto-rem pojechali swoim BMW-X6 do Wyżnego Bystryka, po czym Wiktor wrócił samochodem do Osmołody, żeby auto nie stało samo w lesie. Teraz pod wieczer miał po nich ponownie pojechać. Wyszło trochę głupio, że i oni i ja udaliśmy się tego dnia w tym samym kierunku — oni samochodem, a ja pieszo, ale przecież byłoby mi niezręcznie się wpraszać. Szczególnie do kogoś takiego jak oni.

Powrócili przed 20-tą. Julia czekała już na nich z obiadem. Ojciec był zachwycony wycieczką, obie panie również — mimo że młodsza z nich — okazało się — miała rany do krwi i nie mogła założyć swoich ulubionych szpilek. Musiała założyć sportowe adidas, na co jej mąż zwrócił jej krytyczną uwagę. Syn nie był chyba zbyt zadowolony z wycieczki — ocierał głowę, ciężko sapał, obiad popił dwoma butelkami piwa, poprawił wódką i poszedł spać. Panie utworzyły kobiece towarzystwo wraz z Julią. Wiktor się pakował na wyjazd do Charkowa. Ojciec miał wstępną chętkę na pogawędkę ze mną, ale nie szło. Rosyjski jednak trudniej mi zrozumieć niż ukraiński, ponadto Wiktor rozumiał sporo po polsku, a ten pan — nic.

W nocy przysła niespodziewana zmiana pogody. O 1 w nocy szeroko otwarte z powodu upału okna zaczęły nagle trzaskać, pobudziły wszystkich — oprócz młodego pana z Sewastopola, który nadal spał snem sprawiedliwego. Zerwał się wiatr — wyrzeliśmy na dwór — ciemność, nie było już gwiazd. Po chwili jeszcze raz mocniej powiało, lunęło, błysnęło, zagrzmiało i w tym momencie zgasły wszystkie światła. Burza trwała około dwóch godzin, momentami było widno jak w dzień — od piorunów. Około 3 nad ranem odgłosy grzmotów odsunęły się gdzieś dalej, pozostał rześisty deszcz, który padał do rana.

Rano było już wiadomo, że na żadną Grofę tego dnia nie pójdę — nie było jej widać, w połowie wysokości była ucięta przez chmury, a przecież nie po to miałem na nią wchodzić, żeby po raz kolejny nie mieć z niej widoku. Zresztą — z chmur popadywało jeszcze od czasu do czasu. Zrobiło się wprawdzie znacznie chłodniej — byłoby zupełnie znośnie, gdyby nie lepka wilgoć, która zdawała się okrywać wszystko. Prądu nadal nie było.

Wraz z Ralfem odprowadziłem Wiktora na autobus i zapytałem się o tę jego podróż do Charkowa. „Prosto” — odparł. „Teraz o 11-tej autobusem do Kałusza, tam poczekam dwie godziny i przed 16-tą pojedę autobusem do Lwowa. Tam o 23-ciej złapię nocny pociąg do Kijowa, będę tam przed południem, a stamtąd kolejnym pociągiem i na późny wieczór będę.” — odpowiedział. Cóż — Ukraina widać wielki kraj.

Wracając wstąpiłem do sklepu i uzupełniłem zapasy wody i piwa. Kupiłem też sok i jakieś ciasteczka. Jako że wciąż nie było prądu i kalkulator nie chodził, pani sklepowa podliczała rachunek na liczydło. Z tego braku prądu zrobił się

problem, bo nie działał hydrofor i wody w kranach zabrakło. Nie było również łączności — najwidoczniej lokalny przekaźnik telefonii komórkowej był również bez prądu. Pan bankier z Sewastopola nie przejmował się tym zbytnio i jak gdyby dla podkreślenia — włączył radio w swoim BMW-X6 na cały regulator. Żeby wszyscy słyszeli, że ON PRĄD MA. Własny i nie potrzebuje tutejszego.

Towarzystwo sewastopolskie postanowiło zjeść na obiad pstrągi, wsiedli więc w swoje auto i pojechali do fermy. Tam — okazało się — doszło do jakiejś nieprzyjemnej sytuacji, bo w tej fermie wyposażyli się w nowość: kasę fiskalną. Z powodu braku prądu nie mogła ona oczywiście działać, więc towarzystwu powiedziano, że nic z tego i obiadu nie będzie. Kiedy miało już dojść do kłótni, prąd się pojawił i ostatecznie zjedli tam te pstrągi, ale w atmosferze dalekiej od sympatycznej. Wzburzenie nie minęło im jeszcze po powrocie do „Arniki”. Ogólny sens ich wypowiedzi był, że tu w Galicji panuje bałagan. Należy wzorować się na Doniecku i wschodniej Ukrainie i zaprowadzić tamtejszy porządek, tak zrobiono na Krymie i od tego czasu żyje się tam lepiej.

Chwilę po przywróceniu zasilania w „Arnice” zjawiała się Ania, córka Wiktora i Julii, która przyjechała wspomóc matkę w prowadzeniu pensjonatu pod nieobecność taty. Wyglądało to tak, jak gdyby Ania ten prąd przywiozła ze sobą, pogodę zresztą również, bo niedługo po jej przyjeździe wypogodziło się wreszcie. Pod wieczór jedynie wezbrana woda koloru kawy z mlekiem płynąca w Łomnicy świadczyła o niedawnych ulewach. Ojciec i syn rozciągnęli siatkę pomiędzy altaną a narożnikiem domu, aby obie panie mogły pograć w komerkę. Ponieważ młodziej nie bardzo to szło z powodu ran na stopach, do zabawy zaciągnięto Anię.

Ojciec i syn znaleźli za to towarzystwo — ojca Wiktora, który przyszedł razem z jakimś kolegą — leśnikiem. Opróżnili razem flaszkę, najpierw jedną, potem drugą — nie byłem w stanie śledzić rozmowy, ale sądząc po podniesionych tonach był jakiś spór. W końcu tamci dwaj sobie poszli. Gdy popijałem wieczorną herbatę, Ojciec-bankier usiłował mnie zaczepiać w stylu, że jaka to niesprawiedliwość: wschód Ukrainy daje pracę, inwestuje, kupuje niepotrzebne im posiadłości na zachodniej Ukrainie, byle na zachodzie Ukrainy żyło się lepiej, a ci z zachodu zamiast pracować, mądrzą się i filozofują. Pytał się mnie, czy w Polsce też są takie podziały. Z trudem udało mi się odczepić od pijaka w taki sposób, aby go nie urazić.

Ranek wstał mglisty, ale to była taka mgła, która zwiastuje dobrą pogodę. Wycieczka na Grofę nie jest długa, ale mimo to wyruszyłem wcześniej, żeby mieć lepsze widoki ze szczytu. Ralf wybiegł ze mną tak radośnie, jak gdyby nic w życiu nie robił, tylko czekał właśnie na to. Drogę do ujścia Kotelca znałem już niemal na pamięć. W poprzednim roku z doliny Kotelca na Przełęcz Pod Koniem wytyczona została nowa ścieżka przyrodnicza. Chciałem tą drogą wchodzić na Grofę, zamiast jak dotąd przez Płyśce. Ścieżka ta rozpoczynała się około 2 km po wejściu w dolinę. Cóż można o niej powiedzieć? Prowadzi lasem. Po pierwszych kilkuset metrach nijakich teren staje dęba i po jakichś 40 minutach męczarni dochodzi się do rajsztoku, a nim wędruje się do Przełęczy pod Koniem, od czasu do czasu mając z pomiędzy drzew widok na Kanusiaki.

Na Przełęczy pod Koniem zastałem domek zamieszkały. Dwójka młodych ukraińskich turystów spędzała tu czas i nie wyglądała na takich, którzy tu tylko nocowali. Byli dobrze zagospodarowani i wyglądało to, jak gdyby zajęli domek na rodzaj wakacji. Ruszyłem dalej w górę serpentynami przez las, Ralf się nimi nie przejmował, tylko je ścinał, a potem stawał przede mną na ścieżce, jak gdyby

dziwiąc się, dlaczego tyle drogi nakładam. Przecinka w kosówce — doskonale widoczna z Osmołody, dwa razy już ją pokonywałem, tyle że w dół. Podczas podejścia dała się mocno we znaki. Potem otworzyły się widoki, teren nieco się wypłaszczył. Marsz po gorganie w kierunku wierzchołka — choć nads spodziewanie długi — był już przyjemniejszy. W końcu szczyt i znajomy mi już kopiec kamieni.

Wreszcie też wymarzony przeze mnie pełen widok. Przede wszystkim stożek Popadii — choć inaczej sobie go wyobrażałem, bardziej nad Parenkami, podczas gdy w rzeczywistości jest mocno z lewej, wylania się zza stoku Parenek. W dole pod Parenkami — Płyśce, a na lewo od nich Kanusiaki. Mimowolnie przyglądałem się im szukając możliwego wejścia, choć wiedziałem, że nawet jeśli jakaś ścieżka tam istnieje, to nie od tej strony. Ponadto był niczym nieograniczony widok na Sywulę i dalej hen po Doboszankę i — chyba — Syniak, choć w tym kierunku nieco pod słońce trudno było powiedzieć. W przeciwnym kierunku Moloda lśniła w słońcu, jak również pobliskie Jajko Perehińskie. Pomimo że jest to szczyt całkowicie zalesiony, zdawał się zapraszać do wejścia na siebie. W tył — Koń Grofecki wydawał się niziutki.

Rozsiadłem się na szczycie podziwiając panoramę i wtem spojrzałem na mój plecak. Wysypywało się z niego coś żółtego. Okazało się, że zmurszała gąbka wyścielająca plecy obsypała się na dół, a moje szycie po powrocie z Sywani nie wytrzymało. Całe plecy miałem obsypane drobnymi kawałkami gąbki. Ściągnąłem koszulę, wytrzepałem ją, następnie wyładowałem wszystko z plecaka, aby wykruszyć gąbkę do reszty. Kiedy to robiłem, Ralf zainteresował się konserwą i spojrzał na mnie tak błagalnym wzrokiem, że nie mogłem mu odmówić. Sam nie czułem się głodny, a Ralf wylizał puszkę do czysta.

W końcu postanowiłem schodzić. Plecak pozbawiony gąbczanej wyściółki lekko uwierał na plecy swoim metalowym wewnętrznym stelażem. Schodząc w kierunku Płyścec wydawało się, że z każdym krokiem rosą widoczne za przełęczą Parenki.

Na Płyścach Ralf niespodziewanie zaszczekał i rzucił się z ujadaniem w zarośla za kępę świerków. Nie widziałem, co się tam działo, a z dochodzących do mnie odgłosów wołałem nie sprawdzać. Zajądło szczekanie mieszało się z groźnym warczeniem i odgłosem łamanych gałęzi. Odgłosy zdawały się przy tym stopniowo przemieszczać to w górę, to w dół polany. Zastanawiałem się tylko, co to było. Jeleń by szybko zwał i odgłosy podążyłyby gdzieś daleko. Ryś uciekłby na drzewo i Ralf stałby w jednym miejscu, a nie przemieszczał się za tym. Dzik? A może niedźwiedź? Odgłosy walki zniechęciły mnie do odroczyku przy schronie na Płyścach, pomimo że zejście z Grofy dało mi niezłe po stawach kolanowych. O Wielkim Kanusiaku w ogóle zapomniałem, wołałem jak najprędzej oddalić się z tego miejsca, szczególnie że odgłosy walki zdawały się ponownie zbliżać w moim kierunku. Zapomniałem już o uwierającym mnie plecaku i poszedłem w dół w kierunku Kotelca.

Wtem odgłosy nagle umilkły, a ja zobaczyłem że przede mną coś się ruszało w krzakach. Przestraszyłem się — zupełnie niepotrzebnie, bo była to czwórka turystów podchodzących z Osmołody na Płyśce. Przyjechali autobusem i zamierzali nocować w schronie, jeszcze dziś na lekko wejść na Grofę, a następnego dnia pójść na Parenki i Popadię. Nie mówiłem im o tej walce Ralfa; zresztą szli we czwórkę i cokolwiek tam było, powinno było ich usłyszeć z daleka i zejść im z drogi. Martwiłem się tylko, co się stało z Ralfem i co powie Julia, jeżeli Ralf ze mną nie wróci.

Rozmyślając w ten sposób zszedłem na dno doliny, pokonałem pierwszy odcinek ścieżką wzdłuż potoku i dotarłem do drogi. Wtem z krzaków wyskoczyło na mnie coś szarego. Ralf! Był cały i zdrowy, nawet nie wyglądał na zmęczonego. Ale z tą jego walką musiało być coś poważnego na rzeczy, bo Ralf trzymał się mnie jak nigdy dotąd — to znaczy — biegał to do przodu, to do tyłu, to na boki, ale nigdy nie tracił ze mną kontaktu wzrokowego. Dopiero w dole w dolinie Mołody, gdy minęliśmy ujście Kotelca, odzyskał dawny rezon.

Powróciwszy do Osmołody natychmiast podzieliłem się z Julią wiadomością o tej walce na Płyścach. Bez wahania odpowiedziała, że niedźwiedź. Dowiedziałem się, że dwa miesiące wcześniej jakaś czwórka turystów po zejściu z gór zgłosiła Wiktorowi spotkanie z niedźwiedziem w rejonie Płyśców, ale nikt tego nie traktował poważnie. Niedźwiedź, tutaj? Owszem, ojciec Wiktora opowiadał, że dawno temu niedźwiedzie bywały, ale odkąd Julia sprowadziła się do Osmołody 20 lat temu, nikt tu nie widywał żadnego. Leśniczy powiadomiony przez Wiktora o zgłoszeniu stwierdził, że widział jakieś ślady, ale samego niedźwiedzia nie, więc nie do końca uwierzył. Co prawda ostatnio ktoś zaczął w nocy wyrzucać śmieci z dołu obok schronu na Płyścach, więc nabrano pewnych podejrzeń. Teraz jednak Julia była już przekonana. No, fajnie!

Julia podała obiad, na który przyszedł też ojciec Wiktora. Wiadomość o — podobno — niedźwiedziu przyjął ze spokojem, zastanawiał się tylko, skąd zwierzak mógł przyjść, że się tak tutaj pojawił. Okazało się za to, że następnego dnia ojciec Wiktora wybierał się samochodem do Rosochanu, gdzie wraz z kolegą mieli jakąś sprawę do załatwienia z jakimś tamtejszym drwalem. Jaką sprawę — nie dowiedziałem się i nie chciałem dochodzić, trafiała mi się za to niebywała okazja transportu przynajmniej w jedną stronę i uniknięcia 13 km marszu przed wycieczką na Arszycę. A do tego — zupełnie za darmo, bo ojciec Wiktora odzegnał się od jakichkolwiek pieniędzy za podwiezienie.

Tymczasem ojciec Wiktora żartował sobie z Julii, która najpierw nie mogła sobie dać rady z uruchomieniem BMW-X6, a następnie czuła się bardzo skrępowana, że miała je prowadzić: zgodnie z umową z towarzystwem z Sewastopola miała po nich wyjechać samochodem do Jali. Ojciec Wiktora dla żartu straszyl Julię, że do Ryzarni pojechała kontrola milicji i że jak tam Julię złapią w tym BMW-X6, to od razu zabiorą do tury. Oczywiście żadnej takiej milicyjnej kontroli nie było i wszystko odbyło się dobrze, jedynie po powrocie Julia w kółko przepraszała tamtych, że musieli czekać tak długo. Widocznie bała się o cenny samochód na tych wertepach.

Towarzystwo z Sewastopola wróciło z wycieczki zadowolone i nawet syn — szef ochrony wydawał się pogodny. Wyciągnął z samochodu litrową butelkę PET piwa (na Ukrainie są takie) i jak gdyby z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku oddał się błogiemu nicnierobieniu w altanie. Na następny dzień zaplanowali wejść na Grofę i tata-bankier był zachwycony wiadomością o niedźwiedziu. Wieczór minął spokojnie. Przepakowałem swoje rzeczy wycieczkowe do dużego plecaka — bazowego, ponieważ ten mniejszy wycieczkowy uznałem za niezdatny do dalszego użytku.

Wyjazd do Rosochanu umówiony był na 7 rano. Kiedy wyszedłem przed „Arnikę”, podjechał pod nią pojazd bardzo dziwny, niby karykaturalna miniatura ciężarówki. Szoferkę miało niczym przednia połowa tarpana, tyle że maskę znacznie krótszą. Do szoferki doczepiona była skrzynia z desek — 2 metry długa i 2 metry wysoka. Wszystko to poruszało się na maleńkich kółkach niczym od „malucha”, zamontowanych na bardzo wysokim zawieszeniu. Od spodu pojazdu

widoczne były wszystkie bebechy silnika, a od tyłu te absurdalnie małe kółka na wspornikach wyglądały jak gdyby pojazd stał na sarnich nóżkach. Od przodu przypominał wyglądem jakieś skrzyżowanie myszki z prosiakiem. Jakaś samoróbka. Oczywiście nie miało to żadnych tablic rejestracyjnych. Pomimo wyglądu potoczyło się do Rosochanu całkiem żwawo, ciągnąc za sobą niebieską smugę spalin i trzęsąc tak, że trzeba było zaciskać zęby, żeby nie odgryźć sobie języka.

W Rosochanie ruszyłem na szlak znakowany czarno. Kierowały tam również strzałki do rezerwatu Koralowyj Koriń i Ozero Rosochan. Czym jest ten pierwszy i co ma chronić — nie wiem. Po jakichś 300 metrach za Rosochanem wszedłem na 300-metrowej szerokości porębę, gdzie wszelkie oznakowanie znikło — i pozostało iść „na czuja” równoległe do potoku, o którym było wiadomo, że wypływa z Jeziora Rosochan. Za porębą znaki się odnalazły i do jeziora prowadziły leśną drogą, wprawdzie zbyt wąską dla ciężarówki, ale wóz konny albo quad przejechałyby. Samo Jezioro Rosochan jest urokliwym miejscem — ma kształt owalny, jakieś 30 metrów na 10. Głębokie na jakieś 5 metrów, woda czysta, widać dno, a na nim zatopione pnie. Zajmuje jak gdyby dno jaru, którego ujście wydaje się być przyblokowane starym osuwiskiem. Droga prowadzi trawersem po stoku w odległości 10 metrów od jeziora.

Za Jeziorem Rosochan droga przechodzi w ścieżkę, miejscami gęsto zarosniętą roślinnością. Szlak podchodzi najpierw kawałek do góry za grzbiet, a potem kluczy jakiś czas po podmokłym gruncie dawnego osuwiska porośniętego krzakami tak gęstymi, że miejscami trzeba się przez nie przeciskać. Kiedy minie się tę przeszkodę, następuje fragment stromej podejścia. Wreszcie wychodzi się w piękny stary las podszyty cudownymi kępami mchów, zszarzałe mają wysokość nawet i pół metra. Sam las jest przejrzysty, a ścieżka doskonale widoczna.

Wyszedłszy z trudności zdyszany i kompletnie spocony postanowiłem na chwilę odpocząć i usiadłem na jednej z tych kęp przy ścieżce. Ledwie usiadłem — a kątem oka zobaczyłem jakiś ruch. Obejrzałem się — jedna z kęp mchu właśnie stała na czterech łapach, odwróciła ode mnie łeb w przeciwną stronę, pokazała ogon i niespiesznie poszła sobie, truchając jedną łapą w ślad poprzedniej. Wilk! Musiałem istotnie być niezłe zmęczony, aby wybrać sobie miejsce do odpoczynku tuż obok wilka! Nasunęło mi się też inne pytanie: ileż to razy musiałem przechodzić obok takich wilków nie zauważając? Wszak ten — prawdopodobnie — nie ruszyłby się z miejsca, gdybym ja nie usiadł, uznałby że to śmierdzące dwunogie stworzenie tak jak przyszło, tak sobie pójdzie, więc po co wilk miałby się ujawniać, że tam był? Skoro jednak usiadłem — wilk nie miał wobec mnie złych zamiarów, uznał tylko moje towarzystwo za wielce nieprzyjemne i postanowił sobie pójść.

Ja również opuściłem to miejsce — doznałem tak nagłego przypływu sił i energii, że jednym tchem w pół godziny wyszedłem na grzbiet Arszyicy pomiędzy Małą Niwką a Menczelykiem. Szlak skręcał tu po grzbiecie w lewo, by w niespełna 10 minut osiągnąć szczyt Małej Niwki. W drugą stronę, na Menczelyk, wiodła wąska ścieżyna rozmywająca się wśród kęp kosówek.

Nie spodziewałem się tak ładnego widoku z Małej Niwki, jak również nie doceniałem tego, jak piękny jest grzbiet Arszyicy. Zielone morze kosówki, a z niego wystające małe wybitne wierzchołki zwieńczone niewielkimi polami gorganu. a w oddali widoczne inne wybitne szczyty Gorganów: Jajko Ilemskie, Sywania Lolińska, przede wszystkim zaś Mołoda i wyjątkowo pięknie stąd prezentujące się Jajko Perehińskie. Widok widokiem, ale przejść przez to morze kosówki to zupełnie co innego. Z Małej Niwki w kierunku Niwki odchodziła tylko wąska

ścieżynka, po dwudziestu metrach kompletnie niknąca w kosówkach. Pewnie by dało się jakoś przedzierać przez ten gąszcz, ale przecież nie samemu i na pewno nie w tym kierunku, który oddalałby mnie od Osmołody. Zatem co dalej?

Nie dawał mi spokoju ten wilk. Ciągle myślałem o nim i myślałem też o tych zdarzeniach z Ralfem: jeżeli tam był ryś, tam niedźwiedź, teraz wilk, co jeszcze mógłbym spotkać? Tygrysa syberyjskiego? Przypomniała mi się również historia mojego kolegi Pawła, który wraz ze swą żoną postanowili zabrać swoje kilkuletnie dzieci na wycieczkę w Bieszczady na rzadko odwiedzany szczyt Stołów. Szli tak sobie, nagle w lesie jakiś łomot, dzieci ze strachu w płacz, a to sarna. Uspokoił więc Paweł dzieci: „to tylko sarna, żeby to jeszcze był jeleń, to rozumiem, ale uspokójcie się”. Kawałek dalej znowu łomot, biegnie jeleń. Paweł do dzieci: „to tylko jeleń, żeby to jeszcze był dzik, to rozumiem”. Za jakiś czas znowu łomot, biegnie dzik. Paweł zaczął do dzieci: „to tylko dzik, żeby to jeszcze był niedź. . .”. Nie dokończył, bo sam się przestraszył tego, co mówił.

Kiedyś już spotkałem wilki podczas samotnej wędrówki, wtedy wyglądało to znacznie groźniej, zwłaszcza że wilki były trzy. Ale to było bardzo dawno temu, na początku moich wędrówek po górach. Wtedy miałem z tym problem, ale ostatecznie przeszedłem nad tym do porządku dziennego na zasadzie, że skoro pomimo spotkania z wilkami dalej wędruję po górach, to nie mam się w nich czego obawiać. Teraz jednak ten wilk dał mi wiele do myślenia. Te poprzednie spotkania Ralfa z nie wiadomo czym, ta moja straszna przeprawa potokiem Szumływym, 42 km samotnie po górach i nocny powrót. Czy przypadkiem ten wilk nie przyszedł specjalnie, aby mi coś powiedzieć — na przykład — że on już nosił kilka i ja w pewnym sensie również? Czy przypadkiem nie przekraczam granicy dopuszczalnego ryzyka podczas takich samotnych wędrówek?

Odechciało mi się powracania do Osmołody grzbietem Arszycy, szukania sobie drogi w kosówkach bez szlaku i ścieżki. Gdyby cokolwiek tam mi się stało, nikt by mnie nie znalazł. Zbity z tropu zrezygnowałem nawet z wejścia na najbliższy i — wydawało się — dość łatwo osiągalny Menczelyk. Wróciłem do Rosochanu tą samą drogą, a potem przemierzyłem pieszo te potwornie nudne 13 km drogi. Przejście tego w dzień było chyba jeszcze gorsze niż wieczorem, ponieważ było gorąco.

W Osmołodzie przyszło się pakować. Planowany czas mojego pobytu dobiegał końca, zresztą na cóż innego mogłem się jeszcze wybrać? Na Owól — zapewne podobnie dziki jak Arszycy, porośnięty kosówką i bez ścieżki? Na Jajko Perehińskie — powtarzając większość trasy na Mołodę? Na Konia Grofeckiego — powtarzając większość trasy na Grofę? Na dzikie Kanusiaki szukać tam niedźwiedzia? Czy na Seredną, wzbudzając nieprzyjemne zainteresowanie mieszkańców Kuźmieńca?

Towarzystwo z Sewastopola wróciło w niezbyt dobrych humorach. Niedźwiedzia nie spotkali, a z Grofy zeszedli szlakiem do Kruhłej, po czym wracali pieszo 8 km drogą, bo w dolinie nie było zasięgu telefonii komórkowej i nie mogli zatelefonować po Julię, aby przyjechała po nich. Umęczeni marszem postanowili następnego dnia oddać się innym uciechom — objechać góry samochodem, odwiedzając wodospad w Jaremczu oraz kurort Bukowel. Przyszło mi do głowy, że mogli by mnie po drodze zabrać do Iwano-Frankiwska, skąd miałbym do Polski więcej połączeń, a także — dotarłbym tam wygodniej. Usiłowałem się przypytać i przyprosić ale im — nie wiem czy świadomie, czy nieświadomie — nie przyszło do głowy wyjść z taką propozycją. Pozostał mi więc autobus.

Wieczorem przeszedłem się jeszcze raz po Osmołodzie, rano pożegnałem się z Julią, Anią, Ralfem i Markizą. Autobus do Kałusza odjechał planowo i tym razem nie miałem żadnych problemów w Kałuszu z zakupieniem biletu. Miałem za to prawie 7 godzin czasu — od przyjazdu do Kałusza o 13-tej do odjazdu autobusu do Warszawy o 18:45. Pogoda była ładna, ciepło, nawet upalnie. Z dworca autobusowego wybrałem się więc na rynek — pieszo jakieś 3 kilometry, w większości przez wielkopłytowe osiedla — jak na Ukrainę nawet z tych najładniejszych.

Rynek w Kałuszu — cóż. Ładnie odrestaurowany ryneček małego powiatowego miasteczka z lat międzywojennych. Lekko nachylony kwadratowy plac, w jednej części ze sporą ilością zieleni, wokoło parterowe lub jednopiętrowe domy, między nimi kilka nowych mieszczących kawiarnię, restaurację i hotel. Z drugiej strony rynku namiot z ogródkiem piwnym. Za barem kelnerka gapiąca się w przestrzeń, bo klientów zero. Przy tych drzewach pan z miniaturowymi samochodzikami na baterie — pięć minut jazdy dziecka za 5 hrywien. Pięć samochodzików i żadnego dziecka. Wstąpiłem do kawiarni, zjadłem jakieś ciastko — nawet dobre, po czym usiadłem na ławce przy skwerze usiłując jakoś spędzić czas pozostały mi do odjazdu.

Zauważyła mnie pewna pani w wieku lat — na oko — około 40, przysiadła się i nawiązała rozmowę — a co, a jak, skąd jestem i co tutaj robię z takim wielkim plecakiem. Zainteresowała się, że jestem z Polski i że tak przyjechałem chodzić tutaj po górach. Wyjaśniłem jej, że polskie góry bardzo dobrze znam, te tutejsze bardzo lubię, że w Polsce latem w górach jest dużo ludzi, a ja przyjechałem tutaj znaleźć właśnie ciszę i dziką przyrodę. Odpowiedziała na to pytaniem: „A czy wam jest przyjemnie spędzać wakacje wśród ludzi pozbawionych nadziei?” Dalsza rozmowa zesłała już na tematy społeczno-ekonomiczne życia na Ukrainie w porównaniu z życiem w Polsce.

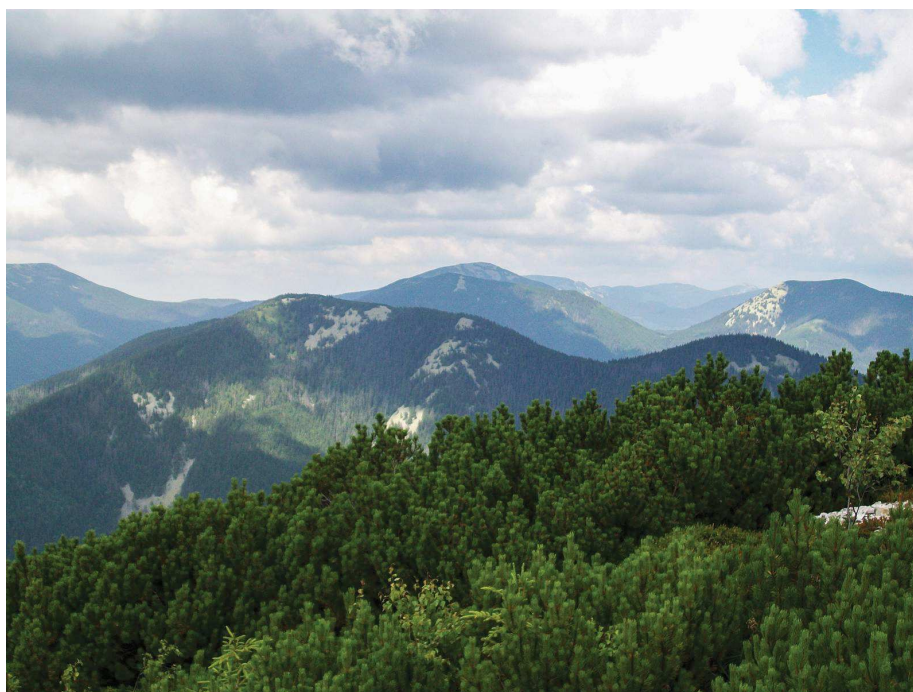
Powróciłem potem na dworzec autobusowy, po drodze wstępując na pizzę. Wstąpiłem też do księgarni, gdzie zauważyłem turystyczne mapy Gorganów — kupiłem je, bo dotąd takich nie miałem, mimo że od strony treści były do niczego: oparte na dawnym radzieckim podkładzie, z celowymi zafałszowaniami. Z takimi mapami najłatwiej w terenie — pobłądzić. Polskie mapy Gorganów są znacznie lepsze od tego.

Autobus odjechał o czasie. Miłym akcentem było to, że był to ten sam pojazd i tych samych dwóch kierowców, którzy wieźli mnie w tamtą stronę. Po postoju w Iwano-Frankiwsku pojechaliśmy w stronę Lwowa. Po drodze jest takie miasteczko Rohatyn, słynne najbardziej z Roksolany. Była to córka miejscowego popa, porwana w jasyr przez Tatarów i sprzedana w Stambule jako niewolnica. Kupił ją dla sułtana naczelną eunuch harem, po czym tak się spodobała sułtanowi, że podniósł ją do rangi swojej pierwszej małżonki. Niebywała kariera zwykłej dziewczyny. Otóż na kilka kilometrów przed Rohatynem autobus nagle przyhamował i zjechał na pobocze. Środkiem głównej szosy Lwów-Iwano-Frankiwsk jechał koń z wozem — bez woźnicy. Wszystko co poruszało się tą drogą, musiało uciekać na pobocze. Dwa kilometry dalej na środku szosy coś leżało. Woźnica. Samochody omijały go niczym zabitego psa lub kota. Nie wiadomo czy nie żył, czy też jedynie był pijany.

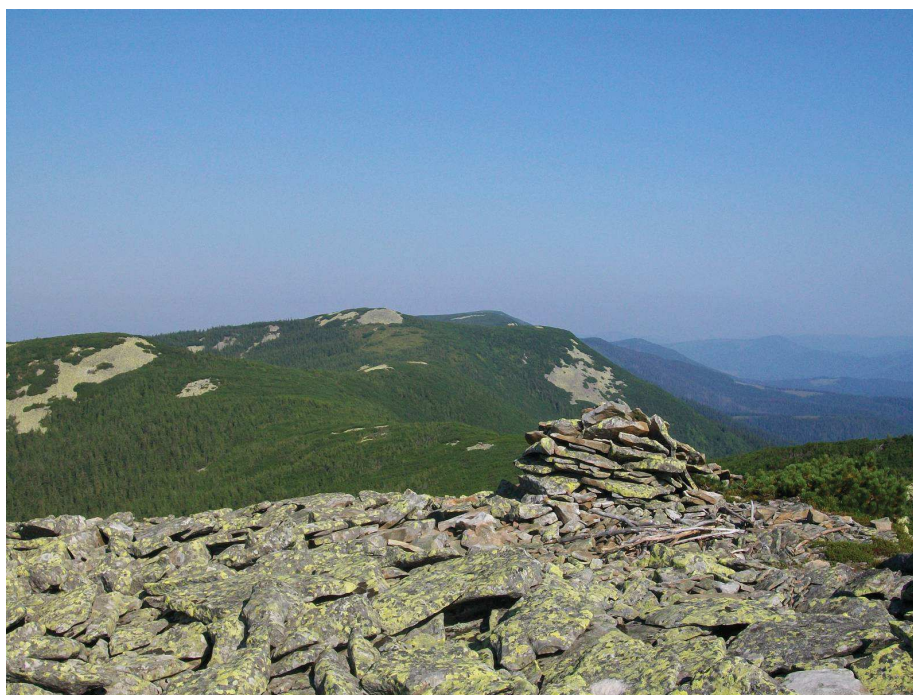
Coś było w tym symbolicznego: koń z wozem, ale bez woźnicy, pędzący środkiem drogi przed siebie, nie wiadomo dokąd. Jadący w kierunku od Lwowa na Iwano-Frankiwsk — w PRZECIWNĄ stronę niż do granicy Unii Europejskiej. a kawałek dalej pijany — czy może już martwy — woźnica. Quo vadis, Ukraino?



Fot. 21: Sywania Lolińska



Fot. 22: Widok z Końca Gorganu na Grofę i Kanusiaki



Fot. 23: Widok z Małej Niwki na pasmo Arszyicy w kierunku Gorganu Ilemskiego

Zakończenie

Opisałem moich 10 wycieczek po Gorganach — lub choćby tylko w części po tych górach. Czy mogę powiedzieć, że je znam? Z pewnością tak, ale na pewno nie znam ich do końca. Żadnych gór nie da się poznać do końca. Góry to bowiem nie tylko miejsca, ale i czas, pory roku, pogoda, przygody i nie dające się przewidzieć zdarzenia. Na to wszystko nakłada się długofalowy trend zmian. Ten trend rzadko przyjmuje formy spektakularne, takie jak na przykład w Czorsztynie — gdzie część trasy mojej wędrówki i nawet miejsce po gospodarstwie, w którym spałem w szopie razem z owcami, znajdują się obecnie pod wodami zalewu.

Co pozostało mi w Gorganach, jakie są tam szczyty, na których nie byłem? Bardzo wiele. Pytanie raczej powinno brzmieć — na jakie bym się wybrał w następnej kolejności, gdybym miał taką możliwość? Taka lista zmienia się wraz z biegiem czasu. Wspominałem we wstępie, że kiedy pierwszy raz myślałem o Gorganach, myślałem jedynie o Sywuli i Popadii. Kiedy Gorgany stały się realne, chciałem zdobyć najważniejsze szczyty wszystkich pasm — a więc do listy doszły Grofa, Ihrowiec, Wysoka, Mołoda, Bratkowska, Doboszanka i Syniak. Po zdobyciu ich doszły kolejne szczyty.

Gdybym dzisiaj miał tworzyć taką listę pożądaných, a niezdobytych szczytów, byłoby ich 10. Licząc od północnego zachodu: Jajko Perehińskie, Koń Grofecki, Kanusiak Wielki, Seredna, Busztuł, Owól, Stanimir, Poleński, Kozi Gorgan i Płoska. Dodatkowo mogłaby być Durnia, na której byłem 5 metrów poniżej szczytu i Pikun — gdyby ktoś raczył torować mi drogę przez łąny kosówki porastające ten szczyt i okolice. Dość składowanie rozkładałoby się to na trzy wycieczki. Mogłyby być dwie, ale z tego jedna bardzo długa.

Licząc na trzy, pierwsza powielalaby ogólny schemat wycieczek do Osmołody: można by mieć stałą bazę w „Arnice” i stamtąd pójść na Jajko, Konia, Kanusiaka i Seredną, dorzucając ewentualnie coś ze zdobytych już szczytów na powtórkę.

Druga wycieczka — też przez Osmołodę — wypadalaby na Busztuł i Owól. Z uwagi na umiejscowienie szczytów ten wyjazd powinien być biwakowy — nonsensowne byłoby codzienne dojazdy z Osmołody, a wejście na Busztuł kto wie, czy byłoby wykonalne w jeden dzień nawet przy dojeździe.

Bazę dla trzeciej wycieczki założył bym w Rafajłowej, skąd można zdobyć Płoską oraz Durnię, a Stanimir z pobliskiego Maksymca, dojeżdżając tam tzw. marszrutką i wracając w ten sam sposób do Rafajłowej po zakończonej trasie. Na Poleński i Kozi Gorgan wypadaloby przenieść się do miejscowości Czernik do tzw. „Jędrykowej Sadyby”. Wprawdzie Poleński od biedy dało by się zdobyć z Rafajłowej, ale z Czernika jest bliżej — zaś wejść z Rafajłowej na Kozi Gorgan i wrócić jednego dnia się nie da.

Na przeszkodzie stają jednak okoliczności, które nie występowały dotychczas. Pojawił się znowu polityczny problem na Ukrainie. Na niego nie ma się wpływu, rozwiązuje go czas — chociaż jak pokazała historia, może się zdarzyć, że ten czas będzie trwał aż 52 lata (1939–1991).

Gdyby pominąć problem polityczny, mogłoby się wydawać dziwne, o co mi chodzi. Przecież byłem w Gorganach wiele razy, w tym dwukrotnie samemu. Ale co innego jest wybrać się samotnie na najbardziej znane szczyty, a inne byłyby moje nowe zamierzenia. W okresie letnim przy dobrej pogodzie na najbardziej znane szczyty na ogół codziennie ktoś jednak się wyprawia, nawet nie chodzi o to, że w razie nieszczęścia udzieliliby pomocy, ale o samą świadomość, że w dane miejsce ktoś zagląda. Można nawet wybrać się samotnie na mniej znane szczyty, ale znakowanymi szlakami, pozostawiając wiadomość o celu wędrowki w miejscu kwaterowania, szczególnie jeśli tym miejscem jest sadyba „Arnika” w Osmołodzie, której gospodarz jest ratownikiem górskim. O ile bym nie schodził ze szlaku, miałbym świadomość, że w razie czego — odnajdzie. Co innego natomiast pchać się samotnie bez ścieżki w kosówkową dżunglę, w której — okazuje się — można człowieka nie znaleźć przechodząc raptem 50 metrów od niego. Zresztą, jeśli nawet przymknąć oko na bezpieczeństwo i po ukraińsku powiedzieć „*raz maty rodyła*”, takie samotne przedzieranie się przez kosówkę nie jest przyjemne. Świadomość samotności i własnej bezsilności wobec dżungli sprężynujących gałęzi działa przynębiająco. Spośród wyliczonych 10 szczytów tylko na Seredną i Płoską prowadzą szlaki. Ponadto inny szlak wyprowadza na przełęcz pod Gropą, o 45 minut drogi od Durni. Pomijam już kwestię możliwych spotkań z rysiem, wilkiem czy niedźwiedziem, jak również ze specyficznym gatunkiem drapieżnika w ludzkiej skórce, takim jak być może zamieszkiwał okolice plaży pod Negrową.

Realizacja obecnych planów wymaga więc towarzystwa i powstaje tu pewien paradoks. Mianowicie — jest wątpliwym, by towarzysz czy towarzysze wędrowki pożąдали zdobycia tych samych szczytów, co ja. Jeśli byliby początkującymi turystami, zapewne najważniejsze dla nich byłoby zdobycie najbardziej znanych szczytów — tych samych, na których ja już byłem. Wówczas nasze interesy stałyby się rozbieżne. Wyjściem z sytuacji może być kompromis, ale wtedy zamiast o trzech wycieczkach należy mówić o dziesięciu, z dużą ilością powtórzeń najbardziej znanych szczytów. Jeśli byliby turystami doświadczonymi, to moje i ich oczekiwania mogłyby pokrywać się tylko częściowo. Zmieniałoby to sytuację tylko o tyle, że łatwiej byłoby osiągać kompromis i wycieczek potrzeba byłoby nie 10, a 6.

Ale i te rozważania stanowią problem mniejszej wagi. Podstawowym jest znalezienie towarzystwa na takie wędrowki w ogóle. Ja mam już swoje 52 lata i osoby w moim wieku często już zajmują się wnukami, a nie chodzą po górach — tym bardziej po Gorganach, bo po Tatrach i Beskidach jeszcze tak. Jak skończyła się wyprawa z osobami młodszymi od siebie, miałem okazję doświadczyć. Nie dość, że trudno znaleźć chętnych do wędrowania ze starym repem, to jeżeli już — zamęczą i zagonią aż do kontuzji. Tylko dlatego, że sił mają więcej.

Czy więc moje gorgańskie marzenia się spełnią? Pewnie nie. Nie można wprawdzie wykluczyć, że jeszcze raz pojedę do Osmołody i przy okazji standardowych wycieczek namówię kogoś do wyskoku aż na Busztuł, względnie będąc w Rafajłowej po kolejnym zdobyciu Bratkowskiej i Taupiszyrki namówię kogoś do walki z kosówką na bliższym Poleńskim zamiast pójścia na dalszą, ale nie tak męczącą Doboszanekę. Ale żeby wszystko miało się spełnić — wątpliwe.

Nie wiadomo nawet, czy cokolwiek się spełni. Złe wieści napływają ostatnio z Ukrainy, a moja rozmowa z panią na rynku w Kałuszu była dobitną tego zapowiedzią. Cokolwiek się stanie, Ukrainę czekają wielkie przemiany. Euromajdan w Kijowie był rewolucją ludzi pozbawionych nadziei, odmowa podpisania traktatu stowarzyszeniowego z Unią Europejską była rodzajem sygnału, który zmobilizował wszystkich niezadowolonych. Na zachodniej Ukrainie niezadowolonych jest większość, ale nie wśród ogółu Ukraińców. Cokolwiek by było — nie będzie dobrze.

Pacyfikacja niezadowolonych? Jak miałby potem Polak jechać na wypoczynek w takie niezadowolone środowisko, zawistne o to, że w Polsce żyje się lepiej? W dodatku jadąc tam można by być podejrzanym przez władze o działalność wywrotową — nie całkiem bez racji. Albowiem sama obecność polskiego turysty, jego kontakty z miejscową ludnością i opowiadanie, jak to jest w Polsce, pogłębiałyby nastroje buntu i niezadowolenia.

Zwycięstwo opcji proeuropejskiej? Nieuchronnym wydaje się kryzys, bieda i zazdrość wobec tych, którym żyje się lepiej — o ile nie kolejny bunt. Zanim by jednak do tego doszło, nastąpiłoby zachłyśnięcie się wolnością. Dzięką — być może łącznie z wolnością kradzieży i rozbojów. Nikt by na to nie reagował, gdyby takie czyny popełniono wobec Polaka. Nikomu by na tym nie zależało — uznawanoby, że sam sobie winien, skoro się tam pchał. Proeuropejska Ukraina nastroje niezadowolenia może kanalizować w nacjonalizmie i ksenofobii pod czerwono-czarną banderą Bandery. Czy będzie przyjemnie wędrować po kraju nie ukrywającym swej wrogości?

Piszę te słowa w szczególnym momencie kryzysu władzy na Ukrainie, łącznie z groźbą zbrojnego konfliktu Ukrainy z Rosją. Chciałbym, aby te wspomnienia pozostały wyłącznie moimi wspomnieniami, a nie dokumentacją gorgańskiej rzeczywistości, która właśnie odeszła w przeszłość.

Warszawa, 4 marca 2014 r.

* * *

Od napisania tych słów minęły 3 lata. Nie pojechałem w tym czasie w Gorgany, ani w ogóle na Ukrainę. Ukraina utraciła Krym i Zagłębie Donieckie, a problemy polityczne odbiły się na turystyce. Trudno ocenić, jak bardzo zmniejszyła się turystyka z Polski w ukraińskich Karpatach, zwłaszcza jeśli trzeba się opierać na doniesieniach innych osób. Wydaje się jednak że w 2014 r. nastąpił około 10-krotny spadek względem lat 2012–2013, po czym w latach 2015–2016 pojawiła się niewielka tendencja wzrostowa. Ograniczeniu uległa również działalność PTTK Rzeszów. Oferta uległa zmniejszeniu i ograniczyła się do najbardziej znanych szczytów i tras.

Interesujący za to jest fakt, że pomimo trudności politycznych i gospodarczych można odnotować wyraźny wzrost turystyki ukraińskiej. Działa Fundacja i Towarzystwo „Karpatske Steżky”, które utrzymuje sieć szlaków turystycznych i remontuje chatki — schrony turystyczne w górach. Gwałtowny rozrost sieci szlaków został powstrzymany w latach 2013–2014 przez „czynniki oficjalne”, mające na względzie ochronę przyrody. Uznano, że istniejąca sieć szlaków turystycznych jest wystarczająca i zabroniono wytyczania nowych. Rezerwat „Gorgany” obejmujący rejon Doboszanki zaczął istnieć naprawdę, a nie tylko na papierze. Opracowano szczegółowy regulamin zwiedzania rezerwatu, tak skomplikowany, że w praktyce trudno się do niego zastosować. Podobno coraz częściej

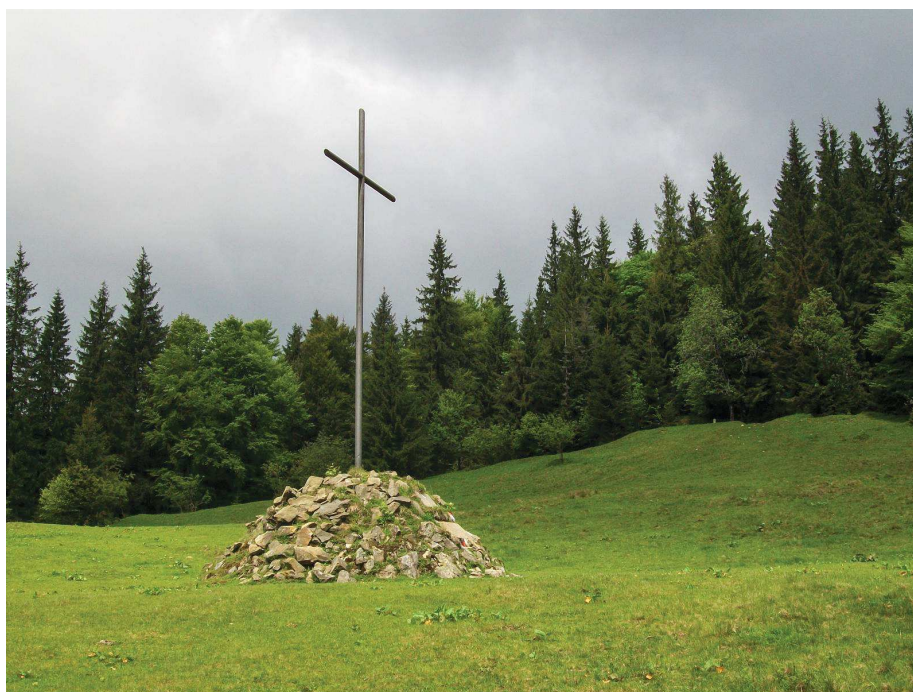
zdarza się spotykać strażników nakładających mandaty (lub biorących łapówki) za naruszanie tego regulaminu.

Sama przyroda — wydaje się — odbiła nieco. Podobno częściej niż kiedyś spotyka się w górach dzikie zwierzęta, a za to rzadziej — domowe. Tendencję tę obserwowałem już zresztą podczas moich wędrówek w latach 2005–2013. W Gorganach koło Osmołody pojawił się niedźwiedź Iwo, który przywędrował przez zieloną granicę aż... z Tatr, po drodze zahaczając o Węgry, gdzie wzbudził wielkie zainteresowanie, jako że na Węgrzech nie widziano niedźwiedzia na swobodzie od blisko stu lat, tzn. od kiedy Węgry zostały okrojone do obecnych granic przez traktat z Trianon. Wędrówki niedźwiedzia Iwo przesledzono dzięki temu, że w Tatrach założono mu obrozę telemetryczną.

Wydaje się natomiast, że warunki gospodarcze w ukraińskich Karpatach pogorszyły się jeszcze bardziej. W Osmołodzie podobno pozostało już tylko 15 rodzin. W okolicznych lasach wycięto najbardziej opłacalne drzewostany, ograniczono więc wyręby, zmniejszyła się ilość drwali — z których zaopatrywano żyła Osmołoda. Bieda spowodowała, że niektórzy mieszkańcy zabrali się za nielegalne samowolne wycinki. Leśnictwa zareagowały na to wzmocnieniem kontroli. Kontrolerzy chcąc dobrze żyć z miejscową ludnością przymykają oko na kradzież drewna, a chcąc się wykazać przed przełożonymi, że coś w terenie robią, skrupulatnie kontrolują nielicznych turystów, spisując ich dane i pobierając opłaty klimatyczne za wstęp do lasu, oczywiście bez wystawiania jakiegokolwiek biletu czy paragonu.

Jeśli chodzi o obiekty noclegowe wspomniane w tekście: kurort Bukowel ma się dobrze, rozwija się, wycina coraz więcej lasów i buduje coraz to nowe hotele. Chatka u Kuby w Czarnohorze działa w okresie letnim, dokonano w niej szeregu modernizacji poprawiających komfort. Dom gościnny „Arnika” w Osmołodzie funkcjonuje nadal, podobnie pensjonat „Lubawa” w Rafajłowej. Schronisko „Biernat House” w Rafajłowej zlikwidowało wszelką informację o sobie, jaka była w internecie, obiekt wprawdzie działa w okresie letnim, ale w sumie — dla tych co wiedzą o nim i którzy skądś posiadają numer telefonu do pani Olgi. Ograniczeniu uległa działalność „Jędrykowej Sadyby” w Czerniku — obecnie bywa ona otwarta tylko przez dwa lub trzy tygodnie w roku. Przestała istnieć turbaza „Gorgan” na przełęczy Krzyżówka-Stoły (u szalonego Iwana). Iwan podobno zmarł, a niewiele później obiekt spłonął.

Warszawa, 21 kwietnia 2017 r.



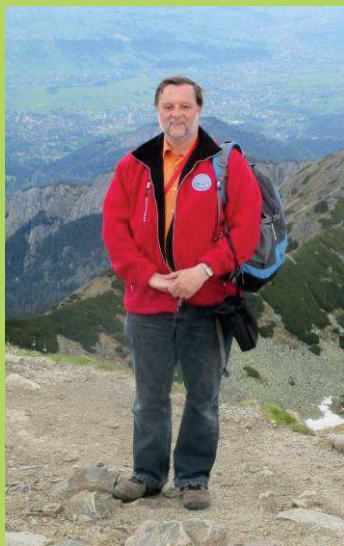
Fot. 24: Krzyż Legionów na Przełęczy Legionów

Spis fotografii

1	Pasma Sywuli widziane z płaskowyżu Ihrowca	8
2	Rzeka Mołoda; widoczne przyczółki mostu dawnej wąskotorówki	9
3	Słupek nr 44 na szczycie Bratkowskiej, na horyzoncie Sywula	21
4	Osmołoda, widok na Grofę	36
5	Schron na Płyścach	37
6	Widok z Chomiaka na Jawornik Gorgan	45
7	Widok z Chomiaka na Czarnohorę	46
8	Figura Matki Bożej Patronki Ukrainy na Chomiaku	47
9	Doboszanka	64
10	Widok z Sywuli na Ihrowiec	65
11	Połonina Niemiecka	78
12	Jajko Ilemskie	79
13	Ogromne bloki skalne na grani Jawornika Gorganu	92
14	Widok z Bratkowskiej na Steryszorę	93
15	Wysoka	116
16	Popadia	117
17	Sywula	132
18	Połonina Ruszczyna – okolice miejsca po schronisku PTT	133
19	Syniak	142
20	Chomiak	143
21	Sywania Lolińska	162
22	Widok z Końca Gorganu na Grofę i Kanusiaki	163
23	Widok z Małej Niwki na pasmo Arszycy w kierunku Gorganu Ilemskiego	164
24	Krzyż Legionów na Przełęczy Legionów	169

Spis treści

Od redakcji	3
Wstęp	5
Wycieczka pierwsza	
Bratkowska	11
Wycieczka druga	
Grofa, Sywula, Popadia, Ihrowiec	23
Wycieczka trzecia	
Chomiak	39
Wycieczka czwarta	
Przełęcz Legionów, Doboszanka, Sywula, Bratkowska	49
Wycieczka piąta	
Gorgan Wyszowski, Jezioro Synewirskie, Gorgan Ilemski, Jajko Ilemskie	67
Wycieczka szósta	
Syniak, Jawornik Gorgan, Bratkowska, Steryszora, Doboszanka	81
Wycieczka siódma	
Wysoka, Ihrowiec, Mołoda, Popadia, Grofa, Sywula	95
Wycieczka ósma	
Bratkowska, Sywula, Przełęcz Legionów	119
Wycieczka dziewiąta	
Syniak, Chomiak	135
Wycieczka dziesiąta	
Mołoda, Sywania Lolińska, Jajko Ilemskie, Grofa, Koniec Gorganu, Mała Niwka	145
Zakończenie	165



Paweł Wiejacz

Ur. 1961, doktor geofizyki, seismolog, 1996-2013
kierownik Polskiej Sieci Seismologicznej
w Instytucie Geofizyki PAN.

Od 2014 r. specjalista-geofizyk w Ośrodku
Technicznej Kontroli Zapór IMiGW.

Z zamiłowania turysta górski, ze szczególnym
upodobaniem do Karpat.

Odbył kurs przewodnicki 1985/1986 w Studenckim
Kole Przewodników Beskidzkich w Warszawie, nie
przystępując do końcowego egzaminu.

Członek Stowarzyszenia „Res Carpathica”.